EX LIBRIS
CZY
TEL
NiK
SPÓŁDZIELNIA
WYDAWNICZA

323509

CEZARY JELLENTA.

WSZECHPOEMAT

I NAJNOWSZE JEGO DZIEJE.

WARSZAWA.
G. CENTNERSZWER.

KRAKÓW.
S. A. KRZYŻANOWSKI.

1895.

WSZECHPOEMAT

I NAJNOWSZE JEGO DZIEJE.

CEZARY JELLENTA.

WSZECHPOEMAT

I NAJNOWSZE JEGO DZIEJE.

88(09)

WARSZAWA.
G. CENTNERSZWER.

KRAKÓW.
S. A. KRZYŻANOWSKI.

1895.

ANULOWANO
11651

Дозволено цензурою
Варшава 18 Декабря 1894.

UJK Biblioteka Uniwersytecka w Kielcach

483642

W DRUKARNI W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

WSTĘP.

Między poetą a kołem jego wielbicieli zachodzi stosunek nader pouczający, spleciony z mnóstwa nici pokrewieństwa duchowego, tak że uchwycić je znaczy rzucić snop światła na całą grupę ludzi i t. d.

Czytelnik nasz doznaje zapewne wrażenia, że kiedyś już myśl tę widział i słyszał, że się obraca w dobrze znajomej krainie? Istotnie — o owej łączności między artystą a pewną sferą pisze się już dzisiaj całe tomy, idąc śladami Hipolita Taine'a, który podjął rzuconą przez Sainte-Beuve'a myśl i dowiódł teoretycznie, oraz znakomicie zailustrował własną osobą, że dzieło sztuki nie jest bynajmniej wytworem danej jednostki, ale raczej swego środowiska, do którego ma się tak, jak roślina do swej gleby. W ostatnich latach przedwcześnie zgasły Emil Hennequin [1]) odwrócił wzajemny stosunek składowych czynników tej formuły i zjednał moc zwolenników wierze swej, iż nie tyle otoczenie hoduje geniusz, ile geniusz powołuje do życia, stwarza po prostu pewne otoczenie.

Nie bądźmy jednak skorzy do bicia w bębny na cześć nowego wynalazku. Poprawka nie podcina korzeni taine'izmu. W obu bowiem wypadkach chodzi głównie o co? O poznanie dokładnego tła zbiorowego twórczości pojedynczej. Ono to właśnie najbardziej

[1]) W głośnem już teraz dziełku p. t. *Zarys krytyki naukowej.*

leży na sercu autorowi »Filozofii sztuki«. Pisarz lub artysta jest dlań w pewnej mierze i samoistnym celem rozbioru, ale głównie szkłem, przyrządem optycznym, wielce czułym i dokładnym, przez który bada duszę zbiorową. Przepych swego języka, plastykę swej wyobraźni, bystrość wzroku rozwija Taine we wszystkich swych dziełach krytycznych tam, gdzie wypada odmalować epokę, — że przypomnimy Hollandyę, Grecyę, Włochy, Anglię w okresie odrodzenia pogańskiego i chrześciańskiego. »Dałbym pięćdziesiąt tomów nadań i sto tomów akt dyplomatycznych za pamiętniki Celliniego, za listy św. Pawła lub komedye Arystofanesa« — mówi H. Taine [1]).

A skoro do tego samego w gruncie rzeczy celu zmierza Hennequin, nowatorstwo jego ogromnie maleje, i daje się, tymczasem przynajmniej, sprowadzić jedynie do uprzątnięcia owej jednostronności, którą właściwy jej mistrz zgrzeszył. A jeśli weźmiemy na uwagę, że kłuły one w oczy od pierwszej chwili swych narodzin, tedy ten punkt zasługi Hennequina przestanie być gwiazdą, a zamieni się w zwykłą iskrę światła naukowego. Nie więcej, ale też i nie mniej, nikt bowiem tak gruntownie i fachowo teoryi Taine'a, jak Hennequin, nie zrewidował. Odsłonił on całą chwiejność doktryn o wyłącznym wpływie rasy, klimatu, obyczajów, dziedziczności i tym podobnych czynników i oparł na murowanych podwalinach konkluzyę swą, że wypadek *przeciwieństwa artystów z otoczeniem* uważać należy za częstszy od wypadku odwrotnego.

Dusza narodu — mówi — żyje w pomnikach jego, nie, że naród je stworzył i ukształtował, lecz dlatego, że dzieła sztuki — z których najwyższe często pozbawione są właśnie cech epoki lub plemienia — wskazują całym ciągiem świetnych objawów, jaką kroczył geniusz właściwy narodu, jaki był rozwój jego umysłowy w różnych epokach i kołach...«

A zatem sfera wpływu i doniosłości podobnych analiz rozszerza się jak kręgi fal na wodzie. Jak fale te z czasem trącają o brzegi, czyli swe ostatnie gra-

[1]) *Histoire de la litterature anglaise.* Tom I, p. XLVI.

nice, tak wyniki »estopsychologii« — tak nazywa Hennequin swą naukę — sięgają, według niego, kresów wiedzy ludzkiej i nieomal całą ją obejmują. Bo oto rzuca ona światło już nie na pojedyńcze odłamy, lecz na całą historyę umysłowego rozwoju człowieka; przy pomocy pewnych nieustalonych jeszcze nauk, jak psychologia wielkich ludzi, będzie ona mogła poznać duszę narodów ludzkości, wyśledzić nawet tajemnice ducha jednostki niedostępne dotąd, sprawdzić ogromem zebranego przez się materyału wiele twierdzeń nieumocnionych jeszcze i tym sposobem stanie się podporą »jednego z najwyższych szczytów seryi nauk o życiu, które stanowią ostatecznie przez swój cel oraz łączność między sobą, nic innego, jak tylko olbrzymią antropologię«.

*

Zaciekanie się wzorem Taine'a w psychologię rasy, w naturę gruntu, powietrza i inne czynniki przyrodzone, niezależnie już od jednostronności światła, które rzucają na dzieła sztuki i ciasnotę ram, w które je wtłaczają — stanowi pożyczkę, zaciągniętą u różnych nauk, jak etnologia, antropologia, bez istotnej tego kroku potrzeby.

Należało wprzód zbadać, czy ludziom i literaturze te odległe wycieczki w obce krainy zaspokoją jakieś łaknienie naturalne, czy nie możnaby się obejść bez wiadomości, ile cali średnicy mają pale, użyte do grobli nadmorskich w Niderlandach [1]) i tym podobnych śledztw. A następnie, w razie, jeśli już tego rodzaju nabożeństwo żywi ktokolwiek, czy nie można w samej duszy artysty, w jego płótnach, poematach, symfoniach, wyczuć głównych cech znamiennych jego środowiska kulturalnego, plemiennego i t. d. *(milieu)*.

Zarzut ten stosuje się zupełnie tak samo do Hennequina. On wprawdzie używa antropologii, nie jako punktu wyjścia, lecz jako ostatecznej mety, ale czy nie ma tysiąca innych sposobów rozwijania jej i zbogacania, o wiele pewniejszych niż wnioski, snute z »Moj-

[1]) H. Taine. Filozofia sztuki. Niderlandy.

żesza« Buonarottiego, »Zaczarowanego fletu« Mozarta? Ciekawa zaiste rzecz, kogo z niespecyalistów grzeje lub ziębi wypisany z wielkim aplombem domysł, *koronujący* wywody psychologiczne, że w ustroju mózgowym autora »Legendy wieków« przeważa trzeci zwój czołowy?

Zapewne, nawet wnioski astronomiczne, gdyby był do nich przystęp, nie zasługiwałyby na odrzucenie, bo w całokształcie wiedzy żadne spostrzeżenie nie ginie bezowocnie, ale, pytamy, co zyskuje fizyologia na domyśle, *od niej* bez ceremonii pożyczonym? To tak mniej więcej, jak zrobić komuś prezent za jego własne pieniądze. I dla czegoż, w rzeczy samej, nie mielibyśmy zaprzęgać krytyki poetyckiej n. p. do celów ekonomii, ażeby wskazać, dajmy na to, jak ruch literacki w rodzaju romantyzmu oddziaływa na ruch handlowy, albo nawet do innych celów tej samej antropologii, ażeby ustalić prawo związku między rodzajem lektury a płodnością małżeństw?

Dlaczego przywiązano krytyce takie ciężkie kule do nóg? Czem to się dzieje, że kraj wielkich artystów — Francya — taką pańszczyzną i tyloma serwitutami obciąża sztukę, swego faworyta i zarazem patrona?

Przyczyny tego zjawiska są nader pouczające. Właściwie bowiem, nie ktoś, noszący takie lub inne głośne imię, powołał do życia wykształconą analizę, dzieł sztuki, lecz złożył się na to cały zastęp doskonałych *syntetyków*, twórców. Ci, co doprowadzili do mistrzostwa umiejętność oblekania całych warstw, społeczeństw, pokoleń w jednostkowe typy, wypukłe jak rzeźba i barwne jak malowidło, byli tem samem powołani do wykonania pracy odwrotnej: wydobycia na wierzch tych pokładów treści społecznej, które kryją się pod takimi typami i obrazami, jak *Ojciec Goriot*, *Pani Bovary*, *Germinia Lacerteux*, *Okrutna zagadka*, *Germinal*, *Safo*. Sainte-Beuve, Gautier, Beyle, Merimée, Balzac, Flaubert, oraz współcześni jak Goncourtowie, Zola, Daudet, Bourget, Taine, stwarzając dla całego świata szkołę rysunku, perspektywy i plastyki w której przy *minimum* widocznej pracy, byłoby

maximum wyrazu, tem samem stworzyli dążność odwrotną: wyjmowania, odczarowywania z formy tego, co w formę figur zaklęte zostało. To też proszę uważać, iż wszyscy oni z nikłymi wyjątkami łączą w sobie oba rodzaje pracy: i tworzą i rozbierają; wszyscy są krytykami i poetami, jednakowo biegłymi tu i tam. Czują oni, że portret osobistości wziętej do noweli wymaga tegoż kunsztu, co portret pisarza, który nowelę ogłosił; a mianowicie psychologii, spostrzeżeń, przenikliwości i t. d. Dzięki im i pewnemu udziałowi takich jak Macaulay, Carlyle i in., znikł przesąd różnicy między literackiem znaczeniem autora powieści i krytyka. I ci i tamci są artystami, jedni i drudzy są myślicielami.

Hasło zatem do pogłębienia krytyki, wychodzi nie z ust przyrodników lub w ogóle uczonych ścisłych, żądnych zysku dla swej gałęzi wiedzy, lecz z łona *estetyków* czystej krwi, ludzi, których wrażliwość na piękno i brzydotę słusznie uchodzi za wyjątkową. Potrafią oni w rzeczach sztuki być naraz i drobnowidzem, wykrywającym włókna, tkanki, komórki, i dalekowidzem, ogarniającym całość odległych ciał niebieskich. Jeśli więc zaczęli przeciwdziałać sądom dorywczym, płochym i ulotnym i dali poznać, iż utwory artystyczne nie są znów takimi przemijającymi zefirkami, przez które miło jest być musniętym na chwilkę — to dlatego, iż leży im na sercu ich własny dom, a nie rozkwit cudzych. Pragnąc wynieść na światło boże i pokazać ludziom owe głębie treści, zawartej w *dokumentach*, sądzili, że najskuteczniej zalecą je ludziom wtedy, gdy pożyczą firmy od różnych ciężkich gałęzi wiedzy i ogłoszą, że pracują nie dla siebie jako tłómaczów geniuszu, lecz jako parobcy antropologii lub etnologii. Popełniając ten błąd, nie zbadano wprzód, czy owej firmy poważnej nie ma przypadkiem w samej pracy rozbiórczej, czy sama analiza i charakterystyka bez wniosków dalekonośnych nie są przypadkiem robotą bardzo poważną i bardzo naukową. Nie dostrzegli wskutek tego, że w samej naturze wrażeń estetycznych znaleść można drogowskaz, wiodący do owych bogatych analiz, których pierwiastki dziejowe,

albo narodowo-plemienne nie wyczerpują zgoła, albo też dają im fałszywy kierunek.

I Taine i osobliwie Hennequin stoją na gruncie pojęć o wrażeniach estetycznych, nieco przestarzałych i trzymających się na wierzchu chyba tylko mocą tradycyi i nawyknienia. Wyrzec pochwałę lub naganę, wyrazić uwielbienie, zachwyt, albo też niesmak i rozczarowanie z powodu zalet lub wad utworów, to równa się, według nich, podaniu ręki tłumowi, pospólstwu. Niestety jednak, doktryna mści się na nich fatalnie, bo sami na każdym kroku zadają sobie kłam i postępują w ten oto sposób, że w ich rozbiorach brak wyrazów ze słownika *szczerego*, ale są za to równoznaczne *omówienia*. Hennequin n. p. wylicza Wiktorowi Hugo: rozumowanie na nic nie znaczące temata, metafizykę nieokreśloną, częstą nicość treści, rozwijanie *oklepanych* myśli, albo znów »wypukłość przedmiotów, spowodowaną użyciem antytezy, bogactwo, blask stylu« i t. p. Taine znów daje wolny upust zachwytowi swemu nad teatrem angielskim, nazywając »cudną« tę dobę, w której się on narodził, nad epoką Medyceuszów w pięknej Italii, pogańskim renesansem w Brytanii, kolorystami weneckiej szkoły, a ze wszystkich jego dzieł estetycznych zdaje się przemawiać zdanie: Gdybym nie był Hipolitem Taine'em, chciałbym być Cezarem Borgią, Benvenutem Cellini, Leonem X albo rubasznym aktorem — dramaturgiem i knajpiarzem w rodzaju Shakespeare'a, Marlowe'a i Ben Jonsona, albo wreszcie Rubensem. Myli się grubo Bourget, gdy powiada o szkole Taine'a: »De ce royaume de la nécessité absolue, toute appréciation du Bien et du Mal est bannie, ajoutons toute appréciation du Beau et du Laid«. (Sam zresztą zaraz potem wymienia »wielbionych« przez sławnego tego myśliciela autorów) [1]).

Cóż stąd wypływa? Że twórcy teoryi krytycznej w pojedyńczych momentach swych analiz dają poprostu zamaskowane dla własnego i cudzego wzroku *plus'y* i *minus'y*, że spowiedź z wrażeń dodatnich

[1]) *Essais de psychologie contemporaine*, p. 225.

i ujemnych ujmują w termina psychologii i charakterystyki, śledzą wzajemną ich od siebie zależność, wybadują przyczyny i drogi, grupują wreszcie w jeden organizm i tem osiągają efekt bezwzględnej, anatomicznej niejako obojętności.

»Jakto — słyszymy już gromkie zapytanie — lecz kto analizuje, ten się nie zachwyca, nie rozkoszuje ani skarży na brak piękna? Oto właśnie kamień niezgody i źródło błędów. Hennequin, najlepszy rzecznik tej dziwacznej psychologii, którą chętnie nazwalibyśmy łysą i siwą ze starości, a którą on ma za samą piankę najnowszej nauki, woła: »Błąd p. Vérona polega na tem, że przypuszcza on u widza, zachwycającego się dziełem sztuki, zdolności i objęcie umysłowe krytyka, analizującego ten utwór. Lecz człowiek, który się zachwyca — nie analizuje, a ten, który analizuje, już się nie zachwyca«. U nas niedawno, o wiele piękniej wyraził tę samą myśl p. Gomulicki.

Z rozmysłem precz,
Niech każda rzecz
Swe krasy jawi ci zwierzchnie,
Gdzie *analizy* błysnął miecz,
Ptak ducha wnet stamtąd pierzchnie.

Jest to jednak poprostu... przesąd, nie wiele lepszy od tego, iż poeta musi koniecznie mało jeść, a artysta mieć długą czuprynę.

Kiedy filister znajdzie się nad modrem jeziorkiem albo u stóp wyniosłej góry, woła: cudowne, boskie, wspaniałe! i t. p. Lecz człowiek z pewnem wyrobieniem myślowem zamiast używać oklepanych komunałów, zdaje sobie sprawę już tylko z *czynników* pięknego widoku: kolorytu, nastroju melancholii lub promienności, bogactwa lasu lub łąk, niebotycznych turni, grozy skał, elegijnego spokoju wody... Proszę wziąć *Łowy* z *Pana Tadeusza*, a okaże się, że poeta *rozłożył* w nim wrażenie czaru kniei na setki pojedyńczych efektów. Zupełnie tak samo postępujemy z dziełami poety.

Im większem będzie wykształcenie, tem pełniejszem i głębszem objęcie przedmiotu, tem bardziej *złożonem i różnolitem* wzruszenie estetyczne. Głucha

emocya zniknie, by ustąpić miejsca innemu całkiem stosunkowi do poety i odpowiedniemu też stanowi ducha. Jest to konieczny wynik rozwoju umysłowego, a nie jakiś przywilej »krytyków», ci bowiem są jeno lepszą, doskonalszą odmianą zwykłego czytelnika. Oni widzą więcej i sięgają wzrokiem głębiej i obowiązani są liczyć się z takimi faktami i wskazówkami nauki, których profan nie zna. Dla nich poeta winien być przedewszystkiem nie jednostką, ale jednym z ośrodków duszy zbiorowej, zjawiskiem, socyologicznem w stopniu nieskończenie wyższym, niż zwykli śmiertelnicy. To jedna ze stacyj krzyżowych w sieci dróg, któremi przepływają idee, chęci, uczucia w ciele zbiorowem, to nagromadzona w żelaznym pręcie elektryczność, która dostawszy się doń z chmur, wypromienia się potem po powietrzu i okolicznych przedmiotach.

Poeta nie jest li »znakiem» pewnej warstwy ludzi, jak chce Hennequin, ani wytworem — jej, jak twierdzi Taine, lecz *najpierw* czarą, urną, w której się jak w zbiorniku krystalizują żywotne soki pragnień, kłamstw lub prawd społecznych. Może on sobie być i symptomatem, po którym dziejopis lub etnolog poznawać zechce epokę lub rasę — i jest nim niewątpliwie, ale w pierwszej linii wydziela z siebie uczucie, które nas porywa dlatego, że jest silniejszem, że jest wypadkową mnóstwa uczuć jednostkowych. Już w chwili tworzenia zgarnia on do serca swego pyłki ideałów czy pojęć daleko skwapliwiej, gromadniej i wrażliwiej niż inni, a gdy pisze, za jego plecami stoją niewidzialne dla nas, lecz widzialne dla niego tłumy jego przyszłych czytelników, kierują jego ręką, doborem efektów, zwrotów, postaci, kolorytem i wszystkimi pierwiastkami myśli i wszystkimi środkami techniki.

A że myśli te, uczucie, wola, obejmują mniejsze lub większe koła, są *solidarnemi*, więc powinien krytyk przedewszystkiem obwód tych kół oznaczyć, promień altruizmu wymierzyć, program ideałów wyszczególnić i wyjaśnić, słowem, wydobyć z pod nazwiska autora i z pod okładek jego tomów cała *pełnię* jego ducha, nie ograniczając jej kordonami geograficznymi

lub politycznymi, nie przegapiać żadnej jego chęci, żadnego instynktu, żadnej tęsknoty, żalu, złudzenia...

Wtedy tylko sprawiedliwości stanie się zadość, świętość socyologiczna będzie uszanowana, poeta zostanie *wyczułym* i *zrozumianym*, czego pragnie i gwoli czemu pracuje, zamiast być wyzyskiwanym dla cudzych celów, które mogą mu być zgoła obojętnymi. Bah! wtedy i sam ten wyzysk będzie dawać większą ilość światła.

*

Jeśli dusza artysty a zwłaszcza poety jest zjawiskiem *par excellence* społecznem, mimo swój pozór indywidualny — zbiorowem, to przetrząśnięcie jej zawartości stanowić będzie jakoby przegląd tych wszystkich ludzi, usposobień, natur, poglądów, które się w niej zogniskowały. Innemi słowy, analiza pełna i prawdziwie psychologiczna, rozkładając wrzekomą jednostkę, rozkłada właściwie i maluje całe, wielkie lub mniejsze grupy osób. A wtedy zbytecznemi się stają wielkie wstępy historyczne lub etnologiczne, jako też przemądrzałe wnioski. Poeta bowiem lub dany kierunek twórczy przestaje być wypływem takiego a takiego tła, jego następstwem, lecz zlewa się z niem w jedno jako cząstka integralna. Grunt, na którym on wyrósł i własne jego ja — to jedno i to samo. Zaledwie ułamek prawdy tkwiłby w twierdzeniu, iż Dante jest *produktem* wieków średnich z ich askezą, mistycyzmem, scholastyką, polotem gotyckim i nieśmiałemi jeszcze tęsknotami za oświatą greków i rzymian. Nie — on jest sumą wszystkich tych żywiołów, to nie jego rodzice, lecz pierwiastki składowe ducha. Portret twórcy *Komedyi boskiej* powinien być sam przez się portretem żałosnych uczuć i ideałów średniowiecza, a więc wizerunkiem tych milionów dusz, o których myśli, i z którymi współczucie, solidarność, powinowactwo geniusz jego zapłodniły.

Ten fakt pierwszorzędnej wagi, dotąd raczej przeczuwany, niż uświadomiony, posiada w sobie samym dźwignię, która wznosi krytykę na wyżyny niebotyczne. Widać stamtąd całą ludzkość, najważniejsze jej

sprawy i ideały, a widać przedewszystkiem owe wyniosłe cyple gór, którymi są wielcy poeci i wielcy artyści. Taka krytyka zatem może być i głęboko filozoficzną i prawdziwie godną swego przedmiotu, bo wykazując całą potęgę twórczości, całe bogactwo uczuć i myśli w dziele sztuki, całą plątaninę nici, idących od artysty ku jego sferze, przywraca mu zarazem to berło królewskie i tron, z którego faktycznie rządzi on ludźmi i zapędza pod jarzmo jako wasalów — tych do niedawna udzielnych i nietykalnych witeziów, jak nauki społeczne, filozofia, etyka. Bo dziś poeta, powieściopisarz, zagarnąć może, jeśli chce, tyle ziem, ile ich wchodzi w jakikolwiek związek z uczuciem, może być socyologiem wyświetlającym nowe zjawiska i rozwiązującym ciekawe zagadnienia, jak np. Zola w *Germinalu*, Edmund de Amicis w *Na oceanie*, Bret Hart w nowelach kalifornijskich, Knut Hamsun w *Głodzie*, Tołstoj w *Sonacie Kreutzera*, Orzeszkowa w *Nad Niemnem*, itd. Może być etnografem jak Witkiewicz w *Na Przełęczy*, jak wszyscy powieściowi badacze nowych warstw, okolic i stosunków, psychologiem jak Goncourtowie i Garszyn, kosmogonistą, jak Edgar Poe, etykiem, jak Carlyle, Whitman lub Sully Prudhomme, historyozofem, jak Szekspir w dramatach dziejowych, metafizykiem, jak Shelley, antropologiem, jak Lecomte de Lisle, wychowawcą, jak Rousseau lub Hammerling. Na wszystkich tych polach może on siać i zbierać żniwo prędzej, niż nawet nauka właściwa, taka powolna, ciężka, utykająca w swym wymęczonym pochodzie. A jeśli tego nie czyni, to dlatego, iż nie ma i nie pojmuje całej rozciągłości ekspresyi artystycznej i wciąż zostaje pod naiwnym wpływem dawnego poglądu na zawód i powołanie pisarza, na stanowisko »wieszcza«, »barda», »piewcy« itp. Osobliwie u nas rej wodzi niemowlęctwo, które nic nie umiejąc, niczego się nie nauczyło, niczem nie nasiąkło, ciemne, jak tabaka w rogu, ślepe, jak pisklę świeżo z jajka wyklute, wobec pulsu epoki i tysiąca palących zagadnień lub djablo ciekawych faktów — śmie płodzić powieści i poezye. Z pustego chcą lać i leją też w rzeczy samej . . .

W rezultacie więc widzimy, że bez uciekania się do rozmaitych hypotez, jak w filozofii sztuki Taine'a, i bez tworzenia szerokich ale jeszcze wątpliwszych wniosków, jak w *Estopsychologii* Hennequina, można z racyi samej natury poety i z racyi samej istoty analizy — postawić krytykę na stopie wysokiej naukowości. Czyż mamy prawo rzec, iż oni wcale tego nie zrobili? Bynajmniej. Zrobili i za dużo pod względem formalnym, i za mało dla samego rdzenia sprawy.

Najpierw za dużo, bo pragną wraz z wieloma swymi zwolennikami ująć krytykę w stałe prawidła, punkta, paragrafy. Chcą z niej zrobić umiejętność całkiem przedmiotową, tak, jak np. fizyologia lub geografia. Zapominają, że poeta zostaje do nas w stosunku uczuciowym, *wzruszeniowym* i jako taki objektywnemu rozbiorowi żadną miarą się nie poddaje. Krytyk jest tylko wrażliwszym i rozumniejszym czytelnikiem, stoi on między ludźmi, a nie na Olimpie, i bezwzględnej równowagi posiąść nie może. Pewni artyści będą dlań zawsze z tytułu duchowego braterstwa szczególnie *zrozumiałymi*, inni znowu prawie niepojętymi. Dla jednych musi mieć sympatyę gorącą, dla innych znów niechęć lub obojętność, a stosownie do nastroju tego, mniejszą jest lub większą bystrość. Nie mamy bynajmniej tylu komórek w sercu, ile Jules Lemaître, któremu wszyscy są jednako mili — o czem świadczy najlepiej to, że wszyscy krytycy »naukowi« są egotystami (osobliwie Bourget[1]). Mamy przenikliwość i zapał, gdy sondujemy umysł, który wypowiedział piękniej to, co na dnie naszego ducha drzemało, nie mogąc zerwać się do lotu; mamy werwę i jasność sądu, gdy naodwrót, pisarz jest dla nas biegunem przeciwległym. A ilekroć zajmuje on środek

[1]) Naturalnie, nikt nie zechce chyba wyprowadzać stąd konkluzyi, że przyznajemy słuszność sceptycyzmowi Anatola France'a, Pawła Desjardina i Lemaître, dla których krytyka winna być tylko zdaniem sprawy z wrażenia. Ostatni z nich, szczery aż do fanfaronady, dużo wygłosił trafnych uwag o różnych »kombinacyach« u Taine'a, Nisarda, Brunetière'a. Co do nas, nie wątpimy ani na chwilę, że gdyby zamiast w determinizmie estetycznym lub antropologii analiza czerpała swój polot i głębię w należytem pojmowaniu społecznego jestestwa poety — impresyonizm nie święciłby tak licznych i łatwych tryumfów.

między jednym a drugim — piszemy o nim z musu, nie *con amore*, a więc i nie głęboko.

A cóż będzie warta krytyka, pisana językiem i ze spokojem kodeksu cywilnego, na którym niby to uczył się Stendhal? Kto potrafi flegmatycznie i kto się zgodzi mówić letnio o szałach i namiętnościach poety, o tem, co z natury rzeczy porywa, zachwyca, oburza lub pognębia? Kto na cud geniuszu potrafi patrzyć szklistą źrenicą, a stać na wulkanie ospałą stopą? Nie zadawajmy sobie gwałtu pokusami sztucznej oschłości, bo w tej narzuconej roli można wytrwać krótko tylko, ot, dopóki nas zajmuje język pisarza, jego styl lub właściwości techniczne.

Cóż to znaczy? Że krytyka jest pracą artystyczną; widzieliśmy to w stałem owem kojarzeniu się analityka i twórcy w jednej osobie. Krytyk więc jako malarz, rzeźbiarz i poeta zarazem musi mieć swobodę słowa i metody, swą niekrępowaną niczem indywidualność. Zapewne, dla niektórych potrzeb bieżących, jak dziennikarstwo, muszą istnieć takie gatunki uniwersalnych celników, którzy każdy przywieziony na targ towar zważą, obejrzą, tym samym szpikulcem przekłują i robią przytem miny łaskawców całej ludzkości. Niekiedy znów pełnią oni służbę kwaratannianą, czasem są faktorami między autorem i ogółem i od nich, rozumie się, żądać trzeba jak największej bezbarwności i bodaj zupełnego braku własnego ja... Ale wszelka krytyka dla użytku wiekuistej sztuki i nieśmiertelnej literatury stokroć więcej przyczyni się do chwały ich i własnej, gdy zarzuciwszy scholastykę, śmiało i jawnie stanie pod ich sztandarem i powie: Ja do was należę, jam wasz brat, sprzymierzeniec, współrodowiec; jednakie są nasze chęci, ustroje, namiętności, co najwyżej różnimy się w środkach artystycznych. Wy odtwarzacie ludzi i świat i do głębin ich zazieracie — ja czynię to samo, jeno moi bohaterowie są od waszych najczęściej zawilsi, bardziej złożeni; żeby ich uwypuklić i wyjaśnić, potrzebuję jeszcze więcej architektoniki, kompozycyi, znajomości życia, elastyki języka, bogactwa barw dla oddania wszel-

kich subtelności, potrzebują większej skali uczuć i samoistnych postrzeżeń.

Czyż mamy jeszcze dowodzić, że krytycy naukowi zrobili *za mało* dla samej istoty analizy? Rdzennie francuzki punkt widzenia każe im baczyć głównie a często i wyłącznie na temperament, na organizacyę, na ustrój nerwowy. W kunszcie portretowania samej jednostki, jako pewnego przyrodniczego typu, doszli do wprawy i doskonałości, po nad które zbyteczna wspinać się, bo czynią one zadosyć najbardziej wybrednym wymaganiom. Ale strona moralna i rozumowa, *ideał* poety zostaje dla nich nieraz zamkniętą na siedem pieczęci księgą [1]). Jakże wymownie świadczą o tem losy Brandesa. Obwołano go uczniem Taine'a, francuzi nieraz nawet lekceważąco (Hennequin) o nim się odzywają, a przecie *Główne prądy* — to nowe widnokręgi, to cały, olbrzymi krok naprzód w dziele *pełnego* uwzględnienia ducha poety. Wprawdzie i znakomity duńczyk ma swą jednostronność w barwie politycznej, jaką nadaje swym bohaterom, ale dla niego poezya nie znika za artyzmem, działacz za temperamentem, myśliciel za stylistą, apostoł za indywidualnością, obywatel ziemi za anglikiem lub niemcem.

Nam się zdaje, że wiek, w którym żyjemy, wykopie otchłań między naszymi gustami a fizyologicznym poglądem na poezyę. A to tem bardziej, że ma ona swą psychologię niezmiernie szeroką, szerszą od naukowej. Jeśli dziś nieśmiało i tylko półgębkiem twierdzi się w nauce, że siła duchowa jednostki nie daje się zamknąć w obrębie układu nerwowego, lecz może przenikać inne i być przenikniona — to tę niedoszłą jeszcze prawdę poeci przeczuli dawno i nie wyrzekną się jej, choćby to uczynić miała umiejętność ścisła. Mickiewicz nazwał siebie »milionem«, Byron mówił, że »pragnął sobie przywłaszczyć ducha innych ludzi« Whitman głosi, że »jest duszą powszechną«,

[1]) Bliższe uzasadnienie tego dualizmu w poglądzie na naturę poezyi podaliśmy w książce p. t.: *Studya i szkice filozoficzne*, a mianowicie w rozprawie p. t.: *Sekta estetyczna*, i do niej życzliwego czytelnika pozwalamy sobie odesłać.

że jest »przestrzenią i może pomieścić w sobie rzeki«. Możnaby podobnych cytat zebrać dużo na dowód, że samowiedza poety jest nad zwykłą miarę rozległa i złożona. Rzecz prosta, iż w miarę bliższego zespalania się ciał zbiorowych i ta złożoność wzrasta. Poezya zatem coraz więcej oddala się od sztuk plastycznych, zmysłowych, których obręb właściwy stopniowo zwęża się do energii gatunkowej. Coraz więcej ludy nowsze ze świeżą swą siłą i nowemi myślami przekonywają, że wielkie pragnienia, potężna wola, egzaltacya, żywiołowość mogą być zarazem wielką sztuką nawet bez pomocy wytwornej szkoły francuzkiej. A kiedy owo ożywcze tchnienie nowych literatur i nowych pojęć społecznych obejmie świat — to i krytyka skruszy złote pęta, przestanie być po epikurejsku kontemplacyjną i chłodno-naukową.

Nie będzie do niej wówczas pasowało ani miano artystycznej ani naukowej. Wyrazy »sztuka« i »nauka« są wogóle za stare, ażeby mogły dokładnie oznaczyć to, co umysłowość dzisiejsza w nie wkłada. Obie dziedziny coraz więcej zapożyczają się u siebie. Wiedza, spragniona uogólnień i praw jak nigdy przedtem, zyskała prawdziwie kunsztowną budowę, a sztuka wspierając się coraz bardziej na danych nauki, nie wiele zachowała dawnej łatwości tworzenia i swobody fantazyi. W stopniu zaś najwyższym i jedynym sprzęga te dwa żywioły twórczość krytyczna.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

PROMETEIŚCI.

I.

Język estetyki nader hojnie obdziela poezyę i poetów mianem »prometejski.« Każdy śmielszy wzlot myśli i oskrzydlone patosem uczucie nazywać lubi »iskrą Prometeja,« i jakgdyby tych chwalb w dziedzinie literatury było za mało, prawi nieraz takie same komplementy i motywom muzycznym, ilekroć te, jak np. w IX symfonii Beethovena, stają się szerszemi.

Owóż w studyum niniejszem nie myślimy bynajmniej dawać czytelnikowi szeregu uniesień i zachwytów nad wszystkimi szlachetniejszymi porywami pióra i geniuszu, bo to mogłoby wypełnić tomów setki, lecz zapoznać go z pewnem, całkiem odrębnem pokoleniem poetów, których muza w takim zostaje stosunku do Prometeusza greckiego, że czyni ich duchowymi jego w *ścisłem znaczeniu* tego wyrazu potomkami, jego dziatwą. Chodzi nam więc nie o legion tych, w których tli się,

BIBLIOTEKA CZYTELNIA PODRĘCZNA Instytutu Badawczego

wedle wyrażenia Fichtego, iskra boża woli lub natchnienia, lecz o tych, co są żywem wcieleniem, istotną podobizną owej nieśmiertelnej postaci, którą z mitologii przeniósł do dramatu i na wieki wieków chwałą okrył poeta Eschylos.

Nim się przekonamy, że taka generacya naprawdę istnieje, oraz może i powinna być wyosobnioną w odrębny kierunek poezyi, — jak odgadnąć łatwo, nader szeroki i podniosły, zobaczmy kim jest, co myśli i jak czuje ów tytan, któregośmy wzięli w spuściźnie po fantazyi Hellenów, a którego imię tak często bywa na ustach naszych. Wystarczy tu jeden chyży rzut oka, boć na samo wspomnienie Prometeusza w każdej wyobraźni wyłania się odrazu dobrze znany widok: chropawej skały Kaukazu, na której upłazie, co nad otchłanią wisi, leży przykuty do głazu półbóg. Twarz ma zuchwałą, choć cierpiącą, bo pies Jowisza, sęp drapieżny, szarpie mu co dnia wnętrzności. Z góry smagają go wichry i grady, otacza go pustka opoki górskiej, w której jedyną pociechą — dwie Oceanidy; klęczą one wpatrzone trwożnie i litośnie w drogie rysy męczennika i słodzą mu okrutną dolę.

Widok ten nie jest bynajmniej natchniony dziełem nowoczesnego dłuta lub pędzla; malarstwo i rzeźba w osobie, dajmy na to, Muellera, wcielały jedynie w marmur lub farby to, co prosto i plastycznie opisał wieszcz grecki. Jest temu lat 2400 (475 przed Chr.), jak na scenie teatru w Syrakuzach po raz pierwszy przedstawiono jego tragedyę, a w niej męki syna sprawiedliwej Temidy. Tam to widzimy jasno, jak Kratos i Bia, dwa boskie uosobienia siły i przemocy, posłuszni rozkazom Jowisza, skuwają mu pierś, ręce i nogi łańcuchami i pierścieniami, ażeby się nie mógł ruszyć. W dodatku urągają mu i drwią sobie, że ten,

co się nazywa Prometeuszem, a więc dosłownie przezornym, wieszczym, nie przewidział i nie uniknął własnej, tak sromotnej klęski.

A za jaką zbrodnię tak srogą płaci mu Olimp karą, widać z rozmowy kowala boskiego Hefajsta z Kratosem; za to, że ukradł bogom promień ognia i zaniósł go ludziom, bo ich kochał. A dalej sam on mówi: jeśli kto spyta, za co tak cierpię, temu odpowiem:

Zaledwie usiadł on na ojców tronie,
Wnet bogom wszystkim godność dał poczesną
I jął panować, lecz o doli ludzi
Nie myślał wcale, albo raczej wolał
Wytępić całe plemię, nowe tworząc;
I nikt się temu, okrom mnie nie oparł,
Jam się odważył być ludzkości zbawcą,
Iżby zmiażdżona nie runęła w Hades.

Dobrodziejstwa jego sięgają wszakże dalej, jemu to wogóle panowie stworzenia zawdzięczają swe wyniesienie się, albowiem przedtem

Byli to ślepcy z otwartą źrenicą
Głusi pojęciem, choć nie głusi uchem,
Długi czas ładu żadnego nie znając,
Mieszali wszystko, niby senne mary,
Budowa domów słonecznych z kamienia
I kunszt ciesielski były im wręcz obce,
W jaskiniach swoich, jako w grobach żyli,
By nikłe mrówki. Co zimę zwiastuje,
Co kwietny maj, co żniwonośne lato,
Nie wiedział tego nikt. Bezmyślny
Wszelki ich mozół był, pókim nie wskazał,
Jak niebios ciała zachodzą i wschodzą
I pókim nie dał wzniosłej liczb nauki,
Sztuki pisania i daru pamięci,
Co zabiegliwym muz jest wszystkich ojcem.
Ja wprzągłem w jarzmo ku ich pożytkowi

Pierwsze zwierzęta i zmusił je dzielić
Najcięższe z ludźmi znoje; do rydwanów
Rumaki cuglom rade założyłem —
Dumny bogatej wspaniałości obraz,
Jam też sporządził po przez morza mknące
Na skrzydłach, z lin utkanych, chyże nawy.

Ale na tem nie koniec. Szczyci się on dalej, że dał człowiekowi umiejętność przyrządzania leków, gdy przedtem do walki z chorobą nie było żadnej broni, ani napoju, ani maści. Bezporadnie umierał każdy, kogo niemoc chwyciła. On nauczył ludzi, jak wróżyć przyszłość ze snów i przenikać tajemne koleje losu z lotu ptaków drapieżnych; pokazał im, jak przyrządzać i spożywać mięso; potem wydobył dla nich z łona ziemi złoto, srebro i żelazo, przedtem nikomu nieznane, i kończy tę spowiedź okrzykiem:

Przemyślność ludzka — Prometeja dziełem.

Oto za co tytan znosi tortury. A nie są to katusze byle jakie, są wyszukane i okrutne, inaczej bowiem dramat nie miałby w sobie tego smutku, dzięki któremu nowa poezya bierze go za wyraz skargi na wszelki, ogólnoludzki ból. Kto tylko ma trochę serca, nawet sam Hefajstos, choć przecie wykonawca wyroku Zeusa, ten lituje się nad ofiarą, zaś jedna z Oceanid, cór równie litościwego boga Oceanu powiada:

Z głazu i śpiżu musi być ta dusza,
Co całą głębią twoich, Prometeju,
Mąk nie podziela! Takiegoż widoku
Dożyć, na który serce moje pęka!

Zresztą on sam potrafi utyskiwać i narzekać, co prawda nietyle przez miękkość, ile z oburzenia na podłość Jowisza. »O Fatum, woła, jakże bezsilną jest

wobec ciebie wszelka mądrość!« Przyznaje on, że był całkiem świadom tego, co czyni i uczynił to dobrowolnie, ale nie myślał nigdy, iżby aż tak sroga kaźń miała go spotkać.

Jest-że to żal i kajanie się? Bynajmniej. Prometeusz Eschylosa zachowuje się przez cały czas hardo, zuchwale i wyzywająco. Zresztą on wie doskonale, że Zeus uśmiercić go nie może. Przeciwnie, on raczej jest dla wszechwładcy bogów i demonów groźnym, gdyż jako prorok wie o pewnem, grożącem Zeusowi nieszczęściu, i, gdyby chciał, mógłby go bardzo łatwo ostrzedz i zbawić; ale nie jest wcale skorym do zgody i posłów wszelkich odprawia z niczem. W dalekiej przyszłości zawrze pewnie pokój na korzystnych dla siebie warunkach i zostanie rozkuty przez Heraklesa. Ciekawe to przymierze poeta grecki udramatyzował w trzeciej części trylogii, która wraz z pierwszą »Prometeusz ognionośca« zaginęła.

Tymczasem atoli, gdy Oceanida doradza mu, ażeby się ukorzył przez Nemezydą, jak przystoi mędrcowi, on odpiera:

Proś! Błagaj! Czołgaj się u stóp ciemięzcy,
Dla mnie mimo to jest on mniej, niż niczem.

Kiedy zaś przybywa Hermes i zapytuje w imieniu Zeusa, jakie to małżeństwo ma mu kiedyś wydrzeć berło z rąk, Prometeusz szydzi z jego pewności siebie, przypomina, że widział już dwóch tyranów, walących się z tronu niebieskiego, lecz ten trzeci runie najszybciej i najhaniebniej:

Myślisz może,
Że drżę i nowych bogów się ulęknę?
Jakżem, zaiste, od tego daleki!

Wracaj więc drogą, którąś przyszedł tutaj,
Nie dowiesz się, co pragnąłbyś wybadać.

A potem znów:

Na twe służalstwo jabym mej niedoli —
Czy słyszysz? — nie zamienił nigdy, nigdy!
Bo lepiej na uwięzi być tej skały,
Niż ojca Zeusa wiernym posłannikiem.

Ku końcowi duma ta wzrasta z każdą chwilą, pieni się i kotłuje, jak wzdęty potok górski, i bluzga bogu w twarz bezprzykładną krnąbrnością:

Niechaj więc sobie płomieniami miota,
Białą śnieżycą i łoskotem gromów
Wyjąc, rozsypie w gruzy wszechświat cały —
Mnie żadne z nich nie ugnie!

Tak się też stało i kurtyna, spadając, zakrywa oczom widza wściekłą orgię żywiołów, które rozkiełznał Jowisz...

Chyba niema w tem nic dziwnego, że podobna siła ducha i podobnie tytaniczny wątek tragedyi cieszą się wyjątkowym przywilejem wprawiania poetów i czytelników w zachwyt. Prometeusz stał się poniekąd *formułą*, dla oznaczenia takiego nastroju myśli i takich organizacyj, które są mu pokrewne, czyli łączą w sobie główne znamiona jego bohaterstwa. A znamiona te pojmujemy już teraz i nietrudno zdać sobie z nich sprawę.

Owóż, prym wśród nich trzyma zdolność odczuwania w sobie niedoli całego rodu ludzkiego i protest przeciw złym potęgom świata. Z ogromem cierpienia idzie tedy w parze ogrom dumy i niezależności. Ale owa zdolność nie każdego bywa udziałem,

lecz tych, co się wznieśli na wyżyny filozoficzne, mogą ogarnąć okiem cały byt, a z drugiej strony, parci rozkładową refleksyą, analizują go i krytykują wbrew spokojnemu trawieniu, które jest stanem normalnym społeczeństwa. Wskutek tego potomkowie Prometeusza są zwykle ludźmi z silnie rozwiniętą samowiedzą i indywidualnością. W nich, jak w swej miniaturze, odbija się to, co epoka ma w sobie wyprzedzającego, jej opozycya. Oni są mikrokosmem świata, jego sercem, jego wrażliwością. Gdy boleją, to znaczy, że ludzkość i byt powszechny wybrały ich sobie za rzeczników swych rozkoszy i swej niedoli. I w taki cudowny sposób koncentruje się w nich duch świata, że boleść własną biorą sami i bierze ogół za ich osobiste skargi, dumę zaś i bunt rozumu i uczucia przeciw głupocie i okrucieństwu za krewkość temperamentu. Najlepiej określa ten stosunek protestu jednostkowego do krytycyzmu zbiorowego serca ludzkości własne wyznanie jednego z dziatwy Prometeusza, Heinego. »Przez moje serce przeszła wielka rysa świata i ztąd właśnie wiem, że wielcy bogowie wyróżnili mię z pośród wielu innych i uznali godnym poetyckiego męczeństwa,« bo... serce poety jest według Heinego środkowym punktem świata. (Włochy str. 185. Część II).

Lecz owa rysa inne znaczenie miała dawniej a inne dzisiaj. Mit o Prometeuszu jest wyrazem nienawiści dla złej woli w naturze, jest upoetyzowanym gniewem na kiepski rząd świata. Realniejszego znaczenia nie zawiera; poza pięknem artystycznem o szerokiej, filozoficznej skali, nic więcej w nim nie znajdujemy. To powabna metafizyka, która pierwiastek Złego wciela w bóstwo, nazwiskiem Jowisz, albo Wola bezwiedna i piorunuje na ich tyranię. A jeśli kto nie-

zdolnym jest do antropomorfizmu, na tym podobna szermierka ziemi z niebem nie zrobi nawet wielkiego wrażenia. W naszych więc czasach nie byłoby szczególną chlubą dla poezyi, gdyby tę walkę parafrazowała tyle razy, że aż ztąd powstałaby cała generacya poetów. Nie, tak źle nie jest. My toczymy wojnę z tymi objawami złej mocy świata, które mają swe siedlisko w piersiach ludzkich, a swoje widome sprawki w czynach ludzkich, w tworach cywilizacyi, o ile ta jest koszlawiona przez zbirów złego jakiegoś natchnienia, przez tych, co krzywdzą godność ludzką, szczęściem ludzkiem poniewierają; wreszcie przez samego bezosobowego nawet geniusza oświaty, który między róże wplata ciernie i głogi. Bez tego pierwiastku filozoficznego, który wszędzie na miejsce pojedynczych narodów albo pojedynczych kwestyj i bolączek czasu, albo wreszcie popisów wirtuozowskich podstawia szczęście całej ludzkości, jako temat główny, — poezya nie będzie żadną miarą prometejską. Śpiewak uczuć narodowych, albo bardziej jeszcze czasowych i miejscowych ideałów, nie ma nic wspólnego z Prometeuszem.

Z poprzedniego częściowo już wypływa, że taki oto prąd poetycki narodzić się mógł jedynie w czasach najnowszych. Albowiem żyć on może tylko w warunkach, które stworzył wiek ubiegły, a które dają się sprowadzić głównie do czterech kardynalnych: do wybujałego indywidualizmu, ziemskości pragnień, zaostrzonego wzroku ducha (inaczej: analizy, krytycyzmu) i wreszcie filozoficznego humanizmu, który obejmuje swą troską i miłością cały nasz glob. Żadne z tych danych nie ma daty wcześniejszej nad drugą połowę zeszłego stulecia i pod tym względem dosadnie odcina się ono od doby starszej. Pokąd osobi-

stość ludzka była spętaną — »ja« było dosyć blade, samowiedza dosyć mglistą. Dopiero po zwycięstwie sztandaru wolności możliwy był Prometeusz, Kain, Manfred Byrona. Dopiero po rozbudzeniu się naukowego sceptycyzmu i równowagi wszech sił życiowych stał się możliwym Faust w alegorycznem swem znaczeniu. Bo dawny szperacz lub alchemik nie był zdolny do zastanawiania się nad tem, do czego ostatecznie cała nauka prowadzi, skoro szczęścia nie daje? Nie łaknął zielonego drzewa życia zamiast szarej teoryi. *(Grau, theurer Freund, ist alle Theorie, und grün des Lebens goldner Baum).*

II.

Nie prędzej też, jak po ocknieniu się aspiracyj ogólno-ludzkich, można było za temat brać umysł lub serce człowieka, symbolizującego cały swój ród. A póki nie rozproszono mroku zabobonów i nie wyswobodzono sumień — wyklinanie maszyny świata było wprost mrzonką. Negacya możliwą jest tylko po zwaleniu fałszywych bogów.

W takich oto warunkach reformatorskie burzycielstwo, hardość, skargi, ironia, szyderstwo i inne czynniki prometeizmu stać się mogły faktem. Ale niedaleko już stąd do wniosku, że gdy warunki te zjawiły się, poezya rodzaju prometejskiego *musiała* wykwitnąć, była jakoby dziejową koniecznością i jest nią po dzień dzisiejszy. Nic niema pod słońcem bardziej naturalnego nad to, że od półtora wieku wogóle, a szczególnie w oczach naszych i jednocześnie z nami,

pleni się potężny typ pisarzów, którzy swój wszechświatowy protest w rozmaitej formie wyśpiewują i tylko co wymienione cechy w sobie zespalają. Imiona ich przynoszą zaszczyt epoce i każde z nich złotemi głoskami winno być wypisane w panteonie myśli niepodległej i niezawisłego piękna: Goethe, Byron, Shelley, Heine, Ackermann, Hamerling, Ibsen, prócz mnóstwa mniej świetnych, a jednak godnych chwały, jak poeta niemiecki Lipiner. Wszyscy posługiwać się lubią alegoryą, boć ludzkość całą można tylko w jednym usymbolizować człowieku i stąd ów charakterystyczny u nich obieg kilku nadających się do tego figur, jak Faust, Kain, Manfred, Ahaswerus, Mefistofeles, Lucyper, Homunculus, Merlin, a przedewszystkiem Prometeusz. Każdy z nich jest uosobieniem ludzkiego szczepu, wziętego z którejkolwiek tragicznej lub komicznej jego strony. Ten wyraża dramat nauki, ów pogoń za ideałem estetycznym, inny dramat ciągłej pracy i tułactwa, ten — ducha powstańczego, tamten — bezduszność, a każdy bezwarunkowo spogląda z wyżyn filozofii. I rzecz dziwna, jak się te figury i ich twory wciąż ze sobą komunikują Goethe snuje dalej przędzę poetycką Klingera, Byron jeszcze więcej gorzkim czyni piołun Fausta w »Manfredzie,« pisze poemacik »Prometeusz« i arcydzieło poezyi wszechludzkiej »Kaina,« który jest poprostu Prometeuszem żydowsko-chrześciańskim. Shelley przerabia w sposób genialny i na modłę nowożytną »Prometeusza« Eschyla i tłómaczy Fausta. Ackermanowa skupia się cała w pięknym poemacie »Prometeusz«. Heine tłómaczy Manfreda i różne fragmenty z Byrona i wciąż jego chorągwią i imieniem walczy. Hamerling podchwytuje małego Homuncula z II części Fausta i robi z niego satyrę na bezduszność oświaty, a Kaina przemiano-

wywa na Ahaswera i Nerona zarazem. Ibsen w wierszowanym »Brandzie,« nawskróś filozoficznym, naśladuje Fausta, a Lipiner tworzy nową odmianę Prometeusza i t. d. Czyż to nie dziwne i nie bijące w oczy? A przytem wciąż oni wzajem o sobie mowią; czytając ich, doznajemy wrażenia, jak gdybyśmy odwiedzali kolejno kilka domów jednej familii: wszyscy i wszędzie mówią o swoich.

Krytyka i literatura nie widzą tego, czy też widzieć nie chcą, że to jedna rodzina, której członkowie mogą pod względem sposobienia, organizacyi, rodzaju poezyi, kolei życia, oraz mnóstwem rysów psychologicznych i narodowych różnić się, nawet być sobie wrogimi zkądinąd, ale są sobie dziwnie pokrewni najdroższym swym motywem: filozoficzno-poetycką opozycyą przeciw Złemu na ziemi. Dlaczego zjawisko to nie zwraca na siebie ogólnej uwagi, dlaczego w naszej wiedzy literackiej nie zajmuje honorowego dziś miejsca? Prawdopodobnie dlatego, że zostało przysłonięte, zakryte i zamglone dla naszego wzroku teoryami Hipolita Taine'a i Jerzego Brandesa, a głównie pierwszego z nich. Jego interesują poeci, tylko jako rośliny pewnej rasowej gleby, więc widzi w nich tylko produkt tej gleby i wskutek tego musi popełniać dwa ciężkie grzechy: niektóre rysy fizyognomii, wzięte całkiem zkądinąd, z innego szczepu albo z całej Europy, albo z kosmopolitycznej nauki, objaśnia otoczeniem, a niektóre całkiem pomija lub prześlepia, dlatego, że nie widać w nich działania rasy. Tem się pewnie tłómaczy taki kapitalny błąd, jak poświęcenie Shelleyowi raptem — 4 stronic i wogóle rażąca jednostronność charakterystyki.

Wolimy już Brandesa, który kolebkę danego geniuszu poetyckiego widzi w prądzie politycznym.

I jego ta droga powiodła na bezdroża, tak że n. p. Byron i Shelley mają u niego wygląd więcej rewolucyonistów niż poetów-myślicieli; ale bądźcobądź trafił on bliżej sedna, bo ostatnimi czasy idee polityczne były poniekąd rzecznikami wszystkich palących spraw ludzkości. Jako tło, jako podmalowanie, historya jest daleko szerszą niż rasa.

Można więc wygodniej postawić na niem pisarza, nie amputując go, jak z konieczności amputuje krytyk francuski Shelleya, gdy nazywa go n. p. tylko marzycielem, filantropem i komunistą. To tak n. p. jakby kto zapytany, kim był Napoleon I, odpowiedział: To był mąż Józefiny.

Trzeba wołać wielkim głosem, że poezya z dniem każdym skłonniejszą się staje do wygrywania melodyj szerokich. Jeno, że my, zaślepieni i obałamuceni wspaniałym w istocie rozkwitem muzy realistycznej, poza nim nic innego widzieć ani słyszeć nie chcemy. Boć nawet niezależnie od prometeizmu w literaturze najświeższej bujnie się krzewi poezya filozoficzna, ogólnoludzka, szersza nad granice chwili danej i danego narodu. Czyliż nie świadczą o tem wymownie tacy jak Sully Prudhomme, Lecomte de Lisle, Algernon Swinburne, Jarosław Vrchlicky, Carducci, sama chluba wieku?

Tak być musi zresztą, bo taką jest tendencya oświaty, coraz bardziej międzynarodowa, bo twórczość artystyczna robi szczerby w chińskich murach, a filozofia i nauka, ściągnięte z księżyca na ten padół, bratają się mnóstwem węzłów z poezyą. Potwierdzenie tego znajdujemy poniekąd u anglika Posnetta, który w swej teoryi krytyki naukowej radzi, ażeby klucza do tajników duszy poety szukać w socyologii, w ogólnych formach bytu społecznego, w ogólnych poję-

ciach; no, a te są przecież inne dziś, niż dawniej. Według niego — łatwo moglibyśmy dowieść czytelnikowi, żeśmy ten pogląd wyznawali dawniej jeszcze — ongi indywidualizm poety był ciasny, klanowy, korporacyjny lub prowincyonalny, z czasem stał się narodowym, a teraz rozszerzył się i pogłębił, albowiem handel, przemysł, wymiana myśli sprawiły, że on teraz ogniskuje w sobie promienie uczuć ogólno-ludzkich. Zdaje się nadto, że podobnego punktu widzenia trzymać się będzie Ferdynand Brunetière, w swej niedawno rozpoczętej, kilkotomowej »Ewolucyi rodzajów literackich« [1]).

Opinia bardzo mglisto, prawie bezwiednie, zmiarkowała ten pewnik o prometeizmie — do którego wracamy — w różnych bezładnych zdaniach o tak zwanym *weltschmerzu*, co tyle łzawą rolę odegrał w pierwszej połowie stulecia. Ponieważ ten i ów z rodu Prometeusza miewał w swem życiu także napady żałosnego kwilenia lub zblazowania, więc ich umieszczono razem w jednej kratce. Powtóre, zastanawiając się nad ich pochodzeniem, uznano, że są rodzeństwem i dziećmi rozczarowania, które ogarnąć miało umysły po niezisziczonych obiecankach rewolucyi francuskiej.

Te dwa mniemania są dwoma grubymi błędami.

Najpierw bowiem ci, których tu wyosabniamy w grupę prometeistów, mają, jak zobaczymy trochę dalej, z *weltschmerzem* jeden tylko rys wspólny — skalę motywów, które tu i tam są wszechludzkie. Co się zaś tyczy genezy tych i owych, to jest ona chyba nieco odmienną, choć na pozór nic słuszniejszego nad

[1]) Evolution des genres. 1891.

to, że zawód, boleśnie uczuty, rozgoryczył tych, co byli pełni oczekiwań.

Byłoby daleko zgodniej z prawdą twierdzić, że nie *weltschmerz* z rewołucyi, lecz naodwrót rewolucya wyszła z *weltschmerzu*, z rozbudzonej samowiedzy, która śmiało i głośno przemówiła wtedy, gdy się jeszcze nikomu o rewolucyi nie śniło, albo gdy jej rezultat był dopiero wielkim znakiem zapytania. Duchowi ojcowie tego kierunku to Rousseau z tamtej, a Klinger z tej strony Renu, ten sam Klinger, co swym »Faustem« i dramatem »Burza i napór« powołał do życia cały prąd literacki, tym ostatnim tytułem (Sturm und Drangperiode) nazwany. Cześć dla pierwotności i natury, a pogarda i niechęć dla cywilizacyi — to źródła poetycko-filozoficznej refleksyi i kolebka wielkiego przewrotu. Przewrót ten uwiecznił tylko, upowszechnił ów nastrój rozkładowy. Jego bohaterowie i ofiary zaszczepili go Europie tak gruntownie i głęboko, że się z nim zrosła odtąd na zawsze. Może być, że go zkądinąd zohydzili i oszpecili filozofię rozkładową — rozkładem dla sportu. Lecz jeśli to nie było wcieleniem wniosków analizy w czyn, to w każdym razie było ich chrztem.

III.

Tyle co do rodowodu, który jest mniej więcej wspólny dla *weltschmerzu* i prometeizmu. Ale na tem też podobieństwo kończy się, ażeby ustąpić miejsca samym kontrastom.

Weltschmerz znamionuje stan, w który się wpada po utracie naiwności i... niewinności; jest poetyckim

UJK Biblioteka Uniwersytecka w Kielcach

katzenjamerem. Jak człowiek, wytrącony nagle z równowagi, smuci się, wyrzeka, nudzi i marudzi, tak ogół a z nim literatura po stracie dawnych majaków i różnych bawidełek i złudzeń rozmelancholizowały się. Stały się nagle rybą, wyrzuconą z wody. Ztąd ów gnuśny, a zarazem żałosny stan ducha, który zwiemy apatyą, pesymizmem, zblazowaniem. Ktoś u nas nazwał dowcipnie pacyentów tego rodzaju »płaczyświatkami.« Wszyscy oni, osobliwie tacy, jak Musset, Leopardi, Lenau, Paludan Mueller, potroszę Malczewski, w zaraniu swej karyery Słowacki, Lermontow, Puszkin i wielu, wielu innych zapełnili cały świat wzdychaniem i mizantropią. Są to, naturalnie, postacie pełne uroku, wrażliwe, subtelne, ale struną najdonośniej dźwięczącą w nich jest małoduszność, egoizm, choroba woli, egzaltowany erotyzm.

Prometeiści stoją na krańcu przeciwległym. Tamci są lirykami, ci przeważnie tragikami, tamci medytują i gniją, czy walczą i burzą, tamci lubią gadaninę, ci — czyn. Tamci skarżą się dlatego, że cierpią, ci cierpią za to, że oskarżają, że demaskują: świętoszków, powagi, bałwany i nieproszonych zbawców i opiekunów. Tam niedołęstwo i zaduma Hamleta, który powabnym jest jak sama poezya, ale mimo to — niedołęgą, tu zaś ton wyzywający, zuchwalstwo, sarkazm zjadliwy, walka na śmierć i życie, lwia siła i orli polot, a co główna, pewien cel w życiu.

Ponieważ jedni i drudzy ze wspólnego, jak już wiemy, wyszli gniazda, więc tym, których tu nazywamy rodem Prometeja, nazwano pesymistami. Wszyscy oni razem, i każdy zosobna tego przymusowego zaszczytu ze strony krytyki doznawali. I na naszym gruncie nie było więc lepiej. W pięknym swym zkądinąd odczycie pani W. Marrené do »Zrozpaczonych

w literaturze« zaliczyła wszystkich tych nawet, co z konsekwentnym, buddyjskim pesymizmem zgoła nie przyjaźnią się. To fatalne nieporozumienie! Prometeiści — to moment drugi, ważniejszy, który nastąpił po *weltschmerzu*, jak następuje paroksyzm gniewu i energii, po niewieściem i miękkiem, nieraz kokietującem przeżuwaniu swej niedoli. Byron, Słowacki, Heine prędko się z tego stanu otrząsnęli, bo on za jałowym jest, by mógł trwać długo. Toż samo i Goethe i Mickiewicz, poeta czysto narodowy, ale w młodości kawał bajronisty. Zrozpaczonym jest, kto zakłada ręce i jak Leopardi wyczekuje zgonu, ale nie ten, kto zuchwale patrząc w twarz mocom nieba i ziemi i urągając im, zwala sobie na kark jeszcze więcej ciężaru...

Percy Shelley jawnie żyje z ciągłą nadzieją, a takie małżeństwo można tylko optymizmem nazwać; o nim więc niema potrzeby dłużej mówić. Co do Byrona, to mimo wszystkie »Childe-Haroldy,« »Nieba i ziemie,« i tym podobne wybuchy zwątpienia i tęsknoty do niebytu — jest przecież tak cały Tyrteuszem, szermierzem, mścicielem i biczem bożym dla moralnej i politycznej nędzy swego czasu, że tylko *sancta simplicitas* może go desperatem nazwać. Zgrzytów tam i łez pełno, bólu — cała otchłań, ale ton podstawowy zarówno w »Manfredzie« jak i najbardziej, zda się, żółciowym »Kainie,« brzmi otuchą, wspinaniem się, pobudką wojenną, i tak też Lucyper mówi do Kaina:

Z drzewa poznania jedno macie dobro —
Rozum: — niech wam go żadnych prześladowców
Groźby nie gwałcą, by wierzył na przekór
Czuciu wnętrznemu i oczywistości;
Myślcie i znoście! nowy świat w swej piersi
Zbudujcie, gdy was ten nie zadawala;

Wówczas zbliżycie się do krain ducha,
Święcąc tryumfy nad własną naturą.

Tak samo się rzecz ma z Ludwiką Ackerman: nazywa ona siebie pesymistką, rywalizuje w negacyi z Schopenhauerem i Hartmanem, a jednak przyznaje, że głosi pesymizm nie z wewnętrznego popędu, nie z niechęci do życia, lecz tendencyjnie, aby nim, jak rękawicą, rzucić w twarz nowożytnej średniowiecczyźnie. Gdyby była mężem, pewnieby siłą słowa druzgotała owe »schronienia błędu i ciemnoty, i zastarzałe prawodawstwa,« o których mówi w swym »Potopie,« na podobieństwo Heinego, którego również pomawiano o beznadziejną rozpacz, mimo, że na dźwięk marsylianki wpada w istne delirium optymizmu.

»Co za pieśń! — czytamy w utworze »Włochy« — przenika mię nawskróś płomieniem i radością i zapala we mnie płonące gwiazdy entuzyazmu i rakiety szyderstwa« (*Włochy*, 322, c. III). Zaś gdzieindziej całkiem poważnie marzy o owym dniu pięknym, kiedy »słońce wolności większem szczęściem rozgrzeje ziemię, niż arystokracya wszystkich gwiazd razem« i o tem, »jak narody pojednane u wspólnego stołu zasiądą« i zespolą się na wspólną walkę z niedolami świata, a może w końcu i z samą śmiercią« (tamże 158).

Kiedy Hamerling napisał swego »Homunculusa,« krytyka niemiecka, która, jak wiadomo, cieszy się bardzo z tego, że proch jest już wynaleziony, krzyczała, że to *Ein Weltverneiner*, a jego poemat to wcielony: *Menschenhass*, nienawiść ludzi. Na to odpiera on: »Poeta, który coraz tryumfalniej każe jaśnieć piękności życia i rozkoszy — a tak właśnie Hamerling czyni w epilogu swej nieśmiertelnej satyry — nie może żadną miarą karmić się goryczą, zamętem

i mizantropią.« *(Stationen meiner Lebenspilgerschaft* str. 393). W stu innych miejscach powtarza to samo i nazywa siebie wprost »niepoprawnym optymistą.« Podobnież i »Ahaswer.« kończy się u niego wróżbą lepszego dla ludzkości jutra.

Zupełnie to samo działo się z Ibsenem po wyjściu dramatu »Rosmerholm.« A przecież w swych poematach filozoficznych, na Fauście wzorowanych, jak »Brand« i »Peer Gynt,« jak i w późniejszych utworach, pała on tylko żądzą czynu i moralno-społecznej reformy! O »Brandzie« słusznie mówi utalentowany pisarz niemiecki Leo Berg, że stanowi daleko lepsze uzupełnienie do I części »Fausta« Goethego, niż owa cudaczna, tak zwana część II, daleko lepiej bowiem przedstawia człowieka, który wewnętrzny Hamletyzm zamienił na czyn. Wprawdzie czyn ten spełza prawie na niczem, bowiem Brandowi nie udaje się ziścić swego ideału, spotęgować w człowieku *Wolę*, ideał jednak ocalał. Zaś symboliczny nawskróś »Peer Gynt« ma przedziwne podobieństwo z »Homunculusem,« a różni się od niego tem, że poetyzuje nie tragedyę, bezsercowości, lecz ogólno-ludzką tragedyę moralnej miernoty. Gdy ludzkość bez charakteru, upostaciowana w »Peer Gyncie,« umiera, to wyznaje ona, że dawno już przedtem umarła. Ibsen jest krytykiem, sceptykiem, byle nie zrozpaczonym; stronnikiem reformy, orędownikiem wolności i prawdy etycznej.

W studyum Brandesa o ibsenistach niemieckich, między innemi takie znajduję określenie twórcy kierunku: »Nie jest on żadną miarą zasadowym *(prinzipieller)* pesymistą... nazwałbym go raczej pesymistą z oburzenia *(Indignations-Pessimist)*. Jego postacie, to po największej części spokojne, proste... łaknące prostego, cichego szczęścia natury. I to właśnie, że spo-

łeczeństwo przeszkadza im owo niewielkie prawo wykonywać, że swemi prawidłami, ustawami, urzędową etyką i klaką czyni owo szczęście niemożliwem, wywołuje w postaciach Ibsena takie oburzenie i budzi taką namiętną krytykę istniejącego porządku *(Heinrich Ibsen und seine Schule in Deutschland.* Gazeta Frankfurcka. Styczeń 1891 r., N. N. 1, 4, 10, 15).

Pomijam innych poetów tego kierunku, bo sądzę, że brak w ich dziełach i życiu tytułu do nazwy zrozpaczonych — został dostatecznie wykazany. Nie znaczy to jednak bynajmniej, żeby to były same puhary wina szampańskiego, tryskające złocistą pianą szczęścia. Nic podobnego. W nich ból i radość, pognębienie i zapał, niemoc i energia wciąż kolejny odbywają dyżur i składają się na taki stan ducha, który najlepiej nie oznaczać ani czarną, ani różową barwą. Dosyć, że każdy jest, jak wyrzekł Heine, środkowym punktem świata, więc przez ich serca przeszła wielka rysa świata. Jak gdyby w imieniu całej rodziny, Hamerling powiada: »Wierzę w rozkosz bytu obok cierpienia, wierzę nawet w to, com niegdyś nazwał błogością cierpienia« (op. cit. str. 111) i dziękuje bogom, że go do tej roli wybrali; Byron pyszni się nią i t. d. Prawie że w cudowny sposób prawdę tę potwierdza Leopardi w jednym z największych swych genialnych dyalogów p. t. »Zakład Prometeusza.« Poeta jest w nim przedziwnie świadom rdzennej różnicy pomiędzy cierpieniem za ludzkość i cywilizacyę a pesymizmem, i ze swego stanowiska wyszydza, rzecz prosta, owego tytanicznego bojownika szczęścia na ziemi. Dowodzi on ustami Momusa, że na konkursie muz, roku 833,275 panowania Jowisza rozpisanym, otrzymaćby mógł nagrodę chyba Epimeteusz ze swymi

prawzorami osła i żaby, a nie Prometeusz ze swym modelem człowieka.

Ten ogromny kontrast między czczym *weltschmerzem* a prometeizmem ma inną jeszcze doniosłość — artystyczną. Poezya zawsze była, jest i będzie nie tyle malarzem życia, ile wyrazicielem pragnień i ideałów. To skłania do mierzenia jej probierzem praktycznym. Ale i ze stanowiska sztuki dla sztuki korowody niobidów mało są warte. Gnuśność i nuda są tematami jałowymi, z nich nic nowego wykrzesać się nie da. One nie widzą nigdy nic nowego pod słońcem, ale i my po królu Salomonie, pierwszym wszech-płaksie, nic nowego w tej szkole nie widzimy. Na tej lutni gra się wciąż jedno i to samo: Katzenjamer, nudę, no, a nuda budzi tylko nudę, nic więcej. Hamerling słusznie nazywa *weltschmerz* »zblazowaną, nieszczęsną w sobie pustką ducha i serca« (str. 111) i ośmiesza ją w osobnej pieśni swego »Homunculusa.« Gdy znamy jednego z tej czeredy, znamy i resztę; ich poezya jest monotonną, o ile nie wchłonęła w siebie innych, rzeźwiejszych czynników, a ich osobistości są do siebie podobne bliźniaczo, dosyć mało skomplikowane, i smakosz literacki nie ma w nich tematu wdzięcznego do analizy i charakterystyki. Dowodem ten sam choćby Leopardi, którego poezye są, zdaniem naszem, mniej warte od jego »Operetti morali,« pisanych prozą, a to dlatego, że nie mogąc w nich swobodnie rozwinąć swej dyalektyki, subtelnej i mocnej, jak złote rzeźby Benvenuta Cellini, musiał w nich wciąż i bez ustanku powtarzać ten sam motyw nudy, skargi, drwin ze złudzeń i t. p.

Natomiast ród Prometeusza mieni się wszystkimi kształtami wielorakiej i pstrej rzeczywistości, walki pracy, dążenia, wszystkimi tonami śmiechu, ironii,

gniewu. Ponieważ duch złego na ziemi rozmaite nosi maski: niewoli, tyranii, bezwoli, kłamstwa, głupoty, ciemnoty i t. p. i zmienia swe oblicze, jak historya, więc mają zawsze z kim walczyć i gama motywów jest szeroka, prawie nieograniczona. A choćby nią nawet nie była, to walka ze złem musi i powinna trwać wiecznie, gdy stękanie na złe z opuszczonemi rękami i lenistwem w sercu — do niczego nie prowadzi i przejada się nam rychło. Tam ruch — tu martwota; tam siła i groźba — tu bezwład i wygodnictwo samolubne.

No, a z punktu widzenia społecznego, utylitarnego, który ma przecież takie samo, jeśli nie większe prawo głosu, niż czysty artyzm, różnica staje się stokroć więcej rażącą i głęboką. Literatury narodów trzeźwych, jak skandynawska i ruska kpią raz po raz i to niemiłosiernie z owych mazgajów *weltschmerzu* i darzą ich całym słownikiem dosadnych epitetów. Gdzie tylko warsztat pracy cywilizacyjnej jest w ruchu, tam niema miejsca dla kwileń i westchnień. Nasi też poeci z doby romantyzmu wtedy tylko śpiewali gorzkie żale, gdy im było jeszcze trochę zielono w głowie.

Zaś naodwrót, czem był Byron dla Europy i Grecyi w szczególności, wiemy dobrze. Wiemy też, czem był Heine dla Niemiec; pod łagodnem zresztą żądłem Hamerlinga Niemcy wili się z bólu i wściekłości i nazwali go »pająkiem, tarantulą.« Ibsena »Widm« sceny niemieckie bały się, jak policzka, wymierzonego społeczeństwu — to chyba najwymowniejszy dowód jego praktycznej wartości. A o Shelleyu mówi Brandes, może nawet z garścią przesady, »że jego żywot miał większe i trwalsze znaczenie dla sprawy wolności ducha ludzkiego, niż wszystko, co

się działo we Francyi w sierpniu r. 1792,« to jest kiedy Shelley ujrzał światło dzienne.

W »Prometeuszu rozkutym« tego poety, na widok męki tytana, ziemia woła:

O! nieszczęśliwa, ja, nieszczęśliwa!
Zwyciężyły ciebie ten Zeus, wyklęty,
Zapłaczcie lądy i wód odmęty,
Rozdarta Ziemi pierś wam odpowie,
Zapłaczcie żywych i zmarłych Duchowie,
Wasza tarcz, wasza schrona leży zwyciężona!

Okrzyk ten może i nam posłużyć do formuły tego, czem jest i co może prometeizm zdziałać w życiu realnem.

Jest on poezyą niemniej realną, niż dzisiejsza powieść i nowela. To nic nie znaczy, że jego typy nie są wzięte z ulicy, lecz z szerokiego świata, z fantazyi, baśni lub mitologii, skoro wznosi do góry sztandar bojowy, jest nieustraszonym obrońcą szczęścia ludzkiego na ziemi i wyrazicielem głębin naszego ducha. Zresztą nic nie stoi na przeszkodzie, ażeby i on wessał psychologię i dramaty swoje traktował realistycznie. Czyż »Kain« nie zrobiłby dziś wrażenia na scenie? Potężniejsze, niż niejedna naiwna tragedya Szyllera.

Jeśli przyjąć fakt osobnego i żywotnego istnienia prometeistów, to się okaże, iż można sięgać szczytu poezyi prawdziwej i wysokiego piękna i poza Bourgetowską, genialną, ale epikurejską poezyą Francyi i jej naśladowców. Heinego bawi, że długowłosy uczeń malarza Corneliusa, przechodząc przez salę Rubensa, pogardliwie na jego arcydzieła spogląda. Taką samą śmieszność popełnia dziś literatura i krytyka, gdy lekceważy sobie poetów z motywami wszech-

ludzkimi, gdy natrząsa się z filozofii w poezyi i z fantazyi w poezyi. Prometeusz i Faust, to dla wielu — romantyzm. Na tej samej zasadzie i realistyczny bajarz *sans pareil*, Zola, jest romantykiem.

Wogóle smak dzisiejszy, rozmiłowany w poezyi prosa, śrutu i maku, całkiem zapomina, że dobry duch ludzkości nie drzemie długo i raz po raz zrywa się, ażeby granice chwili czasu i piędzi ziemi zerwać i myśl naszą na typy powszechne skierować. Koncerty psychologii i obserwacyi, dawane w tak wielkiej liczbie przez nowszych pisarzów, są nader cenne, ale właśnie dlatego trzeba zapytać, gdzie stoi napisane, że malować lub karykaturować można tylko rodzinę Rougon Macquart'ów, a nie całą rodzinę ludzką? Czyż taki Hamlet albo Faust nie są zresztą samą śmietanką prawdy i psychologii? Może sobie muza dzisiejsza kpić z *idei* w poezyi i wołać słowami Goncourt'ów: »*C... pour le jugement, rien que du goût, absolument du goût!* (Dziennik t. II), to jednak nic tego postępowego i zwycięzkiego pochodu idei ogólnoludzkiej nie wstrzyma — nawet nacyonalizm, bo i ten doskonale się z nią w duchowem obliczu poety godzi, i wszyscy ci, o których mowa, kochali swój kraj rodzinny i naród gorąco, a Hamerling był nawet szowinistą.

IV.

Przyszłość.

Komu trafił do przekonania wywód, iż grupa poetów-płaczków jest dla literatury tem, co niemcy nazywają *ein überwundener Standpunkt*, okresem

przebytym, minionym, gdy prometeiści z racyj artystycznych i myślowych trwają po dzień dzisiejszy, ten spyta może, czy i dla nich nie wybija w tej chwili ostatnia godzina, czy nie gonią resztkami swych sił żywotnych?

Brandes o jednym z niemieckich naśladowców Ibsena mówi: »za młodu pisał poemat »Prometydzi« i tym podobne *oderwania.*« Wyrozumiałość i litość wyzierają z tych słów pisarza, który swój szeroki ongi widnokrąg okrutnie z dniem każdym zwęża i staje się rezonansowem pudłem haseł paryskich. Niema chyba pod słońcem oderwania bardziej... oderwanego, więcej bezmięsnego i bezkrwistego, niż »Prometeusz rozkuty« Shelleya; dla zwykłego czytelnika to istna astronomia i mitologia — a jednak krytyk duński jemu palmę pierwszeństwa śród utworów tego wieku przyznaje. Cóż to znaczy? Że się zmienił smak Brandesa. Ale czy za tem idzie, że zmienił się na długo smak ogółu, i że są jakiekolwiek przyczyny namacalne, któreby taki zwrot warunkowały i rokowały?

Nic podobnego. Kto w sprawach literackiego piękna nie chce być wodzonym na pasku, nie daje się ślepić ani laurom naturalizmu, ani klace drobnego *genru*, ten powiódłszy okiem po oświacie, dostrzeże łatwo, że prometeizm, choćby tęsknił za grobem, ledz w nim nie może. Brzydki bowiem nałóg rozgościł się w głowach ludzkich: filozofia i popędy międzynarodowe, a zwłaszcza ta pierwsza. Zdawało się, że za sprawą grabarzów Kanta i Comte'a będzie ona porządnie przysypana ziemią. Tymczasem wprost przeciwnie. Była obłokiem, mgłą fantastyczną i unosiła się pod samym księżycem, a człowieka szyja bolała, gdy na nią patrzył, i zawrót go ogarniał. A teraz co?

Obłok sperlił się na błogosławiony deszcz, wsiąknął w pola i niwy — nauki. Chcesz, czy nie, musisz tą wilgocią oddychać, bo jej napiła się cała wiedza, wszystkie umiejętności. Jakąkolwiek jej gałąź uprawiasz, — karmisz się, z wiedzą czy bezwiednie, filozofią, syntezą, całokształtem, nie wolno ci siedzieć, jak tabace w rogu, ale musisz bujać po świetle nad szarą ziemią. Wprawdzie kiedyś prof. Struve oburzał się na mnie za twierdzenie, iż filozofia się zdemokratyzowała, no, ale ona jest o tyle impertynencką, że swoje w dalszym ciągu robi — pomimo to...

I rzecz dziwna, nawet u nas, gdzie motywy literackie doszły do ostatecznego chyba zdrobnienia, poezya, powieść i nowela pociągnęły tego napoju abstrakcyjnego dobry łyk. W ideałach i typach »pozytywistów« znalazło się miejsce na alegorye i rozpamiętywania, choć na gruncie naszym za »szczęśliwych« dni idealizmu, choć w owym utracony raju, było ich tyle, ile włosów na ciemieniu Sokratesa. Orzeszkowa, Okoński, nawet zagorzalec realizmu (w teoryi) Bolesław Prus, co pewien czas wydobędą mit lub system grecki, rzymski, lub wreszcie wschodni i dalej-że pod jego powłoką rozwijać kwadratowo-milowe myśli i uczucia, a Konopnicka — *horrendum* — posunęła się aż do tłómaczenia gazel Vrchlickiego na temat... »Wszystko płynie« Herakleitosa! Rozstąp się ziemio! Co za zapadłe jakieś, z duchowego partykularza wzięte umysły...

Ale co ciekawsza, i na co estetyka paryska à la Brandes musiałaby srodze kiwać głową, to, że w tych samych sercach, w najcieplejszym kątku, obok motywów na staje długich i szerokich, grzeją się typy maluczkie, swojskie, złożone z krwi i ciała. Przy Abarysach — Chamy, przy Hypatyach — Banasiowe i Cyganichy, przy Wokulskich — Ślimaki, przy Marku

Aureliuszu z »Niewinnych« — Borutowie. Istna wieża Babel, której widok może wrogom »abstrakcyj« grozić udarem. Że też, do djaska, nie wezmą się za ręce wszyscy Szwagrowie [1]), Niezdary, Jankowie, Kaśki Karyatydy i nie wyrzucą tego poniżającego sąsiedztwa za drzwi literatury! Dziwny brak inicyatywy...

Niech się jednak pocieszą. I w ziemi obiecanej, we Francyi, nie lepiej. Tam, gdzie niedawno jeszcze, bo za panowania Goncourt'ów, pokazywano wielki nos Taine'owi, że puszcza się na teorye i filozofie, dziś sami »naturaliści,« istne wyrodki gniazda, zaciekają się we filozofię. Niewyraźnie im, co prawda, w tym nowym dla siebie żywiole, krztuszą się, bełkocą, ale się weń coraz głębiej zanurzają. Jeżeli Ludwika Ackermann zachęcała poetów, ażeby wyzyskali dla swej sztuki okazałą doktrynę pochodzenia gatunków, to życzeniu jej czyni zadosyć nawet Zola, którego *La bête humaine* wynajduje nawet nowe łączniki między człowiekiem a jego domniemanymi przodkami z puszcz i lasów, tak iż romans »doświadczalny« staje się ultradarwinistycznym. Malarz Bertin z *Fort comme la mort* i Mariolle z *Notre coeur*, to świeża *fin de siècle* edycya Werthera z jego *weltschmerzem*, zaś Bourget w swym *Disciple'u* nie na żarty ubiega się o wawrzyn myśliciela, a tymczasem wkłada na się profesorsko-kaznodziejską togę. W *Un coeur de femme* wykłada już całkowity program społeczny i *ma poglądy* na religię; mówcę *de Poyanne'a* wysyła do Ameryki, ażeby pracował nad *filozofią socyalną*. Marną wprawdzie jest owa filozofia, stopiona w jednę rudę z naiwnością; nawet naciągany *Meister von Palmyra* Wilbrandta

[1]) P. Dygasiński drukował swego czasu w *Świecie* niewielki utwór prozą, p. t. *Prometeusz*, który mimo wielu zalet wcale a wcale nie licuje z fizyognomią duchową tego pisarza.

szczerszym i prostszym jest od niej, ale po Wiktorze Hugo i Alfredzie de Musset, Francuzi nawet takiej nie mieli. Co do poezyi, to ta zasługuje chyba, ażeby ją jak babę kacerkę i czarownicę pławić w wodzie — zrodziła bowiem Sully Prudhomme'a, który niedługo fizykę i chemię podkładać będzie pod rymy i M. Guyau, który napisał oburzające dzieło wierszem, p. t. *Vers d'un philosophe*, gdzie nie masz ani jednej niefilozoficznej myśli, gdzie nawet Ocean występuje jako nauczyciel mądrości.

Rzecz prosta, że nad Sekwaną orle loty, temata wszechludzkie, podporządkowane są głównie sztuce dla sztuki, to — *entre-mets* w nużącym rozbiorze psychologicznych bagatel, ale i na *ideę* — Bourget dowodem — z czasem przyjdzie kolej.

A więc dzieje i nauka swoje podkopy i podmulania prowadzą nie na żarty. Czy mamy pragnąć, ażeby zalały doszczętnie literaturę typów prostych, drobnych, podpatrzonych z bliska i opisanych jak gatunek mrówki lub motyla, jak nowa odmiana bakteryi? Nigdy w życiu.

Dla nas cała ta praca, której dokonała dzisiejsza powieść, równa się odkryciu wielkiej, niezrównanej w swej wadze prawdy. Od mistrzowskiej psychologii francuzów do nowel, w chłopskiej gwarze opowiedzianych, jak n. p. *Beldonek* Dygasińskiego, wszystkie stopnie pośrednie realizmu i posługiwania się *żywymi modelami* — uważamy za najwyższą zdobycz sztuki, z którą żadna inna, dawniejsza, w parze iść nie może.

Ale wielki ten postęp okupiony został bardzo drogo: odbył się kosztem *ideału, pragnienia, dążenia.*

I oto jesteśmy świadkami dwu nader ciekawych ruchów: Z jednej strony wzmaga się w świecie ducha

filozofia, panteizm, uczucie ogólno-ludzkie, indywidualność staje się coraz bardziej złożoną i wszystko to razem wytryska na zewnątrz istotnie oderwaniami, alegoryą, przenośnią, słowem, dotychczasowemi formami prometeizmu.

Z drugiej zaś doskonali się badanie najdrobniejszych zjawisk życia i duszy ludzkiej, ale całkiem przedmiotowe, obojętne, odarte z *ideału, malarskie.*

A więc — dwa prądy współczesne, a tak biegunowo sprzeczne, jak gdyby jeden o drugim nic nie wiedział. W rzeczy też samej nie wiedzą. Poezya wszechludzka z jej wykwitem, prometeizmem, wciąż jeszcze zagląda na Broken, do raju, do piekła, między słońca, do biblii, mitologii, fantazyi i Walpurgową noc uważa za niedościgniony wzór artyzmu; literatura zaś rodzajowa, realna doszła do tego, że za *summum pulchrum* poczytuje dobrze podsłuchany żargon żydowski, mazurowanie chłopa, albo rozłupanie takiego *curiosum*, jak dwie miłości w jednem sercu, lub afekt dla córki, dlatego, że podobna jest do kochanki-matki. (Guy de Maupassant i Bourget).

Oczywiście, dwie te wrogie sobie napozór dążności muszą zawrzeć sojusz, samą siłą faktów, gdyż obie mają swe źródło w postępie, w rozwoju smaku oraz sposobu myślenia. Możemy się tem trapić, albo zacierać ręce z radości — nic naturalnego biegu idei nie skrzywi. I my też w tem miejscu nie wyzywamy nikogo na rękę, nie napadamy na jedno, ażeby obronić drugie, lecz zaznaczamy poprostu to, co choć w oczy nie bije, ale bije za to żywym pulsem pod powłoką jednostajnie, zdałoby się, zrównanej realizmem poezyi. Że jednak chodzi nam na razie o prometeizm, więc odważamy się określić jego rolę w przyszłości i wróżyć, że nie zaleje on potopem żadnej

literatury, ale ostanie się i zachowa żywotność pod warunkiem wessania w siebie, przyswojenia wszystkich metod i kunsztów, któremi poezya kontretna, rodzajowa wzbiła się pod niebiosa. Ostanie się jak żywy, potężny kierunek, który nami targa silnie i potrąca najczulsze fibry, — fibry wspólne wszystkim ludziom.

Bo nietylko na Brandesach ciąży wina lekceważenia wszelkich »Prometydów,« ale i na samych ich twórcach, bo jakkolwiekbądź klecą oni abstrakcye! Trzeba geniuszu Shelleya, jego daru instrumentowania ról i muzyki słowa, ażeby »Prometeusza rozkutego« eter, nektar i ambrozyę zamienić jako tako na zwykłe powietrze, chleb i wino. Inaczej czulibyśmy w nim straszny *hiatus*. Alegoryami poezya opycha nas do niestrawności. Stary Testament, Olimp i Hades, nie wyłączając samego Prometeusza, są już wyczerpane, wybrano z nich kruszec do ostatniego ziarnka, czas więc z tego szybu się wycofać. Raz dlatego, że natchnienie, które przez lat sto z górą czepia się jednych i tych samych postaci, niedołęstwem swem przywodzi na myśl pijanego, co się płotu trzyma i w którąkolwiek stronę ani rusz, a powtóre, żeśmy nie w kolebce i powijakach romantyzmu wypielęgnowani i nasza fantazya kiepsko fantazyuje. Latwo było Goethemu i Byronowi otaczać się duchami, ale nam, karmionym od małego nauką o prawach natury?... Dokoła nas jasny dzień, a my chcemy go zapełniać widmami? Nasza mowa jest ścisła i wyraźna jak liczby, a my chcemy ją uczynić mglistą, niepewną, chcemy, słowem, owinąć się półmrokiem Rembrandta, kiedy wychowanie i otoczenie zrobiło nas mimowolnymi *pleinair'*ystami!

Zapewne i dziś mogą się znaleźć ludzie z żywą

wyobraźnią średnich wieków, i plastycznie, jak gdyby na własne oczy, widzieć *Diem irae, diem illam*, i dziś jeszcze są pisarze, których Hellada nie jest wzorowaną na »Pięknej Helenie,« a Roma na szopkach krakowskich z królem Herodem, ale wogóle trudności dla fantazyi piętrzą się coraz wyżej i żeby je zmódz, trzeba geniuszu i bajecznej erudycyi autora *Salammbô* i *Kuszenia św. Antoniego* — Flauberta.

Jeżeli niema być nadal tej rozpadliny między poezyą wszechświatową, której najpiękniejszem kwieciem jest prometeizm, a ochlokracyą bezdusznej analizy i demokracyą w rodzaju Wouwermanna, Teniersów, Ostadych, Brouwera i t. p. — rozpadliny, która sprawia, że najbystrzejsi estetycy są ślepi na pierwiastek prometejski, tedy motyw ogólno-ludzkiego buntu musi się *odrodzić* i *odnowić*, wykąpać w realizmie i przywdziać formę współczesną. Trzeba go umieścić w sercu i głowie, we krwi i nerwach prawdziwego człowieka. Są tacy. Każdy naród i każde społeczeństwo ich ma. W miarę jak przybywają nowe godła i nowe warstwy idei, czy nazywają się one sprawiedliwością powszechną, czy zmysłem rozwoju, tak dziś wybujałym — jawią się i nowi ludzie, przez których serca »przechodzi wielka rysa świata.« Toć Ibsen jest wszechświatowym rokoszaninem, po przez staranną nieraz psychologię. To *homo novus*, w sensie dodatnim, z własną barwą, która świadczy, że owa »rysa» przechodzić może przez nas w sposób coraz to inny, że może się *różniczkować*, a więc zapładniać literatury, bez ujmy dla indywidualizmu, którym mierzymy i mierzyć musimy dzieła geniuszu ludzkiego.

Pamiętajmy o tem, że poezya bólu, rozpaczy i nudy nieraz obywała się — a i teraz jeszcze — bez Hioba, Salomona i Nirwany; poeta zastępował

ich własnym samozbiorem, albo »spowiedzią dziecięcia wieku,« albo »bohaterem naszych czasów,« no, i chyba z korzyścią dla sztuki.

Owóż, jak w sobie i dokoła siebie dusza czujna i wrażliwa wykryć potrafi czczość i wypowiedzieć skargę, tak samo w łonie własnem i odmęcie uczuć, natur i tęsknot cudzych odnaleść można — dziś i jutro — prometeizm. Nieprędko zniknie z oblicza ziemi, owszem, może rozmnoży się po niej — ród, w którego wnętrzu wszystkie myśli, chęci i uczucia podesłane będą gryzącym słojem analizy, humanizmu, filozofii, cierpienia, zapału i szyderstwa...

CZĘŚĆ DRUGA.

LORD BYRON.

I.

Dla wielu poeta stał się dziś rośliną pewnej gleby, o której można rozprawiać na chłodno i przedmiotowo, niby o pszenicy z przed lat piętnastu; dla innych — prądem powietrza, o którym można mówić jak o zeszłorocznej mgle lub deszczu, ale nikt nie raczy wejrzeć we własną myśl, uczucie, wyobraźnię i wolę i spytać, czy przypadkiem tam, w tak zwanem sercu, a właściwie w mózgownicy nie wyczuje posmaku, więcej nawet: samego ducha owego piewcy lub pisarza, czy nie jest to czasem najdroższy ułamek własnej duszy, o którym niema sensu mówić, jako o czemś zadawnionem, przebrzmiałem i którego wprost niepodobna rozbierać jak trupa, złożonego na stole anatomicznym.

Geniuszem pewnej liczby wielkich poetów wykarmieni jesteśmy wszyscy. Świadomie czy bezwie-

dnie przywłaszczyliśmy sobie ich poglądy, uczucia, nastrój; jesteśmy mądrzy wykrytymi przez nich typami, żyjemy przebytemi przez nich wzruszeniami. Gdyby jakaś nagła utrata pamięci pozbawiła nas Don Kiszota lub Hamleta, bylibyśmy ubożsi o wielkie odkrycia, bo o świadomość wielkich prawd bytu moralnego, które w dwu tych przeciwległych postaciach raz na zawsze wyśledzili i uzmysłowili Cervantes i Szekspir. Niech nam kto wywabi z nerwów wielkie tragedye i dramata Eschyla, Szekspira i Szyllera, a zubożejemy nagle o cały wieniec silnych uczuć, skłonności i niechęci, wielkich porywów i silnych namiętności, które na urobienie się naszego ja równie potężnie wpłynęły, jak decydujące wypadki naszego życia.

Umysły poetów, o ile wzbiją się do wysokości słońc i zawisną na stropie duchowym jako źródła światła i ciepła, układają się w umysłach naszych pewnego rodzaju warstwami. Kiedy Rousseau z dziwną, naiwną niemal odwagą marzyciela, żującego w ukryciu swe myśli, rzucił klątwę na wir społeczny i zwalił nań wszystkie grzechy ludzkie, nastąpił rozłam: po jednej stronie stał mały człowieczek, nikła figurka, z wielką *swoją* myślą, *swoim* protestem i po drugiej — świat cały, zadowolony, elegancki, modny, używający, ze zgodą na wszystko, co zdawien dawna przynosiły z sobą dzieje. Nie minęło i ćwierci wieku, a Rousseau, jedyna swego czasu *indywidualność*, jedyny światek odrębny w steku szablonowych pragnień, przestał nim być, gdyż treść swą, jak pelikan wnętrzności między głodne pisklęta, rozdzielił między innych. Wnet nieufność do ustroju towarzyskiego, tęsknota za złotym wiekiem pierwotnej cnoty i czystej, niekrępowanej namiętności, stały się dobrem wspólnem. Myśl indywidualna, niezawisła, czucie i roszcze-

nia żywiołowe trysnęły na różnych punktach Europy, wiodąc ją ku nowym widnokręgom, a później nawet na bezdroża rozpasanego romantyzmu. Ażeby w takim stanie rzeczy módz wyróżnić się z tłumu, niedosyć było wyznawać religię natury z Goethe'm lub Szyllerem. Należało między sobą a ogółem wykopać nową przepaść, bo on już nauczył się russoizmu. Wyrazem jej stał się pesymizm, wszechból, wydanie uzupełnione i poprawne cierpkiej zgryźliwości i wybuchów czułostkowych Rousseau'a. Dzisiaj i ta poezya rozpaczy przestała być znamieniem świata odrębnego i myśli. Bośmy nią wszyscy do szpiku kości nasiąkli, jako podkładem powszechnym, w pewnej mierze nieodzownym, i charakteryzować pisarza mianem »pesymisty,« jak to jest w zwyczaju u nas, znaczy przyznawać mu parę oczów, dziesięć palców u rąk, nogi do samej ziemi i t. p.

Tylko ci, co śledzą i widzą ten geologiczny — *sit venia verbo* — proces rozwoju ideałów, potrafią objąć cały obszar promieniowania danego poety, pojąć go w całej pełni. W braku zaś tego probierza popełnia się ciężkie, nieprzebaczone błędy. W ideałach i uczuciach naszej doby, w jej sposobie myślenia i patrzenia, słowem, w tem, co szuka i łaknie swego zmysłowego, wypukłego wyrazu, swej literackiej symboliki, leży oto prawie na samym wierzchu warstwa, którą sąd opinii radby zaliczyć i zepchnąć bodaj do okresu kredowego. Ona jednak zasypać się innym formacyom nie daje, sama nawiana orkanem potężnym, czy też wyrzucona z czeluści ziemi kataklizmem, wobec którego wszelkie wstrząśnienia są tylko drgawkami. Trwa on po dzień dzisiejszy w jestestwie naszem.

Warstwą tą jest duch i poezya Byrona.

Ażeby tego dowieść, wypadałoby zapuścić dłoń w gmatwaninę współczesnych naszych uczuć, wydobyć na jaw główne z nich, nazwać po imieniu i zawołać: właśnie te same były motywy byronizmu, a więc mamy słuszność! Więc on żyje jeszcze!

Pracaby to była nad przeciętne siły i mogłaby nikogo... nie przekonać. W odmęcie ducha wieku znajdzie, kto zechce, krocie zaprzeczeń na jeden dowód. Wolimy zatem narzucić wizerunek sławnego poety, tak jak go pojmujemy, li na zasadzie dzieł jego i życia — a kto wie, może się w końcu okaże, iż Byron naprawdę płynie w naszych żyłach wraz z krwią? Lecz wobec masy znakomitych, obszernych w tym przedmiocie prac, w które nawet swojska literatura obfituje, oddalamy z góry wszelką pokusę dopełnienia w czembądź danych faktycznych. Wolni przytem — zdaniem naszem — od obowiązku nawet ponownego ich zebrania, podamy charakterystykę ogólną, podmalowaną jedynie szerokiemi liniami i grubszemi plamami. Chcemy dać formułę poety, a ta z natury swej musi być bardzo, bardzo zwięzłą...

I.

Posiano żądzę szczęścia — weszła w poezyi bujnem, barwnem, podzwrotnikowych puszcz kwieciem. Ledwo wyschła krew rewolucyi i zgasły jej pożogi — wnet uczuli ludzie, że im na świecie ciasno i duszno; stali się farysami, chciwymi stepowych obszarów, sępiej groźby, wściekłego cwału rumaka, dzikich poświstów wichru, palących promieni słońca. Zagrała w żyłach pisarzy krew nowa, gorętsza, chyża, pod wpływem walących się murów średniowiecczyzny i rozbitej, strzaskanej zbroicy feodałów, która uciskała

piersi, tłoczyła oddech, dławiła mózg, pętała, słowem, ducha. Oto jeden fakt.

Daremnieby się siliła analiza na rozpatrzenie i wyliczenie wszystkich strumieni nowego życia, które wsiąkły w uczucie, myśl i wolę ludzką w końcu zeszłego stulecia. Największego jednak zamętu doznała chyba wyobraźnia. Do niedawna ospała i pełna flegmatycznych i spokojnych widoków, naraz wchłonęła obrazy szalonych orgij terroru, zabarwiła się purpurą i szkarłatem, które zyskały jeszcze na sile, na natężeniu, gdy nowoczesny bóg wojny, Bonaparte, zaczął pędzić po świecie w ognistym, zwycięzkim rydwanie, i słać do stóp swoich ludy i ziemie.

Takie wspaniałe widowiska i nerwowe wstrząśnienia musiały smakować francuzom i bardzo pięknie Jerzy Brandes korzysta z tej nieznanej przedtem potrzeby silnych wrażeń dla wytłómaczenia narodzin takich poetów, jak Nodier, Wiktor Hugo, Jerzy Sand lub Teofil Gautier [1]).

Lecz i po drugiej stronie kanału La Manche gromkie epopeje owe wytrąciły umysły z równowagi. Oto drugi fakt.

Złączona moc dwu tych wydarzeń, to jest rozszerzonej skali pragnień i rozkołysanej wyobraźni, dała anglikom wzlot indywidualizmu, wobec którego krzykliwe hasła niezależności i zapału artystycznego w Paryżu, trąbione w dniu, kiedy ukazał się na scenie *Hernani,* trącą nieco palantem albo inną jaką zabawą młodzieńczą. Podczas gdy płomienie uczucia Wiktora Hugo i Jerzego Sanda, przeszły niebawem w językowe jubilerstwo twórcy *Emalij i Kamej*, lub osiadły

[1]) Porównaj też Pawła Bourgeta studya o Flaulorcie i Stendhalu w *Essais de psychologie contemporaine.*

jaskrawemi barwami na płótnach Delacroix, w Anglii wrzątek nowych myśli i popędów miał cechę ideologiczną. Zachciano tam wyzwolić osobistość ludzką, uszczęśliwić ją, zbogacić nowem światłem cywilizacyi, a nie troskano się o wyswobodzenie form poetyckich. Shelley naśladował dokładnie komedye greckie, a Byron pisał w przedmowie do *Sardanapala*, »że nic mu się nie wydaje bardziej bezspornem nad to, iż przy znaczniejszem uchybieniu trzem jednościom Arystotelesa można stworzyć poezyę, ale nigdy dramatyczną.« Był on osobliwie rozkochany w Pope'm, wierzył w niego jak w wyrocznię i innym wierzyć kazał (*Don Juan*, Pieśń VIII); litował się nad biednymi duchami jego i Drydena, że im urągają zwyczajne koniuchy, to jest »szkoła jezior,« której głównymi przedstawicielami byli Wordsworth, Coleridge i Southey.

Kraj, uznający nietykalność osoby ludzkiej od początków trzynastego wieku, naród z wyrobionem życiem państwowem, nie mogły się dać porwać hukom walczących o kunszt pisarski; to dla nich byłoby nadto czczem i jałowem. Cała rasa brytańska od wieków zżyma się na podobne marnotrawstwo czasu i sił. W tym względzie ciekawa zachodzi różnica między ziomkami Byrona a francuzami. Do dnia dzisiejszego ci ostatni okazują cały swój geniusz wtedy, gdy chodzi o obronę godeł literackich, i w ciągu całego ubiegającego teraz stulecia, nie zerwali się ani jednego razu do boju o ideę wyższą z takim żarem, z jakim kruszą kopie dla dobra szkoły, stylu, sztuki. Podjęli oni i roznieśli po globie tylko jedno z *ech* swego własnego przełomu, jeden z najodleglejszych jego skutków — wolność muzy, dawniej spętanej. Jej godność osłonili od wścibstwa zdawkowej moralności, powszedniego pożytku, cały zaś rdzeń rewolucyi jakgdyby

rzucili w kąt, by gnił, próchniał i pokrył się grzybem zwyrodniałego mieszczaństwa, w którem pleśnieje po dzień dzisiejszy.

I stał się oto dziw. Wymyślono popisy na gilotynie, pogrążono w morzu krwi cały naród po to, ażeby plon tej kosztownej siejby wszedł gdzieindziej, pod mglistem niebem Albionu. Lamartine i Musset, Hugo i Aurora Dudevant zaciągali później duchową pożyczkę u Byrona, żniwiarza ich własnych łanów.

Bo takie ery, jak wielka rewolucya rodzą nietylko idee i ideały, ale coś więcej, bo nowy, odmienny typ, gatunek ludzi. A przytem pamiętać należy, że rewolucya ta w ćwierć wieku po swym zgonie zyskała świeży koloryt, nowy po dwakroć potężny urok, albowiem musiała odbijać od tła reakcyi i Przymierza świętego. Jeśli kto, będąc świadkiem naocznym ruiny dawnego porządku, witał hasła »równości, wolności i braterstwa« z uniesieniem, to w lat dwadzieścia pięć potem na widok sprawek Metternicha, lorda Eldona, Castlereagha i tym podobnych, śmiertelnie tęsknić musiał do owego brzasku nowej epoki, trawić się marzeniem o niej, truć nienawiścią dla chmur, co go zamroczyły — i to w stopniu daleko wyższym, niż wówczas, kiedy się samo burzenie odbywało. Jestto, zdaniem naszem, fakt psychologiczny wielkiej wagi. Jeśli okres lat 1789—1793 zdwoił, odnowił energię ducha ludzkiego, to rok 1815, gnębiąc jednych, innych przyprawił o istną hypertrofię samowiedzy. Pomógł on wykluć się do reszty nowemu rodzajowi ludzkiemu, który zatem składał się nie z rzeszy poetów, obnoszących po literaturze nowe pragnienia mniej lub więcej wymownie bronione, lecz z jednostek o nowym całkiem ustroju duchowym, nowej organizacyi, usposobieniu, uczuciach, popędach i odruchach ciała i duszy.

Może nie tak trudno byłoby dowieść, że kolebką tego nowego rodu mogła być tylko Anglia. Tam z dawien dawna pisze się nie z miłości dla sztuki, lecz z organicznej potrzeby, z wewnętrznego musu, a pojęcia człowiek i poeta wzajem się pokrywają. Jeśli tam kto nasiąknął nowemi prądami, to głębiej, serdeczniej, bardziej żywiołowo, całem swem jestestwem, a nie z rozumowego wywodu, jak niemcy, ani przez zmysł artystyczny, jak francuzi. Zrzekamy się jednak chęci udowodnienia tej tezy, ażeby zaznaczyć wprost, że pierwszym, wielkim przedstawicielem owego typu był Byron.

W nim najbujniej, najwięcej i najpełniej wystrzeliła nowa roślina ludzka. Oto wstęp do naszej formuły byronizmu. Nie powiadamy, że był jedynym i najwcześniejszym jej okazem — bynajmniej. Wie już ogół czytający, że we *Fauście* i *Wertherze*, w *René'm* Chateaubrianda, w spowiedziach i marzeniach poety-mędrca z Genewy, już ona silnie i wydatnie kiełkuje, że zaczerpnęła dużo swych soków z Woltera i Shaftesburego i wogóle satyryków i humorystów angielskich, ale pierwszym, doskonałym, idealnym egzemplarzem jest Byron. Drzewo rodowe, którego jest on ostatnią latoroślą, ma zbyt dużo konarów, by je tu wymieniać. Oto parę z nich wedle Gervinusa [1]: »Amerykański republikanizm, wolnomyślność niemiecka, francuski zmysł przewrotu, radykalizm anglo-saski — wszystko zdało się być zespolonem w tym umyśle. Po zdławieniu rewolucyj, zakneblowaniu prasy, ukorzeniu się wiedzy, stanął na wyłomie wolny jak ptak poeta, syn fantazyi« [2].

[1] Historya wieku XIX. Przytaczamy według Karola Bleibtreu'a. Geschichte der eng. Literatur, str. 320.

[2] U Brandesa, Taine'a, a zwłaszcza Spasowicza, znaleść można bardzo troskliwą jego genealogię. Przedmiot to wyczerpany niemal.

Gdyby kto wyrzekł, że demon-Byron, ukazujący się w zaraniu bieżącego wieku, był pierwszem, wielkiem, symbolicznem niejako wcieleniem indywidualizmu nowych czasów, to najpierw powtórzyłby starą i oklepaną gadkę, a powtóre nie rozjaśniłby w niczem zgoła sprawy, bo wyraz to wieloznaczny. Toć i Carlyle był literackim indywidualistą czystej krwi i bodaj nawet bardziej krańcowym, i jego ulubieńcy w rodzaju Mirabeau-Riquetti'ego, — a przecież ponury i zgryźliwy »prorok z Chelsea« wprost nie lubił poety, nienawidził go prawie; świadomie krzewił swoje dlań lekceważenie i dał gniewowi i niechęci ujście w mnóstwie namiętnych i zjadliwych przycinków. Był to dla Carlyle'a jeden z... wieprzów Epikura.

»Indywidualizm,« uosobiony w Byronie, musi mieć znaczenie bardziej pochwytne dla nas, którzy patrzymy na tyle wybuchów jednostkowego uczucia, na tyle postaci egotyzmu z wysokości schyłku wieku. Jakoż różni się on od pokrewnych sobie nastrojów tem, że pozwala rozeznać w sobie dwa wielkie żywioły: *żądzę szczęścia* i *żądzę siły*. Wypełniają one całą treść byronizmu i wysnuć z nich można logicznie wszystkie, tak mnogie jego objawy i rysy.

Dlaczego żądzę szczęścia? Pojąć nie tak trudno. Poczęta sto lat temu nowa era była właśnie erą wybawienia, praw do życia i praw do użycia, do rozkoszy, jakie daje byt jednostki i byt społeczny. Burzliwie i z naporem rwali się do nich tacy, jak Klinger, Mueller lub Jan Paweł Richter i Herder. I nie było to wcale »szczęście,« co do którego zachodziłyby jakieś głębsze różnice w poglądach. Wszyscy pragnęli i spodziewali się mniej więcej tego samego: swobody woli, rozumu i uczucia, rozkoszy, zadowolenia. »Szczęście — to rzecz względna« — jest frazesem marnym i mdłym,

przynajmniej dla literatury. Gdy bowiem raz przestano się łechtać rojeniami o nagrodach przyszłych — gdy raz rozparł się wygodnie humanizm, w osobie zbliżonych bardzo typów poetycko-myślicielskich we Francyi, Niemczech i Anglii — można się było dopominać tylko jednego: rozkoszy ziemskiej, jednostkowej i towarzyskiej. Gromadzona od tylu lat niewoli i bierności siła życiowa, pragnęła wydobyć się na jaw w jednej przeważnie formie: gwałtownego czucia i *widoku* gwałtownego czucia. Otóż w stopniu najwyższym łaknął go za siebie i miliony innych Byron.

A teraz pytanie drugie: Dlaczego żądzę siły? Dla dwóch przyczyn.

Po pierwsze, tylko siła jednostki mogła jej dać rękojmię szczęścia, tylko prawa, jawnie przyznane i wywalczone, wymożone na kościele, państwie, opinii publicznej, zawarowane całym nowym układem stosunków, były w stanie zapewnić korzystanie z dóbr przyrody. Chcemy żyć! — wołała ludzkość ustami poetów, ale niczyj głos nie brzmiał tak donośnie, tak groźnie i zuchwale, jak cherubinowy głos Byrona.

Powtóre, siła osobista, prócz wartości środka wiodącego do szczęścia, miała swój urok własny, gatunkowy, ten sam, jaki ma dziś i mieć będzie po wsze czasy. Ale wtedy było to coś nieskończenie więcej łakomego, to było czarowne słowo, które wymawiano i pisano różnie: »wolność,« »nietykalność jednostki,« »prawa człowieka,« ale z tym samym smakiem i wrażeniem. *Kuszące to słowo wygrzmiała rewolucya i ów* wspomniany przed chwilą humanizm; zajaśniało ono na niebie jak złocisty meteor i zgasło, zdmuchnięte przez cesarstwo i reakcyę. Zdeptano godność ludzką na wszystkich punktach Europy. »Mogłeś być Aleksandrem, mówi do Napoleona Byron *(Childe Harold*

III), ale z berłem w dłoni dlaczegoś jak Dyogen z ludzi się naśmiéwał? Ziemia ta nadto wielka, żeby w niej przebywał, jakby w beczce, filozof z koroną na skroni.« Skoro więc nad ziemią całą brzęczały kajdany, tedy i tchnienie wolności, wydobyte z piersi poety, musiało być silnem jak huragan, jak trąba powietrzna lotnem, druzgoczącem, dyabelskiem. Ile karków było zgiętych, tyle trzeba było wyprostować. Powietrze ciężkie było od niesłyszalnych skarg na słabość i bezporadność, na krzywdy i sieroctwo. Ten więc, kto je wszystkie odczuł i jak Winkelried ostrza dzid w pierś swą skierował, musiał im przeciwstawić *siłę* również wielką, równoznaczną sumie ogólnej *bezsiły*. Każda zdrowa natura ludzka na widok niemocy, radaby ją przedzierzgnąć w moc; nie dziw przeto, że kto, dzięki wzrokowi orlemu, widział tę niemoc, jak wgryza się od wieków w ciało ludzkości i toczy ją we wszystkich miejscach, radby był zrobić z niej ogniem i dymem dyszący wulkan i sam tą potęgą ział cały.

W dodatku Byron miał dokoła siebie coś, co go do takich wybuchów wciąż podżegało. Był dzieckiem ojczyzny i klasycznego kraju *obłudy*. Wobec turków lub austryaków mściwy poryw jego mógł się ujawniać, jako chęć dostania stu ramion, któremi niby Herkules mógłby obciąć sto łbów hydrze, lecz wobec rodaków swych musiał uczuwać skurcz siły innego rodzaju. Prawda, że ich także, jako ciemiężców politycznych, opluwał w *Klątwie Minerwy:*

Jak ognia słupy kłębią się złowrogo!
Tamizy brzegi jak zieją pożogą!
Albionie milcz! To twoje własne zbrodnie,
Bo kto nad Ren i Tago niósł pochodnie?
Ich to zarzewie ku tobie się zwraca
I złem jednakiem za złe ci odpłaca.

Prawda, że tam też ukryć nie umie radości, iż »czarny Gangu syn z jarzma haniebnego się otrząsa« i »bunt się gniewnie dąsa« i grozi zagładą tym, w »czyich piersiach tkwi jad tyranii, choć cud Pallady dał im samym wolność« — ale z tem wszystkiem Anglia celowała okrucieństwem innego rodzaju: obłudą opinii, udaną świętością Tartuffe'ów. Jej »high life,« to groźna potęga, która ściera na proch śmiałków, urągających regułom urzędowej cnoty. Jej siła i dźwignia, to duch solidarności, który, gdy się odda na posługi samolubstwu bogaczów, albo kleru, albo przymierzu jednych i drugich, zaczyna wisieć nad głową jednostki, niewciągniętej w spiżowy pierścień, jak miecz Damoklesa, jak grom. To też skurcz siły, przezeń wywołany, jest, powtarzamy, innego rodzaju. Chciałbyś się nad owym *cantem* pastwić, znęcać, pasy drwinami zeń zdzierać, plwać w oczy szyderstwem, przedrzeźniać, robić na złość, spędzić nabożnisiów w jednę kupę i smagać biczem satyry. Boć to ludzie światli, uczeni, możni i nie topór dla nich karcicielem być winien, lecz hiszpańska trzcinka. Widok ich, to nie dramat, lecz farsa, komedya, ale że ich działanie na ogół jest zgubne i nieraz tragiczne, więc satyra musi się często uzbrajać w kły lwa i szpony orła. Owo dyszenie zemstą i odsadzanie się dla tem pewniejszego skoku, owo kłapanie zębami, doskonale, acz bezwiednie określił inny, co prawda maluczki środkami, a wielki jedynie chęcią poeta Platen, gdy mówi, zwracając się do swych wrogów: »Chciałbym, żeby każde tchnienie, co przez zęby moje przechodzi, było zagładą dla was... pragnąłbym jak Nero, ażebyście mieli jeden mózg, a wtedy rozpłatałbym go jednem cięciem dowcipu...« (*Edyp romantyczny*, akt V). Takiem uczuciem żył właśnie Byron, jeno było ono w nim o tyle silne i trwałe,

o tyle orężne i niebezpieczne, o ile armia nieprzyjacielska karną i wyćwiczoną.

Nigdy niepodobna dosyć uwagi poświęcić tłu, od którego odciął się wielki poeta, jeśli się chce pojąć gruntownie owo wciąż w nerwach i mięśniach tkwiące *quos ego!* Podściela ono całą jego twórczość, wyziera zewsząd, jak opętanie, jak obłęd. Utarło się w literaturze nazywać Byrona »dumnym lordem.« Owóż »duma,« to pojęcie puste, to wygładzony na blaszkę grosz, bez żadnych śladów stempla i wartości. Nabiera ona znaczenia dopiero wtedy, gdy ją rozbierzemy psychologicznie. Wówczas da się w niej wykryć *poczucie* i *pragnienie siły.* »Duma« w sensie pospolitym graniczy o miedzę tylko z butą i pychą, które Byronowi były prawie zupełnie obcemi. Natomiast wzrok baczny wyśledzi w nim wszelkie możliwe postacie i odmiany: żądzy i poczucia siły — wszelkie, od najbardziej poziomych do najbardziej wzniosłych. Ofiara wielkoświatowego motłochu i świadek i widz ogromnej areny, na której padali ofiarą inni, płacił rachunki własne i cudze. Bywał obrońcą własnej godności i godności ludzkiej, jego duma zatem przybierała nieraz twarz samoluba i egotysty.

Tak tedy namiętność siły dla siebie i dla innych musiała stać się bożyszczem, ideałem, niezupełnie uświadomionym, tego poety, i jak zobaczymy, pociągała go później dla siebie samej, to jest nawet i w tej formie, kiedy mu do niczego służyć nie mogła i była li dumą dla dumy.

II.

Wszyscy niemal, co pisali o Byronie, a imię ich — legion, zbyt wielką rolę w tworzeniu się jego chara-

kteru przypisują pewnym bolesnym dla jego dumy ciosom, spadłym jeszcze w dzieciństwie. Powtarza się tedy znana śpiewka o gwałtowności matki, która raz w napadzie gniewu pogrzebaczem weń cisnęła, o tem, jak w chwilach okrucieństwa, przeplatających czułość, drwiła z jego wyschłej nogi. Obok tego stale przytaczany bywa afekt dla ślicznej sąsiadeczki, Maryli Chaworth, odpłacany zaledwo przyjaźnią, a raz nawet szyderstwem. Posłyszał on bowiem, piętnastoletni amant, jak ukochana odezwała się raz do jednej ze swych przyjaciółek: »Czy sądzisz, że sobie co robię z tego kulaska?« i zraniony śmiertelnie, w nocy, cichaczem wymknął się z domu jej rodziców, gdzie bawił w gościnie. Głęboka uraza nie chciała się długi czas zagoić i jej to zawdzięcza poezya jednę z najpyszniejszych swych pereł, *Sen*, tłómaczony niezrównanie przez Mickiewicza. Minęły lata, młodzian stanął na ślubnym kobiercu z inną i

Pogląda na swą żonę, ale błędnym wzrokiem,
Powtarza jej przysięgi, których nie rozumie,
Z kim jest, gdzie jest, zapomniał w sprzecznych myśli tłumie,
Widzi tylko swą młodość, stary gmach, kaplicę,
I listek poszarpany — i swoją dziewicę.

W rzeczy samej otchłań smutku wieje w tem rymowanem, pełnem cichych jęków wspomnieniu.

A potem znów ci sami pisarze rozwodzą się szeroko nad innym dla miłości własnej poety bolesnym wypadkiem, jak go mianowicie wynicował *Przegląd Edynburski* za wiązankę drobniejszych poezyj, p. t. *Godziny wczasu (Hours of Idlness)*, gdzie dużo jest deklamacyj i czczej wymowy, ale nie brak silnego, snadź osobiście przebytego uczucia. Wiadomo, że po tym pierwszym, młodocianym występie, rozjuszony

lekceważącą oceną, która nie była wcale wyrazem nastroju ogólnego, — inni bowiem przyjęli zbiorek życzliwie, — poeta puścił w świat głośną satyrę *Bardowie angielscy* i *krytycy szkoccy*, tę samę, na której wzorował twórca *Pana Tadeusza* swą Odpowiedź *krytykom i recenzentom warszawskim*. Tam to z zajadłością i siłą, których nikt się w nim nie spodziewał, Byron poterał niemiłosiernie wierszokletów, co »robią poezye obok butów,« tkaczów, co zostają Pindarami, krawców, którym radzi, ażeby »podawali rachunki dłuższe od wierszy.« Wtedy Anglia zrozumiała, że ma do czynienia z lwiątkiem czystej krwi. O owej napaści *Przeglądu* mówi trafnie w swej rozprawie Karol Bleibtreu: Sie sollte der Schlag auf den Feuerstein werden... czyli niby przytknięciem lontu do prochu, i ona też miała rozstrzygnąć o jego zawodzie, »przedtem bowiem, chociaż klecił wiersze, nie uważał literatury za swe powołanie« [1]).

Wszystkie podobne wywody grzeszą tem, iż biorą skutek za przyczynę.

Właśnie dlatego Byron tak srodze brał do serca drwiny matki swej, swego młodzieńczego »ideału« Maryli Chaworth, właśnie dlatego tak strasznie odbolał zawód miłosny i krzywdę, wyrządzoną mu przez zarzynających pismaków, że był z urodzenia nadmiernie wrażliwym, ambitnym, próżnym, że przyniósł z sobą na świat wszystkie owe rodzaje dumy, od najniższych do najwyższych. Iluż to poczynających pisarzów odbiera chłostę, ilu kochliwców

[1]) *Geschichte der eng. Litteratur*, str. 168. Jakkolwiek Bleibtreu cierpi zupełnie i stanowczo na manię wielkości i bywa nieraz płytkim, to jednak studyum jego o Byronie, wyczerpujące, błyskotliwe, gruntowne i krwią serca pisane, należy do lepszych.

wzdycha napróżno, ilu garbusów i kuternogów staje się pośmiewiskiem gawiedzi, a przecież nie wyrastają na Byronów! Do tego trzeba mieć naturę Mickiewicza, Słowackiego, Heinego — ci wszyscy w swych bólach serdecznych znaleźli naprawdę głębokie, liryczne motywy.

Byron najoczywiściej urodził się dla siły, która niby czcza wola Hartmana, niby tchnienie Boże, unosiła się nad ziemią i czekała tylko wcielenia swego. Przynosił on dla niej doskonały grunt w burzliwej krwi, którą odziedziczył po przodkach, po ojcu, szalonym Jacku, dzikim marynarzu i pięknym uwodzicielu, po stryjecznym bracie ojca, który zabił w pojedynku Chawortha i chodził śród ludzi z piętnem Kaina na czole, stale przez nich unikany, — po matce wreszcie swojej. Po mieczu poeta wywodził się od awanturniczych Burunów (Ralph Burun), baronów z epoki Wilhelma Zdobywcy, po kądzieli spokrewniony był ze Stuartami — oto czynniki, które przedewszystkiem urobić musiały jego charakter.

Zastrzegamy się jednak, że nie kreślimy życiorysu. Dajemy jeno wyraz swej wierze, iż moc prometejska, wyłoniona przez koniec zeszłego i początek naszego wieku, znalazła wyborne, a gotowe naczynie w namiętnej duszy Byrona. To też wybrała ją sobie, jak lawa z wnętrza ziemi wybiera krater Wezuwiusza.

Żądza rozkoszy i użycia, łaknienie szczęścia dla siebie i innych, czyli ów drugi pierwiastek byronizmu sam przez się zrodzić musiał trzeci: melancholię. Wszędzie i zawsze tak bywało, że kto wstępował w życie z wygórowanemi pragnieniami i nadzieją, rychło wpadał w zadumę. Nawet człowiek prosty, bezmyślny i uległy tylko instynktom, gdy się zawiedzie

w oczekiwaniu miłej godziny, nagle zwraca się myślą w siebie samego, rozpamiętywa swój stan, szuka jego przyczyny, nabiera *samowiedzy*. Im kto więcej pożąda, tem boleśniej rozbijać się będzie o głazy rzeczywistości. Ztąd też natury bogate, namiętne, wrażliwe, są zarazem okazami głębokiej refleksyi, i takiej, podwójnej niemal świadomości, że potrafią wciąż mierzyć własne swe czucie, czy i o ile jest przyjemnem, czy i o ile bolesnem. Ta »wiedza siebie,« na którą utyskuje Manfred przed opatem, bywa i źródłem uniesień, bo dwoi, potraja rozkosz, — i źródłem cierpienia. A w każdym razie jest jasnością wzroku, który dociera z czasem do najdalszych przyczyn tego falowania ducha, — i bystrością rozumu, bo ten wprawiony na ciągłem rozważaniu poruszeń i drgań wewnętrznych, staje się giętkim, przytomnym wiecznie, żywym, śmiałym, nie cofa się przed żadną analizą. Zresztą jakaż analiza może być zuchwalszą nad rozbiór własnych stanów psychicznych? Jeżeli więc Byron doszedł do przeczenia dalej, niż Mefistofeles Goethego, to dzięki temu, że więcej od życia domagał się, że wchłonąwszy więcej popędów i aspiracyj czasu, — miał i więcej żaru w sobie, owego »ognia ducha,« o którym mówi w czwartej pieśni *Childe Harolda*. Wskutek tego większą być musiała jego samowiedza, odważniejszą refleksya, bardziej gorzkiemi rozczarowania, bardziej częstemi przesyty.

W takich razach usta szepcą skargę, a poeta gorycz swą wylewa na papier. Wtedy też opada człowieka zniechęcenie; zaczyna się na dwóch szalkach ważyć słodycze i piołuny. A gdy w chmurnej wyobraźni przeważą te ostatnie, sypie się na świat i ludzi klątwy i złorzeczenia. Rozpacz i gnuśność, pesymizm i nihilizm kolejno odbywają straż, która tem łatwiejszą

jest, im częściej rwąc się do rozkoszy natura, jak ćma nad świecą opali sobie skrzydła, albo zapomniawszy miary w wybryku zmysłów, zniży w sobie na jakiś czas skalę żywotności.

Lecz takie żale i skargi to słabość, a Byron był chodzącą egzaltacyą siły duchowej, którą, jak trafnie zauważył Lewes, wyposażał swych bohaterów w stopniu wyższym, niż ją sam posiadał?

To też jego upadek na duchu bywał raczej maską, niż prawdziwym stanem ducha, raczej zmyślonym i udanym, niż istotnym. Byron panował nad sobą i nie puszczał cugli żywiołom słabości i tak samo jak *William Lovell* Tiecka, jak *René* Chateaubrianda pozował, przed sobą i ludźmi grał rolę. Rzeczywisty ból ukrywał mistrzowsko, n. p. wtedy, gdy na wieść o zamążpójściu Maryli Chaworth'ównej, odparł z marmurowym chłodem: Więc cóż?

Duma i pogoń za szczęściem swojem i cudzem tak się przedziwnie w nim sprzęgały, że pozwoliły przypuszczać do niego szturm wszystkim złym demonom rozkładu, gnuśności, »katzenjamerowi«, radykalnej negacyi, przesytowi, bez szkody dla żywej, bujnej, wiecznie czynnej i czujnej, wiecznie wrażliwej natury.

Miała ona zupełne prawo mówić o sobie ustami Manfreda: »że była Krezusem w tworzeniu,« lub że »jego radość, boleść, namiętność, siła ducha, wszystko czyniło go cudzoziemcem świata zwykłych istot ludzkich.« *(Manfred*, akt II).

Tym sposobem z dwu zasadniczych ziaren, cudownie na siebie wzajem działających z mocy swego psychologicznego powinowactwa, wyrosła szeroko rozgałęziona twórczość, niby z dwu płonek, wielki, niebotyczny, tajemnic i mroku pełen bór. Splatając się z sobą, dały one całą nieskończoną gamę motywów

poetyckich, wybuchów, uczuć i myśli, gamę tak wielką, że cząstki jej, pojedyncze nawet tony nasyciły całe pokolenia poetów. Literatura podzieliła się nią, jak drogocennym eliksirem życia. *Toute la lyre*, jakby może powiedział Wiktor Hugo, mieściła się w owych dwóch potężnie brzmiących strunach: żądzy siły i szczęścia. Niepodobna wszystkich tych motywów wyłowić w zwięzłym szkicu, ale ważniejsze z nich odnajdziemy snadno w ważniejszych dziełach poety. Sądzimy, że w każdym da się odczuć powyższy rodowód.

III.

Prawda, że i asceta-Dante zaczął się kochać bardzo młodo i wcześnie miłosną swą karyerę zaczynali wszyscy wrażliwcy, ale nikt tak gwałtownie i silnie jak Byron. Maryla Chaworth miała w jego sercu już dwie poprzedniczki, Marylę Duff, którą pokochał mając lat 8 i Magorzatę Parker, którą wielbił w trzy lata potem. Późniejszych miłości jego nikt już nie zliczy, bo były między niemi przelotne i potajemne. W pielgrzymkach swych na południe i wschód zbierał je jak róże, niektóre zachowywał w zielniku, o innych zapominał. Jak pszczoła wysysał miód z kielichów kwietnych i odlatywał dalej. Głośnemi wszakże do dziś zostały takie stosunki, jak z panią Lamb, przed ożenieniem się z Anabellą Milbank-Noelówną, lub z hrabiną Guiccioli Gamba po rozwiedzeniu się. Przedtem jeszcze, w powrocie z pierwszej wędrówki, zawadził o Maltę, i tam składał amorowi ofiary wespół z Florentyną Smith. Również do historyi przeszła słynna wenecyanka Marianna Segati, żona kupca, u którego

najął mieszkanie, po drugim i ostatnim wyjeździe z ojczyzny. Maryanna miała piękne, czarne oczy antylopy [1]) i tak go namiętnością swą zjadała, że do swego przyjaciela Hobhouse'a, który czekał nań w Rzymie, pisał: »Chciałem był jechać z tobą, alem się zakochał i muszę czekać, aż to przejdzie.« A cóż dopiero mówić o »Fornarinie Byrona« Margueritie Cogni? Była to kobieta prosta, rezolutna, nawet dzika, usuwała z drogi wszystkie damy, będące na zawadzie. Kochała go jednak szalenie, a kiedy raz szczęśliwie wrócił z niebezpiecznej wycieczki morskiej, cieszyła się »jak tygrysica, gdy odzyskuje swoje kocięta« [2]).

Nieraz spotykamy po pismach obrazkowych wieńce kobiet Byrona. Składają się one z ośmiu, dziewięciu kwiatów; lecz ta określoność liczby ma w sobie coś naiwnego. Można wykazać ideały Goethego, ale nikt nie porachuje tryumfów naszego poety, który mógł ich, jak legendowy Don Juan, liczyć na setki. Dość przypomnieć sobie, że w pałacu swym weneckim na Canale Grande utrzymywał cały harem i gorszył świat rozpustą i wyuzdaniem. I byłoby to trwało długo, gdyby szczęśliwy traf nie zetknął go w roku 1819 w domu hrabiny Benzoni z młodziutką, szesnastoletnią żoną starego hrabiego Guiccioli, Teresą. Jej to sądzonem było wyrwać go z odmętu rujnujących ciało i ducha uciech i stać się potem dobrym aniołem stróżem poety i prawdziwą, jak zobaczymy, jego muzą. Wogóle mowa ludzka dotąd jeszcze nie posiada wyrazu na oznaczenie tej siły płomienia erotycznego, tej niespożytej zdolności kochania i budzenia w kobietach miłości, która trzymała w stanie ciągłego czucia sy-

[1]) Brandes, tom IV. Byron.

[2]) Cytata wzięta z listu poety do wydawcy Murraya.

stem nerwowy Byrona. Przebył on całe szczeblowanie gorączki serca i zmysłów, począwszy od idealnych, marzących porywów, w których ostatecznym celem pragnień jest pocałunek przy świetle księżyca, od owej »sielanki młodości,« gdzie najwyższym dowodem odwzajemnienia uczuć jest pukiel włosów, a kończąc na rozpasaniu, które boi się światła dziennego i każe się domyślać przeróżnych form i przypraw upojenia i szału. W końcu jednak i ten ogień zużył się i postarzył organizm poety. Sekcya pośmiertna znalazła w narządach starczy niemal uwiąd.

Nietylko jednak własna natura Byrona usposabiała go do hulanki i ucztowania w wesołem gronie pięknych kobiet. Miał on przed sobą zachęcający przykład angielskiej śmietanki; ta bowiem nie od owego roku, kiedy *Pall-Mall-Gazette* zerwała zasłonę ze skandalu i brudu, grzęźnie w skrytem wyuzdaniu, lecz już przed stu laty wydawała z siebie takie nadobne, ale i powaśnione z cnotą damy, jak donna Ineza z pierwszej lub księżna Fitz-Fulke z ostatniej pieśni Don Juana, albo wreszcie bohaterka *Beppa*. Tomasz Macaulay w swym szkicu o Byronie maluje dosadnie zepsucie obyczajów w ówczesnym Albionie i jego częste napady świętej zgrozy: »Zazwyczaj wszelkie uwiedzenia, rozwody i niesnaski rodzinne przechodzą bez zwrócenia na siebie szczególnej uwagi... Lecz raz na sześć, siedm lat cnota nasza staje się nagle wojowniczą.«

Tak mówi ziomek. Ale posłuchajmy dalszego ciągu, a poznamy jeszcze jednę sprężynę dandyzmu Byrona. »W takich razach wybiera się tego lub owego nieszczęśliwca, który pod żadnym względem nie jest występniejszym od stu innych, na kozła ofiarnego. Jeśli ma on dzieci, to mu się je odbiera (— vide Shelleya, *przyp. autora*), jeśli zajmuje jakie stanowisko,

utraca je; wyższe warstwy nie kłaniają mu się, niższe sykają i gwiżdżą nań.« Owoż Byron i wychował się śród bachanalii, przybranej w pozór nabożeństwa, i jako prześladowany za brak obłudy i szalbierstwa, znajdował w swych rodakach ostrogę do gorszenia ich. Nie dziw tedy, że jął uprawiać sułtaństwo już choćby dla idei samej, dla sztuki. Kochał i hulał jako potomek namiętnego rodu, jako dziecię wieku wyzwolonej i rozkiełznanej miłości, jako lord angielski i wreszcie jako satyr-faun, który rozmyślną sprośnością kłuje w oczy wszystkich policyantów pruderyi.

Rzecz prosta, iż w rzędzie tych przyczyn rej wodziła wrodzona skarbnica uczucia. Ażeby więc módz kochać swobodnie, »nie pod kontrolą duchowych celników« — słowa Heinego — wolał się przenieść na południe. Niema wątpliwości, że urok dobrowolnego wygnania pociągał Byrona i ważną w jego kolejach życia odgrywał rolę, ale z pewnością »ziemie słońca i miłości« były dlań magnesem i dla samego swego słońca i miłości.

O! kraju słoneczny,
Miłości! nim cię zapomnę, niech raczej
Zapomnę modlić się. (Don Juan, II).

Zaznał on jego działania w pierwszej swej młodzieńczej podróży i czuł jeszcze posmak szczęścia. Powtórnie więc mknął do Włoch, party przedewszystkiem tęsknotą za silniejszą, szczerszą, głębszą formą uczucia.

Każdy, kto nie jest nowicyuszem w sprawach miłości, wie dobrze, iż wielki, młodzieńczy, bogaty erotyzm, ma dar budzenia echa w sercu, dla którego pała, lub nawet w tem, którego podbić nie pragnie zgoła. Miarą potęgi miłosnej człowieka obok jego czułości na wdzięki jest także stopień wrażliwości, którą on wznieca. Uroda sama przez się nie wiele znaczy

w stosunkach płci do płci, jeśli jej nie przeduchowia, nie ogrzewa z wewnątrz wybitniejsza zdolność kochania. Nam, wykarmionym na nowożytnej psycho-fizyologii, trudno się co do tego łudzić. Lala z trocinami w piersiach zamiast płomiennego serca, może przewyższać harmonią kształtów Wenerę Melijską lub, jeśli jest mężczyzną, Apollina Belwederskiego, a jednak prawdziwego wybuchu nie spowoduje, lecz co najwyżej słomiany zapał. Owóż Byron był dziwnie dobrym przewodnikiem tej, jak powiada jego Mazepa, »siły iskry elektrycznej, co naraz w dwie dusze uderza,«

Są to te iskry mimowolne myśli
Z nagłej serc młodych burzy pryskające,
Co tworzą jakąś mowę dziwną, ciemną,
Mowę ognistą, wszechmocną, tajemną.
Łańcuch płomienny, co aż w dusze sięga
I bez ich woli serce z sercem sprzęga.

Swawolny żargon mówi dziś o lwach salonów i zjadaczach serc: »co spojrzy na kobietę, to trup.« Do Byrona określenie to stosuje się prawie ściśle. »A jako ptaszek, gdy go wąż urzecze, trzepoce skrzydłem, ale nie uciecze, tak widz, ujęty w sidła tego wzroku, chce i nie może rozerwać uroku,« taki sam — dopełnijmy te słowa z *Giaura* — los spotykał kobiety, którym poeta drogę zastąpił. Swego czasu mącił spokój płci pięknej widokiem swym Lamartine, gdy jako autor *Medytacyj* pokazał się w blasku sławy i piękności na salonach Paryża, Florencyi, Neapolu i Londynu; Shelley swemi wielkiemi oczyma anioła budził sensacyę; Alfred de Musset, spotkawszy się u Buloza, redaktora *Revue de deux mondes*, po wydrukowaniu *Rolli*, z Aurorą Dudevant, zdobył ją jednym zamachem, ale te i tym podobne nagłe olśnienia nie dają

przybliżonej nawet miary efektu, jaki sprawiał Byron i o sile miłości, którą dla niego pałano. Kochali się w nim zarówno mężczyzni, jak kobiety. Brandes przytacza słowa, jakiemi określa wrażenie swe na widok poety angielskiego Henryk Beyle, wcale do entuzyazmu nie skory: »Spotkałem się z lordem Byronem w teatrze La Scala (w Medyolanie); był w loży ministra de Brême... Nigdy w życiu mojem nie widziałem nic podobnie pięknego i wyrazistego... Dziś jeszcze szlachetna ta głowa wynurza się w mojej pamięci, gdy pomyślę, jaki to wyraz powinienby wielki malarz nadać geniuszowi... Nie zapomnę nigdy boskiego wyrazu jego twarzy...« [1]). Dla Teresy Guiccioli był on »ze swymi szlachetnymi rysami, dźwiękiem głosu i czarem owiewającym całą osobę — zjawiskiem, które przewyższało wszystko, co przedtem widziała.« Snadź zresztą i sam pan mąż musiał się sobie wydawać okrutnie nikłym wobec poety, skoro nietylko, że mu rycersko praw swoich ustąpił, lecz nawet jawną przyjaźń, a nawet serdeczność okazywał. Kiedy doszła Teresę żałobna wieść z Missolonghi, — a było wtedy już lat pięć od pierwszych uniesień miłosnych dla poety, — pisała do Tomasza Moore'a, że »duch szczęsny strącony w chwili najwyższej błogości z nieba na ziemię, nie mógłby uczuć tego bólu, jaki jej sercem targnął, bo... jedno jego spojrzenie było jej droższe nad wszelkie szczęście tego padołu.«

A stosunek ze znaną pięknością, Karoliną Lamb, gwałtowną i namiętną, czyż nie maluje dosadnie magicznego wpływu Byrona na kobiety? Kiedy zerwał on z nią za namową jej matki, strasznie zgorszonej, a może i dlatego, żeby utorować drogę zamiarowi

[1]) Tom IV, str. 491—492.

ożenienia się, pani Lamb wpadła w furyę. Chciała zabić jego i siebie; jego przy pomocy młodego panka, którego obrała swym rycerzem, a siebie nożycami, któremi poderżnęła sobie gardło. Wszakże oba te zamachy nie spowodowały ani jednej śmierci, lecz jedynie chęć zemsty. Wywarła ją więc opuszczona — w sposób właściwy niewiastom ambitnym i porywczym, to jest, obrzucając Byrona błotem potwarzy, w owej właśnie chwili, kiedy wszyscy tego błota łaknęli, jego widokiem i wonią napawając się, kiedy faryzeusze angielscy czyhali na kozła ofiarnego, o którym wspomina Macaulay. W powieści *Glenarvon* zrobiła zeń więc wcielenie »tysiąca grzechów,« ale mimo to między jej słowa i wiersze wkradły się tony miękkie, pieszczotliwe [1]). Znacznie już później w drodze między Londynem a Newstead, dziedzicznym kluczem poety, — do którego tak często zwraca się z czułością w swych *Godzinach wczasu*, — zetknęła się ona wypadkiem z konduktem pogrzebowym, a usłyszawszy na pytanie swoje, że to wiozą zwłoki Byrona, padła zemdlona, i jak widać z innych opowiadań, dostała obłędu...

Coś podobnego było z Małgorzatą Cogni w Wenecyi. Znudzony jej wścibstwem i natręctwem, poeta dał jej dymisyę. Przyjęła ją, ale zaraz potem skoczyła przez okno w morze. Co prawda i tym razem obeszło się bez końca tragicznego, uratowano ją bowiem.

Czy przy owem rozigraniu zmysłów, ich kaprysach, wybrykach i nadużyciach Byron zdolny był kochać poważnie, głęboko, czule i statecznie? Czy jego miłostki prócz słodkiego powabu sielanki lub pieprznego smaku orgij, nie miały w sobie nic z obowiązku wierności? Tylko ta znajomość natury ludzkiej, którą po-

[1]) Brandes. Tom IV, str. 434—435.

siadają stare kumoszki i wszelkie moralne pospólstwo, potrafiłaby dać na to odpowiedź przeczącą. Nie dla obrony, która, zdaniem naszem, równałaby się bezsensowi w stosunku do tego poety, jawnie i świadomie zuchwałego w obyczajach, lecz w imię prawdy *psychologicznej* należy kłaść niewiernym łopatą w głowę, że Byron łaknął nietylko połechtanek dla nerwów, lecz i trwałego a silnego przywiązania. Po rozwodzie z Bellą Noel, usiłował parę razy nawiązać zerwaną nić i wprawdzie nieraz boleśnie ją szpilkował, n. p. w postaci Donny Inezy, za suchość, matematyczną sztywność (twarz jej, choć niema, była jak wszechnica... Najmilszy był jej dział matematyki... *Don Juan* I), drewniany purytanizm, ale mimo to żal i tę sknota za utraconem gniazdem stale go trawiły. Rzewny, głęboki, nabrzmiały łzami wiersz *Bądź zdrowa (Farewell)* z niewymownym bólem potrąca o tę fatalną rozłąkę, o sieroctwo dziecka jego. Jest to rozrzewniona słabość, przyznanie się do winy, rozdzierająca serce elegia człowieka, który nad podobne rozstanie wolałby, jak mówi, śmierć. A zaś to, co czuł dla Teresy Gamby, było od początku do końca szlachetnym kruszcem ducha; przy niej i z nią był szczęśliwy, spokojny. Miała ona szczególny dar głaskania rozwichrzonych fal jego natury i dowiodła światu, że ten wyklęty, wygnany uwodziciel i »kazirodzca« umiał być tkliwym, czułym. Całą wzniosłością tego stosunku tchnie wyznanie, skreślone przezeń na egzemplarzu »Korynny,« którą razem czytali, w ślicznym wierszu: *Do Po,* w przypisaniu *Proroctwa Danta*, które, pełne proroczej grozy i polotu, wyśpiewał przez nią oskrzydlony.

Dowodów tych dosyć, choć możnaby łańcuch ich snuć bardzo długo. Wszystkie doby uczuciowe w dziejach Byrona, nawet te, które zwyczajny płomień krwi

sprowadzał, miały swoje momenta głębokiej przyjaźni, szacunku i wdzięczności. Sam nawet poeta chwilami okazywał coś w rodzaju żalu, że byt jego nie potoczył się równo i gładko u boku kochającej żony. Świadczy to wprawdzie, że nie znał siebie dokładnie, ale i o tem zarazem, że rwał się do t. z. cichego, domowego szczęścia. W wierszyku ulotnym: *Do pewnej damy*, oczywiście jednej z bogdanek młodości, mówi: »Gdyby twe losy z mojemi związano, jak mi się czasem w snach moich roiło, żadnychby szaleństw mi nie wytykano, bo nicby szczęścia mojego nie ćmiło.« To znowu we *Wspomnieniach młodości* boleje, »że nie ma ojca i nie zazna jego uścisku, więc nudno płynie życie, spragnione cieplejszych węzłów.«

A zatem skala, wolumin, że tak powiemy, miłości Byrona, były o tyle szerokie, o ile jej siła bezgraniczną. Oto, czego nas nauczyły dane z jego życia.

Jeśli się zwrócimy do utworów, to znajdziemy jedno i drugie podniesionem do bajecznej, niesłychanej ani przedtem ani potem w żadnej literaturze potęgi. Tu jeszcze bardziej wychyla się z ram nowożytny bożek miłości, amor i Bachus w jednej osobie. Dyszy ona ogniem w *Powieściach* wschodnich (Giaur, Narzeczona z Abydos, Korsarz-Lara, Oblężenie Koryntu), w pokrewnych im formą *Paryzynie* i *Mazepie*, omdlewa pieszczotą w *Don Juanie* (pieśń II), w cudnym romansie młodego hiszpana i boskiej Haidy, wybucha pożądaniem w zaklęciach i błaganiach sułtanki Gulbei, swawoli zdradą w *Beppie* i zabawie donny Julii z Juankiem, wzbija się ku obłokom idealną tęsknotą w *Niebie i ziemi*, dręczy się widmem popełnionej zbrodni w *Manfredzie*, rozmyśla nad sobą i swą znikomością w *Childe Haroldzie*, urąga światu swą siłą i stałością niezłomną w *Żalach Tassa*, sprośnie prze-

drwiwa siebie w co dziesiątej oktawie Don Juana, wzbierając samoparodyą, samoanalizą. Sam mityczny Cupido nie miał w kołczanie swym tylu strzał, ile ich posiada fantazya poety, ciągle podsycana zasobem miłości i lubieżności nieprawdopodobnym. Jakie tylko akcenta i odcienie posiadają jedna i druga, jakie tylko wzloty górne i pełzania po ziemi — wszystko to wygrał i ograł Byron z taką prawdą i szczerością, że zda się, iż każdy wiersz jest napęczniałą od gorącej krwi żyłą. Zgłębił on ten ocean wzdłuż i wszerz i poznał jego cuda i jego potwory, jego perły i gadziny. A ktoby chciał zebrać w jeden bukiet owe określenia i objawy miłości, cofnąłby się w połowie pracy, wobec ich ciżby.

Byron przeżył wszystko to, co odtworzył piórem. W XII pieśni Don Juana sam mówi: »Dziś powodzenia nie mam, lecz bajeczne miałem za młodu, kiedy są sukcesy konieczne!«

A oto dowody, jak rozległą była skala owej miłości, jak urozmaiconą i bogatą w odmiany. W *Wyspie* powiada:

Miłości droga
Prowadzi także do góry, do Boga;
Kto po niej kroczy, w kochanej istocie
Lepszą połowę widzi własnej duszy... (Pieśń II).

A w *Haroldzie* znów:

Miłości, ty nie jesteś ziemi uczestnikiem,
Niewidzialny Serafie! w ciebie wierzą wszędzie
Wiarą, której zranione serce męczennikiem... (Pieśń IV).

Ale prawdziwym hymnem czci Byron ową miłość w *Giaurze:*

Zaiste, miłość jest świętym pożarem,
Iskrą zatloną w ogniach nieśmiertelnych,
Aniołów dobrem, Wszechmocnego darem,
Balsamem rajskim dla serc skazitelnych.
Pobożność duszę w niebiosa porywa,
Ale z miłością niebo w duszę spływa!
Uczucie, które wytrawia wszystkie myśli plamy,
Uczucie, które bóstwem zapalamy.

Nawet sonety Petrarki do Laury nie drgają takiem namaszczeniem. Lecz nie kończy się tutaj na deklamacyi. Postacie Byrona tak samo kochają jak on miłość opiewa. Jego Tasso zgadza się »zgnić duchem swoim w zarażonem tchnieniu lochów,« urąga Lenorze, że się zżymała na zuchwalstwo wieszcza, »który wzniósł na nią oczy, nie mając korony na głowie,« a jednak ślubuje wielbić i miłować wiecznie:

Niech dręczą — takiej nie znajdą katuszy,
Coby twój obraz zatarła mi w duszy,
Szczęśliwa miłość kończy się przesytem,
Nieszczęsna taką zaś wiernością tchnie,
Że czucia mrą w jej ogniu niespożytym,
A wszystkie żądze w niej zlewają się,
Jak w mórz odmęcie rzeki wartkobieżne,
Jeno miłości głębie są bezbrzeżne.

O *Śnie* wyrzekł Goethe, iż warto nauczyć się angielskiego języka choćby po to, ażeby módz czytać w oryginale. Oto jaka *pasya* miłosna, przypominająca zwierzenia i skargi Gustawa, płonie tam:

Nie było w nim ducha,
Ona była mu duchem; głosu jej drżąc słucha,
Ona była mu głosem; on swych oczu nie ma,
Ona była mu okiem, bo ścigał oczyma
Jej spojrzenia i wszystkie oglądał przedmioty
W świetle od niej odbitem...

W *Paryzynie* miłość jest tak straszną, że »gdyby zwolnieć nie miała, wkrótceby szczęścia zniszczone nadmiarem, serca ich *własnym spłonęły pożarem.*« Selim modli się do swej Zulejki *(Narzeczona z Abydos)* i w prochu się tarza a na sam jej widok uczuwa w sobie moc olbrzyma. Jego hołd brzmi niemal po całem morzu Śródziemnem, jak gędźba Neptuna, zwołującego do stóp swych państwo trytonów i nereid. Jedna z dziewic śmiertelnych, rozkochana w duchu niebiańskim Azazielu *(Niebo i ziemia)*, woła, że »z nim bez bojaźni, może dzielić nawet wieczność kaźni.«

I choćby mię żmije wkoło
Opasały, — choćbyś w żmiję
Ty się zmienił, — ja wesoło
Cierpiałabym, i na szyję
Twą upadłszy, sama w sobie
Śród mąk, czułabym rozkosze:
Że je za miłość ku tobie
I razem z tobą ponoszę!

Stary, osiwiały Mazepa, opowiadając przy ognisku Karolowi XII o tem, jak przywiązany do grzbietu końskiego przez hajduków wojewody mknął przez step, wyznaje, że piękną wojewodzinę kocha jak za młodu, bo jego »miłość dzika, wrząca, ni w złem, ni w dobrem granic niemająca, w wściekłości nawet bojów nie ostyga.« W poezyach znów do Thyrzy sentyment mięknie, łagodnieje i roztapia się w »sen uwielbiony o gwiazdce, co chwilkę nad falami lśniła.« Kiedy srogi Lambro, wróciwszy z rozbojów morskich, zaskoczył Don Juana i córkę swą Haidę, tonących w idylli, chciał go zabić, lecz dziewczę własną piersią zasłoniło ukochanego. Wówczas słudzy porwali go i przedali na rynku niewolniczym, jej zaś z pękniętej żyły krew

się rzuciła ustami. Serce nie wytrzymało ciosu, z miłości i tęsknoty uschła, konając zwolna, mimo pieczę ojca i wszystkich wiernych. Rzezaniec próbował wyrwać ją z odrętwienia słodkiemi tonami harfy. Wtedy

Ona chudymi paluszkami w ścianę
Jęła w takt pukać. Zaśpiewał pieśń drugą,
Wymówił: miłość! Na to imię znane
Drgnęła; poczucie bytu świetlną smugą
W duszy mignęło — jeśli to być zwane
Może poczuciem. Z chmurnych oczu — strugą
Łzy popłynęły na zwiędłe jagody,
Jak z chmur, gdy spadną strumieniami wody.
(Pieśń IV, okt. 66).

Zarówno urywek ten, jak i cała sielanka, stanowią, zdaniem naszem, najcenniejszy klejnot erotyki zdrowej, klasycznej, w całej poezyi nowoczesnej. Gdyby Afrodyte pisała wiersze, nicby wspanialszego, bardziej świętego, czułego i namiętnego zarazem — nie stworzyła [1]).

Miłość Mazepy »ni w złem, ni w dobrem granic niemająca,« jest wierną podobizną miłości Byrona. Widzieliśmy ją w postaciach, które gmin nazwałby »dodatniemi,« bo mają w sobie dramat, tragedyę, liryzm. Lecz o wiele trudniej ogarnąć jednym rzutem oka całą pstrociznę i mnogość jej form wesołych. Na co tylko dyabli dowcip, zmysłowość, przekorny duch zdobyć się mogą, to wszystko dał poeta w swym *Beppie* i *Don Juanie*. Nie zawahał się — bah, od tego zaczął — przedstawić cnotliwej mężateczki, która kryjąc pod kołdrą młodego gaszka, z całą czelnością psy wiesza na małżonku swym, że ją podejrzewa

[1]) Nasza literatura dziś jeszcze nie wie, ile zyskała w świetnym, pełnym poezyi i muzyki przekładzie p. Edwarda Porębowicza.

o zdradę i wpada do sypialni dla zrobienia rewizyi. Ma odwagę pokazać nam, jak sułtanka — Putyfarowa kupuje Don Juana, przebranego w suknie kobiece, i robi mu scenę, że nie chce on, ot tak zaraz z miejsca, rozgorzeć dla niej chucią miłosną... Odsłania tajniki serca i dworu północnej władczyni, nowożytnej Semiramis, bo »w rzeczach owych ta cesarska wdówka była jak pierwsza lepsza pokojówka,« i daje poznać, jak urodziwy jej faworyt niknie w oczach pod ciężarem swego obowiązku... Wprowadza nas do seraju, każe się rozkoszować cudnemi ciałami hurysek, a między innemi śliczną Dudu, której za towarzyszkę nocy dano Juanka w stroju dziewczęcym; opowiada, jaki osobliwy miała wskutek tego sen i nawet jak raz krzyknęła boleśnie... Maluje niecierpliwość »wdów jeszcze krzepkich — w zdobytym przez Suwarowa Izmaile — co się skryły w cienie« (niestare wdowy są jak ptaki w klatce): »Kiedyż u licha zacznie się gwałcenie?...« Gdy bohater epopei wraca do rodzinnego kraju, zdaje się grozić mu straszliwa kara, w rodzaju widma komandora; w zamku lordostwa Amundeville coś po nocach włos mu zjeżą na głowie. Zrozpaczony zdobywa się raz na odwagę, chwyta pokutującego ducha i pod jego habitem znajduje — »dyszącą czarem rozkosznie przegiętą, zalotną księżnę Fitz-Fulke — uśmiechniętą.«

I to stanowi zakończenie! Jest ono tak znamienne, tak zestraja się z początkiem, tak z nim pospołu zaokrągla dzieło, że niepodobna nie zgodzić się z tymi, co uważają pieśń szesnastą za ostatnią z rozmysłu.

Jak się już wyżej rzekło, poeta psocił na złość fałszywej wstydliwości i płaszczykom cnoty i tej pobudki nie wolno w nim przegapiać. Ona to jest sprawczynią owych chochlikowych susów myśli, w których

Byron przędzie swą żartobliwą psychologię niewiary i wierności. Gęste race humoru na temat miłości, co przechodzi w małżeństwo, jak wino w ocet« (Don Juan III), rady, jak trzeba postępować z kobietą, by dojść od łyczka do rzemyczka (XI), żal, że miłość boi się kataru, kichnięcia, morskiej choroby, bólów żołądka, czerwonych oczów i czyszczących pigułek, — przeplatanie tęsknoty za lubą wymiotami, — te i tym podobne figle satyra wypływają w znacznej części ze swawoli, bądź też z przekory, bądź z filozofii *viveur'a*, który zgłębił tak dalece sztukę kochania, że może ją, jak w *Don Juanie*, wykładać innym, bądź ze sceptycyzmu, który przestał łudzić się w stosunku do kobiet i żadnej z nich nie wierzy. I w rzeczy samej niektóre uwagi swą trafnością i przedziwnie zwięzłą a dowcipną formułą zostawiają daleko poza sobą świetne aforyzmy Bourgeta, spisane w *Fizyologii miłości*. Trochę później na większą jeszcze skalę uprawiał Heine motyw parodyi, oraz kojarzenia szczytnych wzlotów z ich śmiesznością. Tak n. p. Marchese Gumpelino *(Italien)* również cudownie, gwoli komizmu, łączy w swej postaci wielki afekt z solą glauberską w kiszkach, jak Don Juan swe łzy rozłąki z objawami wielkich mdłości. Byron atoli jest twórcą, ojcem tej umyślnej profanacyi w poezyi. Raz nawet wykrzykuje:

> Miłości! nazwę cię bóstwem... niecnoty,
> Bo cię dyablicą zwać — nie mam ochoty. (D. Juan, p. II).

i tem daje poznać, że się, w jego pojęciu, z goryczą dla niej i pewną pogardą łączy pewna słabość; są to dlań istne kwiaty złego, trujące, ale ponętne. O ten ostatni szczegół chodzi nam tu właśnie; nie widzimy w Byronie kaznodziei tylko; naszem zdaniem, jeśli on

nawet *ridendo castigat mores*, to zarazem rozkoszuje się swymi obrazami, jak lubieżnik. Wszystkie one są zanadto zmysłowe, kuszące, *smaczne*, ażeby miały służyć do celów czysto moralnych. W *Dekameronie* czujemy daleko więc niewinności i arkadyjskiej naiwności niż w *Don Juanie*, którym niewątpliwie sam Boccacio zgorszyłby się. Poeta nasz lubi być Parnym *(La guerre des dieux)* w pomysłach, Pulcim — tłómaczy go zresztą — a w opisach nagości Corregiem lub Rubensem.

Nieopisaną zgrozę w ziomkach swoich budził poeta tą siłą namiętności. Jeszcze wprawdzie *Don Juana* nie był zaczął wtedy, gdy go zmuszono do ucieczki, ale swem zachowaniem się i wulkanicznem wyrzucaniem ognia w poezyach wschodnich zrodził podejrzenie, że jest do wszystkiego zdolnym. Hasło do napaści dały dzienniki z chwilą, gdy rozwód Byrona z żoną przestał być tajemnicą. Ponieważ istotny powód nie dał się ujawnić, Noelówna bowiem zawierzyła go tylko adwokatowi Lushingtonowi, który do samej śmierci sekretu nie zdradził, — więc na gruncie londyńskim urosła pogłoska, że autor Childe Harolda dopuścił się zbrodni kazirodztwa z siostrą swą, Augustą, poźniej żoną jego niewdzięcznego przyjaciela Leigh Hunta. Wrogo usposobiony Southey, którego Byron tak nieludzko unicestwił w swem *Widzeniu Sądu*, jak mógł, starał się go spotwarzać, ze świętem oburzeniem opowiadał, jakie to rozpustne życie prowadziła w Genewie sławna czwórka: Shelley z Godwinówną i Byron z panną Clairmont, jej kuzynką. Prasa jak sfora psów rzuciła się na imię poety i poświęcała nawet osobne łamy śledzeniu jego zdrożności i skandalików. Słowem i opinia i pojedyńcze brytany sprawiły swem ujadaniem — nie darmo mówi on, że »w Brytanii są

największe brytany« — że go wyklęto, lżono na ulicach, że kobiety mdlały świętobliwie na dźwięk jego imienia, i przyjęła się powszechnie niemal wiara, że Byron jest gorszym od Nerona, Kaliguli, Heliogabala, Henryka VIII [1]).

Wogóle to, co się działo podówczas w Anglii, opisać trudno, jeśli się nie ma chęci szafować tomami jak stronicami. Zwykła skóra wołowa nie starczyłaby. Dość powiedzieć, że mimo upływ całego niemal wieku i całą literaturę gruntownych [2]) obron, w oczach »brytanów,« dotąd Byron nie jest wolny od przypisanego mu grzechu. Mimo, że Anabella Noel, która pierwotnie dawała posłuch plotkom, obrażona i podrażniona przez byłego małżonka — żyła potem w przyjaźni z wspólniczką rzekomej potworności, mimo, że prawny jej doradca przed zgonem zeznał pod przysięgą, iż całkiem inny był powód rozejścia, mimo wreszcie krocie innych dowodów *contra*, oszczerstwo raz posiane, pleni się i nie daje z korzeniem wyrwać. Dyabeł, posławszy czarownicę Beecher Stowe [3]) w zastępstwie, dał jej dowództwo nad całą gromadą sekutnic i bajczarzów, którzy jak mogli najsumienniej, obryzgali błotem nienawistnego poetę-bohatera. W ich liczbie był też Hunt, autor paszkwilu, »psiak wypasiony, jak mówi Thomas Moore, odpadkami, które mu rzucał na ziemię lew.«

Najwięcej wszakże, zdaniem naszem, zawinili tutaj wielbiciele Byrona. Są oni, ryczałtem biorąc, bardziej gorliwi niż zręczni. Po co bronią go? W jakim celu i na jakiej zasadzie zaszczycają uwagą »owe głośne, zjadliwe potwarze, i podszepty hańbiące od kilku

[1]) Porównaj Brandesa. Tom IV. str. 447.

[2]) Zasługuje na wyróżnienie biografia Byrona, napisana przez Karola Elzego.

[3]) Autorkę *Chaty wuja Toma.*

nikczemnych, co jad dystylowany tłuszczy podawali« (*Childe Harold* — IV). Co upoważniać może krytyków, a więc estetyków i psychologów, do wglądania w sprawę natury czysto prywatnej i tak drażliwej, że jest ona nietykalną nawet z punktu widzenia ustaw karnych niektórych państw zachodnich? Dlaczegoż nie stawią pod pręgierzem, nie łamią kołem dekadentów i Catulle'a Mendes'a, który w oddzielnych romansach opiewa różne formy kazirodztwa? Pojmujemy, że można roztrząsać takie czyny, jak pobieranie przez Mirabeau żołdu od Ludwika XVI, lub przez Heinego — zasiłku od wrogiej jego ojczyźnie Francyi, ale wścibiać nos w kąty alkowy czyjejś! Żadnemu ze znawców życia i dzieł Byrona nie przychodzi do głowy wątpić bodaj chwilę o jego w tym wypadku niewinności, nawet taki oto starzec i idealista jak Maurycy Carriere, jednym tylko wierszem zbywa tę kwestyę [1]). Najmniej zaś taktu pisarskiego okazał największy dziś żarliwiec byronizmu, Bleibtreu, który zbija oskarżenie tego rodzaju danemi, że są one raczej jego wymownem poparciem. Po pierwsze bowiem zbyt bierze do serca intrygę i tem samem przyznaje jej ukośnie racyę bytu w rozprawach krytycznych. Powtóre zaś buduje całą swą filipikę na szczególe, iż pani Leigh, nazywając jednę z córek swych, zdumiewająco podobną temperamentem do Byrona i o tyleż różną od rodzeństwa, — mianowicie owę słynną Thyrzę-Medorę-Astarte Leigh, *córką Byrona*, nie dodała i *czyją jeszcze*. Innemi słowy: wspomniawszy, kto był jej ojcem, nie wyrzekła, bynajmniej, iż *sama* jej matką jest, a ztąd ma według Bleibtreu'a wypływać, że maleńka była poprostu jednem z nieprawych dzieci poety, wziętem na wycho-

[1]) Sztuka i literatura w XVIII i XIX w. T. II, str. 143.

wanie przez obowiązaną mu za wiele dobrodziejstw siostrę. Przyznaje więc autor niemiecki, że Leigh'owa miała u siebie dziecię Byrona i na czczych, własnych, niczem nie umocnionych domysłach kleci przypuszczenie, iż była to tylko opieka *ciotki*.

Najgorszy z pokątnych doradców nie zdobyłby się na tak smutny, za włosy wyciągnięty argument. (Gesch. d. engl. Litterat. 244—245, wogóle cały rozdział). Najzabawniejszem jest tutaj, że dla wyłuskania jądra prawdy, dosyć zrozumieć zjawisko względnie proste. Oto Byron w swoich *Tales* spowijał wybuchy miłosne w ściśle romantyczny pomrok zbrodni, zemsty, grabieży. A w *Manfredzie* pół katuszy jego płynie ztąd, że nie może wymodlić sobie przebaczenia u Astarty, którą kochał i miłością swą zabił. Za chwilę obejrzymy to zjawisko dokładniej — do czasu zaś niech wystarczy tu podkreślenie faktu, że kto paraduje zbrodnią, zdolny do niej już tem samem nie jest. I naodwrót, prawdziwy grzesznik sprawki swoje przed okiem ludzkiem chowa [1]).

Tym sposobem owo udawane »z Kainem braterstwo« (*Manfred*. Zaklęcie) wzięto za *poszlakę winy*, zamiast za najbardziej znamienny, dla psychologa nieoceniony *rys* fizyognomii Byrona. Jak u Leopardiego miłość ma za stałego towarzysza myśl o śmierci, bez której — dowodzi ten desperat — tamta istnieć wcale

---

[1]) Niewczesne orędownictwo Bleibtreu'a tem więcej jest śmiechu warte, że pisał on po Brandesie, który w tym przedmiocie zajął punkt widzenia, godny estetyka z szerszym na sprawy moralne poglądem. Zwraca on uwagę, bardzo słuszną, iż Byrona gniewała sprzeczność między cnotą urzędową a Starym Testamentem, który wywodzi ród ludzki z jednej rodziny, a więc tem samem przyjmuje kazirodztwo między bratem i siostrą. W *Kainie* też poeta umyślnie podanie to uszanował. Porównaj *Hauptströmungen*, t. IV, str. 472—474.

nie chce [1]), podobnie u Byrona, zwłaszcza młodego, jej satelitą bywa wojna, zdrada, mord, rozlew krwi, jej przyprawą smak zakazanego owocu. W Anglii dziś już tylko Algernon Swinburne tak kochać umie.

IV.

Poznaliśmy w drobnowidzowym skrócie obszar erotyki Byrona, zawarty między dwoma biegunami: idealną wyżyną i poziomym dołem zmysłów, oraz jej różne skale natężenia. Tyleż stopni i gatunków obejmuje druga z głównych jego namiętności, uwarunkowanych żądzą szczęścia i rozkoszy, *miłość własna.*

W przedmowie do *Godzin wczasu* zastrzega się on, iż nie myśli bynajmniej walczyć o lepsze ze »sławnymi bardami,« że nie żąda żadnej nagrody nad to, by go policzono między »tłum piszącej szlachty« (the mob of gentleman who write) i zapowiada, że to jego »pierwsza, ale i ostatnia próba.« Charakterystyczne są też *motta: Virginibus puerisque canto*, z Horacego, albo: »A w braku myśli, idąc, gwizdał sobie« z Drydena. Cała ta zbrojownia środków obronnych może oznaczać tylko jedno, że debiutant z drżeniem serca słał między ludzi swe »rozrywki« i że był chorobliwie ambitnym. Bo oto w parę miesięcy później używa już dewizy, nieco inaczej brzmiącej: »Wolałbym kotkiem być i krzyczeć miau! niż jednym z owej zgrai wierszokletów.« Wziął ją z Szekspira, a umieścił na czele przedmowy do *Bardów angielskich*, którą kończy również tonem cokolwiek mniej od dawnego pokornym:

[1]) *Amore e morte:* »Gdy zbudzą się nanowo w głębi serca — miłości drgnienia, które w niem drzemały, — wnet razem z niemi zjawia się — znużona życiem tęskota za zgonem.«

»Gdyby mi się udało zgnieść chociaż jednę z wężowych głów, miałbym się za nagrodzonego.« Ażali można tu zawołać: *O quantum mutatus ab illo!* Nigdy w życiu — to ten sam człowiek, jeno bez maski i złudzeń co do swego powołania. Wężami, jak łatwo zmiarkować, byli krytycy edynburscy. A dlaczego? Bo śmieli urazić początkującego autora, który zanim skosztował sławy, karmił się do syta, a nawet truł *próżnością*. To był pierwszy szczebelek, jak widzimy, niziuchny, jego pierwszej, »chorobliwie« wybujałej — ambicyi.

Jaefferson w swej głośnej książce *Prawdziwy lord Byron* mniema, że odziera go z uroku, gdy podkrada się do jego sypialni, gdy śledzi każdy krok w życiu prywatnem uczyniony, zwyczaje i nałogi, słabostki i kaprysy, i wskutek tego zapewnić nas może, że to nie taki znów ze spiżu odlany bohater, nie taki półbóg, we wszystkiem wspaniały, jak sądzą zapaleńcy. Literatura powinna być wdzięczną niewymownie Jaeffersonowi, że zajął wobec poety stanowisko badawczego lokaja, którego oczom żaden negliż i żaden »feler« nie ujdzie. Tym sposobem bowiem odsłonił nam człowieka nagiego i ukazał rysy, które znakomicie przyczyniają się do zrozumienia go w całej pełni.

Byron więc był próżnym, nawet co do swej urody. Chciał być efektownym i był nim. Gdy bawił w Wenecyi, głodził się nieraz, byleby nie dopuścić utycia, które mu groziło. Męki cierpiał z winy swej utykającej nogi. Same utwory świadczą, że lubił patrzyć w lustro, bo pewnie nie bez rozmysłu przedstawił takim samym swego ulubieńca i, jak zobaczymy dalej, sobowtóra — Sardanapala, który, już przywdziawszy zbroję, hełm i pancerz, każe sobie przez Sfera przynieść zwierciadło i z zadowoleniem przegląda się

w niem: *This cuirass fits me well, the baldric better* (akt III). Moment ten mówi sam za siebie: nawet idąc na bój, można dbać o swój wygląd.

Pysznił się też poeta swą zręcznością, odwagą i siłą:

Już wczesnym porankiem, z wiernym psem przy boku,
Ze szczytów na szczyty błądziłem swobodny,
Rzucałem się w Deę i fala mię niosła...

Tak opowiada w *Hours of Idleness*. Nawet śród górnolotnego patosu *Manfreda* wyrywa mu się włożona w usta juhasa pochwała dla jego własnych zalet turysty: »Przedziwnie, tyś na strzelca stworzon!« Rozkoszą dlań było »ostrem szczytu gór śnieżnych oddychać powietrzem, gdzie ptak się nie śmie gnieździć.« Nawet śród głębokiej melancholii *Childe Harolda* wspomina z dumą, że za młodu igrał sobie z oceanem, siadując na skale podwodnej, a »gdy burze w nią biły bałwany straszliwe, bojaźń dlań wdzięk miała.« W *Don Juanie* zaś mówi bez fałszywego wstydu:

Lekki, wytrwały, a zwinny
Przed Hellespontem-by nawet nie stchórzył,
Który przepłynął — pomnij, łaska czyja,
Leander, po nim pan Ekenhead i *ja*. (p. II).

Lecz Byronowi nie wystarcza posag naturalny; pragnie on zwracać na się oczy za wszelką cenę. Bywa oryginalnym, ekscentrycznym, byleby nań patrzono i mówiono o nim z podziwem, jako o czemś wyjątkowem. Wygwizdany przez *Edinburgh Review*, zrywa ze światem i żyje tylko w towarzystwie psa, Boatswaina, którego czci później pomnikiem i napisem, wysławiającym jego wyższość nad ludźmi. Zjechawszy

do ojczystego Newstead-Abbey, udaje, że ma harem [1]), choć ten składał się pono z jednej jedynej odaliski; pija wino z czaszki trupiej, i wnet pokrywa ją również stosownym napisem — ta słabość do napisów czyż nie jest w tych wypadkach charakterystyczną? W Londynie kochankę swą przebiera za chłopca i jawnie spaceruje z nią po ulicach, a zaś przedtem jeszcze używa do posług — oswojonego niedźwiedzia. Chyba że i jemu wzniósł nagrobek...

Faktem jest, że tylko jednostki prawdziwie oryginalne podlegają zarazem manii oryginalności. Kto nie ma własnej, odrębnej treści, a stanowi jeno cyfrę, numer w kole innych numerów, nie wie poprostu, czego dowodem i znamieniem jest oryginalność i wcale za nią nie goni. Jeśli więc Byron chełpi się w *Manfredzie*, że »od pierwszej młodości duch jego nie szedł nigdy ludzkich istot drogą, ni ludzkiemi oczyma na tę patrzył ziemię« i że był »ich świata cudzoziemcem,« to miał do tego pobudkę wewnętrzną w rzetelnem *poczuciu* swojej wyższości, które łaknęło, jak to zwykle bywa, jawnej, zewnętrznej niby przegrody między sobą a otoczeniem.

Skutkiem tego owa próżność miała i swoje tło głębsze. Poeta żądny był, — o tem wątpić może tylko naiwność, — oklasku nawet gminnego, osobliwie w chwilach zgody z ogółem, i wówczas też chciał być czarodziejem dla kobiet. Raz przez jednę z nich zraniony, tem żywiej czuł potrzebę zemsty i władzy nad niemi. Proszę pamiętać, że *żaden* z jego bohaterów nie skarży się na zdradę lub wiarołomstwo, owszem każdy zoso-

[1]) »Wyznać muszę z bezwstydu był to urwis znany, sprośnym grzechom i hucznym biesiadom oddany...« »Gdzie (w Newstead-Abbey) w przeszłości zabobon miał swój dom bezpieczny, dziś pafijskie dziewice znęcają uśmiechem.« Ch. Harold p. I.

bna wywiera na płci pięknej urok cheruba, kusi ją i podbija. Byron pasł swą wyobraźnię cudownemi zwycięstwami serca, jak nikt inny na świecie. Lecz jednocześnie rósł on we własnej samowiedzy, i pragnął sobie samemu wystawiać świadectwa potęgi. Z lubością patrzył na osłupiałe z podziwu narody i rozmarzone zachwytem kobiety — ale zarazem kochał się w tym wpływie magicznym dla samej jego idei. Podobnie jak miłość brał ogniem ciała i żarem ducha, tak samo ambicya jego głodną była i pozorów i zadowolenia wewnętrznego.

Żądza pierwszych jest kluczem do jego fanfaronady. Nie cofamy słowa, mimo głęboką i krzykliwą wiarę niektórych, jak n. p. Bleibtreu'a, że wszystko, czem paraduje poeta, z małemi wyjątkami tylko, płynie z głębi duszy. Zresztą Byron nie jest wynalazcą pozy; on ją tylko udoskonalił, przepoił dramatem i grozą, spotęgował jej urok, wlał w nią życie, wyższy w tem o całe niebo od Werthera, René'go lub Williama Lovella. Jak ten ostatni, — gra on rolę, ale nie świadomie, nie z takim chłodem względem własnego aktorstwa, nie z takiem okrucieństwem i cynizmem, jak bohater Tiecka, lecz szczerze, namiętnie, porwany, obałamucony i złudzony własną maską, własną grą, bo ona dawała upust bajecznemu nadmiarowi energii.

Byron użył wszystkich środków, jakiemi zawrócić można głowy ludziom wogóle i kobietom w szczególności. Radził się i krawców i fryzyerów i teatru z jednej, i wielkich duchów Grecyi z drugiej strony, chciał zdumiewać i siłą fizyczną i erudycyą.

Dwie jednak drogi wiodą najpewniej do umysłu i zwłaszcza serca słuchaczów i widzów wrażliwszych, a temi są: wzbudzanie litości i wzniecanie grozy. Dzi-

wactwo i cudactwo, któreśmy przed chwilą widzieli, są wstępem zarówno do tej jak i do tamtej, one bowiem rodzą ciekawość i podziw, te zwykłe kiełki przyszłej sympatyi.

Co się tyczy współczucia, to Byron krzesał je z mistrzowstwem i smakiem niezrównanym. Umiał się on skarżyć, jak nikt na świecie. Przejąć czytelnika dreszczem i trzymać go całemi godzinami w stanie żalu i zasępu — to dla niego fraszka. Wycisnąć z oczu łzę potrafi, ilekroć zechce. Ale to wirtuozostwo nie ma w sobie lodu Talmy, który na scenie między rozpaczne słowa Hamleta lub Lira, umiał wtrącać ordynarne wymysły lub tłuste dowcipki dla osób, stojących za kulisami. Nic podobnego — gdy Byron chmurzył swe czoło smutkiem lub nudą — to poprostu odświeżał w sobie cierpienie istotne, w którem nieraz cały się pławił. Był to stan w danej chwili urojony, echo przebytego bólu, ale przecie i echo jest wibracyą fal powietrznych i tak samo melancholia *Childe Harolda* jest wstrząśnieniem nerwów poety. Gra on po nich i bolesne prądy porusza, bo wie, że cierpienie to wytworność ducha, która sprawia, iż, jak mówi Heine, nawet pies cierpiący patrzy po ludzku prawie. Powtóre, bo ma w sobie za wiele uczucia i za poszeptem organizmu pragnie je w ten sposób zużyć. Dla silnych serc, mówi on gdzieś, sam spokój jest piekłem.

Wędrówki *Childe Harolda* są pełnym wyrazem tego smutku. Ludzie przedtem nie słyszeli tak rzewnie nastrojonej liry i takiej do głębi poruszającej muzyki. Nie powinno nas wcale dziwić, że pieśni I i II przywiezione z pierwszej wędrówki, zostały rozchwytane w lot. Śmietanka towarzystwa angielskiego dopadła do nich, jak spragnieni pielgrzymi do krynicy orze-

żwiającej wody. Byron, jak sam mawiał, obudził się pewnego ranka sławnym. Był to, jak słusznie mówi Brandes, najwyższy rozkwit dandyzmu, a więc ku melancholikowi, który zdradzał ukrytą siłę i niezwykłą żywotność, zwróciły się oczy mężczyzn i kobiet, jak ku najwyższemu wcieleniu modnego naonczas piękna i wdzięku. Wyrywano go sobie z rąk, otaczano w swej wyobraźni nimbem tajemniczych przygód i podbojów. Stał się w całem znaczeniu tego wyrazu ideałem poety i ideałem człowieka »interesującego.« Paniom serce biło na samą myśl, że go obaczą, albo nawet siedzieć przy nim będą. Zresztą potrzebaż takich dowodów, skoro promienie czaru Harolda przeniknęły aż na daleki wschód, na północ i południe? Nieszczęśliwy, zblazowany lew salonowy magnetyzował Europę i zbudził naśladownictwo, które go obdarzyło nielicznem rodzeństwem, Rollą, Dziecięciem wieku, Eugeniuszem Onieginem (Puszkina) i Pieczorynem (Lermontowa) i setką drobiazgu.

Smutek i tęsknota spowijają całego Harolda szlachetną niebieskawą mgłą. Niema w literaturze poematu podobnych rozmiarów, któryby tak cały nasiąknięty był żałością. Tęsknica wybiega tam w dalekie dzieje i w odległe jutro i łączy się z niemi, jak załzawione oko marzyciela łączy się świetlną smugą z płomieniem lampy. Tchnienie szerokiej jak świat elegii unosi się nad zwaliskami i ruinami, po niebie lazurowem, lądach i morzach. Ale ta zaduma i bezwład sieroty, co błądzi po cmentarzach, kryją w sobie moc, która wybucha raz po raz zapałem dla bohaterów, uwielbieniem dla cnoty, zgrzytem złości dla głupców i niegodziwców. To nie miękki, płaczliwy liryzm Lamartine'a, lecz dramatyczna groza Izajasza, lub ogromny żal Jeremiasza. Osobiste żale poety zamieniły się

w cenne ramy, które wypełnia coraz to inne o szerokim i głębokim temacie płótno z historyi wielkich ludów zachodu i południa, lub też wspaniały krajobraz gór, rzek, mórz i miast żywych i umarłych. Podmiotowość zatem Harolda była oprawą dla bogatej, iście krezusowej treści. Ilekroć zaś wracał on, wyolbrzymiały wchłoniętym widokiem lub wspomnieniem, do własnego bólu, harfa wydawała tony rozdzierające. Mickiewicz, wyrecytowawszy raz słynne »Pożegnanie,« padł bez zmysłów. W rzeczy samej bezmiar smutku wieje z tej pieśni giermka, sieroty i wygnańca. Do tych dwóch tonów minorowych Byron dodawał jeszcze kilka: nudę, przesyt, uczucie pustki i starości:

Płyńcie chyżo żywota godziny jałowe,
Kiedy czas z wszelkich uciech otarł moje życie
I chmurami starości skrył dnie porankowe.
(P. II, strofa XCVIII).

W niezrównanym wierszu *Do Inezy* widać całą egzaltacyę; chce tam poeta uchodzić za męczennika i każdym wierszem wybornie portretuje siebie. N. p.:

Ty się uśmiechasz do smętnej skroni,
Uśmiechu jednak nie wzbudzisz we mnie,
Niechaj cię niebo od łez uchroni,
Od łez, co padać muszą daremnie.

Potem znów mówi o tajemnych bólach, trujących wiek jego młody, zapewnia, że nie nurtuje go żądza dostojeństw płocha, lecz nuda, która sprawia, że nawet w pięknościach dlań rozkosz nie błyska. Pierś jego dręczy ból judzkiego Kaina, i goni go wszędzie myśl jego — szatan, rdza życia, niech więc luba nie zaziera do toni serca, bo tam wre piekło. Dziwnie śmiałą i ryzykowną była ta poza i dziwnie sprzeczną z wieloma

strofami sąsiedniemi. Tu zaręcza Inezie, że nawet ona nie da osłody jego niedolom i lituje się nad nią, a gdzieindziej znów przyznaje, że »nie był zimny na powabne lice« (LXXXIII). W każdym razie okropnie lubił udawać obojętność (LXXXIII), choć uzasadniał ją filozoficznie. Byron też jest pierwszym z tych, co w kwiecie wieku skarżą się na starość i kokietują tem miękkie serduszka. Manfred powiada: »człowieku, przeżyłem lat wiele — długich, długich lat,« a Strzelec na to odpowiada: »Jakto? ledwie że męskie dojrzały ci lata, jam daleko jest starszy!« »Więc mniemasz, że życie od czasu tu zawisło?« — Jaka to znamienna nuta!

Często też z cichym i tu już prawdziwym smukiem wspomina błogie chwile pierwszej młodości, przyjaciół, krewnych, kochanki, żyje w ich gronie, a od świata ucieka, stroni od zabaw, śpiewów i tańców, choć... z wielką satysfakcyą patrzy na nie i przysłuchuje się, okiem i uchem artysty, który się zna na ekspresyi i temperamencie ludów południa (LXXII), ażeby wtrącić znów niewiarogodny okrzyk w rodzaju tego:

O gdybym mógł zamieszkać jaką pustą ziemię
Pod strażą opiekuńczą anioła pięknego!

To znów zazdrości tym, »co Bogu poświęcili życie i na Atos samotnej górze zamieszkali.« Jednak nie jest jeszcze krańcowym w swej mizantropii, zastrzega się, że kochałby owego anioła opiekuńczego, »bez nienawiści świata« i »szedł patrzyć, gdy go huczna przywoła biesiada, bez odludka gniewu.«

Temi zastrzeżeniami Byron do reszty podrywa u nas wiarę w swą chęć i zdolność wystarczania so-

bie. Zapewne, siłą woli mógłby się zmusić do tego, ale natura jego, niesłychanie prężna i żywotna, była nagromadzonym cieplikiem, ustawicznie do rozpromieniowania się gotowym. Zbiegały się w nim nici miliona sympatyj i antypatyj; był on, jak raz wyrzekł Turgienjew o Bielińskim — znakomitym krytyku ruskim — człowiekiem *centralnym*. Ażeby więc módz się odosobnić, musiałby on wykroić sobie najpierw mnóstwo ośrodków mózgowych, a kiedy mówi o sobie, że »lew jest samotnym — a on również,« że »nie chce mięszać się z trzodą, bodaj w roli przewodnika« (Manfred, akt III), to zadaje naiwny kłam swej psychicznej istocie, albo też błędnie uważa brak bliźnich po duchu za coś jednoznacznego z obywaniem się bez ludzi. Co innego, gdy zapewnia w swej *Aspazyi* o zamiłowaniu samotności zgnębiony, chory, bezsilny Leopardi — wtedy wierzymy, że nie mogąc być kochanym, wytrącony z koła jako tako szczęśliwych, woli pustą wydmę u stóp wulkanu *(Kwiaty pustyni)*, niż gwar tłumów.

V.

Nieraz Byron czuł się upokorzonym, rozbitym, osłabłym i zanim geniusz jego wzmógł się do hydroburczej siły Herkulesa, nie mógł nie uledz gadzinom.

Padalca, co się w wrzosach wije,
Uśmiercisz może zdradnie,
Lecz jak udusisz jadowitą żmiję,
Gdy się do serca wkradnie?

Zapytuje w jednej z *Melodyj hebrajskich;* tą żmiją były nadwrażliwe nerwy i nienormalna owa siła

czucia, co to zawsze powala człowieka na ziemię, wyczerpując poprostu opór ciała. (Takie to chwile wyzyskała tępota krytyczna, ażeby nazwać go kobiecomiękkim). Lecz szybko przedzierzgał się wtedy w inną, właściwszą dla siebie skórę, pojmując coraz lepiej, że żywiołem jego — budzić *grozę*, a nie litość. Wówczas — a momenty takie zamieniły się potem w stały podkład duchowy — już nie ciągnął ku sobie głosem syreny, łaskoczącym ucho, ale magnetyzował urokiem heroicznej siły. Nie był to już słodki lubczyk poezyi, ale coś w rodzaju trucizny, odurzający haszysz, piorunowa potęga rozkiełznanych instynktów. Nie miał on zapewne takich ponurych wspomnień jak *Giaur*, który galeryę czułych i bohaterskich gwałtowników rozpoczął, ale sam był w podobnych widmach rozkochany i tak je opisywał, że innych sobie i im zniewalał. Angielskie *miss* i *ladies* nie wątpiły zresztą ani na chwilę, że Byron niczem się od Giaura, Korsarza, Solima z *Narzeczonej*, Alpa z *Oblężenia Koryntu* i podstępnego zbójcy — Lary nie różni.

Poematami wschodnimi Byron swego celu dopiął. Żądzę najwyższej mocy ziemskiej w nie wcielił. Każdy z tych jej wizerunków dokazuje cudów męstwa i waleczności. Giaur chodzi przybity ogromem tajemnej boleści, chełpi się jednak:

> Niech mam przed sobą kochankę lub wroga,
> Choćby mi groził i miecz i pożoga,
> Gdy serce mścić się lub bronić rozkaże,
> Na miecz i ogień jeszcze się odważę.

I tak samo jego koledzy z innych *tales*'ów; są to wodzowie, ważący się na wyprawy szalone, mściciele nietrwożni, niezlęknieni. Kochanek Paryzyny nie pozwala zasłonić oczów, gdy ma dać głowę pod miecz.

»Jemuż to będzie, jemu kat ubliżał, jegoż to męstwo tą zasłoną zniżał! Zadrżał-że kiedy przed śmierci widokiem,« a potem »Uderz, zakrzyknie — i w tej samej chwili klęka i śmiało nad pniem głowę chyli.« Przytem mają świadomość swej siły, a poeta naiwnym dosyć zwrotem sam wychwala tę dumę i rozkazującą postawę; »patrz, mówi o Korsarzu,

Jak się dziko groźna brew nachmurza,
Gdy każdym nerwem wnętrzna miota burza.
Patrz w jego wzroku na szaleństwo ducha!
Iskrzy, mgli, krzepnie i znów ogniem bucha.
Patrz, jeśli zniesiesz widok tej katuszy.«

Podobnież prezentuje *Larę*, co ma »dla pochwał wyniosłą wzgardę, ruchy sztywne, pozór mrożący chłodem, oko dziwne, które ciskając zda się błyskawice, w najskrytszych myśli sięga tajemnice.« Temi samemi słowy opiewa innych, tak zawsze wierny pewnym rysom, jak gdyby sobie z góry naszkicował szablon, lub jak gdyby podawał odbitki fotograficzne jednej i tej samej postaci, ale w różnych pozach. Staje się przez to dla nas, nie łakomych już na ten wschodni bandytyzm, monotonnym [1]).

Lecz »ten szał pychy, co pierś jego zapalał i jak płomienny potok serce zalał *(Oblężenie Koryntu)* zostawiał jeszcze Byrona głodnym, — głodnym siły o jeden stopień wyższej: *demonicznej.*

Owi awanturnicy są czemś mniej lub więcej, niż ludźmi — są dyabłami. Przed Giaurem

. . . . wpół-trwożny braciszek umyka,
Kiedy samego przypadkiem spotyka;

[1]) W tem miejscu pozwalamy sobie odesłać czytelnika do książki naszej p. t. »Byron — w urywkach,« gdzie w rozdziale: »Poeta dumy i cierpienia« zebrane są ważniejsze z tych stereotypów.

Bo on swym wzrokiem i gorzkim uśmiechem
Zaraża wszystkich boleścią i grzechem.

Podobnież i Korsarza wzrok

. . . . śmiałość dostrzegacza gromi,
A i któż wzajem oka mu dotrzyma,
Gdy nań raz w pełni zaiskrzy oczyma?

A co »wzbudza tę cześć, posłuszeństwo? Potęga myśli, duszy *czarnoksięstwo!*« Tak samo, gdy na Larę »lękliwsi spojrzą trafem, drżą przed jego wzrokiem dziwnym — zimno osłupiałym i szepcą o nim coś sobie ukradkiem.«

Byron chciał tedy rzucać czar, urok szatański, samem groźnem zmarszczeniem brwi, które w całym tym cyklu jego dzieł odgrywają rolę, zaprawdę, nieco za wybitną. Słuszność jednak wyznać każe, że jego potępieńcy-bohaterowie umieją być złymi duchami nietylko przy pomocy wzroku, lecz i czynem i słowem. Potrafią nie cofnąć się, jak Alp, przed zdradą własnej ojczyzny i wydać ją na łup muzułmańskiej dziczy, dlatego, że ich miłości nie przyjęto. Tak właśnie ginie Korynt, z wodzem swym Minottim i córką jego Franciszką, którzy woleli wylecieć z twierdzą w powietrze, niż poddać się renegatowi; ten ginie od kuli, za karę grzechów swych niepogodzony nawet z Bogiem. A zaś Giaur, mimo że wstąpił do klasztoru, urąga praktykom pobożnym, a jeśli dał skarb na kościół, to z pychy; gdy bowiem »wszyscy uklękli, Sakrament wzniesiono, on stoi jak posąg.«

Słowem, nieczysta siła w nich siedzi. Korsarz ma przeszłość czarną, jak piekło. Kiedy wraca na Zachód, do ojczystych stron, przemieniony w hrabiego Larę, Ezzelin, znający go zkądsiś, może jako dawny

jeniec lub ofiara morskiego zbója, żąda odeń w imię towarzystwa, do którego należy, aby wyznał, kim jest i kim był. Lecz przed przybyciem na wiec sąsiadów, graf zgładził potajemnie swego oskarżyciela sposobem, którego użył potem Malczeski dla wyjaśnienia śmierci Maryi. Mścicielem Ezzelina staje się Otto, lecz wyzwany zuchwale, pada, ciężko ranny od szpady Lary, któremu podczas walki »czoło barwiło się czarnością, *demonom* podobną.« Zwycięzca opuścił plac boju, zimny jak marmur, uspokojony po wściekłej nienawiści, którą dyszał cały. Potem staje na czele ludu, który buntem chciał wywalczyć sobie wolność i ginie w utarczce śmiercią mężnych. Już wydaje ostatnie tchnienie, a jeszcze ma siłę odtrącić z szyderczym uśmiechem podany sobie przez Kaleda krucyfiks.

W *Larze* tak dziwnie się zespala ambicya złego ducha, upadłego anioła, opozycya względem panów, przez których wzgardzony został demokratyzm, że trudno nie widzieć w nim samego Byrona. Konając, Lara ostatnim ruchem ręki wskazuje z miłością na Wschód; przy nim zaś we łzach tonie paź jego, lub raczej cudowne dziewczę za pazia przebrane, oczywiście to samo, które poecie w takimże kostiumie przez parę lat (od roku 1806 do 1809) towarzyszyło. Urok niewysłowiony, smutek bezmierny owiewa dziś jeszcze to dzieło egzaltowane, romantyczne, a przecież tak szczere, jękami duszy wyśpiewane, która szamotała się w marzeniach i żądzy siły demonicznej, wezbrana tęsknotą, żalem i porywem.

W *Larze* też najjaskrawiej występują inne cechy satanizmu: tajemniczy mrok, otulający przeszłość tych wyłonionych z mózgu Byrona sobowtórów. W krwawej mgle tajemnic każdy z nich chodzi. »Biada temu, kto ośmieli się przeniknąć je — zdają się mówić do

ludzi — spotka was los Ezzelina i Ottona.« Mówią też oni słowami Giaura: »Niech mię dziś jeszcze poruszy przedmiot, prawdziwie godny mojej duszy« — a dowiodę, że umiem być wspaniałym jak król, tkliwym jak matka nad kołyską dziecka, szlachetnym obrońcą uciśnionych — naturalnie zawsze na tle zawodu i żywota zbrodniczego.

Demonizm ten nie cofa się przed najgorszymi swemi wynikami. Poeta upaja się słodkim jego jadem i sam osobiście a chętnie ściąga na siebie podejrzenie zbrodni. Otacza się również tajemnicą i pragnie, żeby ludziska samotność jego i pobyt na obczyźnie wypełniali marami.

W Manfredzie raz po raz wspomina o swych »mnogich zbrodniach,« za które nawet jeden z duchów państwa podziemnego chce jego duszę zagarnąć, mówi o swych »czynach, co zmieniły mu dni i noce w nigdy nieprzebyte, nieskończone«. W klątwie, którą nań rzuca wróżka, nagromadzony jest stek ohyd i potworności, mających stanowić podobiznę Manfreda-Byrona.

Przez te bezdenne zdrad twoich głębiny,
Przez ten lód serca i uśmiech gadziny,
Przez te kłamane okiem twojem cnoty,
Przez wszystkie duszy twej fałsze, sromoty,
Przez zbrodnie, w pozór ludzkości przybrane,
Przez to tak sztuczne, dokładne oszczerstwo,
Przez te rozkosze, z cudzych mąk wyssane,
Przez to okropne z Kainem braterstwo *(excusez du peu!)*
Wzywam, zarzekam i przeklinam ciebie,
Zostań sam piekłem dla siebie!

Zdawałoby się chwilami, że zazdrości wątpliwych laurów Herostratowi, i wprawdzie w swej czci dla starej Hellady nie byłby zdolnym do spalenia świątyni Dyany, ale może zburzyłby coś cennego lub kogoś

uśmiercił, byleby mówiono o tem i nadewszystko gorszono się. Chciał być biesem, o ile tylko na to pozwala układ społeczny, który Herostratów tak bardzo znów nie toleruje. I oto mamy w nim ową tak zwaną fanfaronadę zbrodni, jakieś *à rebours* powszedniej moralności. Nie chcą jej widzieć zapamiętali byroniści, bo ona tak blizko sąsiaduje z blagą, a więc czemś wstrętnem, — ale niech pomną, że to, co francuzcy dekadenci nazywają *je m'en fiche*, jest blagą gatunku o wiele pośledniejszego, że każde zgoła »na złość« i »na przekór« romantyków, nie wyłączając szkarłatnej kamizelki Teofila Gautiera, jest ze stanowiska dzisiejszego, pozą, fanfaronadą. Jeno nie byle kiep może się na nią odważyć; bywa ona zwykle uniformem błyskotliwym i nieraz śmiesznym indywidualizmu, lub nawet idej wyższych, a nie zgodnych z tradycyą lub gustami filistrów [1]).

Byron nie mógł nie wiedzieć, że Giaur, Korsarz, Lara, Paryzyna, przygotują w opinii grunt do wiary, iż Manfreda straszne wyrzuty sumienia miały swą podstawę realną, że on naprawdę kochankę swą zabił, choć »nie ręką, lecz sercem, co strzaskało jej serce«. Jego częste aluzye do śmiertelnego jakiegoś grzechu tak dalece w jego naturze samej leżą, że i Elze i *Quarterly Review* [2]) w sławnym swym artykule z r. 1869 wprost podają je nawet za przyczynę jego prawdzi-

---

[1]) W ładnem swem, odczutem studyum o Byronie (Dodatek miesięczny *Przeglądu tyg.* z r. 1888) p. Ignacy Matuszewski »zaprzecza stanowczo« owej fanfaronadzie. W tym jak i w wielu innych punktach krytyk ten zanadto ulega szkodliwemu wpływowi Bleibtreua i z prawdziwą szkodą dla przedmiotu, bo przy gruntownej p. M. wiedzy staćby go chyba było i na własne poglądy.

[2]) Pod wpływem przekonywających wywodów tej pracy, utarła się też raz na zawsze pewność, iż owa niby zabita przez Byrona ko-

wych nieszczęść. »Jego monomanią — czytamy w owem czasopismie — było uchodzić za niemożliwego grzesznika, jak monomanią jej — za niemożliwą świętą«. W takich warunkach zgoda była dosyć trudną. Takich następstw pewnie djabelstwem zrodzić nie pragnął, ale osiągnął inne, które jego miłość własną ogromnie łechtały. Zbudził grozę i zgrozę nawet w Lamartine'ie, który, sam chwilami odważniejszy myślą, truchlał jednak przed wcielonym szatanem z za morza; przed tym, co »chciał być zbuntowanym Lucyperem, parodjować miłość, geniusz i ludzkość« — tak prawi, w przypisku do *L'homme,* jeśli nas pamięć nie myli. — Cierpi on na widok wieszcza, »co poezyę, ten hymn ziemi, zrobił szydercą cnoty, wiary, ideału«, pisze doń odę, ale boi się zbliżyć i pieśniom jego opędza się jak czarom.

Ale demonizm nie był ostatnim kresem zapędów miłości własnej. Płoszyć sen z czoła kobiet i mężczyzn i nawet ludzi niezwykłych, nie zadawalało Byrona. Niepohamowany w żądzy siły, zapragnął zmierzyć się z duchami nadziemskimi, *nawet z bogami*, i na krnąbrność tę odważył się w *Manfredzie.*

Dziwny ten poemat odznacza się przedewszystkiem chaosem i bezładem. Hypokondrya, której się dopatrzył Goethe w tej nowej postaci Fausta, wyziera nietylko z bohatera, ale z ogólnej nerwowości układu. Poeta połączył w swym ulubieńcu i zebrał co tylko mógł, a więc zarówno cechy zgodne, jak i wręcz sobie sprzeczne. Zrobił zeń mędrca, który na wzór właśnie Fausta, zagrzebuje się w szpargałach, kościotrupach i tyglach, ale zarazem artystę, który więcej niż

chanka, owa Thyrza i Astarte była uderzająco do niego podobną dziewczyną, o której mowa wyżej z powodu Kaleda. Jest ona takim posępnie tajemniczym motywem Byrona, jak »umarła Marya« w *Italien* Heinego.

widoku macierzy bytu, łaknie klucza do zagadki wiekuistego piękna, tej »złotej tajemnicy«, którą grecy nazywali καλον. Co zaś ważniejsza, zlał z niemi w tej samej osobie zbrodniarza. Manfred zaczyna od sarkania na nauki i filozofię, tę »fraszkę najgłupszą z wszystkich naszych bawideł i najbardziej czczy wyraz szkolnej gadaniny«, a potem jak gdyby zapomina o swem powołaniu i męce wiedzy, ażeby utonąć w rozpaczy, że zabił Astartę, i tylko błagać ją o przebaczenie i śmierć. Zmienia się więc w biegu dramatu powód katuszy i z Faustowskiego staje się czysto Kainowym.

Ale mimo tę różnolitość motywów i naciąganą ich spójnię, natura własna poety wdarłszy się w nie, przenika wszystkie jednem uczuciem: wybujałej nad wyraz i możliwe granice dumy. Wszystkie jej pierwiastki stanęły tu do apelu: i pycha błękitnej krwi, i próżność odważnego turysty, i »lew« i »drapieżny ptak« i wyjątkowość umysłu i bezwarunkowa odrębność losu i całkiem niebywały rodzaj i stopień bólu i cierpienia i zgoła jedyny gatunek szczęścia, będący właściwie ukochaniem swego nieszczęścia. Przyznać jednak trzeba, że w tej ciżbie tytułów do sławy prym trzyma męczeństwo. Jest ono — głównie z winy udręczeń sumienia — tak okropne, że nieraz »zgrzytał zębami przez całą noc do rana, przeklinał siebie aż do słońca zachodu; jak o łaskę niebios, żebrał o szaleństwo — i dać go nie chciały. Szukał wszędzie śmierci, lecz w szturmie żywiołów, wody się jak zaklęte cofały przed nim«. Gdzieindziej znów skarży się:

Dni moje tak podobne sobie,
Jakby piasek nad morzem — niezliczne atomy,
Pustynia płonna, zimna, ciągle morzem bita
I na której nic niema, prócz skał, trupów, szczątków
Rozbicia — i nasiąkłych solą zielsk goryczy.

Nosi on w sobie takie męczarnie, że męki piekła, któremi grozi mu jeden z duchów, zwiększyćby jej nie mogły.

Tym sposobem Manfred oddala się zupełnie od Fausta. Nie nudzi się on jak tamten zawodem uczonego, ale męczy zmorami występku. Nie o rozkosz, nie o »zielone drzewo życia na tle szarej teoryi« błaga, lecz o śmierć i daje dowód, że szuka jej. Jego istota to nie *czczość*, *pustka*, lecz naodwrót, *nadmiar treści*. W treści tej, nurtującej wnętrze Manfreda, przeważają wprawdzie ostre noże cierpienia, ale dokoła nich szarpią go i głuche porywy, zbytek siły fizycznej i umysłowej. Łono jego jest jak wypełniony parą kocioł, który w braku klapy bezpieczeństwa, pęka, wybucha i rozpryskuje się. Nie mogło to mieć miejsca u Fausta, szczerze i niewinnie reagującego nawet na słodki dźwięk sygnaturki.

Ten to nadmiar żywotności i pragnień rodzi nadmiar samowiedzy i chorobliwe poczucie różnicy między własnem ja a resztą ludzi, bah, nawet resztą wszelakich wogóle duchów, jakikolwiek będzie ich rodowód. Ból — to siła, daje poznać niedwuznacznie Manfred, bo »w rzeczywistem życiu znosi on to, czegoby inni w śnie nawet nie znieśli — zabiłby ich sen taki«. To też rzuca on popłoch na całą gminę duchów Arymana; nie chce poddać się ich rozkazom nawet wtedy, kiedy zdrowy rozsądek dyktowałby bezwzględną uległość. Wróżka obiecuje mu ukazać widmo Astarty, jeśli przysięgnie uległość jej woli, i odbiera całkiem niespodzianą odpowiedź:

Nie przysięgnę! Podlegać! Komu? Duchom, które
Na mój rozkaz stawają? ja mam być służalcem
Tych, co mi służą? Nigdy!

Ażeby odebrać tej potędze cechę złudzenia osobistego, ażeby nie wyglądała na przechwałkę, poeta i w usta duchów kładzie słowa najwyższego dla bohatera podziwu:

Jeden z duchów.
Boleść nim ciska, szarpie — tak to zawsze bywa,
Ilekroć chce śmiertelnik w nieśmiertelność sięgać.
Inny duch.
Jednakże, patrzcie, patrzcie, jak się sam przemaga,
Jak boleść wolą gromi. Gdyby się był zrodził
Jednym z nas, byłby duchem potężnym, straszliwym.

Co najważniejsza, to że Manfred ma przedświadczenie wewnętrzne swojej niepodległości mocom piekła. »Czuję w duszy, że nademną żadnej niemasz władzy i *zbyt dobrze wiem o tem*, że mię nie posiędziesz«. Skąd ta pewność? Odpowiedź może być jedna: Skąd pewność do Imanuela Kanta, że rozum praktyczny nie podlega prawom świata zjawisk? Jest to ów kategoryczny imperatyw, który pozwala duchowi wierzyć, że jest wolnym i budować tezy, chwiejne wobec rozumu czystego. W tem tkwi coś w rodzaju »dowodu ontologicznego«: skoro chcę być wyższym od duchów i wyobrażenie tej wyższości posiadam, znak, że *mogę* być wyższym.

Manfred sam może nie wiedział, jak głęboko i trafnie wiarę tę określił:

Duch, jako nieśmiertelny, sam sobie odpłatą
Tak złych, jak dobrych myśli — sam źródłem, sam końcem
Złego, sam sobie miejscem, sam czasem. Jego *zmysł*
Wewnętrzny z śmiertelności wyzwolon, nie wciąga
W siebie barwy znikomych i zewnętrznych rzeczy.

Byron sam był najlepszym dowodem ontologicznym. Nie zawsze erudyt w filozofii, doszedł on do idealizmu samą *potęgą chcenia*, którą wyczuwał *zmy-*

słem wewnętrznym, jako istotę nieśmiertelną i samowolną.

To sprawia, że starczy on nieogarnioną siłą swego *ja* nad całą epoką. Wieki musiały się złożyć na to, ażeby w poecie wydąć tak chorobliwie poczucie jaźni. Nie zawiera on z nikim bezwarunkowo sojuszu, nie chce się ugiąć pod niczyje, bezwarunkowo niczyje jarzmo. Rzekłbyś, iż cała owa, od lat kroci płakana niewola wobec żelaznych praw przyrody, rozkazów śmierci, cierpienia, pracy w pocie czoła, wobec tego, co powoduje, że adamita nie jest bogiem, lecz marnym robakiem, że wszystko to zagrzmiało, nie, jęknęło raczej bolesnym protestem w Manfredzie.

Zapyta kto: cóż komu z tej przesadnej, wybujałej jaźni? Nie zbłaga ona żywiołów, nie ułagodzi przyrody, nie doda nam siły i znaczenia?

Zapewne — nauce nowszej, coraz głębiej świadomej niedołęztwa woli, wyda się po prostu śmieszną, jak wydaje się zabawną nawet poezyi, już odwykłej od Ikarowych lotów. Z tem wszystkiem jednak poczucie godności ludzkiej nigdy nie jest zbyt wielkiem, osobliwie po całym szeregu wieków upokorzenia.

Ale nie chodzi o obronę tego indywidualizmu, ale raczej o podkreślenie faktu. Jest w tem coś zdumiewającego, że prawie równocześnie zjawiły się na świecie aż trzy krańcowe formy *udzielnej jaźni*, jakby na dowód, że naszemu stuleciu wprost przeznaczonem jest wyobrażać w toku dziejów tę nieznaną przedtem zwierzchność (souveraineté) jednostki ludzkiej. Są to: najwyższa samowola czynu w osobie Napoleona, najwyższa naczelność myśli u Fichtego, który z ludzkiego *ja* cały świat wyprowadza, z ludzkiej, podmiotowej idei wywodzi istnienie zewnętrzne [1]) i wreszcie nieza-

[1]) Das Mannigfaltige der Erfahrung wird wie die apriorischen

wisłość woli ludzkiej u Byrona. Dalecyśmy, rzecz prosta, od pokusy widzenia w nich symbolicznej jakiejś trójcy. To jednak pewna, że trzy te osobistości jednakowo oddziałały na literaturę, wyuzdały swobodę ludzkich uczuć, chęci i sumień. Fichte jest jednym z rodziców romantyzmu niemieckiego, który na nim i na Schellingu wspierał butną i wzgardliwą wyniosłość karyery poetyckiej. Napoleon posiał żądzę czynu. Byron rozkołysał marzenia, dał samowiedzę doli orłom, więzionym w klatkach. Dwaj ostatni zresztą prędzej dopełniają się wzajem, niż wyłączają.

A więc w Manfredzie *siła* ducha, jako czynnik działania na świat, dosięga zenitu. Poeta zmierza się z wysłańcami bogów i okazuje się im równym. Miał on w sobie straszną dźwignię, którą możeby ruszył z posad cały glob ziemski, ale że nie mógł jej użyć, więc musiał poprzestać na czysto idealnem poczuciu swej władzy.

Nie traćmy jednak uwagi, że Manfred nie jest żadną alegoryą, nie uosabia całego rodu ludzkiego, lecz wiernie odzwierciedla wir duszy Byrona. To nie męczennik sprawy ogólnej, nie Prometeusz idei, bo tym Byron został dopiero później, lecz hardy tytan, z rodu tych, co nakryli Ossę Pelionem, ażeby zdobyć Olimp; to nie zbawca ludzkości i twórca oświaty, ale jeden z pokolenia Roquairola, w którym Jan Paweł Rychter wieszczym duchem przewidział byronizm i jego genialno-chorobliwe miotanie się. Maniak, opętany żądzą cudotwórczej bodaj mocą woli, okaz nietrzeźwej ambicyi, pod wpływem której chce przerastać ludzi

Formen, *von uns durch ein schöpferisches Vermögen producirt*... Die Welt ist das versinnlichte Material der Pflicht... W ten sposób określa między innemi subjektywny idealizm Fichtego (starszego) Fryd. Ueberweg w *Grundriss der Philosophie* t. III, 285.

wyjątkowym ogromem cierpienia, panowania nad sobą, słowem, wszelakim arystokratyzmem ducha.

Rzecz prosta, iż kto chciał w jednej postaci zgromadzić i wyjątkowość wiedzy i niebywałość męki i nadludzkość woli, ten pokusił się o dzieło niemożliwe, o połączenie rysów nieraz wrogich sobie. Z najwyższem pognębieniem nie może chodzić w parze najwyższa buta, z czystym idealizmem — próżność alpinisty, z bajecznemi nieszczęściami bajeczna tęsknota do Faustowskiej idei absolutnego piękna. To też Manfred jest chaosem sprzeczności. Błaga królową gór, aby wskrzesiła zmarłą i prawie omdlewa w swej modlitwie, a gdy chcą mu uczynić zadosyć i żądają tylko posłuszeństwa, on jak dziki rumak — słowa Eschylosa o Prometeuszu — staje dęba. Gdy zszedłszy do państwa Arymana może już widzieć Astartę za skromną cenę ukorzenia się przed nim, nietylko że klęknąć nie chce, ale żąda, aby przed nim władca piekieł ukląkł. A co najważniejsza, bo w tem się streszcza cały charakter Byrona, samo Przeznaczenie uznaje wobec wszystkich nietykalność i nadziemskość Manfreda i wyjednywa mu *osobliwe przywileje*. Wywraca ono cały porządek naturalny, gdy z całą powagą uznaje byt jakiegoś gatunku pośredniego między bóstwem a człowiekiem, a poeta tak dalece traci poczucie prawdy i granic możliwości, że każe swemu bohaterowi umierać zagadkową śmiercią, która nie jest ani samobójstwem, ani anewryzmem serca, ani kresem dłuższej choroby jakiej, lecz poprostu zgonem niebywałym, niby dobrowolnym powrotem do przenikającego świat Bóstwa.

Takich sprzeczności i dziwów w utworze tym stek. Są one naiwne, jak sama młodość, ale wspaniałe i porywające, jak zorza poranna.

Oprzeć się *Manfredowi* nie łatwo. Można widzieć

i jasno sobie zdawać sprawę z wszystkich jego wad kompozytorskich, z ciężkich nawet, bo głównych grzechów poetyckich, ale to nie pomoże: pojedyncze dysonanse i dysharmonie zagłusza swym łoskotem żywiołowa natura poety. Chwyta ona słuchacza za gardło, za pierś — potęgą elementarną czucia i chcenia, zuchwalstwem wyobraźni i roszczeń. Ażeby módz wymyśleć i napisać coś równie gigantycznego i bajecznego zarazem, trzeba być kolosem naiwności i kolosem ducha.

Suma tych dwu pra-sił właśnie huczy w *Manfredzie* i naszą sympatyę gwałtem sobie uzurpuje [1]).

Taki szał indywidualizmu mógł być przedziwnie piękną, trafną i dosadną formułą ukrytych pragnień wieku, ale bądźcobądź czynił z jednostki, i to pewnej określonej jednostki, oś świata, jego ognisko. Miłość własna tłumiła płomienie innych sympatyj. Ból, nawet tak okropny, jeśli się zaprząta tylko sobą samym, ową

---

[1]) Dosyć dziwnem jest, że wbrew oczywistości, krytyka skłonną bywa do negowania wpływu *Fausta* w *Manfredzie*. Nikomu może tak bardzo nie zależałoby, jak nam, na stwierdzeniu ostatecznem, iż oba te dzieła powstały niezawiśle od siebie, mocą ogólnego *prometeizmu*. Ale zaciągnięcie przez Byrona pożyczki u Goethego tem łatwiej nam uznać, mimo, iż poeta angielski w znanym liście do wydawcy Murraya — tak gwałtownie domysł ten odpiera — że ona *Manfredowi* żadnej zgoła ujmy nie przynosi, owszem pozwala widzieć dobitniej całą jego odrębność wewnętrzną, całą potęgę indywidualności, która na tle cudzych, umiarkowanych myśli i słów potrafiła wysnuć ideał, tak niebywałej siły i zuchwalstwa duchowego. Kierujemy się zresztą nietylko samym domysłem, ale i faktem zbiegu poszczególnych a tak licznych motywów. który w razie przeciwnym należałoby nazwać poprostu cudownym,— oraz okolicznością, iż w innym utworze swoim *The deformed transformed* Byron przyznaje otwarcie: *This production is fouuded... partly on the Faust of the great Goethe*. Jeśli więc w jednym wypadku z bodźca korzystał, trudno byłoby mniemać, że w innym, gdzie poszlak daleko więcej, był całkiem sobą i tylko sobą.

miłość podsyca jeszcze i pomaga jej zasklepiać się w kole swojego ja. Innemi słowy, Byron w tej fazie swego umysłu jest wprawdzie wytworem i spadkobiercą roszczeń i skarg wszechludzkich, ale *jawnym* ich rzecznikiem nazwać go nie można.

Co więcej, rozkiełznana cześć dla jednostki swej prędzej czy później ostro zetrzeć się musi z popędami niesamolubnymi i przynieść im ujmę. Nieprawdą jest więc, gdy Byron mówi, że nie chce i nie lubi panować, a tylko prawdą to, że nie umiałby dla zdobycia berła służyć, schlebiać, pełzać, w każdej chwili być czujnym, wciąż śledzić, podzierać *(Manfred)*, »pochlebstwem głaskać dostojników« i »być echem hołdownych krzyków« *(Ch. Harold)*. Owszem, ambicya w swych czysto ziemskich formach tak samo paliła go, jak zachcianki demoniczne. Skoro tylko poznał siłę swoich skrzydeł, zapragnął być cezarem poezyi; jak tylko rzucił się w odmęt walk o wolność ludów, zażądał być Temistoklesem, bohaterem greckim, a nawet królem z koroną na głowie. Coś więcej, niż pusty żart, tkwi w słowach:

Juan jest moją Moskwą a Faliero
Mym Lipskiem, Mont Saint Jean miałem w Kainie,

i nie darmo tylu ludzi doznaje jednakiego niemal wrażenia na dźwięk słów »Byron« i »Bonaparte«.

Bo człowiek ten chciał być niewątpliwie Napoleonem poezyi. Za dumny i szlachetny na to, ażeby okazać bodaj cień zazdrości o kogokolwiek, nie mógł jednak patrzyć obojętnie na ów wcielony w wątłą płonkę cud, któremu było na imię Percy Shelley, i jest zasada do mniemania, że mógł był i powinien był otoczyć go możną swą opieką, a tego przecież nie zrobił.

We wszystkich utworach Byrona, począwszy od tych, które ociężą patos, aż do tych, które oskrzydla

swawolny żart sceptyka, pobrzmiewa co chwila niemal jeden »motyw przewodni« — sława. Ile razy słowo to powtarza się w *Sardanapalu*, *Odzie do Napoleona*, *Don Juanie* — niktby nie zliczył. Występuje ono bądź jako znak czegoś wielbionego, upragnionego całą mocą duszy i marzycielskiej wyobraźni, bądź znowu jako nazwa błędnego ognika, ułudy, za którą gonić nie warto, która nęcić może co najwyżej tłum pospolitaków, ale Manfreda, Giaura, Lary nie złapie na swój lep. Atoli w tej pogardzie dla lauru, tak gęsto w poematach młodzieńczych rozsianej, czujemy aż nadto dobrze udanie, fanfaronadę apatyi. To nie szczere Salomonowe *vanitas vanitatum*, jeno pozór zmyślony, ale konieczny, bo pod nim szalała ambicya, jedna z tych, co się boją odsłaniać światu swą wrażliwą, zmienną, to płonącą, to bladą twarz. Szczerym jest w siódmym śpiewie *Don Juana*, kiedy w odpowiedzi na »brudne jak błoto okrzyki« i szczwania zbirów różnych, woła tonem depczącej wyższości:

Bo czy wy ludzie?... Zbyt wiele zaszczytu,
Gdy was psami zwę. Psy od was zacniejsze!
Czytajcie lub nie, najmniej u mnie wy tu
Znaczycie, z żywych istot najpodlejsze.
Jak nie dba księżyc, słuchając skowytu
Wilków, tak *muza ma rzuca nie mniejsze*
Światło.

To też okrutnym, srogim był w polemice. Po Wolterze wziął w spadku szpicrutę, po której na poczęstowanych nią krwawe zostawały pręgi. Niekiedy wyprawiała ona takie zabawne harce, że delikwent skakać zdawał się pod nią i przekomiczne wyprawiać miny. Jednę z tych zabawno-miażdżących operacyj opiewa *Widzenie Sądu*, gdzie przed Southeyem, czytającym na głos swe utwory, czmychają djabły, duchy,

święci, archaniałowi zaś tak ścierpł od tych »melodyjnych wrzasków« język, że nawet zatrąbić nie może na alarm.

Lecz wawrzyn największego z poetów nie nasycał głodu sławy, Byron tęsknił bodaj i do dyademu króla. Niepodobna dziś wątpić, że marzył on o koronie greckiej, jak trudno wątpić, że wydobyci przezeń z niewoli potomkowie hellenów, chętnie złożyliby mu hołd monarszy. Poeta-bohater królem! Taka aureola przewyższałaby może najśmielsze rojenia dawnych greków i rzymian. Gdyby rychły zgon nie stanął na drodze do spełnienia tej cudnej baśni, historya świata mogłaby się długo chlubić kartą, poetyczną jak żadna inna, a ludzie możeby płakali z zachwytu na samo wspomnienie Byrona, wieńczonego w murach Akropolu złotym dyademem...

I trzeba mu przyznać, że umiał imponować grekom i na wyobraźnię ich działał a zręcznymi pomysłami i królewską pewnością siebie budził dokoła ślepą cześć. I tym rysem przypomina Napoleona.

VI.

Dopatrując się we wszystkich wzniosłych i z pozoru całkiem bezinteresownych planach Byrona owego podkładu, który nazywano u nas dawniej »ambitem« — tem samem pomawiamy go o dwoistość, o sprzeczność z sobą. Czy ona w nim znikała kiedy doszczętnie? Nigdy, co najwyżej przechodziła w stosunek łagodny, w pewną syntezę, gdzie idea czysta zwycięzko paktuje z ambicyą, choć nie góruje nad nią. Synteza ta zjawić się musiała z latami, mocą całkiem pospolitego rozwoju jednostek, który z okresu osobistej bu-

rzy i zapędu każdą z nich zanurza z czasem w otwartem morzu spraw publicznych. Byron urodzony dla opozycyi, już wyjeżdżając z Anglii, dał poznać swą »mową dziewiczą«, wygłoszoną na sejmie w obronie robotników, którzy w Leicestershire zburzyli z głodu warsztaty tkackie, jakie zajmie stanowisko wobec istniejącego porządku. Lecz gdy wtedy grało w nim przekorne zuchwalstwo młodzieńca, teraz po minięciu trzeciego krzyżyka powodował się już głęboko odczutą, przetrawioną i zbrojną w niespożyty zapał solidarnością ze wszystkimi malkontentami świata. Pędzi on swym sarkazmem po Europie, wnosi wszędy zarzewie buntu, a jednocześnie zdziera maskę z obłudy i występku, wydrwiwa, depcze świętości ziemskie, buduje i niszczy zarazem, zbawczy i apostolski, gdy chodzi o dobro ludów, zgubny i podkopowy, gdy o powagi.

Naturalnie ten ideał ogólno-ludzki nie wyskoczył z jego głowy jednym zamachem, w pełnym rynsztunku. Urabiał się stopniowo, a pierwsze pędy swoje puścił w samem zaraniu karyery. W egotycznym nawskróś *Giaurze* pogarda dla Grecyi nowej, że gnuśnieje w pętach i handlarstwie, i zapał dla Hellady, co wydała Leonidasów, biją płomienną łuną. W *Więźniu Czyllonu*, napisanym jeszcze nad Lemanem, przeraża okropnym widokiem mąk Bonivarda, który padł ofiarą religijnych prześladowań i, przykuty żelaznym pierścieniem do słupa, musiał bezsilnie patrzyć, jak umierają jeden po drugim jego synowie. W *Manfredzie* śpiewa ustami Nemezys o ludziach, co »już czas swój przerośli oddawna, i śmiało wartość swoją rozbierać zaczęli; ośmielili się nawet królów kłaść na szalę, wynosić, wielbić wolność — owoc zakazany« (cz. II). W *Haroldzie* wznosi śpiew na cześć tej samej wolności, bo »jej rozdarty sztandar nakształt gromowej

chmury opiera się wichrom«; jest ona jako drzewo, co straciło swój kwiat, odrapane zostało z kory, lecz zachowało swe soki żywotne, a jego nasiona padły głęboko i nawet na pustyniach wzejdą znowu przyjaźniejszą wiosną.

Lecz to były zaledwie błyskawice, zwiastujące burzę. Wybuchła ona w całej swej grozie i pełni, gdy święte przymierze zaczęło przynosić swe owoce, gdy luta reakcya rozpostarła się po Europie i zadławiła wszelkie pozostałości ery Napoleońskiej i wpływów francuzkich. Wtedy nastąpiło połączenie ludów — w niedoli. Jedna i ta sama maksyma państwowa, jedno hasło rozlegało się po różnych krańcach starego świata. Człowiek, który to widział, tem samem widział całą ludzkość; poeta, który to smagał, tem samem smagał wszystkich i stawał się wszechludzkim; działacz, który przeciw temu podżegał, tem samem podżegał ogół. I oto Byron staje się już nie Tyrteuszem, lecz Prometeuszem, orędownikiem i mścicielem wszystkich uciśnionych, całkiem świadomym wielkiego swego powołania. »Przysięgam wojnę (przynajmniej w słowie, a kiedyś może i w czynie) każdemu, co nastaje na wolność ducha, każdemu obłudnikowi, każdemu ciemiężcy«, woła w *Don Juanie*. I w rzeczy samej nie ogranicza się do jednego kraju, ale boleje ze wszystkimi, a najmniej z macierzystą Anglią. Pragnie swobody dla Irlandyi, urąga Holandyi, że »kark zgięła pod berło i kornie purpurę przyjęła« *(Oda do Wenecyi)*, zżyma się na tych, co gnębią murzynów, współczuje żydom, iż zamiast ojczyzny mają cmentarz i sieroctwo, jakiego nawet zwierzęta nie znają i wzywa Jehowy:

O, spójrz dokoła okiem-błyskawicą,
O, wyrwij włócznię ze skrwawionej dłoni!

Dokąd wróg igrać będzie twą ziemicą,
Kiedyż świątynia zniczem znów zapłonie?

Tryumfuje, że indusowie grożą buntem, piętnuje turków za samowolę i gwałty w Grecyi, a dla nich samych ma współczucie gorące, gdy padają razem z Izmaiłem, drży z obawy, że »iskra wolności, jaka została helwecie, lada chwilę zostanie zdeptaną« *(Oda do Wen.)*. Wenecyi dawnej i nowej poświęca poematy i tragedye, w których wyklina jej możnowładztwo. Wreszcie los włochów, zagrożonych tyranią kościoła i reakcyi, bierze po synowsku do serca, oddaje się cały na usługi karbonarów i wraz z całą rodziną Teresy Guiccioli prowadzi roboty spiskowe z nieustraszoną odwagą, łoży na nie znaczne sumy, chowa u siebie zapasy broni, broszury i proklamacye. Już więc tutaj zjawił się czyn i to śmiały a energiczny.

Natura Byrona, o ile ją mógł czytelnik dotąd odgadnąć, do tego czynu wiodła drogą prostej konsekwencyi. Cały tragizm jego bohaterów gruntuje się na walce, cała poezya na namiętności, całe nieszczęście na braku godnego ich celu, dzieła, idei, i na to tak utyskują: Giaur i Manfred, który wspomina, że ongi śnił o tem, jak »zostać słońcem narodów i przywłaszczyć sobie ducha drugich ludzi.« Poeta kochał ideę miecza i pasł wyobraźnię swoją i cudzą ustawicznemi obrazami morderczych bitew. Był to dlań oczywiście żywioł, fakt, argument, byt stanowczy, podobnie jak dla jego wielbiciela Prospera Merimée — faktem przekonywającym, jak sama dotykalność, jest śmierć, którą tak hojnie szafuje. Tem bardziej więc w zapasach nieosobistych, nie miłośnie-rycerskich, ale politycznych, w starciu z nienawistnym duchem wstecznictwa, całą ufność pokładał w sile oręża, w czynnej agitacyi. Pojmuje on wtedy, że pusta gadanina literata

czy męża stanu na nic się nie zdała i woła w *Wieku spiżowym* słowami Demostenesa: »Wymowa jest to działać, działać, działać!« To też działał niezmordowanie, aż nań w miastach włoskich urządzać musiano obławy, a koroną jego czynów był ów bajeczny jak legenda, a przecie ostrożny, praktyczny i mądry plan akcyi przeciw turkom, zakończony zgonem poety w Missolonghi.

Zresztą, nawet nie mając szabli przy boku, Byron umiał być postrachem upiorów nocy. Jego pióro było bardziej niebezpieczne, niż cięcie stali demasceńskiej. W nieustraszonej odwadze, raniących wierszach i jadowitym sarkazmie, miał żywe legiony, sięgające o wiele dalej, niż długie spisy falang macedońskich. Po imieniu wytykał wrogów ludzkości, krwawemi pręgami znaczył dobrą sławę takich, jak Castlereagh, lord kanclerz Eldon, Wellington, Jerzy III i Jerzy IV, Ludwik XVIII *e tutti quanti*. Nie brakło mu wprawdzie wielkich i szlachetnych sprzymierzeńców, jak Tomasz Moore i ognisty, pałający minister Canning, ze swem żądaniem samowładztwa ludów, jak Percy Shelley, ale żaden z nich, choć wielki w swoim rodzaju, nie gorszył w tym stopniu opinii, nie przyciągał ku sobie pokrzywdzonych, nie podminowywał tak mozolnej twierdzy reakcyi, jak ten dumny i boską aureolą otoczony par angielski...

A cóż się stało z dawnym, patetycznym Byronem? Nieścisłość popełnia Brandes, gdy wita w *Don Juanie* całkiem dojrzały i pod względem artystycznym doskonały okres twórczości poety. Nie jest to bowiem peryod jednolity, któryby można było uważać za dobę od poprzednich różną. Wcale nie — geniusz stał się więcej złożonym, rzec można, w swej różnobarwności dwustronnym. Bo gdy dawna egzaltowana jego muza

nie znała prawie nut wesołych i wyziewała swój satanizm ponuro, złowrogo, do zbytku tragicznie, teraz coraz częściej przeplata się wybuchami śmiechu, parodyą, karykaturą, dowcipem, dwuznacznikami. Rzekłbyś, iż rój brzęczących moskitów wyleciał nagle z pod jego palców, ażeby drażnić, kąsać i zmuszać do zabawnych min i ruchów. Taka swoboda i zwinność myśli, lekkość i niebywała giętkość języka i oktawowych rymów, jaką spotykamy w *Beppie* i *Don Juanie*, znamionuje istotnie najwyższe panowanie nad przedmiotem i samym procesem tworzenia. Gdy dawniej, jak w wilię rozpoczęcia *Jeńca Chillonu*, Byron przechodził istne męki przedporodowe, i z gwałtownością Michała Anioła tworzył w parę dni lub parę tygodni kilkoaktowe tragedye — poemat nadlemański stworzył w cztery doby, zatrzymany niepogodą w hotelu — teraz trzaska sobie z biczyka, harcuje na arabskim koniku i swawolną, a jednak głęboko pomyślaną kompozycyą powołuje do życia nowy rodzaj poezyi, ten sam, do którego należy *Beniowski* Słowackiego.

Ale, powtarzamy, ten wielki krok naprzód, po którym jeden już tylko stopień dzielił poetę od szczytu Parnasowego, szedł w parze z manierą dawną, przesadną, deklamatorską i nie wyłączał jej, jakby wypadało, z orzeczenia Brandesa. *Beppo* już był na świecie od lat czterech, a z nim od lat dwóch dwie pierwsze najzabawniejsze pieśni *Don Juana*, kiedy narodzili się *Dwaj Foscarowie*, niby ciąg dalszy *Marina Faliera*, utrzymanego w tym samym stylu, oraz *Proroctwo Danta*. Obie tragedye weneckie, choć im nie okazywano tej uwagi, co innym dziełom Byrona, a i na nasz język dopiero niedawno przełożone zostały, zawierają w sobie jednak otchłań szczerego, porywającego uczucia. *Marino Faliero* jest w osnowie swej nie-

zwykły, jak niezwykłym był fakt dziejowy, który poecie za kanwę posłużył. Znane są, jeśli nie w szczegółach, to z charakteru swego, gwałty potęgi weneckiej, jej oblicze, z którego wyziera patrycyusz i kat zarazem. Skamieniałe jego rysy dziś jeszcze ponurą, a jedyną w swym rodzaju poezyą i grozą ściągają pod pałac Dożów, pod most Westchnień i mozajkowy strop św. Marka, krocie widzów z różnych zabytków świata.

Posępne to, a przytem dziwnie słoneczne i gorąco-barwne piękno Byron odczuł głębiej, niż zwykli turyści. Wybrał on z historyi republiki moment okropny, nad wyraz dramatyczny, kiedy książę-bohater, osiwiały w zwycięzkich bojach, sprzysięga się z ludem na zgubę możnowładztwa. Jak pospolity spiskowiec, łączy się on potajemnie z gnębionymi przeciw poddanej własnemu berłu ziemi, a czyni to dla jej zbawienia, bo chce zmiażdżyć stugłową hydrę patrycyatu. Wie on oddawna, jak i niejeden z poprzedników, że w rękach panów gra rolę figuranta, bezdusznej lalki, odzianej w złotogłów i purpurę. Hańbę tę znosić musi z pokorą, którą porzuca wtedy dopiero, gdy zadrażniętо honor jego domu. Gdy bowiem dobrze urodzony młodzik Steno, więcej fircyk niż niegodziwiec, obraził młodą a piękną żonę księcia, kobietę nieskalaną, jak sama cnota, *czterdziestu* ukarali go pokutą tak błahą, jakby za zwykłą knajpiarską awanturę.

Na duszę Faliera padła tedy skra i zapaliła ją zemstą i oburzeniem. Partya, która podówczas właśnie gotowała się do zamachu, zgadując, co się dziać musi z Dożą, wyprawiła doń posła z propozycyą przystąpienia do ligi. Chwila wybraną była szczęśliwie. Bez długiego namysłu, choć nie bez wyrzutów sumienia, Faliero dał odpowiedź przyjazną. Wszystkie te zajścia widzimy w poemacie. W naszych oczach jeden z wta-

jemniczonych, pragnąc ocalić od śmierci pewnego magnata, swego opiekuna i druha, ostrzega go niezręcznie o grożącej rzezi i tem zdradza całą sprawę. W mgnieniu oka potwór, dławiący królowę Adryi, pochwycił nici buntu i ukoronowanego władcę skazał na ścięcie.

Dramat ten do samego końca przykuwa uwagę czytelnika i duszę jego targa gwałtowną namiętnością. *Faliero* tchnie żarem młodzieńczym, a ognista jego retoryka porywa furyą swą rewolucyjną. Jak współbolał i współczuł z bohaterem swym Byron, widać stąd, że pięć długich aktów napisał jakby jednym tchem w trzy i pół miesiąca, i zostawił na nich piętno swego entuzyazmu w postaci mnóstwa tyrad niezwykle pięknych, ale często melodramowych, jak np. owo przekleństwo i wzmianka o królu Agisie w końcu sztuki. Przeciw krytyce, głodnej łatwego żeru, poeta zabezpieczył się przedmową, w której wyrzeka się wprost chęci i nadziei wystawienia utworu na scenie. Z innego wstępu [1]) wiemy już, co o takich zastrzeżeniach trzymać, ale w tym wypadku opinia całkiem bezzasadnie uchwyciła się ich, bo *Faliero*, za cenę niewielkich skróceń, mógłby ze sceny robić wrażenie potężne. Dyszy on świeżą, zapalającą siłą, obfituje w akcyę i sceny zbiorowe, w momenty takiego napięcia, że doprawdy, chyba nadmiarem, a nie brakiem teatralności, nadmiarem, a nie brakiem tego, co wstrzymuje oddech w piersiach słuchacza, można objaśnić jego niemodność. Te same racye, którym powodzenie swe zawdzięcza *Wilhelm Tell* Szyllera, przemawiają i za tragedyą Byrona, lecz, prawda, poeta niemiecki watuje śmiały czyn pasterza grubą warstwą sielankowej prostoty i uczciwo-

[1]) Zob. wyżej, str. 85 (rozdz. IV).

ści, a Marino Faliero nic wspólnego z idyllą nie ma. Jego zuchwalstwo jest ostre, chropowate, radykalne. To włoski *carbonaro,* jeno dawną opatrzony datą.

W *Dwóch Foscarich* siła wrażenia płynie już nie z założenia psychologicznego, które prosta i stroma droga do pewnych następstw wiedzie, ale z samych wypadków, z bezmiernie poetycznej i wzruszającej doli innego doży.

Rzecz dzieje się nieco później, ale zawsze w dobie rozkwitu Wenecyi i jej srogości. Poślubionym Adryi księciem jest sędziwy Francesco Foscari, sławny wódz, człek wielki »z przodu i z tyłu«. Jemu to knowania wrogów osobistych zgotowały los króla Lira. Przywódca ich, Loredano, ma doń śmiertelną urazę, pała żądzą zemsty i kieruje intrygą w ten sposób, żeby go zgnębić okrucieństwem wyrafinowanem. Wie on, gdzie najlepiej cios wymierzyć. Starzec miał syna, pełnego zalet i nadziei, jedynego następcę imienia, bo trzech innych zabrała śmierć. Młodzian ten nieopatrznie naraził się pewnym lekkomyślnym krokiem senatorom i kiedyś już jadł chleb wygnania. Już sama myśl powtórnej rozłąki z ojczyzną, którą kochał nad życie, ścina w nim krew, a właśnie przeskrobał teraz po raz drugi. Dla wydobycia zeznań, wzięto go na wyszukane męki, których świadkiem musi być własny jego ojciec, jako członek trybunału. Tortury są tak dzikie, że budzą litość nawet we wrogach, tylko nie w Loredanie. Żona delikwenta wdziera się do sali sądowej, miota przekleństwa i czołga się w prośbach, ale to nic nie pomaga. Więzień mimo, że parę razy omdlał z bólu, nie wydaje nawet jęku i błaga o jedno tylko, by go nie wysyłano znów w obce kraje. A stary Foscari, choć marszczy czoło

z surowością Katona, po za sądem ukryte łzy wylewa i znosi męki ukrzyżowanego.

Ale tego właśnie łaknęli intryganci i wbrew wielu głosom bardziej ludzkim wyrok wygnania zapadł. Skazaniec jednak nie wytrzymał i nim okręt czekający w przystani, dał znak do odjazdu, dusza wyszła ze znękanego ciała. Wtedy Loredano zgotował doży cios drugi, okropniejszy, bo wymógł na radzie Dziesięciu, by go złożyła z tronu, pod pozorem, iż jest za słaby i nadto zbolały. Był to podkop szatański i w chwili, gdy starzec wychodzi na tułaczkę z synową i zwłokami syna, dzwon na wieży św. Marka zwiastuje wybór nowego księcia. Z bólu serce pękło biednemu i padł martwy na tych samych schodach olbrzymich, gdzie ongi kładł na głowę czapkę dożowską, równą wawrzynom.

Trudno wysłowić, ile chwil piękna wysadza tę tragedyę niby drogiemi klejnotami. Nie wiemy, jaką byłaby na scenie, ale czytana wprawia w drgnienie wszystkie fibry serca. Gdy płacze matka — to jej rzemiosło; gdy płacze liryk — zostać możemy zimnymi, ale gdy płacze poeta, któremu duchem bratnim bywał cyklon, wstrząsający górami i skłębiający fale — to taki płacz ma tę siłę ogromną, co to roztapia człowieka w samą tkliwość. A właśnie Byron w *Foscarich* formalnie łka.

I tutaj szkolarska krytyka znalazłaby dla siebie niezłą strawę. Wady tego utworu są bardzo liczne i duże, już choćby przez to samo, że przypomina on i postaciami i całemi urywkami Marina Faliera. Ale jest on jakby w nagrodę owych usterek, owiany niewysłowionym urokiem liryki. Mimo całe pokrewieństwo z *Lirem*, działa czemś rdzennie różnem od owej barbarzyńskiej grozy i brutalności nieszczęśliwego króla

i jego córek, od żywiołu srogich, pogańskich instynktów, — bo subtelną, jak delikatny werk, machinacyą panów, których uosabia Loredano, heroizmem i męczeńską mocą charakteru Franciszka Foscarego, wreszcie rzewną miłością jego syna dla cudownej oblubienicy morza, tęsknotą, rozczulającą widza i świadomą wszystkich jej wdzięków.

Tak więc oba dramata weneckie są tylko dwiema odmianami jednego typu myśli, oba mszczą się przed sądem dziejów za mordy, spełnione na tych, którym się od ojczyzny pomnik wiecznej chwały należał. I chociaż w obu poeta trzymał się brzmienia kroniki, to jednak samym wyborem motywów powiedział sto razy więcej, niż muza historyi wyrzec może.

W osobach magnatów spoliczkował tyranię i tem boleśniej, że obnażył cały bezmiar jej samolubstwa, matactwa, nienawiści dla wszystkiego, co wzniosłe i prawdziwie wielkie, i dla każdego, kto siły do życia czerpie jedynie w idei miłości dla ojczyzny i serdecznej troski o jej dobro. Foscarowie są ofiarami pokątnych intryg, wpadają w sieci zastawione przez wrogów osobistych, lecz wpływowych. Faliero zaś jest czemś więcej niż daniną spłaconą molochowi niesprawiedliwości, jest on solą w oku tym, którzy mu do ramion nie dorośli, tym żywiołem czystym, prawym i bohaterskim, który kałuża radaby z siebie wyrzucić i czeka tylko sposobnej do tego pory. Przystąpił on do spisku nie dla satysfakcyi własnej, lecz, że jego osobista krzywda dopełniła miary podłości państwowych, na które bezsilnie zżymał się od lat wielu i którym w imię zbawienia kraju chciał kres położyć.

Pod piórem każdego innego pisarza obie tragedye weneckie mogłyby mieć znaczenie tematów, obranych przygodnie z racyi dłuższego na lagunach Adryi

pobytu. Pod piórem Byrona stały się petardami, które, jeśli nie sprawiły zamierzonego popłochu śród współczesnych, to w każdym razie dla nas mają wagę wybitną, symboliczną, jako szczere, namiętne wyznanie wiary poety. Jest ono wypowiedziane drżącym od wzruszenia i patosu głosem i tym samym deklamacyjno-naiwnym, ale z głębi serca płynącym językiem, co poemata dawniejsze. Byron potrafił w nich rozstać się, częściowo przynajmniej, z swojem nieodstępnem ja, i stworzyć parę postaci samoistnych, realnych, ale maniery retorycznej na wzór Alfierego nie stracił.

Ta sama nuta drga w *Odach do Napoleona*, *Klątwie Minerwy* i *Wieku spiżowym*. Utwory to satyryczne, z rodzaju tych, jakich dziś się już nie pisze. Brzmią tam złorzeczenia i szyderstwa, złowrogi świst sankiuloty, ale żeby się mogły podobać, musiałyby chyba rozlegać się z katedry lub trybuny sejmowej. W owem *Carmen saeculare* mównica ta musiałaby przypominać czatownię z widokiem otwartym na cztery strony świata, albowiem wyszydzał tam nie jednę jakąś infamię, nie jednego infamisa lub głupca na tronie, lecz całe ich, oplątujące Europę bractwo, i wymienił wszystkich członków po kolei. To też Europa jest dla niego zarażonem stadem, od którego radby uciec do prawdziwej ziemi obiecanej wolności — do Ameryki. Jej to śle on w czwartej części *Ody do Wenecyi* przesadne słowa chwalby i zazdrości, tej »wielkiej krainie, co dumnie wznosi swą głowę po drugiej stronie oceanu.« »Lepiej być tam, gdzie powaleni Spartanie są jeszcze wolni w krwawej łaźni Termopylów, niż grzęznąć tutaj dłużej w bagnie...«

Nie zdaje się nam, ażeby poeta znajdował ideał formy rządu w rzeczypospolitej, i choćby nawet upewniał o tem, wolno byłoby nie wierzyć mu i poma-

wiać o złudzenia co do własnych gustów. Synteza indywidualizmu i uczuć społecznych, o której mowa była wyżej, nie w taki sposób się uformowała, lecz w inny, bardziej zgodny z romantyczną naturą Byrona. Był to piorunujący przeciw monarchizmowi monarcha z krwi i kości, potępiający wojnę rycerz i bohater, dla wielkich czynów wojennych urodzony. Chociaż twierdzi w *Don Juanie*, że otrzeć jednę łzę jest większą zasługą, niż wytoczyć morze krwi, i lubo wielu już pisarzów słowa te cytowało z zachwytem, pamiętajmy, że sam w Grecyi rwał się do boju, jak jego Sardanapal, co głosił: »Wojna dla mnie nie jest chwałą, a zwycięstwo czcią,« a jednak wołał: »Więc prędzej do walki!« aż Salamenes nazywa go z przekąsem młodym wojownikiem. I czy można się temu dziwić? Raczej uderzałoby, gdyby szczerze i stale wielbił pokój, ten bowiem w dobie św. przymierza oznaczałby zgodę na istniejący układ stosunków. Epoka owa była taką, że na jej tle wojna musiała się wydawać błogosławieństwem, bo dawała przynajmniej widoki wyzwolenia, a w razie najgorszym upust energii. Sam poeta w jednem miejscu uznał to, a mianowicie, gdy sprawcę mordów nazywając synem zabójstwa, rabunku i złości, dodaje: »oprócz w walce dla wolności« (*Don Juan*, XIII). My w swym wstręcie do rozlewu krwi daleko więcej zgodni z sobą, bo o wiele dojrzalsi, skwapliwie podchwytujemy w Byronie każdy hymn wiecznego pokoju, ale pod owemi zbożnemi życzeniami wrzał jego temperament, który raz wyrwał się okrzykiem przedziwnie prawdziwym:

Zawsze sympatye me po słabszej stronie,
Iż wierzę — gdyby ci, co dziś purpurę
Noszą i w pychy jeżdżą faetonie,
Runęli, — a psy »znowu wzięły górę«

Zrazu szydziłbym i lojalną skórę
Wdział, walcząc w ultrarojalistów lidze.

Gdyby Bonaparte był uczynił jeden krok ku prawu, poeta nazwałby go Waszyngtonem świata, a i tak ma dla niego cześć, a dla zwycięzców z pod »jałowego Waterloo« ironię i obrzydzenie *(Wiek spiżowy)*. Napoleon był jednak geniuszem w każdym calu; dla pospolitych zaś figurantów Byron nic prócz wstrętu żywić w duszy swej nie mógł. Tacy pomazańcy boży, jak Ludwik XVIII, lub Jerzy, który »waży dziesięć pudów, gdy Eryn mrze z głodu,« budzili w nim wspomnienie kopalnych potworów, — to dlań »mamuty, smoki, ptako-krokodyle.«

Niepotrzebnie zresztą usiłowalibyśmy określić Byronowski ideał rządu wyrazami oderwanemi, skoro on pokazał sam piastowany przez się w duchu wzór króla z bożej łaski. Nie pobłądzimy, utrzymując, iż czuł potrzebę wypowiedzenia: jakim byłby on sam monarchą, gdyby mu losy dały berło do rąk, i że w *Sardanapalu* znajduje się wizerunek podobnego władcy, tak dokładny i jasny, że przez to tragedya ta wzbija się na wyżynę dojrzałego, spokojnego artyzmu, który u Byrona należy do prawdziwych osobliwości.

Żywość akcyi i względnie małą ilość retoryki, które uderzają nas jak miła niespodzianka, pomijamy, bo daleko większą zaletą jest staranny rysunek psychologiczny bohatera. Gdyby dzieło to było również poczytne, jak liryki młodzieńcze lub strofy przedzgonnego cynizmu poety, — rozumianoby go o wiele lepiej, Sardanapal bowiem to nieomylny klucz do skrytek jego ducha. Szeroką elegię i niezbitą prawdę zawiera w sobie smutna dola monarchy, który chciał rządzić ludem swym inaczej, niż jego przodkowie i zamiast wieść go na boje i drogo okupione zwycięstwa, za-

miast rozszerzać granice swych ziem, wolał zapewnić mu dobrobyt w pokoju, weselu i bogactwie i sam pierwszy dawał przykład. Kiedy widzimy, jak czarna niewdzięczność wysuwa nań buntownicze swe żądło, staje nam przed oczyma ta prorocza iście psychologia mas, którą rozwinął Szekspir w *Ryszardzie II* i *Juliuszu Cezarze*. Gdy Bolingbrok zasiadł na tronie jako Henryk IV, na strąconego rywala posypały się z okien tryumfalnych ulic — śmiecie. Byron wiedział snać, co warta przyjaźń ludu, ale się nią nie zraża na równi z Sardanapalem. Bo choć Salamenes uczy go, że życie na tronie zbyt kiermaszowe jest także pewnego rodzaju tyranią, on nawet przed śmiercią mówi ze wzgardą o potwornej ambicyi władców egipskich, co nad prochami swoimi kazali wnosić piramidy, woli spłonąć w zgliszczach własnego pałacu i widzi w nich szlachetniejszy dla siebie i drogiej Myrrhy pomnik, niż owe stosy cegieł, które niewiadomo, co kryją: króla, czy boskiego byka Apisa. Jeśli idzie walczyć ze zdrajcami, to jedynie z musu, i choć zraniony, jeszcze boleje nad przelewem krwi, nie chce na prośbę przyjaciół wytchnąć na tronie, bo to nie miejsce, »na którem spocząć mógłby duch lub ciało,« woli byle jakie łoże, »choćby ława kmieca niem była« i »nie oddałby uśmiechu pięknej dziewczyny za uśmiechy ludu.« Jego etyka to najczystszy hedonizm, ale nie samolubny wcale. Bo wprawdzie widzi całą rozkosz w spokoju i zadowoleniu (akt III), ale zarazem chlubi się, że skrócił do niego drogę i nie torował jej przez trupy ludzkie. Gdy Pania woła: »Niech żyje król!« on odpowiada: »Ani mgnienia dłużej, niż może kochać!«, ale porównywając siebie z Semiramidą chlubi się, że on miasta Tarsus, Anchialus *dźwignął*, gdy ona tylko burzyć umiała.

W *Sardanapalu* mamy jak gdyby rozwinięte w program świadomy to, co na wstępie nazwaliśmy głównym rdzeniem byronizmu: żądzę szczęścia i widoku szczęścia. Ale i pierwiastek siły odbija się w nim przezroczo. Możnaby mniemać, że poeta pisał ten piękny poemat, tak jak Rafael malował swój portret: siedząc przed lustrem. Ta sama bachanalia, ale w potrzebie waleczność, ta sama zdrowa, sceptyczna filozofia mędrca, który drwi z przesądów i hołdów, a obok niej próżność fircyka. Kumanie się z poddanymi za biesiadnym stołem, ale duma królewska i wstręt dla »trzody, rozzuchwalonej nazbyt tłustą karmią.« Sardanapal jest w gruncie rzeczy takim samym arystokratą ducha i dumnym bohaterem ducha, jakim pragnął być jego twórca.

VII.

Prometeizm Byrona.

»*Don Juan* to dzieło bez granic genialne, tchnące nienawiścią ludzi aż do najsroższego okrucieństwa, i miłością ludzi, która tonie w głębinach najsłodszej tkliwości; a skoro autora jego już znamy i cenimy, i nie chcemy go mieć innym, więc z wdzięcznem sercem napawajmy się tem, co waży się roztoczyć przed nami z niebywałą swobodą, nawet zuchwalstwem. Przedziwnej, szalonej, z niczem nie rachującej się treści odpowiada całkiem i sama technika wiersza. Poeta również mało oszczędza język, jak i ludzi...«

Temi słowy autor *Fausta* powitał *Don Juana* i dla zachęty dołączył własny przekład pięciu pierwszych oktaw [1]). Charakterystyka to tak zwięzła i tra-

[1]) Wszystkie cztery artykuły Goethego o Byronie: »Don Juan,« »Manfred,« »Cain« i »Lebensverhältniss zu Byron« (1824) godne są uwagi.

fna, że że możnaby zupełnie poprzestać na niej, choć nas od niej dzieli siedmdziesiąt lat z górą. Tomasz Carlyle, wielbiąc w Goethe'm najwyższe wcielenie geniuszu na ziemi, musiał chyba nie wiedzieć o tym hołdzie, złożonym przezeń Byronowi; inaczej ostygłby chyba w zapale dla swego bożyszcza, on, co woła ustami Dyogenesa Teufelsdrökha z *Sartor resartus:* czytajcie Goethego a porzućcie Byrona, lub mówi wzgardliwie: »wasz Byron.«

Powszechnie nazywają *Don Juana* poematem politycznym; nawet tak bystry krytyk, jak Brandes, tego charakteru w nim się dopatruje. Ale ani rys ten nie jest w nim wyłącznym, ani tak przeważa, by mianem jego chrzcić cały utwór. Zapewne, ówczesnym rządom europejskim dostaje się w nim taka porcya pogardy i nienawiści, że miałyby zupełne prawo sobie przypisać całe arcydzieło. Krzywili się silni tej ziemi pod jadowitym tchem jednego kuternogi, w żółci własnej wątroby mógł się był kąpać zdrajca Irlandyi Castlereagh, żywi i pogrzebani królowie Anglii. Niczem może była obelga, wyrządzona pamięci Elżbiety, Jerzego, regenta; niczem wszystkie przekleństwa, miotane z niemiłosiernem szyderstwem na pijawki jego ojczyzny, w porównaniu z tem, co wysyłał pod adresem innych winowajców.

Don Juan nie jest opowiadaniem ciągłem, ale rzęsistym gradem pocisków, które raz po raz prze-

---

Poeta niemiecki, wolny i od tartuferyi angielskiej i od jakiejkolwiek jednostronności gustu, całą piersią chłonął Byrona, odgadując pełniej niż wielu pisarzów dzisiejszych przewrotowy i zarazem wszechświatowy ton jego poezyi. (Nawiasowo dodamy, iż Goethe skłania się do wiary w prawdziwość pogłoski, iż Byron zabił florentczyka, który zamordował swą żonę za miłość dla niego i tem objaśnia słabość poety do tematów w rodzaju Giaura).

płata chwila boskiej pogody, czarowny obraz sielanki lub *scherzo* młodzieńczej swawoli. W tych odskokach, za które sam z nieporównanym dowcipem wciąż się chłoszcze, tkwi cały balast satyry. Niema potęgi na świecie, którąby tam uszanował ten istny czart ironii. Skrzydlata muza jego rani wszelki kult powagi. Nie daruje on fanatykom klasycyzmu, że pod niebiosa wynoszą każdy wiersz Homera, choć go nie rozumieją i rozumieć wcale nie mogą, choć piękno poezyi greckiej na wielu punktach równa się naszej śmieszności. Uroczyście porównywa swego bohatera do osła, bo dla czego nie ma tego czynić, kiedy arcykapłan poezyi, ślepy bard grecki, w podobny sposób wysławia swoich ulubieńców, a ogół krytyków cmokcze językami z zachwytu? Nie przebacza żadnemu poecie, żadnemu filozofowi, który zgrzeszył niesmakiem, splamił się podłością, lub niezasłużenie został benjaminkiem opinii; zazdrości francuzom, że mają treściwy wyraz *langueur* — ale pociesza się myślą, że anglik ma samą treść — bo ma Wordswortha. Na każdym kroku drwina splata się z litością, a tak się za ręce trzymają, że nie wiesz, której z nich wierzyć, która w danej chwili gości w sercu opowiadacza. Oto rozbitki z listu pierwszej kochanki Don Juana robią losy, pozostawiając ślepej fortunie wybór tego, kto ma zaspokoić ich głód. Ofiarą pada czcigodny mentor bohatera, osoba uprzywilejowana, bo w sutannie, a za to unika śmierci inny, któremu dziewczęta w porcie zostawiły podarek, ocalający go od żarłoczności towarzyszów. Ledwieś przestał się śmiać, a chce ci się już płakać nad ojcem, który bezsilnie patrzyć musi na skon synów i krople dżdżu daremnie wciska w zakrzepłe ich usta. Uczucie, tkwiące w sercu zawsze i wszędzie więcej dla Byrona warte, niż inteligencya i cywilizacyjna wyższość pojęć.

Wspaniałym obrazem bitwy pod Izmaiłem zdradza on co chwila sympatyę swą dla turków, jakkolwiek, wysyłając ich na tamten świat, kpi z marzeń i raju Mahometa. Czuć, że temu baszy, który z mieczem skrwawionym opędza się stugłowej hydrze nieprzyjaciela, stojąc na pięciu trupach swych potomków, chętnie pospieszyłby na odsiecz, choć każdego pożegnał śmiechem i drwinami.

Lecz te tysiące grotów, które śmiertelnie ranią lub łaskoczą, padają nie przygodnie tylko. Owszem, kieruje nimi z góry obmyślany plan. Pieśni, niby luźne i rozpierzchłe, nie są to *disjecti membra poetae*, bo je łączy w jedną wielką całość wojaż miłosny bohatera po świecie. Poeta dla żartu zachował dawne godło *Don Juana*, jako typu poematów, w których wypowiada się od czasów Tirso de Moliny zmysłowość ludów romańskich w przeciwieństwie jakoby do legendy o Fauście, opiewającej głębię myślicielską szczepów germańskich [1]), ale z tege podkładu erotycznego zrobił użytek zaiste oryginalny. Miłość gra u niego rolę zwierciadła duszy, nietylko pojedyńczej, ale całego narodu, plemienia. Donna Julia, sułtanka Gulbeya, Katarzyna Wielka, księżna Fitz-Fulke, Dudu w haremie, to nie obrazy zwykłych namiętności, ale odbicia całych cywilizacyj. Lecz, ponieważ wszelkie cywilizacye są dla poety ohydą, więc tylko jednę, jedyną miłość —

[1]) Porów. Berstolda Auerbacha rozprawkę: »*Der Weltschmerz mit besonderer Beziehung auf Nicolaus Lenau*« w *Deutsche Abende*. Sztutgard 1867. Godzi się tu zaznaczyć, że w *Don Juanie* Lenau dosyć niezgrabnie i wcale nie oryginalnie, jak gdyby na zadany temat, postaciuje nudę. Czuć to osobliwie w pojedynku bohatera z mścicielem Dom Pedrem — zastępujący Komandora — gdzie Juan nawet przed ostrzem szpady przeciwnika pozuje: Mein Todfeind ist in meine Faust gegeben; doch dies auch langweilt wie das ganze Leben.

Haidy — wielbi pod niebiosa i całą duszę w nią wkłada. Szereg tryumfów Juanka stał się tym sposobem galeryą zabójczych karykatur.

Don Juan jest tylko na pozór wojną z człowiekiem. W gruncie rzeczy wojuje z wrogami jego. To Ariel, którego wyzuta nieprawnie z swych dóbr ludzkość-Prospero, postawiła nad Kalibanem, synem dyabła i czarownicy. To duch lotny, przybierający różne postacie, ażeby zezwierzęconym płatać figle, psuć ich zamiary, podstawiać nogę, lecz i jak anioł stróż stać u wezgłowia niewinnych. Jak Prospero Szekspira, tak i Byron smaga potwora. Jak Prospero czuje się szczęśliwym na swej bezludnej, fantastycznej wyspie, kędy go wyrzucił ocean, tak Byron widzi szczęście na łonie natury pięknego brzegu, dokąd fale morza Śródziemnego zaniosły jego ulubieńca.

W *Don Juanie* wzniósł się on na wyżyny prometeizmu, których nikt już potem nie dosięgnął. W nim spełnił, jak trafnie określa Bleibtreu, największy *czyn* poetycki XIX stulecia. Dodajmy, że ani jeden atom tego arcydzieła nie stracił do dnia dzisiejszego swej świeżości. Zeus wrócił do ponurej swej władzy, a furye po dawnemu, jeno w większej liczbie, przeciągają nad światem chmarami szarańczy moralnej i szczęście ludzkie niweczą. Prometeusz Eschyla, i ten, którego sam Byron opiewa w niewielkim wierszu, bledną wobec męstwa i potęgi tej niewidzialnej, rozlanej po oktawach Don Juana jaźni. My dziś jej grozy i geniuszu wyobrazić sobie, bez odcienia zabobonnej czci, nie potrafimy. Patrząc na te ciosy bojownika dobra ludzkiego i ludzkiej godności szeroko rozwartemi oczyma, zdumieni jesteśmy, że one nas nie ogłuszają hukiem walących się gór, lecz czarują słów muzyką, nad którą majaczeje przeboska twarz Apollina.

A więc Byron posiadł tę siłę, której łaknienie napełniało wyobraźnię halucynacyami walki ziemskiej i nadziemskiej, wizyami pomsty, zwycięztw bajecznych, a myśl udręczało niepokojem, bólem, rozterką, marzeniem. Jego *quos ego* stało się ciałem, a przeznaczenie, idea jego żywota ziściły się. Wiódł teraz walkę nie urojoną, czuł, że znalazł godnego siebie zapaśnika: świat cały, świat krzywdzicieli, okrutników i barbarzyńców. Teraz mógł już w Byronie zapanować spokój, ucichnąć — deklamacya, patosu pełna. Był sturamiennym jak Briareus, a każde ramię jego miało pracy w bród; mógł powiedzieć o sobie słowami Farysa, że wziął się za bary z trąbą powietrzną i powalił ją u nóg swych długim jak wał miejski trupem.

Trup to był moralny, tem szpetniejszy, że odarty z maski. Lecz poeta przeciwnika tego nie »gryzł wściekłemi zęby,« jak bohater pustyni, nie gorączkował się i nie szalał, nie pluł obelgami wzorem Tymona Ateńczyka lub Apemantusa. Owszem, w eleganckim kostyumie Don Juana, balansował swobodnie z ofiarami swemi, bawił się, jak kot z myszą. Za potężny był na to, by się roznamiętniać i za mądry, za filozoficzny. Ironia, sceptyczny uśmiech zasiadły na jego obliczu; pierzchły majaki idealizmu, prysła tęczowa wiara w dobrego ducha historyi, osłabło zaufanie do nauki, pozostał jeno wewnętrzny, popędowy nakaz bronienia krzywdzonej ludzkości, jak gdyby dla samej satysfakcyi rzucania nienawistnym okrzyku: kanalia!

Sam powiada:

Ja, gdy czasem kolę,
To, że mię jakaś wnętrzna siła skłania,
Lub sobie radzę tem w rymów mozole.
Jabym prostował złe żądze i zdania

(*Hamując* jednak, nie karcąc złą wolę)
Gdyby Cervantes w dziejach Don Kiszota
Nie wskazał, że to próżna jest robota. (D. Juan XIII).

Wielkich i małych wyciągał z nory, wiódł do światła i stawiał pod pręgierzem z miną wesołą, piekielnie dowcipny, zwinny, z okiem, wciąż ogarniającem wszechświat. Poczucie mocy i geniuszu dało jego ręce piękność, język uczyniło giętkim, bogatym, mieniącym się wszelkiemi barwami, a rymy tak potulnemi, paradoksalnemi, że jeden tylko po nim poeta mógł się na podobne zdobyć — Juliusz Słowacki. Nikt inny, mniej lśniący, iskrzący, nagły, zuchwały w porównaniach i zwrotach, dotąd nie odważył się harcować tak dziko, nibyto na złamanie karku, a przecież siedząc w siodle mocno, nikt inny nie umiałby trzaskać z biczyka z taką fantazyą i brawurą i wywoływać takich wężowych syków złości u jednych i gromkich parsknięć śmiechu u innych. Nie dziw, był to bicz Boży.

Szkoły, rodzaju ta wszechsatyra nie stworzyła. Byłby to rodzaj za trudny, ażeby mogli go uprawiać uczniowie; dostępnym jest tylko mistrzom pierwszej wielkości, wirtuozom, na jakich nie dziesiątki, ale setki lat się składają.

VII.

Widzieliśmy już Byrona, jak stronił od ludzi i śpiewał ustami Childe-Harolda: »Żyć między ludźmi, w ich wrzasku i kłótni... To samotność, to życie treści nieponętnej« (pieśń II, str. XXVI). Wiemy, jak głęboko wpił mu się w serce *René* i *Nowa Heloiza*, z którą w towarzystwie Shelleya pruł niebieskie fale

Lemanu. Trafnie Chênedollé nazywał *Manfreda* »Renem, odzianym à la Szekspir» [1]).

Jeśli wszakże za młodu smakowała mu goryczka romantycznej mizantropii i tułactwa, w latach dojrzalszych przypaść musiały do gustu poważne żywioły Rousseau'izmu — jego filozofia, jego wiara w pierwotną prawość natury naszej, na której widział same jeno ślady brudnych namiętności społecznych. Nic to nie znaczy, że Byron nazywał go »sofistą dzikich uczuć, co czaru urokiem umiał stroić namiętność, co z boleści duszy wycisnął dar wymowy, rwącej swym potokiem« — sam bowiem pozostał na zawsze podobizną Russa, który »płonącego drzewa był obrazem«, »dręczącym samego siebie apostołem katuszy«. Zbyt pokrewne są to umysły, zbyt dobrze pasowała legenda o złotym wieku na łonie przyrody do upodobań, zawadyactwa, opozycyi Byrona, ażeby mógł nie głosić jej mimo sofistyczność, osobliwie wtedy, gdy widok targowisk i rzeźni, w które się zamieniła Europa, zrobił go sceptykiem, wtórującym Eklezyaście w okrzyku: »Wszystko marność!« (*D. Juan* VII).

W owej to epoce Byron pisze środkowe pieśni *Don Juana*, z których ósma zawiera takie same ubóstwienie bytu naiwnego, przed oświatą lub zdala od niej, jak jednocześnie prawie z nią ogłoszony poemat *Wyspa* czyli *Chrystyan i jego towarzysze*. Cywilizacyę zbrzydził już sobie i woła do niej: »Jakież z ciebie zyski? I ze społeczeństw wielkich? Byt, zgnilizny pełen, głód, wojna«.

Jest to kolej myśli niezmiernie prosta i naturalna. Mógłby był przebyć ją nawet bez pomocy marzyciela z Genewy. Cóż może być zwyklejszego, jak po zawo-

[1]) *Chateaubriand* par M. de Lescure (*Les grands ecrivains français*) p. 160.

dach, o które rozbił się nasz zmysł altruistyczny, jak w gorzkiem przeświadczeniu, że wielki świat czyni nas małpami, złodziejami, zbrodniarzami *(D. J.* VIII), szukać pociechy dla znękanej myśli w sielankowej utopii? Taką też idyllę maluje nam w *Wyspie*. Utwór ten wogóle dosyć po macoszemu traktowany bywa; ludzie wspominają o nim rzadko, nie pomni snadź, że jest z wielu względów wysoce znamiennym. Już sama forma dziwnie łączy rodzaj patetyczny, który Byron nazywał *tales* z antihumbugowskim, humorystycznym. Między poważnemi lub czułemi strofami o krwawych bojach i tkliwej miłości — apostrofy do wódki, cygar, zaklęcia John Bulla i t. p. Koncepty i żarty przeplatają powieść, utrzymaną w tonie tak miękko rzewnym i czarodziejskim, że w nim drgać się zdaje cząstka anielskiej duszy Shelleya. Obraz idylli jest nawet, jak na Byrona, za sentymentalnym, za lirycznym. Tęskni on

Do owych wysep słonecznego świata,
Gdzie kobiet wdzięki równe żarom lata,
Słodkie owoców dojrzałych syropy,
I las, co ludzkiej jeszcze nie zna stopy,
Pola zasiane z obfitości roga,
Kraj, gdzie nie gniecie żadna przemoc sroga...
Gdzie warstwy złota lice ziemi kraszą,
Gdzie każda grota jest domem swobody,
Każdy krok wolny, gdzie ogrodem niwy,
Gdzie cały naród jest dzieckiem przyrody,
Wesoły, wolny, dziki, lecz szczęśliwy... i t. d.

Dopiero »Europejczyk od północy śniegów z darem kultury przybył do tych brzegów i obyczaje dzikie ich uprawił, i w spadku swoje zbrodnie im zostawił«. Na tę to wyspę Otahajty z archipelagu Hebrydów uciekła zbuntowana załoga okrętu brytańskiego. I tak jej było dobrze, że gdy pogoń się zjawiła, wo-

leli dać się wystrzelać, niż przyjąć na nowo jarzmo światłego Albionu. Dla czego taki, a nie inny obrót dał sprawie poeta? Bo umiał łudzić tylko swą wyobraźnię, lubił roić czasy i miejsca błogosławione z uporem dziecka, nałogowo, jak romantyk, ale nie umiał uśpić rozumu swego, który wiedział, że takie obrazy tęczowe prędzej czy później spotyka los mirażu. A przytem jakżeby tu nie dać kułaka cywilizacyi? Przeciwstawić jej grzechom i brudom cnotę i piękno pierwotności — to dobre dla utopisty, marzyciela, ale satyr musi zrobić więcej, podżegacz i zdzieracz masek musi koniecznie przedstawić ją, jako zbrodniarkę, która, wtargnąwszy w spokojną siedzibę, pustoszy ją, a sama wypada z zakrwawionemi dłońmi. Dziwnie, aż do znudzenia często, powtarza się u Byrona ta sama śpiewka; w niej tylko koniec tragiczny tchnie szczerością, a chwalony raj nie zdaje się na prawdę budzić zazdrości w poecie. Wątpimy, ażeby pomieniał się on na dolę z owym generałem Boonem, myśliwym z Kentucky, którego nazywa najfortunniejszym z ludzi dlatego, iż niefrasobliwy żył w matecznika pradziewiczych lasów z młodą i wesołą gromadką współłowców *(D. Juan* VII). Byron odsunięty po za arenę tytanicznych zapasów, w których można zyskać sławę gromką na świat cały, Byron przecywilizowany w salonach — Symplicyuszem! To coś podobnego do wizerunku, któryby wyobrażał Napoleona pod pantoflem.

Byron kochał przyrodę — to więcej niż pewno, i kochał ją inaczej niż reszta ludzi, po swojemu. Widział w niej ducha pokrewnego, moc, namiętność. Jego ulubieńcy i przyjaciele, to alpejska lawina, co staczając się z gór, druzgocze sioła i miasta, i wielki promienisty krąg słońca w chwili zachodu, bezdenne

otchłanie i rwące potoki, których widokiem pieści się w *Manfredzie*, to ocean, którego grozę nieskończoną, nieprzebytą, tajemniczą opiewa w *Childe-Haroldzie*, to bezmiar nieba i bezlik globów świetlanych, śród których wędruje z Lucyperem. »Gdy się rozkoszuje burzą między górami — powiada Rudolf v. Gotschall — to rzekłbyś, iż dwóch demonów się zeszło i oto witają się«.

Wyborne to porównanie zawiera, i może bezwiednie, głęboką prawdę. Byron personifikował naturę. Taka silna jaźń we wszelkiej potędze musi również jaźń widzieć; taka religia to monoteizm czy monodemonizm, ale żadną miarą panteizm. Jakto? Byron nie panteista? — zapytają nas. Urzędownie — tak, i to nie koniecznie od chwili zbliżenia się do Shelleya, jak bezmyślnie powtarza zdawien dawna krytyka, bo już w *Godzinach wczasu* wiarę w jednego Boga rozszerza on:

W gotyckich tumów cieśni kamiennej
Potęgę swoją ma zamknąć On?
Jego świątynią — światło promienne,
Ziemia i niebo to Jego tron.

Toć tu chyba Shelley nic nie miał do czynienia. Ale wewnętrznie, uczuciem swojem, Byron nigdy istotnym panteistą być nie mógł. Pojmie to każdy, kto wie, że pogląd na świat, choćby przez najwyższe powagi narzucony, musi koniecznie poddać się cenzurze usposobienia, organizacyi. Ona wykreśla i uzupełnia, stosownie do ustroju. Ona też w Byronie nie dała rozlać się czuciu religijnemu po owem »wszystkiem, co z jedności płynie, z której się wzięła dusza, w której zginie« (*D. Juan* III), lecz związawszy to czucie w jeden snop iskier, w jednę strzałę, skierowała ją ku osobowemu Bogu, mimo wszelką nawet fanfaronadę

nihilizmu. Taką filozofię wyznający lub raczej czujący poeta prędzej czy później musiał zdjąć hańbiące piętno z cywilizacyi, a wypalić je na czole jestestw wyższych, które według niego szlaki pochodowi dziejowemu wskazują. A że szlaki te złe, więc i sternicy nie są bynajmniej wcielonem Dobrem.

Czyniąc ten krok naprzód, poeta stanął u kresu swego posłannictwa. Zastępując sielanki pokątne — *rajem*, w którym z ręki Boga wyszli pierwsi rodzice nasi, pogłębił swój ideał rokoszu do ostatnich granic, ogarnął coś więcej nad Europę i jej ludy, bo cały glob, wreszcie cały wszechświat. Został Prometeuszem nowych ludzi, o tyle większym od greckiego, że rzucił rękawicę w imieniu Nieskończoności tworów żywych i umarłych.

Kain — gdyż o nim to mówimy — zżyma się na wieść, posłyszaną od Lucypera, że ziemia zamieszkaną była niegdyś przez szlachetne szczepy, i że je zgładziła ręka Jehowy, tak jak i nadal będzie ona kataklizmami ścierać na proch wszystko, co na tym padole żyje. Gdy Abel, namawiając do całopalnej ofiary, zapewnia, iż sprawia ona rozkosz Stwórcy, Kain już wściekły prawie, wykrzykuje: »Czem jest rozkosz wyssana z pieczonego w dymie ciała, z krwawych oparów — wobec bólu matek, co opłakują jeszcze swoje małe — męki niewinnych ofiar, które nóż twój pobożny zarżnął?« Kiedy Adam przykłada do rany jagnięcia pęk ziół i uśmierza mu srogi ból, ażeby potem zrobić radosną uwagę, iż to tak zwykle ze złego wyrasta dobre, Kain myśli sobie w duchu:

Czyż nie lepiej
Byłoby dla zwierzęcia, gdyby wcale
Nie ukąszono go, niż żeby powrót
Krótkiego życia okupywać miało

Niewysłowionym bólem, chociaż inną
Trucizną uśmierzonym?

Kain urąga Bogu, że świat stworzył na męki, że zniewolił, acz nie bezpośrednio, rodziców jego do popełnienia grzechu i każe zań pokutować dzieciom i przyszłym pokoleniom — a w tej pokucie trapi go najsrożej i straszy swą tajnią i zgrozą myśl o śmierci. Tu widzimy całą długość drogi, przebytej przez Byrona. W *Manfredzie* pozował on na niezlęknionego i śmiało szedł na spotkanie śmierci, wołając w ostatniem tchnieniu, że to bagatelka, ale teraz, jako przedstawiciel całego rodu ludzkiego, wzdryga się na myśl o zgonie, z całą szczerością samozachowawczego popędu. *Kain*, dzięki temu, wydobywa z nas donośny wtór, bo czujemy to wszyscy i po odrzuceniu brawury, obłudy i sofizmatów przyznać musimy, że instynkt silniejszy każe nam za złe największe, główne, uważać śmierć. I nie chodzi mu wcale o siebie, ale o cały bezmiar istot i owych ciał niebieskich, co krążą po przestworzu i są cmentarzami tworów wzniosłych, dobrych, rozumnych, dumnych i o tyle wyższych od Adama, gdy rajem jeszcze władał, o ile prześcignie go podłem skarłowaceniem późne potomstwo, które narodzi się w krocie lat po nas. I ziemie ich były wspaniałe i tak samo zburzone zostały przez nieubłaganą ruinę, zamęt wszech żywiołów. Niszczyciel zepchnął świat w chaos, tak samo, jak go ongi z chaosu dźwignął.

Kain to wskróś realny człowiek, to adamita z krwi i kości, który pragnie, żałuje, lituje się, gniewa, oburza, płacze, szydzi i przebywa całą tę skalę uczuć, przez jakie wiedzie nas krytyczny zdrowy rozsądek. Nie widzi on celu w samem stworzeniu świata, nie znajduje w nim rozumu, nie ma zaufania do obie-

tnic, czuje niesprawiedliwość w smutnym losie rodziców swych, w doli własnej, brata swego Abla i możliwych swych dzieci, bo »płodzić je na długie lata mąk, by potem marły, to równa się krzewieniu zgonu«. Jego krytyka jest nawskróś trzeźwą, prawdziwą i ani słowa do niej dodać, ani jej ująć nie można, jeśli staniemy na tym punkcie widzenia filozoficznego, który obrał Byron, czyli na stanowisku deisty. Zresztą, czy mamy poważną zasadę twierdzić uparcie, jak to czynią wszyscy niemal [1]), że poeta brał za dziejową prawdę i metafizyczny pewnik to, co opiewa myt. Czy nie jest nonsensem pomawiać o coś podobnego — człowieka, który tak zuchwale bluźni ustami swego bohatera? My widzimy w tem misteryum świadome użycie alegoryi i rozmyślnie bezbożną interpretacyę pierwszej zbrodni, która w Starym Testamencie całkiem inaczej jest przedstawioną. A jeśli tak, to Kain stanowi najpełniejsze, jakie sobie wyobrazić można, wcielenie w żywą, namacalną, jednostkową postać tego, co z pewnemi zmianami kursuje śród ludzi pod mianem »pesymizmu«, i co filozofia niemiecka w inną tylko ubiera sukienkę.

Ci, co wmawiają Byronowi naiwność prostaczka, w chwili, kiedy on żga na okół świętokradzkimi dowcipami, całkiem prześlepiają ważny fakt, który sprawia, że *Kain* stoi na wyżynach skończonego artyzmu. Czyn krwawy jest w nim poprzedzony taką masą goryczy, fermentu, przygotowany tyloma refleksyami, że ani nas dziwi, ani tak bardzo oburza, a tylko do żałosnych rozpamiętywań bezbrzeżnej nędzy ludzkiej usposabia. Czyn ten — to odruch człowieka, w którym

[1]) Nie wyłączając i p. Spasowicza, którego studyum o Byronie choć należy do rodzaju przestarzałego, jest niewątpliwie jednem z najbystrzejszych, najbardziej jędrnych i gruntownych.

sącząca się do jego mózgu gorycz podniosła ciepło krwi do temperatury wrzenia, to wybuch namiętności tak naturalny, jak i jego następstwa: śmierć Abla i bezdenna rozpacz Kaina, kiedy oprzytomniawszy, dzieło rąk swoich zobaczył. Wszystko spiknęło się, żeby go oślepić gniewem. Wtedy, gdy ponure myśli trawiły go i kąsały, Abel ze swą pokorą i bezmyślnością baranka musiał go irytować. Musiała go rozdrażnić i rozwścieczyć ofiara, którą on miał za szlachetną, czystą, bezbolesną, gdy niebiosa wzgardliwie ją podmuchem wiatru z ołtarza zrucały, chłonąc natomiast łakomie krwawy dym całopalnej Abla. I w takiej chwili kazano mu się modlić, klęczeć, błagać! Zagotowało się w jego wnętrzu i zda się nam, że widzimy własnemi oczyma, jak mu wzrok pała złowrogim ogniem, jak kurczowo zaciska pięście, jak lica mu płoną, i oczekujemy niby gromu po błyskawicy — tego piorunującego okrzyku:

Niech krwawy pomnik
Nie patrzy w słońca blask, jako stworzenia
Hańba!

Obudziło się w nim zwierzę społeczne z całą gmatwaniną swych porywów drapieżnych i wzniosłych zarazem, cały ból krzywdy swojej i cudzej z kłapiącą zębami żądzą zemsty. I oto więcej może z winy Abla, który nierozważnie do rozjuszonego lwa się zbliżył, rozegrał się prosto, szybko i gwałtownie najsmutniejszy dramat ludzkości... Piętno bratobójcy osiadło raz na zawsze na czole człowieka. Jak jędza wpadła na świat owa śmierć, która tak intrygowała Kaina, bo on jej — mówi Hamerling — wybił bramę przez serce brata. I wzdrygamy się przerażeni prawie, gdy ucho nasze uderzają złowrogie słowa anioła: »Kainie! gdzie brat twój Abel?« — taką okropną wezbrały one teraz tre-

ścią. Więc nie zwykły zbrodzień zgładził owego bliźniego, nie zwierz chciwy i krwiożerczy, jakeśmy przywykli sądzić, lecz tkliwy jak Hamlet poeta i myśliciel, natura subtelna, wrażliwa, refleksyjna, podniosła. A kiedy z ust jego wychodzi krnąbrna odpowiedź: »Azaż stróżem jestem mego brata?« — czujemy dobrze, iż to nie hardość wyziana bezczelnie, ale sofizmat, który się wypowiada z wbitym w ziemię wzrokiem, to źle jeno ukryty a szarpiący wnętrze wyrzut sumienia, które brawuje przed sobą samem. I serce nam kraje się z bólu i litości i łzą nabrzmiewa powieka na dźwięk wyrocznych, okrutnych słów:

Przeklętym odtąd będziesz na tej ziemi,
Co swe rozwarła usta, by krew brata
Z twej chyżej wypić dłoni! Niechaj odtąd
Zorana rola odmawiać swej siły,
Wygnańcem od tej doby bądź i zieni
Tej tułaczem!

i chcielibyśmy, jak ta wierna nawet w nieszczęściu, hańbie i opuszczeniu żona Adah — los wygnańca dzielić...

Kain — powtarzamy, to prawdziwy zoologiczny *homo sapiens*, jakim jest i będzie po wsze czasy każdy z nas. Ma on w sobie zarodki wszystkich ideałów i wszystkich nieszczęść. Cóż że miota się, krytykuje, bluźni, kiedy ostatecznie własną ręką ściąga się z wyżyn ulubieńca boskiego na poziom bestyalności. Kain — to fatalność naszej natury; ona marzy podniośle i mędrkuje szczytnie, ażeby za chwilę spełnić podłość, ona wznosi dumnie kark nad wszystkie potęgi świata, ażeby za chwilę uledz poszeptowi zwierzęcia i stać się bryłą bierną, młotem, poruszanym przez niewidzialną machinę, a potem znów opłakiwać jednę chwilę szału i zgryzotami sumienia rwać serce

swoje w sztuki, i znowu nosić w swem łonie nieskończoność myśli, żalu, smutku i tęsknoty...

Ten tragizm doli ludziej, to błędne koło, którą jest pielgrzymka nasza, Byron odczuł i odtworzył, jak nikt przed nim i nikt już po nim. Zeszedł on ze swych zawrotnych wysokości i stanął między ludźmi, jako *primus inter pares*, ażeby kędyś, w krainy nieznane, ponieść jęk i skargę, w której czułe ucho dosłyszy jęków i skarg wszystkich, wszystkich jego bliźnich.

Ale owo koło nie byłoby błędnem, gdyby istniało wyjście z niego w postaci zupełnego zdania się na łaskę i niełaskę losu. Nie — istota ludzka, choć zmiażdżona, zgnębiona, nie kapituluje — to jej cecha organiczna. Kain wyobraża ten mus walki ciągłej, niestrudzonej, tę nieuleczalną wiarę w siebie naszej jaźni, którą może jedynie wykoncypować na zimno t. z. pesymizm, ale się nią do głębi nie przejmie nigdy. To też Byron ani na chwilę pesymistą nie jest i takim zrobili go tylko ci, dla których wszelkie wogóle zdzierania iluzyi — są »pesymizmem«. Mimo labirynt cierpienia, w który wbrew własnej woli, Kain wprowadzonym został przez rodziców swych, mimo męki swe przeróżne — rwie się on do ideału, chciwy poznania. Jeśli was ten świat nie zadawala, zbudujcie sobie inny, duchowy, wtedy zwyciężycie własną naturę — mówi otwarcie. Utyskuje, że drzewo wiadomości nie dotrzymało przyrzeczenia. Jeśli Adam i Ewa zgrzeszyli, niech chociaż poznają wszystko, co poznawalne. Gdzieindziej znów prosi bogów, ażeby mu wolno było poznać ich w ich majestacie i rozumie — albo umrzeć, jak mrą atomy. Zarzuca on pytaniami swego przewodnika Lucypera, z jego pomocą tworzy sobie słuszny pogląd na naturę rządów pozaziemskich.

Cherub ten to właściwie dawny Byron, butny, hardy, ambitny; każde słowo jego dyszy łaknieniem władzy, zemsty, siły. Uprzytomnia on niejako związek *Kaina*, tak realnego, kunsztowego i dojrzałego z podmiotowym poetą, który nawet tutaj nie przestał być Manfredem i Giaurem, ale na tle altruistycznem, a więc w ten sposób, że co było krnąbrnością osobistą, stało się protestem ogrzmiewającym wszechświat. Kwintesencya *Kaina* — to walka na śmierć i życie z potęgą, której ulegać musi ciałem, ale może nie poddać się duchem. Jego zausznik Lucyper przysięga: że »świat nad światem, nad gwiazdą gwiazda i nad wszystkiem wszystko zadrży w posadach wprzód, nim bój straszliwy zakończy się«.

Nawet w misteryum *Niebo* i *Ziemia*, tak elegijnem i łagodnem, tak muzykalnem, jak gdyby poeta tworząc je, uciszył w sobie do reszty dumną nawałnicę, — góruje nuta dumy i buntu, choć on wobec klęski potopu zgoła do niczego nie prowadzi. Poemat zaczyna się cudną sielanką biblijną, której uczestnikami są aniołowie Azaziel i Aholbama, oraz dwie córy ziemi, a kończy zgrzytami nienawiści ku sprawcy niezasłużonej kary. Matka, obłąkana rozpaczą na widok spiętrzonych fal, bluźni Jehowie, a gdy Jafet woła, by zamiast klątw słała ku niebu raczej modły, chór przyszłych topielców odpowiada:

Nie! nie! Przeklęty Pan twój i zbawca. Wiemy, że daremnie
Kląć go jak błagać, lecz mamyż
Hymny mu śpiewać, lub podłem kolanem
Czołgać się przed nieubłaganym?

Jak dzieje pierwszej pary ludzi, jak pierwsze nieszczęścia naszego rodzaju stały się pamiątką, poetyczną relikwią całej cywilizacyi, bo wszystkich jednako dotyczą — tak samo misterya Byrona osnute na nich

są jakoby jedną złotą czarą, poświęconą całej ludzkości, bo wypełnioną po brzegi całej ludzkości łzami.

VIII.

Oto dlaczego wspomnieliśmy o *Kainie* na końcu, mimo, że nie on był łabędzim śpiewem wielkiego poety. Jego artyzm doszedł do zenitu w *Don Juanie*, jego poezya i myśl — w *Kainie;* jego działalność praktyczna — w walce o niezawisłość Grecyi. Lecz dla nas czysta sztuka w odniesieniu do Byrona nie odgrywa roli probierza głównego. Jako wirtuoz, ma on wielu równych, a może i większych, jako organizacya, w której myśl i czyn splotły się nierozerwalnie — stoi sam jeden i nad wiekiem naszym króluje dotąd. Jak Goethe jest cały artystą, tak Byron jest cały człowiekiem, i choć tamten stoi u wrót stulecia potężnym dębem, z którego powstał cały las, to jednak ostateczną równowagą swą zamknął sobie przystęp do naszych serc i zamienia się raczej na posąg z marmuru, wieńczący panteon ośmnastego stulecia. Goethe nie zniósłby tego widoku powszechnej namiętności, walki, pragnień i cierpień, które nami od pierwszej ćwierci wieku miotają. Odwróciłby od niej oczy, albo co pewniejsza, kazałby nas, gdyby tylko mógł, wyrzucić z tego teatru, jak uczynił niegdyś w Wejmarze ze studentami, którzy zbyt głośno okazywali swe uczucia.

Ale niestety nowsze pokolenia coraz mniej zdolne są do tej harmonii, która zrobiła Fausta pożytecznym obywatelem, i możeby nawet nie uwierzyły, że Torquato Tasso, nerwowy, drażliwy, łaknący poeta tak łatwo się uspokoił i z losem pogodził. Bo na długo

świtanie z nieba dziejów znikło, mkną po niem coraz gęstsze, coraz cięższe chmury i dramat ludzkości coraz bardziej się wikła i w nieskończoność przewleka. W powietrzu wiszą burze, a w sercach ból i troska. Poezya weszła w znak Prometeusza — Kaina.

Jak dalece w Byronie człowiek górował nad artystą, przekonywa sama jego twórczość, sam sposób pisania. Nieoceniony skarbiec, jakim są jego listy do Murraya, zawiera mnóstwo wyznań, z których się okazuje, że nie umiał obmyślać, przetrawiać, ulęgać, ale uczucia jego padały na papier z pędem wytryskującej krwi. Giaur pierwotnie liczył 400 wierszy, w korekcie urósł do tysiąca paruset. Tak było mniej więcej z innymi poematami. Pięknie i zadziwiająco trafnie mówi Mickiewicz: »Goethe, zdaje się, że uważał własne namiętności jako natchnienia, które jego dzieła sztuki ożywić miały; namiętności Byrona, jak starożytne fatum, władały całem jego życiem fizycznem i moralnem; dla Goethego były to puhary falerneńskiego trunku, jakimi lubił orzeźwiać się Horacy; muza Byrona odurzała się niemi, jak Pythonissa wieszczym dymem« [1]). To też i postacie jego, jak to wielekroć stwierdzono, są tylko podobiznami własnemi, kochanek, przyjaciół, słowem ludzi żywych. Nie umiał zmyślać ani kłamać i opiewał jedynie tych, którzy byli zespoleni z własnem jego jestestwem krwią, miłością, nienawiścią, słowem — jakimkolwiek węzłem gwałtownym. Mimo wszelkie jako formułki estetyczne i kadzenie poezyi w peruce — miał swoją modłę, własną, popędową, która, prąc na zewnątrz z niesłychaną siłą, w puch je rozbijała. Stąd i rymy jego nie są zwykłem słowem, utoczonem na zimno, lecz materyą

[1]) *Goethe i Byron.* Przedruk z »Gazety Codziennej« 1860.

wybuchową, płynem magicznym, który albo pali, póki powinowactwo duchowe istnieje między poetą a czytelnikiem, albo — w razie przeciwnym — traci cały urok, staje się przesadą, nużącą monotonią, zastarzałą manierą. Prawie nie chce się wierzyć, iż z pod jego pióra mógł wyjść *Don Juan*, bo choć od satyry zaczął, to jednak owa dawna jest porządnie nudną i sztuki w niej po za miażdżącą tendencyą nie ma. Zkąd tyle lekkości, dowcipu, bogactwa efektów, pstrocizny i kalejdoskopu w mózgownicy, która z uporem rośliny wciąż w jednę stronę się zwracała? Po prostu zmienił się, przetworzył człowiek, pod wpływem niezliczonych obrazów zmiennej rzeczywistości, pękła obręcz uciskająca wyobraźnię, sztywny patos zmiękł, rozpuścił się jak stężała glina w pracowni rzeźbiarza i dał się modelować swobodnie. Wprzód życie musiało się rozprysnąć na bezlik barw i bezmiar kształtów i swą falą zagłuszyć wsłuchane w siebie ja — a dopiero potem zjawić się mógł kunszt giętki i plastyczny. Najpierw musiał się urobić wszechświatowy człowiek, a z niego dopiero narodził się wszechpoeta.

Gdyby nie ta przewaga człowieka nad poetą, gdyby nie to, że jak wyrzekł o sobie Heine — Byron mówił katapultami, a falarykami strzelało serce jego, nie odegrałby tej roli w dziejach, roli, która nie ma sobie równej, nie opętałby na tak długo całego państwa poezyi i uczucia, nie byłby nowoczesnym Sezostrysem, którego rydwan ciągną królowie, jak Mickiewicz, Słowacki, Malczeski, Heine, Lenau, Jerzy Sand, Prosper Merimée, Lamartine, Alfred de Musset, Puszkin, Lermontow, a z nimi tysiąc mniejszych i całkiem maluczkich. Nie stworzyłby tylu naśladowców swą pozą, czupryną, krawatem, hardością, nie rzuciłby skuwającego uroku na literaturę, wyzwolin z Hesperyjskich

ogrodów romantyki nie opóźnił. Bo i to o nim rzec można, iż czarem Harolda rozleniwił i rozgnuśnił wielu, którzy nie zdolni byli zmieścić w swem łonie całego świata, jak on, ale jego zadumaną a interesującą twarz przedrzeźniali z rozkoszą.

Oznaczyć granicą miejsca i czasu wpływ Byronizmu — niepodobna. Dotarł on niemal wszędzie i żywotności do dnia dzisiejszego nie postradał. Zresztą obszar tego wpływu można wyczuć, ale nie zważyć i wymierzyć. Byron był czemś zupełnie odrębnem od wszelkich tak zwanych szkół i kierunków. Wniósł on do poezyi nowy czynnik piękna w postaci nowej indywidualności, tak potężnej, iż ją dotąd mało kto ogarnia. Podziałał nietylko na świat jawnej twórczości, ale na wszystkie umysły ludzkie. Był to olbrzymi prąd galwaniczny, który piorunująco wstrząsnął najsilniejszymi nawet nerwami...

Tej siły, równej kataklizmom kosmicznym, osobliwie dobrym *przewodnikiem* była poezya polska. Rażona — bo inaczej stan ten określić trudno — byronizmem bardzo wcześnie — jeszcze w połowie drugiego dziesiątka lat (1817—18), gdy Malczeski poznał się z buntowniczym lordem w Wenecyi, wyśpiewała go na harfach największych poetów, lecz jeszcze nie *dośpiewała* [1]):

[1]) Pierwszym poetą z bożej łaski, co zaszczepił u nas żywe płonki byronizmu — same utwory wielkiego barda — choć, jak ujrzymy, nie najwcześniejszym z żarliwych czcicieli, był autor *Pana Tadeusza*. Nasiąknął on geniuszem Byrona na dosyć długo, zaczytywał się nim, spolszczył posępnego *Giaura*, *Ciemność*, *Euthanazyę* i słynne pożegnanie *Childe Harolda*, a w akademickiej rozprawce brał mistrza w obronę przeciw Brodzińskiemu. Zapał ten przypada na okres bolesnego zawodu w miłości. Utrata Maryli spokrewniła Adama z nieszczęsnym kochankiem Maryi Chaworth; więc przejął jego dumę, zamiłowanie do samotnych marzeń, sarkazmem raził przyjaciół — słowem, uczynił duży krok ku osła-

Jednak nie była przewodnikiem najlepszym. Nie odczuła go całego, nie wchłonęła, jakim był. Wy-

---

wionej Byrona melancholii i demoniczności. Lecz był już nad nią wyższym w r. 1832, gdy mścicielskie postacie Słowackiego nazywał »świątyniami bez Boga«.

Dawno już wyśledzono Byronizm w *Konradzie Wallenrodzie*, niektórych *Sonetach krymskich*, osobliwie w *Burzy*, w sonecie *Strzelec*, gdzie drga nuta *Kainowa*. Pomimo dat i szczegółów, któremi p. Spasowicz kategoryę tę określa, niechętnie zaliczając doń *Żeglarza* i *Nowy rok*, wpływ tutaj się nie kończy. A więc wyzwaniem też, choć nie Stwórcy, a ludzkości jest część IV. (»Niema w Gustawie ani jednego rysu, któryby był byrońskim« — mówi p. S.). Rozdarte serce — pustelnik — burzliwa spowiedź przed księdzem — groźba zemsty: w tej formule zmieściłby się i *Giaur* i *Manfred*, obojętny na religijny balsam opata. Motyw to tak rdzennie Byronowski, że powtarza go i *Wacław* Słowackiego i *Wacław* Garczyńskiego, choć niejednakowo. *Improwizacyi* każe p. Sp. być oddźwiękiem *Kaina*, zapomniawszy o *Manfredzie*, z którego wieloma słowami niemal identyczne są wykrzyki *Konrada: »Tę władzę, którą mam od przyrodzenia*, chcę wywrzeć na ludzkie dusze. Rozrządzać muszę... *nie nauką — prędko gnije... chcę uczuciem rządzić, które jest we mnie*. Lecz czuję w sobie, że gdybym mą *wolę* ścisnął, natężył, i razem wyświecił, możebym sto gwiazd zgasił, a drugie sto wzniecił, bo jestem *nieśmiertelny«*. Tak właśnie deklamował samobójca alpejski. Kain — nie mógł, bo właśnie był śmiertelny i czuł swą znikomość, Lucyper zaś — nie potrzebował, bo miał się za równego Jehowie.

Mickiewicz cierpiał na te same sercowe i autorskie dolegliwości, a że wyraz miał gotowy, więc go użył. Okruchy piołunu, które zostały w liryce erotycznej, przywodzą na pamięć wiersze *Do Thyrzy*, *Do M**, *Do pewnej damy*, którymi się roją *Miscellanea* Byrona. Jego zaś skargom na Zoilów wtóruje wycieczka »przeciw krytykom i recenzentom warszawskim«.

Jeżeli Mickiewicz zapożyczał dla *Grażyny* tylko szatę wewnętrzną, a dla *Wallenroda* jeszcze i dumę, wyniosłość, oraz sentyment ku Aldonie na wzór Korsarza i Medory — tedy był ktoś, komu i sama zawartość owych »opowiadań« całkiem zawróciła głowę: Juliusz Słowacki. Już nie kruszec poetycki, z którego były rzeźbione, lecz zasadniczy nastrój ducha, podbiły go sobie zupełnie. Bo też natura i temperament jego były dla byronizmu gruntem nader żyznym. To — uosobienie wrażliwości, nieokiełznanych porywów i marzycielstwa, a tak wielkiej ambicyi i dumy, że

świadczyłby literaturze swojskiej i porównawczej niemałą przysługę, ktoby wyśledził dokładniej, co z by-

---

już w cudaczny sposób wyzierały z modlitw chłopięcych. Posłyszawszy o śmierci Goethego, radował się, iż traci niebezpiecznego rywala. Jeśli dodać do tego stereotypowy czynnik wzgardzonej miłości, kult Byrona okaże się wprost koniecznym. To też opanował całą istność Słowackiego tak dalece, iż nie wiadomo, gdzie się kończy niefortunny amant Chaworthównej, a zaczyna egzaltowany wielbiciel Ludwiki Śniadeckiej. Cały cykl poematów, wykwitłych z rozwichrzonej wyobraźni Byrona, znalazł się ryczałtem w Polsce, przybrany w formy tworów oryginalnych. *Giaur*, *Korsarz*, *Lara*, *Paryzyna*, *Obl. Koryntu*, *Narzeczona z Abydos* — a z drugiej strony młodzieńczy cykl pieśni Juliusza: *Mindowe*, *Marya Stuart* (Botwel), *Lambro*, *Hugo*, *Żmija*, *Bielecki*, *Mnich*, *Arab*, wzajem się pokrywają. Jeno Słowacki przeszedł w demonizmie samego mistrza. Lubował się w mizantropii i niszczycielstwie dla idei i idealizował Herostrata ludzkiego szczęścia. Takiem wcieleniem wściekłości jest *Arab*. Tymczasem Byron najbardziej gniewnym swym sobowtórom wlewa w serce żar miłosny, a do towarzystwa dodaje nadobną Medorę, Gulnarę lub Zulejkę. Apostolstwo narodowe i budowanie zbawczych ideałów położyły z czasem kres zżymaniu się na świat niewiadomo za co i po co, ale w dobie swego panowania pozbawiło ono poetę samodzielności. Nietylko, że duchem lgnął do swego pół-boga, ale jego fantazyę i język przejął aż do biernego kopiowania. Boć naprzykład *Lambro* — to usymfonizowany motyw o tegoż imienia ojcu niebiańskiej Haidy, który jarzmo muzułmańskie słodził sobie grabieżami na morzu. Zachęcający do rokoszu poeta Ryga, to nie kto inny, jak grek lutnista z uczty Haidy i Juana, który śpiewa pyszną elegię o bohaterstwie starej Hellady. Prawie zbyteczna nadmieniać, że gwałtowni Słowackiego są również imiennikami demonów byronowskich: Lambra, Hugona z *Paryzyny*, Selima z *Narzeczonej* i t. d.

Rzecz dziwna, iż dotąd przeoczają naśladownictwo w jednym z dyamentów twórczości Juliusza — *Ojcu zadżumionych* — który stanowi parafrazę *Jeńca Czyllonu*. Różnice są dość błahe. Nic to bowiem, że tam cierpi więzień, a tu wędrowiec, jeden w Sabaudyi, drugi na pograniczu Syryi i Egiptu: obadwaj patrzą na skon całego swego rodzeństwa i znoszą męki Nioby, tem straszniejsze, że powolniejsze i zrozumialsze dla nas. Bonnivard traci stopniowo ojca i sześciu braci, ofiara dżumy — żonę i sześcioro dzieci — różnica nader mała zaiste. Tamten skupił najdroższą swej miłości cząstkę na najmłodszym bracie, ten na najstarszej córce Hatfe. Ich

ronizmu do nas się przedostało, i jakim w procesie przystosowawczym uległo zmianom.

---

skon stanowi punkt kulminacyjny bólu w obu poematach, poczem nastaje znieczulenie; a tu i tam zwłoki ulegają profanacyi: grabarze kwarantanny nieostrożnie zawadzają hakiem o pierś dziewczyny, a stróże Chillonu u nóg Bonnivarda zakopują ciało brata, po którym ze zgrozą stąpać musi przykuty do słupa. Jednego do łez rozrzewnia ptaszyna zaglądająca do lochu, drugiego głowa starego druha — wielbłąda, odchylającego skrzydła namiotu. Jeden mówi: *jam już łańcuchy swoje ukochał;* drugi: *jam do ciemnego już przywykł namiotu.* Potrzebaż dalej snuć ten łańcuch analogij? Niech go sobie ciekawy dociągnie do końca, porówna język obu martyrologij, ton początku i zakończenia, a przekona się, że fakt zaczerpnięcia przez Słowackiego tematu z opowiadań lekarza — nie ocala go od zarzutu *systematycznego* naśladowania. Jednak *Ojciec* przewyższa *Jeńca* o nieskończoność — nieskończoność realnie w całym swym przebiegu odmalowanej boleści.

I biegun przeciwny patosu Byrona — jego szyderstwo, żółć i humor odbiły się donośnie w Juliuszu. Don Juan, wszechsatyra, jakiej równej żadna nie zna literatura — zrodził *Beniowskiego*. Lecz duchowy syn zadanie swe zwęził. Jemu były obojętne dziwolągi polityki europejskiej, mordy i wojny, podszywające się pod płaszcz bohaterstwa, zepsucie i małość, kryjące się w pozór cnoty, powagi i uczciwości — miał swe własne bolączki czysto osobiste i narodowe i takim tylko żalom puścił wodze. Nie tak zepsuty jak mistrz, daleki od nihilizmu w filozofii, mógł się zdobyć na siłę i głębię uczucia szczerego, obcą Don Juanowi — ale sarkazmowi i druzgoczącemu dowcipowi nie sprostał: opłakał więc tylko klęskę, której był jedną z ofiar i zemścił się na swych wrogach literackich, korzystając z szerokiego prawa odskoków, cechującego byronowskie oktawy. Formę bo zapożyczył całkowicie, aż do wybryków rymowych i ciągłych rozmów z muzą.

Lecz muszę być lakonicznym. Napomknę tylko, że wbrew dotychczasowym analizom należałoby wpływu Byrona szukać i dalej: w *Kordyanie* i *Mazepie*. Napadają na poetę, iż wojewodę uczynił niesłychanie, nie po polsku, srogim. Rzeczywiście — to zdaniem mojem, włoch, książę Ferrary, z dynastyi Estów, słowem Azo z *Paryzyny*, który posunął okrucieństwo do tego, że kazał własnego syna ściąć za udowodnioną miłość dla macochy. A więc i na stosunek Zbigniewa do Amelii, również niezbyt polski, pada światełko.

Dźwięczy muza Słowackiego melodyami Danta, Aryosta, Schillera,

Możeby się okazało wtedy, że trzy punkta wytyczne określają obszar i cechy gatunkowe polskiego

---

Szekspira, Calderona, ale najdłużej Byrona. Powiadam — najdłużej, gdyż ani na chwilę nie wolno zapominać, że różne te wpływy nie tyle obejmowały jeden po drugim panowanie w umyśle Słowackiego, ile raczej wpadały razem do ogólnego zbiornika — indywidualności. Dziś nasza literatura pojmuje to lepiej, niż kiedykolwiek; nauczyła się bowiem, że genialność polega nietylko na pomysłach i ideach, ale i na organizacyi poety, jeśli ta ostatnia jest i wielkim pomysłem i wielką ideą natury. A właśnie pod względem organizacyi Słowacki tak jest odrębny, swoisty, tak wszystko koloryzuje własną swą cudowną wyobraźnią, klejnotową migotliwością języka, subtelnością machiny nerwowej, że mimo »bluszczowość« odcina się dosadnie, czarownie i potężnie od całej naszej poezyi. Igrając rymami paradoksalnemi i obrazami z wirtuozostwem żonglera, stwarza typ, najbardziej może pod względem doskonałości poetycznej i przeduchowienia wysunięty naprzód. Tym sposobem, co pożyczył od Byrona, oddał z procentem literaturze.

Trzecia gwiazda wielkiej plejady — Krasiński trzymał się odpornie wobec byronizmu. Pochłonięty wizyami przeszłości i Jeremiaszowym płaczem nad zgubą ideałów minionych, Tyrteusz w części, a Epimeteusz niemal cały — dużo wziął od Danta. Byrona w nim dostrzedz trudno, aczkolwiek można — zwłaszcza w pierwszym okresie twórczości. Można twierdzić *a priori*, że niepodobieństwem było wpływu byronicznego uniknąć, gdy się było młodym, egzaltowanym i usposobionym melancholijnie. Byron świecił tak długo i olśniewająco, że każdy, chcąc nie chcąc, musiał go widzieć, czuć i urokowi jego uledz. Zresztą prócz domysłów i fakta nas o tem upewniają. Gdy bawił we Włoszech ze Słowackim, razem czytali i rozbierali Byrona i chłonęli te uczucia, któremi on Europę owiał. (Porównaj Studya Ferd. Hösicka *passim*). Trafia mi też zupełnie do przekonania to, co mówi p. Drogosław (*Ateneum* za luty 1895) i co wykazuje zestawieniami, a mianowicie, iż Masynissa żywo przypomina demoniczną swą postacią i mową — Lucyfera z *Kaina* Byronowskiego.

Rozstając się z koryfeuszami, natrąćmy o ich przyjacielu, Garczyńskim Stefanie. Wielcy wieszcze nie zawsze bywają dobrymi krytykami. Mickiewicz i Słowacki korzyli się przed *Dziejami Wacława*. Zazdrość i uwielbienie nietajone czuli dlań obaj. Gdzie klucz tego dziwnego zjawiska? We wspólnym wszystkim do pewnego czasu i stopnia manfredyzmie i demonizmie! Poema Garczyńskiego powtarza wiernem echem znaną rozterkę duszy i byroniczną modą czyni jej przymusowym widzem — księdza, jakkolwiek

byronizmu; zetknął się on ze sferą wskróś religijną, a już niemal zawsze *prawowierną;* miał do czynienia

---

kończy się po faustowsku: zgodą ze światem i ideałem twórczym. *Wacław* Słowackiego i, jak dowodzi wymownie Małecki, *Kordyan* są zapewne w blizkiej zależności od swego przecenionego dzieła.

Lecz nie tu kres jeszcze promieni, o których mowa. Blizko ogniska byronizmu, mniej więcej współcześnie z tamtymi, stoi odłam ukraińców: Malczeski. Gdy tłumy z zachwytem recytują śliczne ustępy z *Maryi* — nie przychodzi im pewnie na myśl, że powtarzają tylko parafrazę słów Byrona. Owo słynne: »Czy Marya ciebie kocha?« to słowa Zulejki z *Narzeczonej*, tak samo jak słów tych i całej postaci czułostkowość i miękkość, zastanawiające w dziewicy polskiej. Tragiczny zgon z rąk zbirów wojewody poeta wziął żywcem z *Lary*. Jeno tam były korsarz topi Ezzelina, by nie zostać przezeń zdemaskowanym. Ani tu, ani tam nie jesteśmy świadkami zbrodni, a dowiadujemy się o niej w *Larze* od chłopca, w *Maryi* od pacholęcia. Zresztą mnóstwo scen *Marya* powtarza wiernie po Byronie: opis bitwy, krajobraz na wstępie, srogość sprawcy nieszczęścia. Po dalsze szczegóły odsyłam do całej ich wiązanki, uwitej przez Gramlewicza w rozprawie o *Maryi*. Są tam godne uwagi zestawienia językowe i estetyczne.

Malczeski najsilniej po Słowackim odczuł byronizm, ale odmienny jego pierwiastek: zadumę, weltschmerz; demonizmem się mniej przejął. Melancholii Childe Harolda dużą dawkę wchłonął. On też najbliżej zetknął się ze swoim wzorem, bawił dosyć długo w jego towarzystwie i podobno natchnął tematem do *Mazepy*. Nic dziwnego, że doznał gwałtowniejszego wstrząśnienia — zbyt ciekaw był krateru.

Tyle o umarłych. Z nimi zszedł do grobu byronizm polski w swej najjędrniejszej części, ale nie cały. Można go odnaleźć u wielu rymopisów późniejszych i u niejednego z współczesnych — lecz się rozpłynął i stał niepochwytnym. Wyziera jeszcze z poezyi Ujejskiego, ostatniego odblasku wielkiej doby romantycznej — w sposób dosyć pierwotny. *Czarny szal*, tak bezecnie spospolitowany, tchnie Byronem nader młodzieńczym. Don Juanowi wykradł poeta Haidę, by uczynić niewierną odaliską serba. Interpretując *Marsz żałobny* Chopina, wkroczył na terytoryum Kainowe już na swą własną, a nie muzyka — odpowiedzialność.

Zakończę ten przegląd wzmianką o *Kirgizie* Zielińskiego, bo widzę w nim jakby zmartwychwstałą tradycyę »powieści« poetycznych i dużo, dużo treściowego nawet podobieństwa z całym owym rodzajem, a szczególnie z *Narzeczoną*. Osnowa całkiem ta sama — boć przecież Selim,

z usposobieniami zdawien dawna *romantycznemi*, z narodem o wyobraźni bujnej, wreszcie musiał się liczyć

---

zakochany w córce odziedziczonego po ojcu wroga, jest duchowym bliźniakiem Kirgiza, pałającego miłością dla córki beja. Obadwaj pragną uciec z swemi gołębicami — i obadwaj giną za sprawą oszukanych starców, jeden w stepu pożarze, drugi od kuli na morzu. Wartoby stosunek ten zbadać bliżej, ile że są miejsca w *Kirgizie*, jak powitanie stepu, elegia końcowa, dziwnie przypominające odnośne ustępy z dramatu na Abydos, lub opis burzy, gościnności i wielu scen rodzajowych, rażąco zgodny z szablonem *tale'ów* — powieści.

Byronizm zabiegłszy do nas, pozbył się kosmopolityzmu, a przywdział szatę wybitnie narodową. Inaczej być nie mogło. Twórca jego, by dać folgę szerokim rozmachom swej indywidualności — musiał uciekać w miejsca, gdzie oświata nie zatarła jeszcze naiwnego wdzięku, gdzie wszyscy słuchają więcej temperamentu, niż prawa i obyczaju, a organizacya państwowa nie zrobiła z człowieka — numeru. Ten powab, w dodatku z rajską przyrodą złączony, znalazł na południu i wschodzie, na wyspach morza Jońskiego. Polacy nie potrzebowali wędrować aż tak daleko. Jeśli łaknęli swobodnych przestrzeni, mieli blizko kresy i piękną Ukrainę; jeśli pragnęli wyładować energię w boju — mieli go dokoła siebie, w planach rodaków i świeżych wspomnieniach. Żyli w burzy i naporze. Nie brakło im typów i uczuć gwałtownych, postaci półdzikich, a jednak prawdziwych, a już z urodą niewieścią stanowczo nie było kłopotu — mieli jej poddostatkiem. Wziąć tylko pędzel do ręki i usiąść przed stalugami — a wnet ukaże się całe niebo Aldon, Maryj, Laur, Demel, Swentyn, Aniel i t. p.

Dlatego z kolorytem egzotycznym w byronizmie polskim walczy o lepsze tło lokalne. Jest tam wprawdzie i piasek pustyni afrykańskiej, co zwiwszy się w trąbę, uderza na Farysa, jest i step kirgizki — ale sam *Farys* to raczej symbol polaka niż beduina, a czuła para Zielińskiego za poetyczna i powabna jak na dziewczę koczowniczego plemienia. A choć *Mnich*, *Arab*, *Lambro* są odludkami południowo-wschodnimi, ich bracia po duchu: *Żmija*, *Mindowe*, *Mazepa*, *Bielecki*, a zatem większość, pochodzą z Litwy, Polski lub Małorusi.

Ta barwa rodzima sprawiła, iż nasi byroniści żyją w literaturze i gustach daleko dłużej niż — poemata wschodnie samego protoplasty rodu. Zostanie w *Maryi*, *Konradzie*, *Bieleckim* i im podobnych dużo trwałego i dla dalszych pokoleń: poezya autentycznych zdarzeń, obyczajów, *ludzi* — a nie stereotypy Medory, Gulnary, Zulejki, Paryzyny, Giaura,

z ideałami bardzo konkretnej natury, z *postulatem pracy dodatniej,* który dźwignęły i palącym czyniły wypadki dziejowe.

To wszystko sprawiło, iż z ducha byronicznego wpłynęło do piśmiennictwa to, co zagrzewało do czynu, a nie co energię paraliżowało. Duma i satanizm niewątpliwie ziały protestem, więc się przyjęły i przylgnęły do organizacyi takich jak Mickiewicza i Słowackiego. Gdy literatury innych ludów, źle pojąwszy Byrona i obałamucone początkiem *Childe Harolda,* biorąc pozory za treść, naśladowały go w mniemanej wyblakłości, nudzie i *katzenjamerze* przeżytego *dandy* — muza nasza wzięła jego gwałtowność i pierwiastki siły. Gdy Musset, Lenau, Paludan Müller, Lermontow grzęźli po uszy w niewieściej melancholii i narzekali na brak interesu w życiu — u nas od wierzchu do spodu wrzało życie. Mickiewicz i Słowacki, dojrzawszy, drwili świadomie z przejściowego zniechęcenia swego i nawet autor *Maryi,* upojony groźnym narkotykiem, w poemacie swym gorąco go

---

Korsarza, Selima, Alfa i całego cyklu fantastycznych odbić samego Byrona i jego erotyki.

Ale czas kończyć. Pomijamy wielkie państwo powieści, komedyi, a nawet poezyj mniej głośnych, w których wytropićby można uderzające ślady byronizmu. Takie postacie, jak Astolf w *Odludkach i poecie* Fredry, takie *Fantazye* jak Mirona, upodobania i temata jak Ryszarda Berwińskiego, i *Byronista* Kaczkowskiego godne byłyby ze względu na wybitne byroniczne swe piętno — wyraźniejszego podkreślenia. Za to mgliste są ślady Byrona w ściśle spółczesnej literaturze. Tu one zlały się z wpływami pokrewnymi i specyficzną swą barwę zatraciły. Zalewa nas pesymizm Leopardiego i filozofów niemieckich, który wchłonął w siebie wszystkie dawniejsze etapy, do zadumy, smutku, rozpaczy i wreszcie śmiałej negacyi szczęścia wiodące — któż w tym potopie może być nurkiem, zdolnym wyłowić czarne perły piękna byronicznego?...

nie zachwalał. Prześliczna tragedya ukraińska wabi, owszem, zestawieniem etycznem magnata ze skromnym szlachcicem i chyba nikogo nie zaraziła tak bardzo apatyą.

Dla tych samych przyczyn pozostał nam obcym filozoficzny pesymizm Byrona, rozwinięty z skarg egotycznych, jak bujna róża z pączka.

Najśmielszym może był Słowacki, ale i jego zatargi z wiarą krupiły się nie na bóstwie, lecz na kłamliwych jego kapłanach, bo »w Rzymie — mówi *Beniowski* do ojczyzny swojej — twa zguba«. A zatem rozbrat — i to ze względów całkiem pozytywnych — był jedynie z czarną międzynarodówką, a nie z dogmatem, do którego w *Genezis z ducha* modlił się już w mistycznej ekstazie.

Słowem, negacya, słaba czy groźna, nie imała się na długo lub nie imała wcale poezyi polskiej. Choć zaczynała czasami od przeczenia, kończyła na *towianizmie; Arab* ze swą mizantropią znamionował ranek, a południe już świeciło nie wiele zdrowszem światłem — mistycznem.

* * *

Nie dziwi nas wcale, że krytyk tak wyjątkowo przenikliwy, jak Włodzimierz Spasowicz, nie przestał dotąd jeszcze śledzić tych kanałów, którymi byronizm wdzierał się w krainę twórczości słowiańskiej. Praca to niezwykle wdzięczna, a że podjęta została przez umysł nawskróś trzeźwy i dobrze obeznany z duchem

czasu, więc świadczy nietyle o zimnych, czysto naukowych pobudkach, ile raczej o pewnej głębszej sympatyi dla przedmiotu. Choć bowiem racyę ma Hipolit Taine, gdy mówi, że my dziś inaczej patrzymy na świat i bierzemy go takim, jakim jest, to przecież z faktu tego niepodobna czynić ogólnie obowiązującego prawidła. Okropnie blizkim jest taki realizm złowrogiej nauce Hegla, wedle której wszystko co jest, jest rozumnem. Heine zżyma się na ten absolut, na ten mur, jak mówi w *Italien* i każda szlachetniejsza dusza za jego przykładem pójdzie. A właśnie Byron, jak słusznie mówi krytyk petersburski, parafrazując bezwiednie owo zdanie, — należał do ludzi, którzy całe życie są jedynie zajęci przebijaniem tego muru głową [1]).

Zapewne — głowie słabej mania taka na dobre nie wyjdzie. Mogą ją uprawiać jeno ci, co »nie są stworzeni dla szczęścia«, bo ich żądze nie mają granic i sami oni doskonale wiedzą, że te ich żądze ziścić się nie mogą« [2]), ale tem większem winno być nasze dla nich uwielbienie. Mogły sobie minąć czasy różnych idealizmów, ale idea szczęścia ludzkiego i idea sumienia społeczeństwa zginą tylko razem z człowiekiem. Nikt już może nie dosiędzie tego rumaka, którym tak dzielnie kierował poeta angielski, a którego, jak sam mówi, tak wściekle trudno ujeździć, ale tem większy za to należy mu się podziw.

Przejmuje mię duma, że u nas ten podziw dla Byrona dawał się nieraz, a i dziś jeszcze daje spostrzegać. Pierwszym zaś, który go pojął szeroko i oce-

---

[1]) Wł. Spasowicz. Pisma, tom I. *Konrad Wallenrod.*

[2]) *Ibidem.*

nił należycie, a niezależnie od dyablej romantyki, był Mickiewicz. Mówi on w przedmowie do *Giaura* o Byronie: »Wielka zagadka świata, zagadka przeznaczeń rodu ludzkiego, przyszłego życia, stała mu zawsze przed oczyma... Klął i dąsał się jak Tytan Prometeusz, którego cień tak często lubił wywoływać. Nie rozwiązał sobie zagadnienia, nie uspokoił duszy, ależ mu brakło, równie jak jego bohaterom — czasu!«

Mickiewicz, lat temu blizko sześćdziesiąt, odgadł i uszanował w Byronie ten żywioł jego ducha i poezyi, trwały, nieznikomy i nad młodociane gorączki dziewiętnastego wieku wyższy, o którym dzisiejsza opinia najczęściej zapomina.

Gdyby utworzyć grupę z tych, co go zwą przebrzmiałym, ponieważ znają go tylko z portretu albo z naśladowców i paradują swoim zdrowym rozsądkiem, tedy drugą grupę stanowićby mogli zawzięci społecznicy. Ci bywają zwykle słabymi estetykami i dopiero wówczas przyznają pisarzowi nerw społeczny, gdy on wyłazi na wierzch jako tendencya i wyraźne potępienie mieszczaństwa lub jawna chłopomania. Oczywiście z tego punktu widzenia Byron jest starym. W nim wstręt do Baringów i Rotszyldów, kultu złotego cielca i wszelkiego frymarku, tyle razy wypowiedziany w satyrach i *Don Juanie,* a także sympatya dla ludu *(Lara, Marino Faliero)* nie wyłączają motywów innych i nie są ubrane w krzykliwe terminy dzisiejszej socyologii. Nie ma żargonu publicysty w jego obrzydzeniu do miernoty, samolubstwa i filistrów. Urodził się i umarł za wcześnie, ażeby módz widzieć dzisiejszy pauperyzm i wielki przemysł, ale nie za wcześnie, ażeby wyczuć w powietrzu nadciągającą czarniawę burżuazyi i to obniżenie skali w państwie du-

cha, które jej potęgę zwiastowało zdaleka. Nieprawdą jest bowiem, co mówi p. Spasowicz, że jego idea wolności jest pustą, a więc szkodliwą. Obróćmy jego dzieła dobrze na wszystkie strony, i zajrzyjmy dobrze do wnętrza, a okaże się, że mu chodziło o szczęście ludów w całkowitem, wiekuistem znaczeniu słowa, i że był *zasadowym,* bezwzględnym oskarżycielem wszelakich sprawców wszelakiej niedoli. Tylko na szczerą, prawdziwą demokracyę, jego wyuzdane »ja« nie pozwalało, mimo chwalbę dla idei ludowładztwa. Lecz żyjemy dziś w czasach, kiedy arystokratyzm ducha stanowi jeszcze rzecz nie najgorszą. Ziarno, które on posiał — mówi Trelawney, ubolewając nad rychłym zgonem swego przyjaciela — przyniesie plon tysiącokrotny«. A Bleibtreu słusznie dodaje; »I przyniesie go, gdy ta epoka trzeźwej prozy rozpadnie się w nicość i dokona dni swoich w ogólnym wrzasku duchowego bankructwa, które wywróżyć można z matematyczną pewnością«.

Trzecia grupa skwapliwych grabarzów Byrona — to właśni rodacy. Wyklęto go za życia, wyklęto i po śmierci. Zaiste sądzoną mu była nie tylko dola Danta, ale i rola bohatera ponurej tragedyi, podobnej do tragedyi Danta, o której tak przekonywająco mówi w swych *Wieczorach florenckich* Julian Klaczko. Tylko że ona po śmierci zmieniała nieraz swój charakter. Bo gdy poeta angielski spoczywał już w grobie, ziomkowie odgrywali wobec jego popiołów rolę błaznów i pajaców. Na widok ich kozicłków arlekinowskich traci się złudzenie, że ludzie są... ludźmi. Nie wiadomo, czy śmiać się, czy spluwać, gdy czytamy, że w wykazach stu najcelniejszych pisarzów Anglii Byron został pominięty! Nie, stanowczo cieszyć się, bo

to najlepsze świadectwo jego geniuszu i podniosłości myśli... Tam, gdzie bożyszcze narodowe, Tomasz Carlyle, prorok idealizmu i pracy, z czystem sumieniem może przyklaskiwać gnębieniu polaków przez Niemcy, gdzie następca samego Byrona w poezyi namiętności, Karol Algernon Swinburne śmie nazywać spekulantem Gladstona, dla tego, że pragnie podać dłoń irlandczykom — tam dla twórcy *Don Juana* miejsca być nie może. Więc nie powinno dziwić, że wielbiciele jego musieli wytargowywać krwawym potem każdy szyling na pomnik dla niego i każdą piędź ziemi, że gdy już uciszono sforę psów niewiernych, które »wściekłą powitały paszczęką swego dawnego pana« — dziekan opactwa Westminterskiego postawił swe ostateczne *veto*. Imię poety zginęło w zalewie tennysonizmu i niewinnej, nikogo nieobrażającej poezyi lotosu i łabędzia. Raz, gdy poeta-laureat cesarzowej brytańskiej w początkach swego zawodu uderzył w gęśl byronizmu (*Maud* i *Locksley*) — nie chciano go nawet słuchać. A Jerzy Elliot, wielki powieściopisarz złotego środka, który nie chce opisywać ani »nędzy w łachmanach, ani nędzy w aksamicie« [1]), tak się cudownie nastroił do kamertonu anglików, że nazywa Byrona »najpospolitszym umysłem, jaki kiedykolwiek wywarł wpływ na literaturę«. Natomiast wszystkie dusze zacne, które, jak amerykanin Edgar Poe, były ofiarami spodlonej burżuazyi i skazane zostały przez nią na śmierć głodową lub stawione pod pręgierz, korzyły się przed nim, padając niemal na kolana.

Dzisiaj fizyognomia moralna Albionu występuje na tle walk politycznych i społecznych wieku tak dosadnie, że wiara w szlachetność jej rysów przeszła do

[1]) »Smutne przygody Amosa Bartona« (*Sceny z życia duchownych*).

legendy. Sumienia rasy probierzem jest żar walki ideałów gorszych z lepszymi, podobnie jak ogień jest probierzem złota. Sąd Europy i sąd Anglii mimo całą jej potężną żywotność umysłową, która nie przestaje wydawać znakomitości, wzajem się wyłączają. Jej bogowie są dla nas często tylko fetyszami, których nie rozumiemy, i naodwrót: jej potępieńcy muszą być nieraz dla świata całego aniołami. Coś więcej niż cieśnina La Manche dzieli ląd stały od wysp trójkrólestwa...

Wszyscy jesteśmy potroszę wychowańcami Byrona. Posiał on w nas prometeizm, świadome pragnienie szczęścia i poczucie godności ludzkiej.

Ten ciekawy gatunek poetów, który lutnię swą stroi dla wyśpiewania ideału powszechnego, zmienia, jak zobaczymy w dalszym ciągu, bezustannie swe cechy. Okazy jego krzyżują się z sobą, a także biorą przymieszkę z zewnątrz i czerpią soki żywotne z ideałów, głoszonych przez same postępujące dzieje, przez filozofię i naukę. A jednak po tylu metamorfozach, uwarunkowanych prawem rozwoju, po tylu dziesiątkach lat, po tylu narodzinach i skonach godeł poetyckich, duch krytyki i roszczeń rozwielmożnił się na nowo. Jowisz miałby zupełne prawo powtórzyć swe dawne słowa:

> Wszystko uległo przedemną, i tylko
> Dusza Człowieka, jak niezagaszony
> Ogień, wybucha przeciw Olimpowi
> Gorzkim wyrzutem, zwątpieniem, skargami,
> A przez jej modły niechętne przeziera
> Groźba rokoszu, zdolnego podkopać
> Odwieczną władzę mą, acz zbudowaną
> Na starej wierze i piekłom współczesnej
> Trwodze.

A chociaż przekleństwa jego padają z Olimpu jak śnieg, i choć ta dusza człowieka, wdzierając się po stromach żywota, kaleczy się, to jednak:

wciąż pnie się i targa
Wyżej i wyżej, butna, nieugięta. [1])

Ażali ten akt oskarżenia nie stosuje się cały, całutki do nas wszystkich, pod jakąkolwiek szerokością geograficzną mieszkamy? Nie wątpię. I smutno byłoby, gdyby się działo inaczej. Znikłaby wielka chluba stulecia. Ale że ona mimo wszystko złe, co nas otacza, orzeźwia dotąd pierś naszą, więc godzi się spłacić należną daninę temu, któremu ją w przeważnej części zawdzięczamy.

Ta nad głową Byrona jaśniejąca aureola nie rychło zgaśnie.

»Prędzej — tak mówi Irydion posłowi Sewera, — Skorpion usiądzie jak niewinny motyl na dłoni Cezara, prędzej piorun Zeusa prosić się go będzie: »Daj, daj tę chmurę rozedrzeć« [2]).

---

[1]) *Prometeusz rozkuty* Shelleya. Akt III, scena I.

[2]) Po za poetami różnych narodowości, o których fizyognomii wybitnie byronicznej wspominaliśmy, wpływ tego kierunku widoczny jest u wszystkich w ogóle romantyków francuzkich, w części też u pesymistów Parnasu i Dekadencyi, oraz u wielu poetów niemieckich świeżej dosyć daty. Rudolf v. Gotschall w swoich *Porträts und Studien* (Lipsk, 1870) odnajduje go w Wilhelmie Muellerze, hr. Platenie, Zedlitzu, Anastazym Grün'ie, Herwegh'u i Meissnerze. Twierdzi on, że Byron jest ojcem całej liryki politycznej nowszych Niemiec.

Uwaga. Cytaty braliśmy z przekładów: Mickiewicza, Fr. Morawskiego, Pajgerta, Baworowskiego, Porębowicza lub w potrzebie spolszczaliśmy sami.

CZĘŚĆ TRZECIA.

PERCY SHELLEY.

I.

Geneza i ustrój.

Ideał wszechludzki doskonali się tak szybko, lub może tylko żyje jedynie tak śpiesznem tętnem, że w niewielkich ramach życia Byrona zdołał już uczynić krok nadrzód. Widać szczególnie urodzajnym był grunt myśli w zaraniu wieku, skoro przypomina owe kraje, co to wydają w jedno lato dwa plony zboża.

W istocie gleba ta była użyźniona grubym pokładem rozkładających się wierzeń, urządzeń i pragnień.

Jeśli przerzucimy myśl naszą o lat sto wstecz, to znajdziemy się wobec wielkiego wypadku, który zarobił sobie u potomnych na dziwnie różnolitą opinię: tłumy śpiewają rewolucyi hymny, tłumy ciskają nań klątwy.

Ta dwoistość sądów o najważniejszym fakcie nowszych dziejów tłómaczy się w sposób prosty.

Wdzięczne dla niego serce mają ci, co pojmują jakim głazem wieki średnie legły na piersiach człowieka, tamując mu swobodny oddech; pogardą i złością dyszą ci, co w nowych ideałach cywilizacyi widzą sprawę djabła, groźbę zagłady moralności i religii. Ale co ciekawsza, to to, że nawet śród jednostek niezależnych, wyższych nad wpływy tradycyi i otoczenia, niebrak wielu, którzy krwawą księgę owego przewrotu wertują z uśmiechem ironii, jakkolwiek nie są to zniewieściali, miękcy sybaryci spokojnej oświaty. Ani paradoksista Carlyle, ani głęboki i gruntowny Taine nie grzeszą ckliwością i nie mają też nic wspólnego z formułką prawowierną, a przecież obydwaj wydali na rewolucyę wyrok raczej potępiający, niż uniewinniający, a już stanowczo jej nie pochwalili. A Renan? Coraz częściej, coraz śmielej podrwiwa sobie ten subtelny Pyrrhonita z doby, której jest jeśli nie synem to wnukiem, jak mu to niedawno wykazał dowcipnie *Gil Blas*.

Wszyscy oni patrzą przez szkła powiększające na warcholstwo »strasznego roku«, rozkiełznane chuci ludu, ambitnych i samolubnych trybunów i małe charaktery, na zmienne rządy i konstytucye, wirujące we wściekłym chaosie na tle wielkiego morza krwi, — a *pośrednich* wyników tragedyi widzieć nie chcą.

Inni znowu złorzeczą Robespierrom, Dantonom i Maratom, Mirabeau'om i żyrondystom, że jednym zamachem nie dali społeczeństwu tego, co jako żądanie wyklarować się mogło dopiero po uciszeniu walki, a jako fakt spełniony figurować będzie chyba dopiero w dziejach przyszłego wieku.

Pobudki to zbyt poważne, ażeby można było je wyśmiewać. Ale jakkolwiekbądź, pewnikiem jest, że pod ich wpływem prześlepiono jeden doniosły fakt. Srogim potworem, rozjuszoną panterą była epoka,

rozpoczęta zburzeniem Bastylii, ale dała ona światu niezależnie od rezultatów pozytywnych, dodatnich czy ujemnych, — całe skarby idei, całe kopalnie nieśmiertelnej poezyi.

Brzmi to napozór cudacznie i naiwnie zarazem; to tak jak gdyby ktoś po oberwaniu się chmury i zatopieniu pól i łąk, pocieszał się widokiem pięknej tęczy i malowniczego pod nią krajobrazu? Przepraszam, poezya w stylu szerokim, to nie zbytkowna zabawka, nie smakołyk, lecz forma myśli, w której się objawia filozoficzna mądrość i życiowy ideał epoki, zanim one skrystalizują się i wystąpią same. Wielcy poeci zasługują na takąż samą miłość, jak wielcy reformatorowie; wielcy poeci nie wyrastają z dni podłych i maluczkich.

A najskuteczniej rehabilituje źródło swego natchnienia Percy Shelley. Zrozumiany dobrze, mógłby on łatwo wykazać, że hasła rewolucyi, obmyte z ulicznego błota, mogą być ziarnem pragnień i dążeń dalekiej nawet przyszłości, wyższych nad te, które w ostatniem pokoleniu ułamkowo ziszczone zostały pod formą liberalizmu mieszczańskiego. Romantycy w ogóle, podnoszący protest przeciw jarzmu uczucia i rozumu, mogą budzić jeszcze zachwyt i elektryzować swym zapałem, ale zawszeć to więcej upoetyzowane echa wczorajsze a choćby i dzisiejsze, niż preludya do symfonii przyszłości. Shelley zaś potrafił wyssać z ewangielii przewrotu soki czystsze i bardziej rodzajne. W tym względzie stoi on wyżej nie tylko od hufca pancernych, którymi dowodził Wiktor Hugo, ale nawet od Byrona.

Życie i dzieła jego są zatem nietylko odbiciem ideałów, chylących się do upadku, ale mgławicą tajnych pragnień doby najświeższej, jej najgorętszych tęsknot, jej bólów i nadziei.

Dlaczego tylko mgławicą? Bo mało kto z poetów, jak Byron, bywa działaczem a rzadko który projektodawcą. Shelley nim był w zaraniu tylko. Poeta, nasiąknąwszy ideami gotowemi lub kiełkującemi, wypowiada je częściej bezwiednie, jak malarz wypowiada swój temperament, niż samowiednie. A przytem nie cały on jest nastrojoną przez swój wiek polityczny harfą, lecz nadto i odrębną ustrojem swym jednostką i mistrzem pewnej formy, malarzem i rzeźbiarzem w słowie i nieraz osobą swą głosi więcej, niż wyznaniem wiary i niż czynami.

Na nikim może prawidło to nie sprawdza się tak dokładnie, jak na Shelley'u. A wobec tego należy przypomnieć najpiękniejszy jego poemat — życie i ustrój.

* * *

W żyłach i otoczeniu poety nie było nasion jawnego radykalizmu.

Dziad, Bysshe Shelley, potomek starego rodu, który szczycił się tradycyami, sięgającemi aż do czasów Karola Wielkiego i Edwarda I, zmienił pług swych przodków na zawód domorosłego lekarza i praktyką w Ameryce dorobił się znacznego majątku. Wróciwszy do Anglii, osiadł w miejscowości Field Place, blizko Horshamu w hrabstwie Sussex i ożenił syna swego Tymoteusza z córką sąsiada Elżbietą Pilfold. Tutaj też urodził się młodemu stadłu nasz Percy, w dniu 4-tym sierpnia 1792 r., czyli — jak słusznie ktoś zauważył — wtedy, gdy w Paryżu Kamil Desmoulins z towarzyszami swymi podpisywał werdykt śmierci staremu porządkowi rzeczy [1]).

[1]) O tym zbiegu wypadków wspomina mianowicie M. Rossetti. Dziwnem jest, że, biorąc od niego ten efekt a także uwagę następną, iż

Stary Bysshe za swe zasługi dla stronnictwa whigów, otrzymał tytuł baroneta. Był to człowiek dziwacznych bardzo popędów i zachcianek, wolny od wszelkiego umiarkowania i przeciętności, co ilustruje najlepiej fakt, iż trzy razy w życiu czynił skuteczny zamach na cnotę niewieścią, nieprzystępny zgoła pokusie uświęcenia wybryku ślubem z którąkolwiek z swych ofiar. Los jednak pomścił je, albowiem aż dwom z córek Bysshego dał temperament tak namiętny, że i one nie oparły się sidłom przedstawicieli rodzaju brzydkiego. Ostatnie dni swoje spędził w zupełnem osamotnieniu. Jeżeli dodamy, że i syn Tymoteusz był gwałtownikiem nie lada, wypadnie, że i wnuk nie mógł być tak bardzo wyjętym z reguły nerwowego dziedzictwa.

Ale siła, którą posiadali antenaci, w Percym całkiem inną przybrała postać. Tamci byli dzielni fizycznie, dzięki ciągłej prawie służbie wojskowej i marynarskiej dawniejszych przodków, ten zaś miał potęgę indywidualną ze znamiennym odcieniem wrażliwości, która cechowała zresztą cały ród. Choć wątłej budowy ciała, umysłu był nad wyraz dzielnego, charakternik przytem w najwyższym stopniu.

Takiem obdarzony usposobieniem, dosyć wcześnie musiał się zetrzeć z ludźmi i starł się też już w szkole Brentfordzkiej. Raziła go szorstkość światłodawców, brutalne obyczaje kolegów, którymi były przeważnie dzieci chłopskie, dręczył go nieznośny rygor, a cała sfera wstrętną się wydawała jego delikatnej, czułej naturze. Szukał więc ulgi w dziecięcym jakimś stoicyzmie i rezygnacyi, które jednak raz po raz rozry-

narodziny Shelleya więcej może przyniosły ludzkości, niż cały wrzesień r. 1792 we Francyi, Jerzy Brandes nie zacytował nawet źródła.

wał wybuch gniewu lub oburzenia. Gdy miał lat piętnaście, oddano go do zakładu naukowego w Eton. Tam rozpoczął nie na żarty walkę ze światem, choć tymczasem wyobrażanym dopiero przez młodzież. Nie chciał ugiąć karku przed fagizmem: system to ówczesnych szkół średnich, zmuszający młodszych uczniów do pełnienia obowiązków sług względem starszych. Zerwał z rówieśnikami, bo wiele z ich winy cierpiał. Uciekał od zabaw i zamykał się w pracowni chemicznej, ślęcząc nad doświadczeniami. Nienawidzono go nawzajem, ale już nie za wady i występki, lecz za bijącą odrazu w oczy wyższość moralną. Ona to zjednała mu nawet druha i opiekuna w osobie doktora James'a Lind'a, który ocenił prędko rzadką pracowitość i wytrwałość, połączone z mnóstwem innych zalet wybornego ucznia i prawego chłopca i wzbudził w nim nawzajem cześć i przywiązanie swą pobłażliwością i wielkim rozumem [1]).

Skończyło się jednak na tem, iż Percego z zakładu wydalono, napadnięty bowiem raz przez zuchów, w szale ugodził jednego z nich scyzorykiem. Była to już trzecia awantura. Tym razem błagania ojca nie pomogły [2]).

Na wszechnicy oksfordzkiej rogata ta dusza dojrzała i zgotowała sobie nowe utrapienia. Przejął się prądami, które rozsiała po powietrzu rewolucya francuzka i umocnił je we wnętrzu swem ową wrodzoną uczciwością tak dalece, że nie umiał zachowywać milczenia na widok szalbierstw i podłoty. Zapalony przytem do studyów filozoficznych i do encyklopedyi, sym-

[1]) William Michael Rossetti. Memoir of Percy Bysshe Shelley. 1886, p. 9.

[2]) Ibidem, p. 10.

patye swe i antypatye łacno uogólniał. Ponad rozterką ze światem moralnym, wtedy już zaczynała w jego głowie kiełkować idea posłannictwa, której niedługo potem miał zawdzięczać natchnienie do najlepszych swych utworów. Tymczasem jednak pokutował za nią gorzko, jeżeli wyraz pokuta może być zastosowany do człowieka, mimo swą gołębią słodycz i, zdałoby się, łagodność, nieustraszonego i gotowego iść każdej chwili na stos. Koledzy dali mu przydomek »Szalonego« *(Mad Shelley)* i »Ateusza« i mieli poniekąd racyę. Lubił bowiem we wszystkiem ostateczność, umiał ślęczeć nad książkami tak, iż wpadał w gorączkę. Drwił zuchwale ze wszelkich powag ziemi i nieziemi, nie wyłączając ani własnego ojca (»cursing his father and the king«), ani króla. Rozprawiał w duchu wolnomyślnym śmiało i głośno, w czem dopomagał mu dzielnie towarzysz Jefferson Hogg, zupełny, prozaiczny cynik i zaprzaniec. Jak mało krępował się Shelley w wygłaszaniu swych herezyj, widać stąd, że napisawszy broszurę »*O konieczności ateizmu*«, przesłał ją radzie biskupów, pod pozorem, iż została mu przez kogoś przysłaną, i dołączył prośbę o odparcie zawartych w niej zarzutów. Jest to wypadek głośny ze względu na bezprzykładne zgorszenie, które wywołał w całej Anglii; znane są też i jego następstwa: wydalenie z uniwersytetu.

Bez dyplomu więc wrócił pod dach rodzinny, przyjęty przez ojca bardzo szorstko. W ogóle nie zgadzali się oni z sobą wcale, jeden lubił surowość patryarchalną i bił pokłony pojęciom starodawnym — drugi żadnego ciemięztwa, nawet rodzicielskiego znieść nie umiał. Dowody, które ojciec w dysputach przytaczał, syn nazywa trochę niedelikatnie.... »końskimi« a samego autora »znarowionym kozłem« *(old-*

Buck), co zdaje się trafnie malować ciasnotę umysłową Tymoteusza Shelleya [1]) i potwierdzać opinię o nim anglików. Wiliam B. Scott [2]) sądzi nawet, że nie bez związku z powyższym stosunkiem zostaje ponura tragedya *Cenci*, że ów kamień potępienia, rzucony na starego jej bohatera za gwałt i przemoc nad dziećmi, dosięga potrosze i ojca poety.

To pewna, że młodzieniec nie narzucał się nikomu swą osobą i nad przymuszoną gościnność wolał ubogą stancyjkę w Londynie (na Polskiej ulicy). Znalazł się więc na bruku z szczupłym funduszem i wspomnieniem kilku lichych a jaskrawych i sensacyjnych romansów, które jeszcze w Oksfordzie wydał i spieniężył [3]). Majątek to nie wielki.

Ten sam bunt przeciw wszelkiej samowoli rodziców był pewnie przyczyną grubego błędu, jaki zaraz potem popełnił.

Zbliżył się do koleżanki sióstr, córki zbogaconego kipra i hoteliera, zwanego »żydem Westbrook«, Henryety i zaczął ją kształcić, jak się to zdarza zwykle młodzieńcom egzaltowanym. Wywiązała się ztąd miłość [4]), pono dosyć mało przez młodziutkiego mistrza

[1]) L. c., p. 11.

[2]) Przedmowa do Routledge'owskiego wydania poezyj Shelleya.

[3]) Były to: *Zastrozzi*, napisany w roku życia szesnastym przy pewnym współudziale kuzynki Grove. Zawiera on fantastyczne dzieje bohaterskiego Verezziego, który padł ofiarą prześladowań jakiejś hrabiny Matyldy De Laurentini. Dalej *Zofloya* czyli *Murzyn*. Najzabawniejsza jednak, że romansidła te, uznane przez wielbicieli poety za niemowlęce i bezsensowne, znajdowały nabywców i poważnych sprawozdawców (Rossetti. Earliest Writings, p. 11—14).

[4]) Wedle biografów nie pierwsza. Jeszcze bowiem w szkole Etońskiej będąc, zakochał się w uroczej kuzyneczce Harriet Grove (Rossetti, p. 10). W przedmowie do swego pysznego przekładu *Prometeusza*, p. Feliks Jezierski pomięszał ją w sposób wysoce zabawny, ale smutnie informujący czytelnika z Henryką Westbrook.

odwzajemniana. Było to jednak zbyteczne, gdyż przemówiło w nim współczucie, w podobnych razach niemniej od miłości groźne. Dziewczyna, nawykła do szerokich słów i szumnych frazesów, których pewnie, będąc podlotkiem, nie rozumiała dobrze, zaczęła burzyć się przeciw rodzicom, nie chcącym uznać jej dojrzałości. Wreszcie napisała do Shelleya list ze skargą, iż gwałtem każą jej chodzić do szkoły. On doradzał opór, ona zaś odpisała, że opór jest bezskuteczny, że chce uciec z nim. Więcej nie brakło. Przyleciał, porwał, wywiózł — i dosyć już późno, bo po wielu namiętnych wymianach czułości i gdy stał się pełnoletnim, poślubił w Edynburgu, choć — jak mniema na zasadzie jej listu Rossetti — byłaby się zadowoliła stanowiskiem kochanki [1]). Łatwo sobie wystawić, co świat na to powiedział. Już wtedy, gdy senat akademicki postanowił go pozbyć się — wrzało dokoła. Jawna bezbożność była dla świętoszków angielskich czemś bardzo trudnem do strawienia. Na domiar złego, w czasie pożycia na wiarę, Percy dawał filistrom ciągłe potwierdzenia swego szaleństwa. Agitował bowiem i fabrykował epistoły niezmordowanie. Świadczą o tem same tytuły nieznanych jego a często nieskończonych wcale utworów z owej doby: *An Enquiry into the Causes of the Failure of the French Revolution to benefit Mankind* (Dlaczego rewolucya francuzka nie zbawiła ludzkości?). *Address to the Irish People* a potem naraz »Projekt towarzystwa filantropów z celem odrodzenia Irlandyi« (W oryginale tytuł zajmuje pięć wierszy). W pamflecie *Declaration of Rights*, za którego rozdawnictwo służący jego dostał się na pół roku do kozy, domagał się bezwzględnej odpowie-

[1]) Rossetti, p. 29.

dzialności rządu przed bezwzględnie wolnym narodem *(Rossetti, 30—37)*. Teraz zaś nie myślano o niczem innem, jak o tem, co zaszło przed ślubem, o niedozwolonym i nieplatonicznym romansie. Ale zgorszenie doszło do szczytu, gdy po dwu latach pożycia niedowarzona para rozeszła się. Z listów Shelleya wypływa, że czuł się z nią z początku szczęśliwy *(Harriet is very happy as we are and I am very happy. Rossetti,* 46). Z czasem jednak Henryetta wniosła niezgodę, podjudzana przez osoby trzecie. Wtedy przestał kształcić ją i zobojętniał zupełnie. A raz powiedział: »Kto mię zna, ten wie, że towarzyszką mojego życia może być tylko istota, która czuje poezyę i rozumie filozofię — a Henryetta jest tylko szlachetnem zwierzęciem«. Jeszcze po dziś dzień ojczyzna nie może mu zapomnieć tego kroku i ma za złe jego biografowi, profesorowi Edw. Dowden, że nie wypowiedział jasno swego sądu o tym występku [1]).

Stanowczy rozwód z Henryettą Westbrook przyśpieszyła gorąca miłość dla Mary Godwin. Była to córka słynnego podówczas autora nowel, publicysty i szermierza praw kobiecych, Godwina, z którym od r. 1812 prowadził przyjacielską korespondencyę — kobieta z umysłem wyższym. W pożyciu z nią zaczęły się dla poety dni błogie i spokojne, które już po powrocie ze Szwajcaryi zamąciła piorunująca wieść, że Henryetta znalazła śmierć w nurtach rzeki Serpentyny. Wiadomo, że byt jej przed samobójstwem był przez Shelley'a zabezpieczony i czy za katastrofę spadała na niego jakakolwiek wina, godzi się wątpić; została nam jednak jego skarga, iż »zachodziły między małżonkami

[1]) *Fortnightly Rewiew*, October, 1886. »Last words on Shelley« oraz Rossetti 28. *If I know anything about love, i am not in love.*

nieuleczalne«, jak się wyraża, »sprzeczności«. Jakkolwiekbądź, bolesny ten fakt zamroczył mu pogodę ducha na długo. Z Maryą Godwin nie od razu się ożenił. Oboje zbyt się kochali i zbyt wiele szlachetnego pierwiastku było w tej miłości, ażeby się mieli spieszyć do kobierca ślubnego. Z czasem dopiero związek swój uświęcili. Teraz nastały dla Shelleya chwile bogate we wrażenia estetyczne a dla całego świata późniejszego jeden z najciekawszych widoków, jakimi kiedykolwiek rzeczywistość napawa oczy ludzkie. Oto kochankowie zrobili wycieczkę do Szwajcaryi i nad modrym Lemanem zapoznali się z Byronem. Spotkały się więc, jakby powiedział może Słowacki, »dwa na słońcach swych przeciwne bogi«. Jeden już opromieniony chwałą, drugi, młodszy nieco, jeszcze na pół w ukryciu, ale z wyraźnem znamieniem geniuszu i nadludzkiej podniosłości charakteru. Jeden przykuwający czarem magnetycznym, dumny, hulaszczy i świetny, drugi skromny, tkliwy, z sercem otwartem na wszelkie bóle ludzkości, twór nieziemski, marzycielski i w refleksyach platonicznych pogrążony. Nie miejsce tu na opis tej przyjaźni; potrzebaby na to całych tomów. Nie dlatego, iż trwała ona długo, bo zaledwie cztery miesiące bawili Shelleyowie w Clarens i Genewie, lecz że kusi ona nieprzezwyciężenie do porównań i zestawień. Przyjrzeć się zblizka, jak z sobą gwarzą i obcują dwa największe duchy stulecia, dwie najdziwniejsze, najbardziej do cudu zbliżone organizacye, które tworzyły ciekawy kontrast usposobień — obok wspólnego godła walki o ideały człowieka — to temat wysoce ponętny.

Był to obraz świetlany, oprawny w ramy rajskiej przyrody. Bo jest nią w rzeczy samej jezioro Genewskie, najpiękniejsze z jezior. Jeden brzeg zwrócony

na południe pochyla się ku głębi łagodnymi tarasami, a tysiące barwnych pałaców i wielkie winnice haftują na nim desenie kobierca — to obraz południowy. Brzeg drugi jeży się pasmem śnieżnych szczytów od Montreux, gdzie Ząb Południa siedmioma białemi iglicami strzela w niebo, do Genewy, gdzie Montblanc ukazuje zdala niezmierne swe płaszczyzny śniegu i lodów. A między tymi biegunami spoczywa zwierciadło wód w czystym lazurze, to jasnym jak niebo nad nim rozwieszone, to w zatoczkach, jak pod Chillonem, ciemne i zadumane. Zdawien dawna kraina ta była uzdrowiskiem dla dusz schorzałych. Wieje od niej błogi, kojący spokój i pieszczotliwe ciepło słońca, któremu żadne wichry nie psocą. Tu na wysokości Saint-Cergues marzył niegdyś Goethe, tu dumał Mickiewicz, gdy przebywał w Lozannie, tu Słowacki z nadmiaru uczuć i rozrzewnienia płakał, tu chroniła się do Coppet pani de Staël, tu, słowem, cała arystokracya ducha niezależnego kupiła się, jak gdyby pod skrzydła muzy szczerości. Bo też to była jej kolebka — przecie z Genewy wyszedł wielki hypokondryk Rousseau, który przypomniał człowiekowi, że jest dzieckiem natury, mającem prawo do szczęścia i miłości, a pomnik jego na maleńkiej wysepce *(L' île de Rousseau)*, niby na straży niepodległości stoi do tej chwili. A Shelley wspomina z uwielbieniem o *Nowej Heloizie*, dziele »najpodnioślejszego geniuszu i więcej niż ludzkiej uczuciowości«. Nigdzie może człowiek nie pragnie tak ślizgać się w lekkiem czółenku po falach — jak tam. To też obadwaj poeci nie jedną godzinę spędzili na wodzie. Raz podczas wielkiej wycieczki dokoła jeziora, rozszalała burza gwałtowna i groziła łódce wywróceniem. Gdy Byron rozbierał się, aby módz w ostatecznej chwili rzucić się dla ratowania siebie i przyjaciela,

Percy, ująwszy ucho walizki, na której siedział, odrzekł ze swym dziwnym spokojem, iż tak chce iść na dno. Na szczęście dotarli cało do Ouchy. W liście — do przyjaciela swego Peacocka — mówi, że chwila owa nie byłaby tak przykrą, gdyby był sam: »ale wiedziałem, że mój towarzysz pragnie mnie uratować i myśl, że to drogie życie mogłoby być narażonem dla ocalenia mojego, przejmowała mię upokorzeniem« (*Rossetti*, p. 63). Rozszerzano się też nad tym obrazem, o ile pozwalał na to stopień zrozumienia poetów, z których młodszy, Shelley, nie oddawna podbił uwagę literatury, a starszy dotąd jeszcze prawdziwej, bezstronnej syntezy nie doczekał się. Piękne studyum Edwarda Schure'go [1]) bardzo trafnie zestawia sylwetki wielkich tych bojowników swobody.

Gdy Shelley wrócił do Londynu, a był już wtedy autorem »Królowej Wróżek«, utworu fantastycznego, w którym wojnę wypowiada księżom, wielkorządcom i bogom, jako przyczynie wszelkich niesprawiedliwości i zła na świecie — w opinii był już napiętnowany hańbą. Do dawnych grzeszków dołączył się pobyt w Szwajcaryi, o którym najpotworniejsze szerzono kłamstwa. Ponieważ kółko przyjaciół uzupełniała siostra przyrodnia Shelleyowej, Marya Clairmont, nie całkiem zimno dla Byrona usposobiona, więc o czwórce tej rozpowiadano, jak o Sodomie w miniaturze. W dodatku Shelley nie od teraz tak dawał się porywać doktrynie i oburzeniu na istniejące porządki, że jawnie agitował na ulicy. Podawał rękę Irlandczykom, rozsyłał listy otwarte, rozrzucał proklamacye przechodniom, miewał mowy, brał udział w mityngach pod wodzą

[1]) Znamy ją tylko z przekładu, drukowanego ongi w *Tygodniku ilustrowanym*.

O' Connela. Tchnęło to wszystko wprost naiwnością, ale zarazem dziką, nieposkromioną odwagą. Koła rządzące nie omieszkały ukarać tych młodzieńczych wybryków, a pyszną sposobność do tego dał im ojciec zmarłej Henryety, gdy zażądał od lorda Eldona, ówczesnego kanclerza, ażeby odebrał dzieci, Jante i Charles'a, z pod opieki ateisty. Wnet słowo stało się ciałem. Ogłoszono go za szkodliwego swym wpływem demoralizującym, rzucono anatema za zatwardziałość i oddano dzieci pod kuratelę jakiemuś duchownemu. Był to cios dzielnie wymierzony. Miarę boleści nieszczęśliwego ojca może dać wiersz poświęcony Eldonowi, pełen wybuchów rozpacznych zranionej lwicy, wiersz ociekający łzami. Serce poety wzbierało goryczą dla ojczyzny i wypełniło się nią po brzegi. W dodatku klimat rodzinny nie służył mu. Jeszcze w roku 1813 zapadł był na płuca tak, iż grożono mu suchotami. Z czasem zdrowie odzyskał, dzięki nader starannej dyecie i, jak sam mniemał, jarstwu. Był bowiem wielkim zwolennikiem wegeteryanizmu i praktykował go trwale. Teraz po powrocie ze Szwajcaryi, trapiły go spazmy sercowe tak dokuczliwe, iż wycieńczały go zupełnie i dla odzyskania sił wypadało uciec do strefy łagodniejszej. Więcej jeszcze, niż obawa choroby, gnała go za granicę kraju obawa, żeby dzieci, które mu dała już Mary Godwin, nie spotkał los pierwszych. Przez tyle zmor naraz nękany, uciekł wreszcie 1818 roku na południe i w Wenecyi ponownie spotkał się z Byronem. Trelawney, wspólny ich druh, opowiada o tym epizodzie, który był istnym poematem lirycznym, jeno tem od zwykłych różnym, że pulsowało w nim życie. A widać i sam Shelley boskiej tej sielanki urok pamiętał, skoro natchnęła go piękną eklogą p. t. *Julian i Maddalo*. Julian to on, Maddalo to Byron, treść zaś, to jak

gdyby karta z żywego pamiętnika ich rozpraw i wycieczek na fale Adryi.

Na zupełny brak środków w okresie owym poeta nie mógł się uskarżać. Od roku 1815, t. j. od śmierci dziadka, przyznano mu dożywocie w sumie 1000 f., odtąd właściwie zaczyna się jego twórczość prawdziwie artystyczna, a pierwszymi wymownymi wyrazami jej były: *Alastor* czyli *Duch samotności* oraz wielki poemat czarodziejsko-epiczny p. t. *Rokosz Islamu*, wspaniały utwór, zrodzony w Marlow, nad Tamizą, w gęstwinach borów Bisham'u. Płodność staje się zdumiewającą w pięknej Italii, w której to dziecię mglistej Anglii rozwinęło się, jak pąk lotosu. I tym razem towarzyszyła im panna Clairmont, z którą społem wałęsali się z miasta do miasta, modą cygańską, wiodąc życie podniecone, gorączkowe. Bawili w Medyolanie, Wenecyi, Rawennie, Liworno, Florencyi, Balsorano, Rzymie i Neapolu, spotykając się nieraz z Byronem, a także jego nędznym przyjacielem i biografem Leigh Huntem. Najdłużej gościli w Pizie, która w życiu Shelleya wielką odegrała rolę. Ztamtąd to robili wycieczki do wszystkich wspomnianych grodów — grodów sztuki i wielkiej przeszłości rzymskiej.

W stosunku z Byronem nie było już dawnej zażyłości. Była wzajemna rycerskość i cześć, nie dopuszczająca spoufalenia. Shelley uczuwał to dosyć boleśnie. Wylana, otwarta dusza jego była jak gdyby skrępowana. Widać to dobrze z listów do żony, gdzie skarży się, iż »szatan nieufności i dumy stoi zawsze na warcie przy dwu ludziach, w naszem położeniu zostających, i tamuje swobodę naszych stosunków«. A dalej znów: »Jest to danina ciężka zaiste, jaką musimy spłacać naturze ludzkiej. Sądzę, że wina nie jest po mojej stronie, bom słabszy«. Powszechne zdanie kolegów

zupełnie te słowa potwierdza i podejrzewa, że Byrona trzymała zdala zazdrość lub, jeśli kto woli, współzawodnictwo. Gdyby nawet poszlak żadnych nie było, sama znajomość pychy Byrona gwałtem parłaby do tego wniosku. W mocy jego było otoczyć głowę młodego rywala glorya, ukazać go światu — a choć nagabywany przez Trelawneya, nie uczynił tego. Słuszność każe jednak nadmienić, że autor *Don Juana* nie szczędził młodemu wieszczowi wyrazów nietylko uznania ale nawet czci dla jego zalet *moralnych*. Nie słyszał, żeby »ktokolwiek był tak zdolnym do zrobienia ofiary z swej fortuny i uczuć«.

Jakże odbija od tej niepohamowanej dumy słodycz i skromność Shelleya. Możnaby myśleć, że sam jest karłem, z takiem uwielbieniem wspomina o Byronie: »Zbyt długo żyłem w blizkości lorda Byrona i oto słońce zgasiło świętojańskiego robaczka«. A znów gdzieindziej: »Czytał mi swe niewydane pieśni *Don Juana*, zadziwiająco piękne. Stawiają go one o sto szczytów wyżej nad wszystkich poetów chwili obecnej, każde słowo nosi cechę nieśmiertelności. Czegokolwiekbym dokonał, straciłem na zawsze nadzieję współubiegania się z lordem Byronem, a nie widzę prócz niego nikogo, z kimby wartało współzawodniczyć«. W sonecie poświęconym Byronowi przeprasza, że śmie doń pisać i uniewinnia się we wzruszającym dla swej pokory i poetycznej egzaltacyi wierszu, że przecież »i robaczkowi w trawie wolno wzlecieć do góry, ażeby oddać hołd Bogu«. O Tomaszu Moorze, który był wielkim talentem, ale nie geniuszem, wyraził się: Może być dla mnie tylko pochlebną pochwała człowieka, co do którego dumny jestem, iż uznać mogę swoją względem niego niższość. A raz, unosząc się nad Leigh Huntem,

zakończył: »*I am and I desire to be nothing*« [1]). Tak mawiał poeta, którego obwołano później największym w wieku bieżącym lirykiem.

Wyższość moralna, jaka uderzała w Shelleyu, wyższość popędów i zasad nie mogła nie upokarzać trochę rywala, który obfitował w różne małostki; bywał skąpym, gdy mu coś strzeliło do głowy, sprzeniewierzał się własnemu sztandarowi ukrytem ciążeniem ku arystokracyi i pychą rodową. Shelleya można było przejrzeć jak kryształ i nie dostrzedz najmniejszej skazy. Trzebaby sięgnąć chyba do czasów apostolskich, ażeby znaleźć człowieka, tak zatracającego swoje własne ja dla dobra bliźnich. A poczucie honoru i filantropia jego nie miały granic. Kiedy, jeszcze w okresie wydawania broszur i wybryków dziecinnego niemal zapału dla nowatorów, mieszkał w Tanyrallt w Carnarvonshire, — poznał wolnomyślną doktrynerkę, pannę Elżbietę Hitchener i są dowody, że w swem dla niej uwielbieniu dawał jej znaczne zapomogi. Taką samą rycerskość okazał i gospodarzowi swemu, Madochowi, który dotknięty został klęską rolną. Zwrócił się mianowicie do obywateli z sąsiedztwa z prośbą o pomoc i na czele listy składek położył własne swe nazwisko obok cyfry 500 funtów, przechodzącej znacznie jego możność. — Niemniej wspaniałomyślnym i hojnym chciał być dla Leigh Hunta i jego brata Johna, którzy za obrazę księcia regenta skazani zostali na grzywny wysokości 1000 funtów (*Rossetti*, p. 38—39). Takich przykładów natury szerokiej i zapalnej możnaby zebrać długą litanię. Studyował medycynę po to tylko, ażeby módz przynosić ulgę chorym. Nie szanował przytem własnego zdrowia i raz na-

[1]) Jestem i chcę być niczem.

wet niebezpiecznie zaraził się zapaleniem oczów. Grosza nigdy przy duszy nie miał, bo wszystko szło na biednych, potrafił też wracać do domu boso, obuwie zostawiwszy spotkanemu żebrakowi. Chory Leigh Hunt miał w nim we Włoszech prawdziwego anioła stróża. Shelley był tego rysu swego charakteru świadom i poniekąd szczycił się nim. Powtarzają sobie wszyscy to seraficzną prostotą tchnące zdanie, które wypisał razu pewnego na schronisku w dolinie Chamounix w postaci greckiego sześciomiaru:

Εμὶ φιλάνθρωπος δημοκρατικός τ'ἄθεός τε

Co znaczy: »jestem filantropem, demokratą i ateistą«. Czy mógłby tak samo o sobie powiedzieć z ręką na sercu we wszystkich chwilach swego życia Byron, to wielkie pytanie.

Ale wróćmy do dalszych losów Shelleya. Za *Julianem i Maddalem* zjawił się niebawem piękny poemat »*Rosalinda i Helena*«, opiewający niedole, jakiemi świat nagradzać zwykł ludzi lepszych i szlachetniejszych nad zwykłą miarę. A niedługo potem narodził się *Prometeusz rozkuty*, poczęty nie na ziemi, po której stąpają zwykli śmiertelnicy, ale na olbrzymich zwaliskach term Karakalli, gdzie się przechadzał poeta, chłonąc natchnienie z owiewającej go zewsząd atmosfery wielkich dziejów, samotny nad wiecznem miastem u dołu, rozmarzony i bogom ruin podobny śród bluszczów, oplatających zwaliska.

W niespełna rok czasu (1819) również pod wpływem wspomnień rzymskich, ale świeższej daty, powstała tragedya *Cenci*. Treść jej wydała się skromnej Brytanii w najwyższym stopniu skandaliczną i ściągnęła na autora gromy, nie milknące dotąd, pomimo, iż wzniósł się w niej do niespotykanej od czasu Szeks-

pira potęgi dramatycznej. Brandes przytacza o niej zdanie »Literary Gazette«. »*Cenci* to najbezwstydniejszy wytwór czasu i musi być chyba płodem samego dyabła, a sprawozdawca spodziewa się, że nigdy już nie ujrzy książki, któraby nosiła taką pieczęć hańby, bezbożności i infamii«. Dojmujące to były ciosy. Choć poeta widział w nich z początku jedynie »należny hołd«, geniuszowi spłacony — jednak stracił w końcu cierpliwość i otuchę.

W ogóle ostatni ten okres życia jego od r. 1818—1822 był pasmem wstrząśnień i wzruszeń. Naprzód stracił dwoje dzieci z drugiego małżeństwa. Powtóre zewsząd doznawał srogich od ziomków swych prześladowań. Gdy raz w Pizie na poczcie, prosząc o list *poste-restante*, wymienił swoje nazwisko, obok stojący podówczas oficer angielski, krzyknął: »Co! to jest ten przeklęty ateista Shelley!« i uderzeniem pięści powalił go na ziemię. Takie były pierwsze liście wawrzynu.

Ażeby za nie odpłacić godnie, trzeba było mieć szpony orła lub lwa, jak Byron, i jak on żgać naokół jadem szyderstwa i ironii. Shelleya temperament ewangieliczny mógł się zdobyć na zgrzyty i jęki — ale nie na chichot piekielnika, podobny temu, który rozbrzmiewa w *Widzeniu Sądu* i *Don Juanie*.

Atoli miewał on w Pizie i momenty słoneczne. Towarzystwo, jakie tam się zebrało, grono ludzi niezwykłych, a kochających go, działało snadź jak balsam. Zjechał tam bowiem Byron z hrabiną Guiccioli, bawił piękny i sympatyczny Trelawney. Osobliwie blizkie były węzły z rodziną Williamsów, z którymi Shelleyowie nawet wspólny dom prowadzili.

Był to stosunek świeży, ale serdeczny, a do tego przyczyniło się, iż Williams (Edward Ellerker) miał dużo wspólnych z Shelleyem upodobań, jak on, na-

miętnie kochał morze, był muzykalny i niezłe rymy pisał. Poeta, jak zwykle, umiał oddalać się samotnie na całe dni z książką w ręku i zaprzepaszczać się tak, iż trzeba było szukać go z pomocą przewodników. Chodził pożerany własną swą myślą, własną nieokreśloną tęsknotą za ideałem i błądził jak lunatyk, ażeby później, zszedłszy się z kółkiem, bawić się i weselić jak dziecię. Przejścia takie nie były u niego rzadkością. Rozrywki jego w chwilach swobody umysłu były wskróś młodzieńcze, naiwne prawie. Jak dawniej puszczał balony papierowe z wiązkami płonącej słomy, tak teraz lubił ćwiczenia gimnastyczne i żeglugę po morzu po Arno i Serchio. Szalupie, na której wycieczki te odbywał, oddając się im całą duszą, poświęcił nawet poemat *(The boat on the Serchio)*. Borykanie się z bałwanami stanowiło dlań rozkosz prawdziwą, do której wiecznie tęsknił. Widok bacika lub okrętu wprawiał go w zachwyt jeszcze w Marlow. Jak małe pacholę puszczał częstokroć na wodę czółenka z papieru i śledził ich oddalanie się z żywym interesem. Gdy, mając już lat dwadzieścia ośm, bawił w Liworno, i siedział w pracowni przyjaciela swego, inżeniera Reveley'a, — zabawiał się puszczaniem papierowego bacika »naiwnie idealnego«, jak sam opowiada, na miniaturowe fale żywego srebra, które stało w pobliżu w wielkiej drewnianej urnie *(List do Maryi Gisborne,* matki Reveleya. 1820). A pewnego znów razu tak się do tego sportu roznamiętnił, że w braku papieru zepsuł banknot pięćdziesięciofuntowy i zrobił zeń statek. I twierdzić można na pewno, że gdyby był bogatym, rujnowałby się na całą marynarkę, zarówno prawdziwą, jak papierową.

Sielanka ta miała wkrótce skończyć się.

Tymczasem jednak napawał się Shelley przyrodą

Włoch i oddychał artyzmem i pięknem klasycznem, unoszącem się mgłą niewidzialną nad całym półwyspem. Złożył daninę duchowi greckiemu w poemacie *Hellas*, natchniony walką o niepodległość, jaka się toczyła na polach, zlewanych niegdyś potokami krwi perskiej i złożył ofiarę na ołtarzu miłości platonicznej w dziwnym utworze *Epipsychidion* (1821).

Jest to elegia, poświęcona pamięci hrabianki Emilii Viviani, osoby dosyć zagadkowej, o której nie wiele wiadomo nad to, że z powodu niesnasek z macochą zamieszkała w celi klasztoru Ś-tej Anny. Z przedmowy do poematu i samego tytułu można wysnuć wniosek, że była ofiarą gwałtu rodziców, przypisanie bowiem brzmi: »Szlachetnej i nieszczęśliwej damie Emilii V., teraz uwięzionej w klasztorze«, i tak sprawę objaśniał poecie spowiednik hrabskiej rodziny. Była to podobno osoba podnioślejsza w całem słowa tego znaczeniu i obdarzona iście klasyczną urodą, podobna, jak powiada przyjaciel Medwin, do Beatryczy Cenci. Jedno widzenie się z nią na ponurym zamku rodziców, dokąd Shelley został raz wprowadzony, wystarczyło, ażeby zbudzić w nim od razu wszystkie rojenia o jakimś duchu bratnim, któryby go odczuł i zrozumiał. Shelley nic o swoim afekcie nie wspomina, jak gdyby się bał pokalać jego czystość jakiemkolwiek wyznaniem i mistyfikuje czytelnika, że *Epipsychidion* jest dziełem jakiegoś florenckiego poety, dopiero rozpoczętem, ale przez rychły zgon przerwanem, i prosi o litość nad nim i pobłażanie dla ekstazy. Jeżeliby się zgodzić na domysł, że owym nieżyjącym pieśniarzem jest sam Shelley, a zgodzić się trzeba, — wypadnie, iż rozumna i przywiązana Mary Godwin miała przez krótki czas rywalkę niebezpieczną. Bo choć kochanków przedzielały grube mury samotni, nie obeszło się bez wymiany

listów i czułych zwrotów, w rodzaju *caro fratello* a nawet *caro spozo.*

Żałoba podwójna nastrajała harfę Shelleya na rozdzierający bólem ton. Prawie jednocześnie bowiem zamknął powieki w Rzymie John Keats (1821) w 24 roku życia, autor *Endymiona* i *Hyperiona*, poeta, rokujący olbrzymie nadzieje, a zmarł na miłość, suchoty i nędzę. Shelley kochał go jak brata, ubóstwiał jako wybrańca muzy, więc zgon ten podziałał jak grom, który spłynął potem łzami w elegii *Adonais*, uważanej przez swego autora za jednę z najcelniejszych jego prac. Żaden inny wypadek, prócz chyba konfiskaty dzieci, nie zranił tak serca Shelleyowi. Bo w Keatsie zszedł do grobu w samej wiośnie życia nietylko jedyny swego rodzaju fenomen, który, wtedy gdy inni poeci dopiero się przepalają w ogniu własnych namiętności, zdołał stać się epoką w poezyi angielskiej, jak przyznają bezstronniejsi sędziowie [1]), ale, co smutniejsza i co więcej burzyć mogło każdą jednostkę szlachetną, to, że głównie dobiła go tępogłowa krytyka »Przeglądów«. Shelley zatem, który sam był poniekąd ofiarą potwarczej naganki, odczuł w śmierci swego przyjaciela i własne nieszczęście i żelazną, druzgoczącą potęgę głupoty i podłości. Nie mógł wyjść z podziwu, że »znalazł się morderca dosyć głuchy i jadowity, ażeby uwieńczyć tę rychłą czarę jego życia podobnie bolesną trucizną« (*Adonais*, XXXVI oraz *Przedmowa*).

Ale tu już poemat życia dobiega kresu. W r. 1822 Shelleyowie wraz z Williamsami postanowili przenieść się z Pizy do Lerici, miasteczka, położonego nad za-

[1]) Między innymi niedawno zmarły a nieśmiertelny autor *Biglow's Paper*, John Russell Lowell w swem dziele *The English Poets. V. Keats.*

toką tegoż imienia; okala ją pasmo wzgórz, okrytych południową roślinnością i odosabnia w zakątek, jak gdyby specyalnie przeznaczony dla marzycieli i zachwycający czarownem położeniem. Tutaj to zaprzyjaźnione rodziny osiadły, a Shelley i Williams, zakupiwszy szalupę, którą na cześć Byrona nazwali »*Don Juanem*«, rozpoczęli wesołe na wodzie życie. Dzień i noc spędzali pod gołem niebem, pomimo że statek ich, jak ostrzegał Byron, nie był dosyć silnie i opornie zbudowany. 22 Lipca puścili się zwykłym trybem na wycieczkę, z zamiarem dotarcia do Spezii. Opowiada Trelawney, że wszystko w powietrzu zapowiadało burzę. Wybuchła też niebawem wściekła i wyuzdana i trwała przez noc całą, t. j. tak długo, jak i trwoga śmiertelna Trelawneya. Nazajutrz darmo szukał ich oczyma po morzu. Pomknął więc do Pizy, by przeczuciami podzielić się z Byronem. Ten, usłyszawszy o płochej wycieczce, zbladł cały, bo doświadczonym będąc żeglarzem, wiedział, że wszelka nadzieja stracona.

Po kilku dniach w rozmaitych punktach okolicznego morza wyłowiono trzy poszarpane trupy: Williamsa, chłopca usługującego i Shelleya, w kieszeni którego znaleziono tragedye Sofoklesa i poezye drogiego Keatsa. Sprawdziła się dawna greków wiara — że ukochani przez bogów umierają młodo. Miał wtedy niespełna lat trzydzieści.

Warunki dziwnie złożyły się, ażeby pogrzeb licował z życiem poety. Wieść głosi zazwyczaj, że Trelawney i Byron postanowili zwłoki spalić, zgadywali bowiem, iż sam Shelley, mając się za greka z ducha, tylko takiej pragnąłby ceremonii. Jednak więcej sprawił tu mus — po prostu kwarantanna w Toskanii nakazywała palenie ciał, wyrzuconych przez morze. Urząd Charonów, przewożących bohatera w krainę cieniów,

pełnili: Leigh Hunt, Byron, — ów »pielgrzym wieczności«, który w *Adonais* stoi także i nad zwłokami Keatsa, Trelawney i konsul angielski, przybyły z Florencyi [1]). Leigh Hunt barwnie opisuje cudny krajobraz, na którego tle odbywała się ta uroczystość posępna, w formy klasycznie-pogańskie ujęta, której nie brakło i myrrhy i oliwy i soli. Było to 16 września 1822, nazajutrz po spaleniu zwłok Williamsa. Trelawney opowiada *(Rossetti,* p. 127), że prawie całe ciało Shelleya było zwęglone, gdy serce leżało nietknięte, pochwycił je więc i płomieniom wydarł. Serce to i popioły, jak wiadomo, złożono na cmentarzu protestanckim w Rzymie, niedaleko grobu Keatsa, którego pogrzebano w ten sam sposób o rok wcześniej, i blizko piramidy Cestiusza. O miejscu owem, usianem fiołkami, Percy wyrzekł był na krótko przedtem, »że możnaby się zakochać w śmierci na myśl, iż się zostanie pochowanym w tak lubym zakątku« *(Adonais, Przedmowa).* Na prostej tablicy białego marmuru żona kazała wyryć te znamienne, skromne a w treść bogate wyrazy: »Cor cordium« [2]), a Trelawney, otoczywszy je sześcioma cyprysami i wieńcem drzew laurowych, dodał wiersze z *Burzy* Szekspira, opiewające nieznikomość i przejście ducha w coś nowego i dziwnego.

Wszyscy inni druhowie, jak: Peacock, Hogg, Medwin, Leigh Hunt, Moore w *Życiu Byrona,* przyczynili się do uczczenia pamięci Percego zapiskami i całemi biografiami, a nadto Leigh Hunt zmodelował biust jego. Według tego cennego zabytku i relacyi ustnych, Shelley miał twarz prawie kobiecą, na której uderzała

[1]) Tragiczną tę a tak pełną poezyi chwilę odtworzył w osobnym, zapewne na elegii *Adonais* wzorowanym poemacie, z prawdziwym talentem, p. Antoni Lange (Pogrzeb Shelley'a).

[2]) Co znaczy: Serce serc.

para wielkich ciemno-błękitnych oczu. W oczach tych miała się przebijać dziwna powaga, połączona jak gdyby z zadziwieniem i ekstazą — patrzył w inny, nieziemski świat. Głowę zdobiły pyszne, brunatnej barwy włosy nad czołem sklepionem harmonijnie i łagodnie. Wzrostu był więcej niż średniego, budowy smukłej i delikatnej. W ruchach gwałtowny, ze swadą niewyczerpaną, z głosem nieprzyjemnym na razie, ale w dłuższej rozmowie a zwłaszcza przy czytaniu na głos, pełnym cudownych modulacyj. Był ulubieńcem mężatek i panien, i odwdzięczał się im nadzwyczajną, przypominającą Szekspira sympatyą dla charakteru kobiecego, który też lubił idealizować *(Rossetti*, p. 16).

II.

Oskarżenie i doktryna.

Mając przed sobą takie wypadki życia, taki charakter wulkanicznie-idealny obok organizacyi mimozy, domyśleć się łatwo, że na tym gruncie wykwitły kwiaty niepowszednie, ale zapytać kto może, tak samo jak ongi Trelawney, gdy po raz pierwszy ujrzał Shelleya u Williamsów: »Czy podobna, by ten spokojny młodzieniaszek z duszą tak prostą miał być ową okrzyczaną hydrą, zostającą w walce z całym światem, człowiekiem, wyjętym z pod opieki praw cywilnych, obciążonym piorunami klątw kościelnych i uchodzącym za założyciela szkoły szatańskiej?«

Tak jednak było w rzeczy samej i ażeby przekonać się o tem, dosyć otworzyć pozostałą po nim spuściznę.

Zaraz na wstępie prawie, jeden z najmłodszych jego utworów: *Królowa Wieszczek (Queen Mab)*, ude-

rza warcholstwem, jakiego przedtem żaden anglik w ojczyźnie nie słyszał. Do śpiącego ducha ludzkości zlatuje skrzydlata bogini i unosi go z sobą w przestworza, między wirujące słońca i gwiazdy, pośród których glob ziemski zda się tylko drobną iskrą złotą. Ale na tej iskrze duch, obdarzony nagle wzrokiem nieśmiertelnych, widzi dzieje i teraźniejszość w całej ich nagości, tak jak ich niczyje oko nie ogląda; widzi, że wszędzie panuje tyrania i szalbierstwo, że u sterów stoją matacze, Kalchasi i Neronowie, w których jarzmie ludzkość wiedzie żywot bydląt. Nędza i zbrodnia, błąd, kłamstwo i dzika chuć srożą się po tym padole. »Zkąd biorą się ciemiężcy? — zapytuje. — Zkąd nienaturalny rój trutniów? Występek zrodził ich, odpowiada, czarny występek, gwałt, szaleństwo, oszustwo i zdrada«, »Ci zaś ciemiężcy sami są twórcami wojen, a ich spólnikami mężowie stanu, świętoszki w sukniach księżych, których piecza i ochrona są dla człowieka niedolą, których wielkość stoi na jego poniżeniu«. »Aryman naszego kultu, piekło i niebo«, to dla Shelleya trójca przeklęta; »pierwszy jest chciwym zemsty demonem, drugie tworzy niewolników postrachem swym, niebo zaś uśmiecha się nagrodą łotrowi«. Dzika żądza — mówi gdzieindziej — tak opasała ziemię swymi kleszczami, że wszystko, prócz cnoty, stało się przedajnem.

Bogini wywołuje cień Ahaswerusa i na zapytanie odbiera od niego złowrogie potwierdzenie wszystkich zarzutów, uczynionych duchowi świata, który ma coś wspólnego ze złą wolą pesymistów, bo oto męczennik, żyd wieczny tułacz, opowiada mu następujący dyalog:

»Grób stworzenia pochłonął tych, co śmieli urągać wszechwładzy Woli samolubnej. Tylko plemię nie-

wolnicze zostało przy życiu, ażeby wykonać dzieło tyrańskiej mocy. Dźwignęli oni demonowi świątynię wielką i okazałą, a ołtarz złoty dymił się krwią ludzką. Pod wysokiem sklepieniem rozbrzmiewały tony ponurych hymnów. Morderca jeden nad brzegami Nilu usłyszał głos władyki — a był to człek, któremu geniusz dał wielką potęgę, był to spólnik Woli Wszechmocnej w zbrodni i powiernik Wszechwiedzącej«. Więc owa Idea absolutna rzekła doń: »Ja Wola z wiekuistej ciszy zbudziłam się i w dziewięć dni zrodziłam z nicości ziemię; odpoczęłam i zrodziłam człowieka. Osadziłam go w raju i dałam mu drzewo złego, ażeby skosztował jego owocu i skonał, ażeby duszy mojej złość nasyciła się, ażeby wszelka niedola stała się dla mnie sławą. Naród, którym sobie z pośród innych wybrała, niechaj bezkarnie zaspakaja żądze, które w sercu jego zaszczepiłam. Ty zaś bądź jego przewodnikiem, aż ślady zwycięzców wytłoczone na ich przeklętej ziemi napełnią się krwią niewiast, — a imię moje uczynię postrachem wszystkich. Ale wieczne płomienie, wieczna męka będą udziałem nieśmiertelnych ich dusz. Dobrzy czy występni, słabi czy silni, wszyscy muszą zginąć, ażeby wściekłość ślepej pomsty Woli (którą ty przed ludźmi zwać będziesz Sprawiedliwością) nasycić«.

Ciało mordercy zadrżało ze zgrozy.

»Wszechmocna! Czy nie masz litości. Czyż nasza kara ma być wieczną? A potok lat płynąć bez końca? Po co zrodziłaś w szyderstwie i gniewie nieszczęśliwą tę ziemię? Zmiłowanie przystoi potężnej — bądź jeno sprawiedliwą, o Bogini! Miej nad nami litość i oszczędź nas!

Wola świata. odrzecze: »Jest tylko jeden sposób. Zrodzę ja córę, ażeby wzięła na się wszystkie grzechy

ziemi. Ukaże się ona w zapadłym kącie globu, skona tam w męczeństwie i zmyje wszelkie winy, wszelkie zbrodnie, ażeby ci nieliczni, których dosięże łaska moja, których wybieram sobie za naczynia mojej czci, uwierzyli w tę cudowną ofiarę pokuty i dusze swoje za życia zbawili. Ale całe miliony żyć będą i ginąć bez zbawienia, nie wezwawszy imienia odkupicielki. Dla tysiąców będzie ona za wzniosłą i niezrozumiałą, jak legenda, opowiadana przez piastunki dla nastraszenia dzieci. Ci w otchłani ognia i katuszy przeklinać będą wiecznie swą niewiarę: dziesięćkroć silniejsza męka zmusi ich na łożu tortury bólem i jękiem zwiastować moją chwałę i słuszność ich losu. Za nic ich cnoty, ich świetlane myśli, opromienione geniuszem lub rozumem ludzkim. Siepaczu! spełnij mój rozkaz«.

Lica mordercy zbladły ze zgrozy, a wargi jego wyszeptały ze drżeniem: »Wszechmocna! drżę i korzę się«.

Oto jak sobie wyobrażał Shelley genezis. Była to genezis ze złej Woli a wykładając ją tak jaskrawo, poeta rzucił światu pierwszą rękawicę i pierwsze, niepohamowane w gniewie, oskarżenie, w którem tkwią już zarodki albo zarysy wszystkich złorzeczeń późniejszych. Jest to niby ogólny wstęp, uwertura, w której przebłyskują wyraźnie motywy *całego* programu napaści.

Tak rozumując, był w najzupełniejszej zgodzie z mistrzem swym Godwinem, który w swej *Sprawiedliwości politycznej*, dla nas będącej już naiwnem echem młodzieńczo hulaszczych wrzasków rewolucyi, dowodzi: Dwa są kłamstwa olbrzymie, które demoralizują rasę ludzką: władza i kult. Błąd zawinił, że one tak długo trzymają się w urządzeniach społecznych... Nie możemy się wahać przed wnioskiem powszechnym, że ustawy to instytucya najbardziej zgubnej dążności.

W ogóle, powiada Dowden, słynny biograf Shelleya, Godwinowi wszelka idea rządu była wstrętną. Nam dziś, już nieco oprzytomniałym i przez naukę otrzeźwionym, teorye podobne mogą się wydać tylko junacką doktryną. W istocie jest ona taką, ale była prostym wynikiem rojeń rewolucyjnych, była naturalną swego czasu krańcowością, do jakiej dojść musieli wrogowie średniowiecczyzny, jeśli coś zdziałać chcieli. Shelley zresztą, zarówno jak Moore i Byron widzieli dokoła, w całej Europie i w samej Anglii rzeczy potworne, które bardzo łatwo mogli wziąć za potwierdzenie tego, co prawił katechizm rewolucyi. Żelazna prawica Napoleona przygniatała cały świat ucywilizowany, zdławiła wszelką swobodę, zdusiła dobrobyt, wyniszczyła ludy i w niwecz obróciła wszystko, co obiecywała przynieść praca rewolucyi. Gdy zaś tyran, obezwładniony, zmarniał na swem wygnaniu, ster spraw europejskich przeszedł w ręce Przymierza Ś-go, które tak zjadliwie wyśmiał Byron w swym *Wieku bronzowym*, czyli że zmieniły się tylko narzędzia reakcyi i ucisku — ale istota krzywdy została ta sama. Na miejsce porywów tytanicznych Bonapartego, przyszły podziemne knowania Metternicha — a jarzmo zamieniono na dyby, ot i wszystko. Nawet ludy z kresów Europy, nie wpływające na losy jej korpusu głównego, jęczały w kajdanach: Grecyę szarpał muzułmanin, Włochy wzdychały do dawnej sławy i waleczności. Albion pastwił się nad katolicką Irlandyą i nad własnym swym ludem, który stał się igraszką w rękach arystokracyi. W praktyce sejmowej działy się nadużycia i trwały z dawnych lat przepisy, pozwalające szachrować głosami wyborców i dobrem narodu. Faktycznym władzcą był krwawy Castlereagh, oprawca Anglii i Irlandyi.

Wrażliwa dusza Shelleya boleśnie, wszystkiemi fibrami nerwów, odczuwała to panowanie podłości. Wiemy, jak się wobec niej zachowywał Byron: szydził, przeklinał, do buntu zagrzewał, biczował, protesty podnosił. Cała walka jego — to jedno długie oburzenie, które to w dramat pesymizmu przechodzi, to w piekącą ironię i zjadliwą, iście djabelską satyrę. Shelley brał to wszystko bardziej sercem, bardziej poważnie, z większą zadumą i z większą dla uciśnionych miłością. On chciał być nietylko oskarżycielem, ale i zwiastunem lepszego jutra, chciał społeczeństwo zreformować i o tej swej namiętności sam częstokroć opowiadał, chciał pracę burzącą, negatywną, uwieńczyć dodatnią, twórczą, apostolską. Sam nawet wyrzekł o sobie w przedmowie do *Prometeusza*, że »ma namiętność reformowania świata«. Byron demaskował *podłość* ludzką, Shelley bronił *szczęścia* ludzkiego. I gdyby mogły istnieć proklamacye, wskazujące drogę do niego, pewnieby je z narażeniem własnej skóry osobiście rozrzucał. Od jak dawna i jak dojrzale żywił te pragnienia, świadczy przypisanie *Rokoszu Islamu* [1]).

Było to więc sposobienie się do boju — do reformy. Ale cóż zrobić może poeta, silny tylko płomienną wyobraźnią i wielkiem współczuciem? Tworzy obrazy, wciela ideał swój w wizye i wróżby, które, jak chce Sully-Prudhomme, są przeczutą rzeczywistością

[1]) Rossetti słusznie wyróżnia strofy 3 i 4-tą, które w przekładzie tak mniej więcej brzmiałyby:

Majowy był poranek — ruń wiośniana
Od rosy lśniła się — łzy z oczu moich
Płynęły — choć, dlaczego, jam nie wiedział;
Do ucha dochodziły z szkoły wrzaski,
Podobne echu ze świata boleści, —
I były mi tyrańskich mocy walką.

jutra. Marzyciel Shelley tak właśnie czynił i to z całą świadomością metody. Wyposażał on poezyę w niezmiernie, niebywale szeroką władzę. W przepięknej, nawet z dzisiejszego punktu widzenia, rozprawie, napisanej *W Obronie poezyi*, nie tylko, że ma ją za »twór boski«, ale za »główne ognisko umysłowości ludzkiej, z której wszelka nauka wytryska i do której spływa. Jest ona zarazem korzeniem i kwiatem wszelkiego systemu myśli, wszystko ma w niej swe źródło i swoje uwieńczenie«, wrogiem samolubstwa i grzechów, albowiem »Poezya i zasada Sobkostwa, to Bóg i Mammon świata«. »Czem byłyby bez poezyi: cnota, miłość, patryotyzm, przyjaźń?« Bez niej wszelka wzniosła dążność jest jakoby bez skrzydeł i bez języka. Ona godna jest w zupełności owych zuchwałych lecz prawdziwych słów Tassa: Tylko Bóg i poeta zasługują na miano Stwórców (Non merita nome di creatore se non Iddio ed il Poeta). »Słowem, Poeci — tak kończy swoje wywody Shelley — są to nieuznani prawodawcy świata«.

Ale z czasem wkradły się między te namaszczone psalmy piewcy, który chciał być kapłanem, i wesołe śmiechy i drwiny fauna. Co prawda, faun to był uroczy, tak do łagodnego dziewczęcia zbliżony, jak ów słynny satyr Praksytelesa, spokojnie oparty o drzewo i mile uśmiechnięty. Przyszło to późno, już pod włoskiem niebem, które ma odwieczną

Złożyłem ręce i spojrzałem w koło.
Sam byłem — nikt się skrycie nie natrząsał
Z łez, które chciwie piła ziemia. Wtedy
Wyrzekłem: jeśli mogę stać się mądrym,
Łagodnym, prawym, wolnym — będę!
Bo cierpię, patrząc jak się samolubni
I silni nad słabszymi wciąż znęcają.
Wtedym powstrzymał łzy, zajaśniał spokój
W sercu; duch tkliwym stał się i odważnym.

własność uspakajania wzburzonych fal ducha i potrafi wlewać weń swe słońce i swawolę, i trwało nie długo, ale bądźcobądź zrobiło swoje, wydając pełną werwy i gburowatej dosadności komedyę p. t. *Oedyp Tyran (The Swellfoot of Tyrant)*. Kto sobie zawczasu uroił, na zasadzie większości dzieł Shelleya, że nie ma on wcale żyłki komicznej — ten jest w grubym błędzie. Tyran Puchłonóg może nie zawsze pobudza w czytaniu do brania się za boki, ale przez całe swe dwa akty zadziwia fantazyą prawdziwego Dantyszka, choć nie Piasta, lecz Bulla i rubasznym dowcipem przenośni, wziętych pewnie od Arystofanesa i Rabelais'go, bah, może natchnionych samym skandalem, który za temat poecie służył. Łajdactwo bowiem, jakiego się dopuścił Jerzy IV, tropiąc budoarowe sprawki swej połowicy Karoliny w sposób bezwstydny, ordynaryjny i gorszący, jak najmniej chyba uspasabiało do wyrażeń łagodnych i eleganckich. Zresztą Shelley, który lubił oglądać rzeczy ze stanowiska szerszego, skorzystał jeno z samej chryi, ażeby plunąć w twarz całej Anglii. Jej lud wyprowadził na scenę pod postacią świń, wieprzów, dzików i prosiąt, jej bożyszcze narodowe pod postacią Wszechmocnego Głodu, do którego pokorne modły, jako do swego orędownika, zanoszą monarcha i jego dostojnicy. W ich usługach jadowite bąki, pijawki i szczury ssą i niszczą dobro narodu przy pomocy różnych podatków, które, rosnąc co chwila, zmniejszają dochody do zera. »Taksy — to prawdziwe źródło Świństwa — taksy nawet rosną wraz ze Świństwem«, które jest duchem całego kraju. Główny pasibrzuch, Puchłonóg, ma wiernych zbirów w osobach: Mammona, kapłana Głodu, — jest to lord Liverpool albo Sydmouth, Pyrganaksa, głównego sternika nawy państwowej, — jest to lord Castlereagh (castle = za-

mek = pyrgos; reagh = król = anaks), Dacry'ego (Łzę) Eldona, Laoktonosa — Wellingtona (laoktonos — morderca ludów). Rzecz dzieje się w Beocyi, autorem komedyi był jakiś *sus Beotiae*, który ją napisał wrzekomo w narzeczu doryckiem. Intrygę stanowią spełzłe na niczem usiłowania króla i doradców, którzy pragną z pomocą zabójczych trucizn swego wyrobu oczernić Ionę Taurinę, a czarami swemi zamienić Puchłonoga w anioła. Lecz po jej stronie stoi Wszechstado wychudłej nierogacizny, która oniemal zjada własne swe wymiona, a nadto i orzeczenie wyroczni, wedle którego nadejdzie czas, gdy Iona Taurina na czele tłuszczy świń i oklep na Minotaurze gonić będzie swego męża a wtedy też Teby wybiorą wojnę domową lub reformę. I tak się też dzieje: opasłe zbiry Tyrana czmychają w postaciach dzikich zwierząt a królowa, pędząc przez pola i lasy, krzaki, sadzawki i doły z armią wieprzów, tryumfuje zwycięstwem, które dało jej w krytycznej chwili słodkie bóstwo wolności, a rzecz kończy się dzikim wrzaskiem i kwikiem: Tellyho! Tellyho!

Pod względem artystycznym utwór to skończony, pełen ruchu i życia, aluzyj przejrzystych a kąsających do krwi, i doskonałej gry słów, jak n. p. w przezwisku Iona Taurina od *John* i Taurus-*Bull*. A nie brak i prawdziwie humorystycznych momentów w owych zwrotach do »wielce szanownych świń«, w chciwości, z jaką zlizują wylane pomyje, w owej dumie, z jaką zapewniają, iż niegdyś były szczęśliwe jak słowiki na gałązkach myrtu, żyły rosą trawy i śpiewały harmonijnie. To też — jak łatwo się domyśleć — *Oedyp* wyszedł bezimiennie.

Tym sposobem oderwana idea *Królowej wieszczek* przybrała tutaj szatę bardziej namacalną, barwną i migotliwą. Na plecy mężów stanu, nienawistnych poecie,

spadły cięgi, przeznaczone dla całego państwa. Duchowni są w jego oczach obłudnymi niedowiarkami, którzy nawet wtedy nie wzięliby losu na loteryę, gdyby się im w nocy przyśnił (Akt I, scena 2), i cynicznie paradują swą niewiedzą, czemu zawdzięczają swój dar prorokowania: wyższemu natchnieniu czy też likierowi z Lesbos?

I wszędzie indziej, osobliwie zaś w poematach z r. 1819 i 1820, pisanych w bezpiecznej odległości od ojczyzny, zawzięcie uderza w te same klawisze protestu przeciw gwałtom i frymarkom rządu angielskiego i wogóle reakcyi. Głównych sprawców ucisku przepędza po wielekroć przez kolczaste rózgi z taką zaciekłością, że robi wrażenie opętańca, prawdziwego maniaka, i w uniesieniu powtarza niekiedy te same klątwy. Aż w dwu różnych utworach *Masce anarchii* i *Oedypie* mówi o łzach bazyliszka Eldona, że płyną łatwiej od krokodylich i zamieniają się w kamienie młyńskie, a raz dodaje, że dzieci brały je w swej naiwności za dyamenty i pragnąc się zabawić, rozbijały o nie głowy. W wierszu zatytułowanym: *Podczas rządów Castlereagh'a*, poeta nazywa go małżonkiem Ruiny i życzy młodej parze, ażeby ślubne łoże usłały jej strach, troska i wojna. Podobnież odzywa się *Do synów Anglii*, a w sonecie *Anglia w r. 1819* szkicuje wizerunek okropności, w których prawem jest krew i żelazo, co kuszą i zabijają, oraz religia bez Chrystusa, bez Boga. Najotwarciej zaś, bez obwijania grotów w liście satyrowego bluszczu, wypowiedział się w *The Masque of Anarchy*, wielkim obrazie, pełnym łuny fantastycznej i krwawych blasków wypisanej na niebie groźby. Sposobność do tego dała mu rzeź robotników w Manchester. Klęskę tę przypisał wprost anarchii, której całą winę zwala na ministrów, prowokujących

bezrząd i szał ludowy, pod płaszczykiem sprawiedliwości, miłosierdzia i religii. W tym pochodzie kostiumowym Castlereagh ma wyraz twarzy słodki, a jednak straszny, a za nim wlecze się siedem krwawych, tucznych psów, którym rzucano na karm serca ludzkie. Oszustwo było w duchownej sukni lorda Eldona, Sydmouth odział się w Biblię; za nimi cały poczet widm zniszczenia, przebranych za biskupów, parów, szpiegów, sędziów, a na ostatku sama Anarchia na białym, krwią zlanym rumaku, i miała na czole bluźnierczy napis: ja jestem Królem, Prawem i Bóstwem. A po drodze do Londynu szerzyli panikę śród tłumów i przyciągali do siebie zbójów, którzy, padając przed nimi na twarz, wołali: »Nasze kieszenie są puste, dajcie nam krwi i złota!« Wtedy Anarchia musiała napaść na banki, na dwór królewski, na wszystko, co uważała za swą własność i za godne rabunku. Dopiero Nadzieja, podobna bardziej do Rozpaczy, wniosła w ten zamęt łupionych ludów trochę pogody. Taką samą, jeno w zbroję bohatera przebraną anarchią jest dlań Napoleon, którego gromkiemu imieniu nie daje się olśnić, jak inni romantycy: Heine, W. Hugo, Byron... Swej nienawiści dla ciemięstwa jest nieprzejednanie wiernym. W wierszu o śmiałej, szerokiej ironi p. t. *Na wieść o śmierci Napoleona*, nie ubolewa, że zmarniał na samotnej skale Prometeusz, jak śpiewał Byron, lecz z goryczą dziwi się matce ziemi, iż nie zaprzestała swych pląsów w świetle porannego wesela, że wiruje jeszcze, i żyje i jest ciepłą, mimo zgonu tego, czyje życie było jednym wezbranym potokiem Ruiny, płynącym śród trwogi, krwi i żelaza. Aż zawstydzona tą obelgą ziemia nazywa pytającego śmiałkiem, i chlubi się, że była przedtem zlodowaciałą i cmentarną, lecz oto śmierć tyrana tchnęła w nią ogień nowego życia.

Jeżeli najwięcej piekły Shelleya kajdany, ciążące całej ludzkości, tedy drugie miejsce w sercu jego zajmowali ci, których gnębią zwyczaje, opinie, zwietrzałe urządzenia i dogmaty rodzinne. Przejął on od Godwina, a w każdym razie za jego pośrednictwem, nienawiść ku władzy i samowoli rodziców i nieraz smagał ją. Nie dziw — czuł na sobie smutne dobrodziejstwa opieki domowej i widział ją dokoła siebie wyklinaną. Nienawidził też tyranii małżeństwa i był o niem takiego samego zdania, co i Godwin. »Niedorzecznem jest żądać, ażeby upodobania i pragnienia dwojga istot ludzkich przez cały szereg lat zgadzały się z sobą. Zmuszać je do wspólnego życia i działania, jest to narażać je na nieuniknione swary i zgryzoty. Przypuszczenie, iż ja muszę mieć towarzysza na całe życie, wypływa z całej masy błędów; wypływa z niedołęztwa, nigdy z rozumu... Zazwyczaj młodzież płci obojej, marzycielska i bezmyślna, schodzi się z sobą na krótki czas i to w warunkach, pełnych złudzeń — a zaraz potem łączą ją węzłem dozgonnym. Jakie stąd następstwa? Prawie zawsze — zobopólne rozczarowanie. Instytucya małżeństwa, to system fałszu, to prawo i prawo najgorsze. Dopóki w stosunku z kobietą bronię sąsiadowi dowieść jej, iż ma on więcej ode mnie zalet, dopóty bronię najbardziej nienawistnego monopolu« [1]). I oddać należy sprawiedliwość Shelley'owi, że trudno byłoby załapać go na uczynku stawiania rady wyżej od przykładu. Umiał bowiem przebaczyć oddanemu swemu koledze Jeffersonowi Hogg, który raz omal nie zbałamucił mu żony, niedoświadczonej i może nadto zadufanej w formułki męża, Westbrookównej. Postępowanie

[1]) Last words on Shelley by Professor E. Dowden. Fortnightly Review. October 1887.

poety z własnym ojcem, choć pełne szacunku i tonu pojednawczego, zdradzało także zupełny godwinizm, który w tym względzie następującą głosił formułę:

»*Mój* ojciec i *moja* matka! Cóżem ja winien, że mię wydała na świat miłość mężczyzny i kobiety, nieposłusznych może nawet poszeptom rozsądku i obowiązku? Dla czegoż mam ich za to kochać i czcić? Prawda, iż ze stosunku takiego mogę ciągnąć różne dla siebie korzyści, ale jeśli dobre chęci moje mogą być dla ludzkości inaczej zużytkowane, mam prawo od rodziców odstrychnąć się« [1]).

Szorstkie reguły mądrości rewolucyjnej przetwarzały się w umyśle Shelleya, jak soki i prochy ziemi w łodygę kwiatu, i wracały do ludzi oskrzydlone fantazyą, która szybko dojrzewając, coraz to wypuklejszą, żywszą nadawała im postać. Wzrastał z biegiem czasu i pod wpływem Włoch żywioł plastyki niemal scenicznej. Na posługi chłoszczącemu pióru szedł pędzel i dłuto. Z tych to źródeł wyszło natchnienie do *Rosalindy i Heleny*, w pewnym stopniu i *Cencich*. I tu i tam akt potępienia zawiera w sobie wszystkie te punkta, które Shelley powtarza z wytrwałością Katona, kończącego każdą mowę żądaniem zagłady Kartaginy, tylko, że niektóre z nich są podkreślone i brzmią donośniej.

Pierwsze z tych dzieł, ujęte w formę nowożytnej eklogi, wzrusza głębią i szczerością uczucia. Jestto rozmowa dwóch kobiet, z których jedna pada ofiarą tyranii męża a obie — wstecznictwa. Mąż ów jest człowiekiem niecnym. Nizkość charakteru, przybierając wszystkie możliwe kształty: pychy, służalstwa, okrucieństwa, zrosła się u niego z bigoteryą i zabobonem.

[1]) Last words on Shelley by Professor E. Dowden.

Jest on postrachem dla całego domu i dla własnych dzieci, które boją się go i w obecności jego posępnieją i mowę tracą. Tak dalece obce im było jakiekolwiek uczucie miłości ku niemu, że gdy go nareszcie śmierć zabrała, zaczęły — skakać z radości. Siedm dni leżały jego zwłoki i siedm dni trwało ich święto, a matka daremnie usiłowała rozbudzić w nich świadomość nieszczęścia — czuła bowiem sama, że ich radości nie dzielić nie może. Ażeby jednak godnie uwieńczyć szlachetne dzieło swego żywota, zacny mąż Rosalindy postanowił przed zgonem zadać jej cios najboleśniejszy, cios wyrafinowanej podłości, dla której wszakże gruntu pod niebem Albionu nie brakło. Wolą swą bowiem ostatnią rozporządził w ten sposób, iż własnej żonie nie przyznawał żadnych do dziedzictwa praw, a — co najważniejsza — wyzuwał z nich dzieci, gdyby je matka chciała przy sobie zatrzymać chociażby dłużej nad trzy dni, nawet bowiem godziny będą policzone. Nie chce ich zostawiać pod opieką kobiety bezbożnej, gdyż dba o ich zbawienie, a w dodatku rzuca na nią z za grobu kalumnię wiarołomstwa. Nieszczęsnej ofierze nie zostaje nic innego, jak dogodzić instynktom macierzyńskim kosztem dobra sierot, albo też wyrzec się ich. Wybiera to ostatnie, bo pojmuje doskonale grozę nędzy, życia bez dachu, we wstydzie, cierpieniu i szyderstwie. Czuć w tem bolesnem postanowieniu łzawą skargę poety na własną ranę, przez Eldona mu zadaną. Opowieść Heleny jest nie mniej smutna. Nikczemny świat, wiedziony na pasku przez obłudny kler, strawił i zmarnował jej kochanka, Lionela, który głosił najwyższe ideały ludzkości i był już bliskim zjednania sobie najbardziej wpływowych jednostek, kiedy wybuchła reakcya i wtrąciła go najpierw w zwątpienie, potem zgorzkniałego gnała po dalekich krajach,

wreszcie za powrotem w ciemnicy zamknęła. Zgasł jak płomyk lampy przy dźwiękach harfy swojej kochanki.

Lionel przypomina potrosze Byrona, a tło wypadków stanowi coś w rodzaju skróconych dziejów końca wieku zeszłego i początków bieżącego, z ich nieocuglonym zapałem, wiarą, natchnionemi pieśniami poetów, zwycięstwem duchów ciemności i samolubstwa. Nigdzie indziej Shelley nie przemawia językiem tak żałosnym, zgnębionym i nie zrasza wątku tyloma szczeremi łzami i rozdzierającym serce bólem. W łańcuchu postaci, które jego skarga ustawicznie przybierała — ta jest najbardziej liryczną, tak jak najbardziej tragiczną i pełną pierwszorzędnej siły męskiej jest utwór *Cenci*. Lecz tu wobec potrzeby dramatycznej jedności musiał większość paragrafów swego aktu oskarżenia podać niejako w petitowych odsyłaczach, ukryć w nawiasach, a z ich pogmatwanego splotu wyciągnął na wierzch jeden motyw naczelny.

Cenci opiewają wydobyte ze wspomnień rzymskich krwawe dzieje arystokratycznego rodu, który wsławił się głównie dwojgiem przedstawicieli. Starzec, wyzuty ze wszystkich uczuć ludzkich, potwór, na jaki składają się chyba całe wieki, nasyła zbójców na własne dzieci, a córkę zmusza przemocą do posłuszeństwa swym brutalnym żądzom, katując ją i dręcząc. Nieszczęśliwa dziewczyna, równie zacna jak piękna, stawi mężny opór i nawet raz na uczcie ośmiela się rzucić na rodzica kamień potępienia, — ale czeka ją za to sroga zemsta. By jej nie dopuścić, matka Lukrecya i córka, tak przybite i wyczerpane niedolą, że im już nic nie zostaje do stracenia, postanawiają zabić strasznego wyrzutka. Czas jakiś zbrodnia zostaje w ukryciu, lecz potem na jaw wychodzi,

a winowajczynie idą pod topór, mimo gorącą obronę adwokatów i dworzan watykańskich, albowiem papież rozgniewany jest, że stracił grzesznika, który bezprzykładne swoje ohydy okupywał setkami tysięcy koron.

Cenci są jedynym utworem Shelleya realnym, jedynym, w którym działają nie symbole i figury idealne, ale ludzie z krwi i kości. Co więcej, akcya dramatyczna została tam przesnutą z taką siłą i konsekwencyą, charaktery: starego Cenci, córki Beatryczy i reszty rodziny, z taką plastyką narysowane, że krytyka jednogłośnie uznała ją za najcelniejszą w Anglii po Szekspirze.

W zachwytach tych jest sporo przesady, którą złożyć trzeba na karb Shelleyomanii, dziś epidemicznie grasującej w Anglii, ale w każdym razie tragedya to znakomita, pełna momentów głęboko szczerych i za serce chwytających, prosto i ładnie zbudowana. Unosi się nad nią prawdziwy opar krwi i chuci bestyalnej i zaduchem swoim czytelnika przygniata. Główny motyw, panika córki, truchlejącej na samo wpomnienie sprośnej twarzy ojca, dźwięczy potężnie i tę swoją siłę czerpie z prawdy psychologicznej. Po prostu czujemy to jej nieprzytomne prawie drżenie, ten strach śmiertelny, który ją dręczy i nęka zarówno we dnie jak w nocy.

»Boże, ratuj mię od szału — woła, gdy siedzi już z matką w więzieniu, — ach, zda mi się, że niema wcale Boga, niema niebios, niema ziemi, na tym pustynnym i rozległym świecie bez gwiazd i mieszkańców, że wszystko na nim jest duchem ojca mego, jego okiem, jego głosem, dłonią i one to oplotły mię i puścić mię nie chcą; że one są powietrzem i tchem umarłego mego życia. Zda mi się, że to on, ta sama postać, co mię niegdyś tak srodze na ziemi dręczyła,

z siwizną na głowie i zmarszczkami na czole, ściska mię kleszczami swoich ramion i wpatruje się we mnie rozpalonym wzrokiem i ciągnie mnie w dół, w dół! Bo czyż nie był on jedynym na tej ziemi i wszechmocnym? Azaliż jego duch nie żyje jeszcze teraz nawet, kiedy ciało umarło, we wszystkiem, co oddycha, i nie przyprawia mię i najdroższych mi o zgubę, hańbę, rospacz, katuszę?«

Sama Beatrycze z tej gehenny, przed którą myśl człowieka się wzdryga, wychodzi prawie niewinną, jak Antygona, z którą ma wiele rysów wspólnych, i na której, zdaje mi się, trochę wzorowaną była, jak to widać z elegij nad zmarnowanem życiem i młodością [1]), żywo przypominających monolog bohaterki Sofoklesa. A jednak pochwalić trzeba takt artystyczny, który sprawił, że poeta nie przeidealizował jej. Owszem, umiał zostać wiernym prawdzie i naturze Włochów, — na co, jak głosi przedmowa, świadomie baczył. — Jego *credo* estetyczne, przynajmniej odnośnie do *Cencich*, potwierdza w zupełności realizm anglików tradycyjny. Odrzuca »kwiatki« i ozdoby stylowe, bierze akcyę taką, jaką była, doskonale łączy ze zbrodnią wierny katolicyzm, zabobony i fundacye pobożne. I dzięki temu pewnie nie starał się odmalować Beatryczy jako anioła ascetycznego, lecz wyposażył ją w instynkta

---

[1]) W akcie V, scenie 4:

Boże mój! Azaliż to możliwe!
Tak nagle skonać? Zejść, tak młodą jeszcze,
W grób ciemny, zimny, zgniły, robaczywy,
Być zagwożdżoną w ciasnej trumnie, lubych
Promieni słońca więcej już nie ujrzeć,
Nie słyszeć życia raźnych głosów i t. d.

czysto ziemskie, w żądzę szczęścia i obawę niesławy w razie wykrycia ojcobójstwa. Pragnie ona zatrzeć ślady, nie przyznawać się do czynu, szydzi z małodusznych wspólników, którzy tortury nie zdołali wytrzymać i wlewa męstwo w tych, których jeszcze nie badano. I dopiero, gdy pojęła, że sprawa jej stracona nieodwołalnie, przyznaje się.

Na żadnej scenie sztuka grana dotąd nie była i nie dziw — żaden teatr nie miał odwagi zdzierać zasłony, okrywającej »zwierzę ludzkie«. Sam Shelley uważa temat w pierwotnej jego, nagiej formie za nieodpowiedni dla sceny. Nie ukrywa przed sobą, że choć cierpienia Beatryczy są straszne i dramat w jej sercu toczący się — okropny, jednak »cudzym gwałtem shańbionym być nie można«; ohyda na nas spełniona nie hańbi nas. Czyn więc jej cechuje się wielkim tragizmem, ale niekoniecznie podniosłością etyczną i jest ona męczennicą i kobietą silną, ale nie wcieleniem świętej pokory i łagodności. Ale też »niema potrzeby związywać z opisem — tak zwanego celu moralnego«. Innemi słowy, tragedya uczuć ludzkich nie jest kazalnicą.

Ten sam temat wyzyskał, jak wiadomo, Słowacki w tragedyi p. n. *Beatryx Cenci*, ale nadał jej cechę pięknego raczej romansu, w którym heroina jeszcze dalszą jest od ideału moralnego a już żadną miarą nie jest widownią starcia się dwu potężnych, wolnych od wyrachowania instynktów, zabija bowiem gwałciciela ojca nie ze wstrętu przed nim, ale by zachować niewinność dla swego kochanka. Shelley potrafił dylemat postawić w ten sposób, że wprawdzie nie czujemy pokusy otoczenia dziewczyny aureolą, ale nie litować się nad nią może chyba tylko ktoś, tygrysiem obdarzony

sercem, że jej piekielnych mąk mógł nie odczuć chyba tylko ktoś z dawnej szkoły jezuitów [1]).

Mogłoby się wydawać, że *Cenci* stanowią wyłom w przeduchowionym na wskróś ustroju Shelleya, że to obca w organizacyi tej fibra. Ale tak nie jest. Wielki talent potrafi być wielostronnym, bez uchybienia swej indywidualności.

A przytem poeta nasz pozostawał pod silnym wpływem Szekspira [2]) i Sofoklesa, dzieje króla Leara i króla Edypa, użyczyły mu tonów męzkich i gwałtownych.

To jedno; powtóre sam wybór tematu jest tak dalece znamiennym, że o nim na chwilę zapominać nie wolno. Toć to obraz okrucieństwa rodzicielskiego, na który bez oburzenia patrzyła głowa kościoła; społeczeństwo tolerowało potwora-ojca a tego rodzaju stosunek opinii do terroru domowego, do samowoli i despotyzmu w życiu prywatnem był właśnie jedną z najkrwawszych bolączek Shelleya. Kiedy sędzia grozi Beatryczy najwyszukańszemi torturami, jeśli sama nie przyzna się do zbrodni, ona urąga mu i z mąk szydzi, bo mówi:

Kiedy rozmyślam nad tem nędznem życiem,
Co się tak nędznie dla mnie teraz kończy,
Nad marnym sądem, który mi wymierza
Niebo i ziemia, i nad twem tyrańskwem,
Nad tem, że ci na niewolników zeszli;
Gdy myślę, co za świat tworzymy razem,

[1]) Istnieje w tym przedmiocie studyum porównawcze p. Ignacego Matuszewskiego w jednym z dodatków miesięcznych do *Przeglądu Tygodniowego*.

[2]) *To be nothing! or to be?* — woła Beatrycze w akcie IV, scenie 4, a Hamlet zapytuje: To be or not be? Różnica prawie żadna.

Gnębieni i ich gnębiciele — wtedy
Cierpię katuszę: ona zmusza mówić!

(Akt V, scena III).

Wreszcie — to wzgląd trzeci — posłuchajmy, co sądzi on sam o idei zemsty krwawej w ogóle, w tejże przedmowie do tragedyi: Właściwą odpowiedzią za największą bodaj krzywdę jest słodycz, łagodność i postanowienie stłumienia w krzywdzicielu nizkich jego żądz — drogą uczuć pojednawczych i miłości. Zemsta, odpłata, pokuta to zgubne błędy. Gdyby tak postąpiła Beatrycze, byłaby rozsądniejszą i lepszą.

No, tu już chyba mamy nanowo Shelleya-serafa!

III.

»Ten i ów mówił, żem maniaczka szalona i gotowa na wszystko; inni, że wstałam z mogiły, jako dziewica, poślubiona prorokowi, i widmo niebiańskie; inni, żem szatan, który wyszedł z zaczarowanej swej jaskini, przywłaszczył sobie postać ludzką i przebył odmęty morskie, lasy i góry; inni znów, żem dziecię Boga, zesłane dla wybawienia niewiast od kajdan i śmierci«.

Tak prawi o sobie, na dowód, iż Shelley był swego upojenia doktryną świadom, Cytna, bohaterka najdziwaczniejszego pod słońcem utworu, w którym poeta zgromadził i jednym tchem wypowiedział sto swoich mrzonek i tyleż naiwnych pomysłów reformy, słowem, całą swoją *idée fixe* (*Canto,* IX). Jest to coś więcej nad oskarżenie, bo jego konsekwencya naturalna a przytem zupełna: istna *Summa doctrinae.* I oto dlaczego słuszna mówić o tym płodzie lat majowych

po dojrzałych owocach jak *Oedyp*, który zawiera tylko moment pierwszy.

Rokosz Islamu, albo *Laon i Cytna*, poemat wielkich rozmiarów [1]), już zawiera zuchwałą, nieopatrzną wyprawę przeciw uciskowi i przesądom. Bohaterami jego są dwaj kochankowie, w pierwszej redakcyi związani nadto najbliższymi węzłami krwi *(Rossetti)*, ideologowie, do samego autora podobni, pełni mrzonek o przyszłej doskonałości rodu ludzkiego. Puszczają się oni na wędrówkę, lecz młodzian Laon wkrótce dostaje się do niewoli i bogdanka jego, Cytna, posłannictwo bierze na siebie. Atoli i ona wpada w ręce wroga — sułtana i przez rzezańców jego zostaje wtrąconą w tajemnicze więzienie podmorskie, dziwną, fantastyczną kryjówkę, której mieszkańcem jedynym był orzeł. Schła tam, więdła, zmysły nawet na pewien czas postradała. Cudowne trzęsienie ziemi wybawiło ją, rzucając na samotną wyspę, skąd zabrał ją lawirujący przypadkiem śród poblizkich raf okręt. Skoro uczuła się wolną, natychmiast, bo na samym pokładzie statku, zaczęła propagandę swobody, prawdy i miłości. Gdy płomienną wymową nawróciła całą załogę, reszta już poszła jak z płatka, bo oto zawichrzyła Islam, budzi ambicyę w kobietach tureckich i z ich pomocą wypowiada walkę istniejącym naWschodzie pojęciom i zwyczajom. Rozgrywa się krwawa wojna domowa, z początku szczęśliwa, w końcu fatalna, pod wodzą obojga, albowiem i Laon zdołał wydostać się z pęt, dzięki zagadkowemu starcowi, który szczytne jego knowania potężnem osłaniał ramieniem. Zdawało się, że era pokoju i szczęścia zawitała dla wszystkich, gdy nagle śród tryumfalnych uczt, złożony z tronu władca otrząsnął

[1]) *The revolt of Islam* liczy około 5000 wierszy.

się z pognębienia, zebrał garść wiernych i stoczywszy się jak lawina na rozradowane tłumy, skąpał je w morzu krwi i spiętrzył w góry trupów. Nie mógł jednak spokojnie napawać się dziełem rąk swoich i rąk sojuszników, którzy z różnych zakątków świata, z ziemi Franków, Idumejczyków, z lodów podbiegunowych, przyszli poprzeć go siłą swoich hufców. Głód i zaraza zapanowały nad nieprzejrzanem pobojowiskiem i już docierały do stóp tronu, gdy pewien kapłan obcych bogów, podszepnął wnukowi Mahometa, że trzeba przejednać bóstwo ofiarą z głowy Laona, a modły osiągną swój skutek. Nieprzeliczone armie urządziły tedy na niego obławę, lecz bezskutecznie, gdyż Laon leżał wówczas bezpieczny i rozkochany w objęciach czułej Cytny, w dalekiej, niedostępnej grocie. Wszakże — na widok rosnącej do bezmiaru niedoli ludzkiej, stawił się on dobrowolnie, niepoznany, przed srogim, dyszącym żądzą zemsty trybunałem. Potem, zaufawszy obietnicom łaski dla winowajcy, odsłania swoje incognito i ma znaleźć okrutną śmierć na stosie. W ostatecznej przecież chwili zjawia się Cytna, na pędzącym jak wicher bachmacie tatarskim, staje obok, śród ognistych języków, i dusze obojga, nieśmiertelne, w mistyczny sposób wstają z popiołów, ażeby w łodzi perłowej odpłynąć, wiedzione przez anielskie dziecię, serafa o srebrnych skrzydłach, wymarzonego ongi przez Cytnę, ku błogosławionej wyspie, kędy się wznosi wspaniała świątynia Rozumu.

Alegorya nazbyt wyraźna. Oznacza ona wyzwolenie kobiet, a przez nie i całego świata z ucisku i poddaństwa, i w tym to celu oczywiście wybrał poeta świat muzułmański, gdyż tam stosunek płci obojej i haremowe upokorzenie wydały mu się najlepszem uobrazowaniem złego.

Maryli Godwinównie przypisał Shelley to olbrzymie dzieło wraz z mnóstwem innych, i pewnie pod wpływem miłości dla niej, jako istoty niezwykle rozumnej i córki znakomitego ojca, tak niebywałą, bah, ryzykowną rolę powierzył kobiecie. Był wtedy jeszcze bardzo młodym, pełnym podnieconej, potoczystej, nie hamującej się werwy. W takim stanie umysłu, bodaj czy nie zgorączkowanym do reszty przez junacki zakład (z Keatsem), który nie dozwalał przekroczyć sześciomiesięcznej ciąży, nie dziw, że kompozycyę poplątał i nadmiernie rozciągnął, i uhaftował na prędce cudami z arabskich bajek, wprowadził apokaliptyczne rumaki, *miryady* (sic) wojowników, mistyczne poczęcia, podwodne ustronie, i już nie na żarty miryad dziwactw baśniowych.

Z tem wszystkiem stempel geniuszu widnieje na każdym kroku: w blasku języka, ogniu namiętności, krasie pejzażów, furyi bitew, tęczowej migotliwości opisów.

A teraz porachujmy projekta i utopie. Jest ich daleko więcej niż sądzi, wymieniając je w słowie wstępnem, autor. Na czele stoi, rozumie się, wymaganie, ażeby »poeta udzielał innym rozkoszy i zapału, jakie płyną z jego uczuć i promiennych obrazów«. Bo wierzy on niezachwianie, iż, »jeśli wzniosłe namiętności, które rozwinął w swoim poemacie, nie wzbudzą w czytelniku szlachetnego uczucia i gorącej żądzy doskonałości«, to wina spada jedynie na poetę, bo sympatyę ludzi dla spraw podniosłych wzniecić można«. Z taką cudotwórczą mocą słowa łatwo już Shelleyowi dokonać wielu innych nadzwyczajnych rzeczy, a jego Cytnie zrobić na poczekaniu z majtków — pionierów ideału wszechludzkiego, pilnie słuchających arcy-mądrego wykładu o Bogu, miłości, państwie i t. p.

(Canto VIII). Co więcej, sama przyroda go zrozumiała i odczuła i symfonią barw i wdzięków jęła wtórować. Ba, kiedy indziej znów dziewica ta chwyciła za serce nawet kata, który, zamiast spełnić na niej wyrok śmierci, rozpłakał się *(Canto* IV). I wszelkie wogóle zawady na drodze postępu usunąć się dadzą łatwo, zupełnie w duchu proroctwa królowej wieszczek, byleby tylko »swoboda i równość w stosunku mężczyzny do kobiety zapewniły spokój ogniska domowego« i znikły różne straszydła zabobonu. Kobieta spętana to zguba ziemi, kobieta wolna to jej zbawienie. Z »armią kobiet« zwłaszcza — zajść można daleko *(Canto* II), bo aż wypędzić »Strach wszechpotężny«, tego demona-bożyszcze, który ulotni się jak cień z tysiąca swoich bóżnic, a wtedy Prawda, królując pospołu z radością, dzierżyć będzie berło na gruzach jego panowania.

Wówczas też stanie się ciałem »najdawniejsza z rzeczy, boska Równość«, której mądrość i miłość są jeno służebnicami, aniołami jej potęgi. Ona to sprawiła w wymarzonym przez poetę, a wywalczonym przez Laona i Laonę państwie, że nikt w olbrzymim tłumie nie czuł głodu ani zostawał bezdomnym, i że »sto narodów zaprzysięgło sobie powszechne miłosierdzie, spokój i miłość«. I oto powstaje nowy katechizm: Tylko sprawiedliwość, prawda i rozkosz mogą nas wyprowadzić z niewoli i z podziemnych lochów przesądu, tak jak gwiazda świecąca wybawia marynarzy. Należy dać wszystkim jednakową cząstkę dobra, uznawać wszelkie sympatye i nie zrażać nikogo.

Ale jak sobie poradzić z sułtaństwem i satrapią? Znikną bez krwi rozlewu, a możnowładzcy i tyrani, opuszczeni i bezwładni, siedzieć będą w milczeniu na stopniach swoich złotych tronów *(Canto* IV), zasługując na współczucie, ale żadną miarą na wzgardę. Roz-

wiązane będzie tym sposobem zagadnienie kwadratury koła, a gdy ludzie tak będą żyć, że życie i miłość staną się jednoznacznikami, »nie potrzeba będzie ani wiary, ani prawa«. Słowem: nic — wedle Shelleya — nie staje na przeszkodzie zupełnemu niemal komunizmowi i bezwzględnej demokracyi. Dla »pałaców i więzień« wybije ostatnia godzina, człowiekiem rządzić będzie nieograniczenie własna jego wola *(Canto* VIII).

Oczywiście po tak bezprzewrotowem dokonaniu przewrotu, wypadnie zreformować wszelkie instytucye, działające na obywatela srogością. Przestępców prowadzić winna na drogę poprawy nie nienawiść, lecz litość; tolerancya powszechna weźmie się za ręce z najwyższą filantropią; szczery patryotyzm zastąpi zbrodnicze najmowanie żołdaków, zmuszanych po barbarzyńsku do zabijania bliźnich, którzy im nic złego nie zrobili, i nawet rodzice stracą władzę jarzmienia swych dzieci *(Rok. Isl. passim)*.

Do tych utopij Shelley wraca jeszcze później, w utworach dojrzalszych, nieskończoną ilość razy, ale się niemi bawi jak ładnem cackiem i pieści niemi swą wyobraźnię. Tutaj zaś daje im odpowiedzialną, umotywowaną formę doktryny »żąda wielkiej i radykalnej zmiany w urządzeniach socyalnych ludzkości... i święci miłość, dlatego, że ona jedynie rządzić powinna światem moralnym« *(Przedmowa)*. Pod jej osłoną i miłość erotyczna zyska tak wielką, niemal bezwarunkową swobodę, że kochankami będą mogli być nawet rodzeni brat i siostra, ot, wzorem Laona i Cytny, którzy w karesach swoich są niezmordowani i we wzajemnych uściskach zasypiają, a w chwilach pauzy, kiedy rozumują głośno lub czynią wyznania, dają poznać nie dwuznacznie, że wspólności krwi i podobieństwu usposobień mają do zawdzięczenia wzajemną wierność, siłę

i namiętność. Na żądanie wydawcy i z porady przyjaciół Shelley zerwał węzły krwi, łączące czułą parę, i zastąpił je wszędzie, gdzie tego zachodziła potrzeba, tradycyą zażyłej przyjaźni z czasów dzieciństwa, jako gruntem, na którym również pomyślnie wykwitnąć mogła miłość dwóch ciał i dwóch bratnich dusz. Ale to gwałtem prawie wymożone na nim ustępstwo nie zmienia oczywiście faktu, iż pragnął przewrócić świat »do góry nogami«, i uważał to za dzieło tak łatwe, że nawet nie trzeba dlań było Archimedesowego punktu oparcia. Samem tchnieniem czystej prawdy możnaby — wedle Shelleya — wymieść z powierzchni ziemi przesądy, kłamstwo i to wszystko, co przyzwyczailiśmy się uważać za *malum necessarium* budowy społecznej i rozbić na miazgę wszystkie »sofizmata«, którym do umysłów ludzkich łatwowierność utorowała drogę *(Canto,* VIII, 5—10).

Jednak nie mógł poeta być ślepym na to, że przed nim doktrynerów nie brakło i to niemniej zuchwałych i radykalnych, że więc prawdopodobnie w naturze człowieka szukać należy przyczyn i wyjaśnienia owych niepowodzeń. Temu nieuniknionemu wnioskowi trudno było wzbronić do siebie przystępu i oto w rzeczy samej Shelley nie tai przed sobą, »że namiętności złe i dzikie czyhają zawsze na to, ażeby do najbardziej dobroczynnych przekształceń domieszać swój brud«. Wypada więc dzieło reformy rozpocząć od przerobienia samej gleby, na której wzejść ma posiew nowej myśli. Ale i na to znajduje się sposób, może niełatwy lecz niezawodny. Shelley stale praktykował jarstwo — w mniemaniu własnem — dla zdrowia, w gruncie rzeczy jednak z pobudek szerokiej doktryny, w której urzeczywistnieniu widział szczęście całego rodu ludzkiego. W pokarmach mięsnych dopatrywał się źródła

wszystkich żądz, chciwości, gwałtu, tyranii, wojen, chorób i wczesnej śmierci i dzieli ze swą królewską feą pewność,

> Że, człek, co ongi, by widziadło senne,
> Króciutkie chwile żył na tym padole,
> Odtąd wieść żywot będzie nieśmiertelny,
> I pastwić się nie będzie nad jagnięciem,
> By jego mięsem głód swój zaspokoić.

Całą zaś teoryę swoją rozwija długo i szeroko w przypisku do tego wiersza, gdzie składa dowód, że poznał przedmiot gruntownie, zarówno historycznie jak i przyrodniczo. Twierdzi więc z głęboką wiarą, iż chorobom podlega tylko człowiek i te zwierzęta, jak świnia, krowa, pies i owca, które on swem towarzystwem albo żądzą władzy zaraził. Wszystkie bowiem inne, używające swobody i wolne od zetknięcia z ludźmi, jak muflon, bizun, dzik, wilk cieszą się niezachwianem zdrowiem a jeśli giną, to jedynie ze starości, bardzo później zwykle, albo z przyczyn całkiem zewnętrznych.

Dumny jest, że może znaleźć poplecznika w Newtonie i wyciąga z porównawczo-anatomicznych badań Cuviera naukę, iż wielkie podobieństwo człowieka do wyższych małp, jak orangutany, pod względem ogólnej budowy ciała, a zwłaszcza narządów spożywania i trawienia, wskazuje najwyraźniej, iż należy on z natury również do zwierząt roślinożernych. A skoro dzieje się inaczej, to dzieje się nadużycie i błąd, na karb których zwalić należy wszelkie klęski aż do chorób umysłowych. »Na wszystko więc, co jest świętem w naszych ideałach ogólnoludzkich, zaklina tych, co miłują szczęśliwość i prawdę, ażeby spróbowali poważnie ugruntować system jarstwa...« »Pożytek, płynący z tej reformy, jest — rozumie się — większy, niż korzyść z wszelkich innych reform, albowiem dotyka

samego korzenia zła«. Ciekawe to zresztą dla obfitości ciekawych spostrzeżeń studyum kończy się znamiennemi słowy: »Jak długo jeszcze człowiek będzie aliantem najbardziej podstępnego swego i nieprzejednanego wroga — śmierci?«

IV.

Apostolstwo.

Jeżeli poezya ma »przebijać skorupę zużytych prawd, od których zawisłe są istniejące urządzenia«, to musi ona szybować wysoko ponad ziemią i tchnąć również wysoką egzaltacyą. Więc też trzyma ją Shelley w nastroju rozmyślnie podnieconym i tak gorącym, że utwory prozą pisane, przedmowy i dopiski są co najmniej o kilkanaście stopni chłodniejsze. Z biegiem czasu jednak żywioł dydaktyki, którego się tak żarliwie wypierał, przestał być ubraną w wiersze doktryną, a stał się rozważną filozofią, która nie zasługuje bynajmniej na czyniony jej nieraz zarzut zupełnej niewiedzy o historycznej ciągłości stanów społecznych, chociaż nosi na sobie cechę wyjątkowego idealizmu. Pod wpływem tej zmiany nieprzytomne chwalby dla różnych krwawych w dziejach porachunków ustępują miejsca sądowi wprawdzie pobłażliwemu ale dojrzałemu. Rewolucya francuska zostaje odartą z uroku świętej wojny, albowiem za dużo nabroiła okrucieństwem swych demagogów. »Naród, który przez ciąg całych stuleci był igraszką i niewolnikiem, okazał się niezdolnym do rządzenia z roztropnością i spokojem ludzi wolnych«. Mimo to jednak poeta usprawiedliwia jego szał świeżą tradycyą jarzma, widzi największe zło w pesymizmie, który ogarnął ludzi na widok pohańbionych sztanda-

rów, w demoralizacyi przyjaciół dobra powszechnego i przeczuwa »zmianę na lepsze, aczkolwiek stopniową, powolną, milczącą«. Jednocześnie też dawniejsze hasła, gromkie a jednak puste dla swej abstrakcyjności, wypełniają się treścią wyraźną, nabierają rdzenia, którym są całkiem możliwe do osiągnięcia w dalekiej przyszłości cele.

I jakkolwiek w swej *Odzie do wolności*, zaczynającej się cytatą z Byrona, daje nam pyszny wzór uniesienia tak długiego i napiętego, że człowiek zwyczajny musiałby chyba po niem wpaść w również długie odrętwienie i wyczerpanie, to jednak chodzi tam nie o wolność samą w sobie, lecz o tę ukwieconą drogę, po której ludzkość dojść może do duchowej doskonałości. Ona to z chaosu, w którym zwierzęta i rośliny wzajem się pożerały a »serca ludzi były piekłem huraganów«, wyprowadziła boską Helladę, i jej sny nieśmiertelne wcieliła w marmury Parosu, ona dała wielkość wszystkim ludom wielkim i godną byłaby przelania łez i krwi mędrców, gdyby za tę cenę kupić ją było można. »Wolności! — mówi w *Masce anarchii* — ty nie jesteś, jak twierdzą kłamcy, cieniem, mającym lada chwilę zniknąć, nie jesteś przesądem, słowem: echem, wyszłem z jaskiń Rozgłosu, lecz jesteś chlebem dla robotnika, stołem, dobrze zaopatrzonym dla tego, co wraca z codziennej pracy pod strzechę domową, tyś odzieżą, ogniskiem i strawą dla podeptanych nogami tłumów. Dla bogacza jesteś wędzidłem, kiedy stopa jego staje na karku ofiary, ty, co go tak wstrzymujesz, jak gdyby miał nastąpić na żmiję. Tyś sprawiedliwością... Tyś rozumem, bo ludzie wolni nie uwierzą nigdy, ażeby Bóg miał potępić na zawsze tych, co nie wierzą szalbierstwu kapłanów. Tyś pokojem, bo przez ciebie nie giną skarby i krew, Tyś mi-

łością, albowiem możni ucałowali Twe nogi i — podobni tym, co szli za Chrystusem, oddają swe bogactwa ludziom wolnym albo zamieniają swe bogactwa na oręż, ażeby walczyć dla świętej sprawy a przeciw bogactwu, wojnie i mataczom... Wiedza, Poezya, Myśl są Twemi pochodniami... Tyś rozumem, cierpliwością, słodyczą, wszystkiem, co uzacnia i uszczęśliwia...«

Kiedy ogłoszono rząd konstytucyjny w Neapolu, Shelley jeszcze nie otrzeźwiony zupełnie — jak sam przyznaje — po urokach Pompei i Baii, napisał również natchnioną i ekstatyczną odę, w której spodziewa się po wolności i równości wszelkich błogosławieństw oświaty i dobrobytu i wierzy, że pod ich życzliwem tchnieniem chmury uciekać będą od słońca, antylopy od leopardów, gniewy i trwogi od Neapolu tak szybko, jak wilki celtyckie uciekają od pasterzów Auzonii i zapanują na jej niebie wzniosłe i opiekuńcze duchy Miłości, Piękna, Nadziei, Prawdy i Słuszności.

A zatem wichrzycielstwo poety wkrótce przestało być niebezpiecznem, bo i — właściwie mówiąc — bardzo krótko niem było. Szanował żywot robaczka, więc tem więcej szanować musiał byt człowieka i z arsenału bojowego wyrzucił miecz i ogień, ażeby nie posługiwać się nimi nawet w wojnie domowej. Jak Byron tęsknił za wojną, pozornie ją wyklinając, tak Shelley, naodwrót, opisywał ją nieraz, lecz się przed nią wzdrygał. Stał się z czasem do nienawiści niezdolnym i dla wszystkich winowajców miał jeno litość a w zanadrzu wyrok ułaskawienia. »Co, krew za krew! krzywda za krzywdę, o, nie czyńcie tego, gdy będziecie silni« — woła Nadzieja do głodnych nędzarzów w *Masce*. — Wszelka idea zemsty jest dlań wstrętną, a zwłaszcza w zwycięzcy, bo wtedy hańbi jego tryumf. Demon Milton'a jest według niego o tyle wyższym od swego

Jehowy, o ile człowiek, nieugięty w swym ślubie pozostania wzniosłym wbrew przeciwnościom i torturze, jest wyższym od tego, co w zimnej pysze niewątpliwej przewagi znęca się nad pokonanym, ażeby przywieść go do czynów rozpaczy, które mógłby ukarać nowemi okrucieństwami *(Obrona Poezyi)*. Zgodnie z tem, tylko przebaczenie dla Othmana, władcy Islamu, mają jego bohaterzy i pragną nawet osłodzić mu sieroctwo. Gotowi go zasłonić własną piersią przed wzburzonym po odzyskaniu wolności tłumem, spragnionym zaś krwi lub żądającym stawienia go przed sądem odpowiadają: Azaliż jest który z was bez winy, czy jest aby jeden, co w głębiach swego ducha nie pragnąłby kiedyś zła dla swego brata?

Brzmi to prawie jak werset z Pisma świętego, bo i cała udawana niechęć dla Chrystusa była w Shelleyu raczej goryczą dla jego niepowołanych rzeczników i ukrywała w sobie głęboką, choć bezwiedną cześć. Jakkolwiek tedy w mnóstwie utworów, a głównie we wszystkich nasyconych filozofią dziejów, wyraża się o Założycielu chrystyanizmu, jako o sprawcy nieobliczonych klęsk ludzkości, a raz nawet w dopiskach do *Hellady* stawia go na równi z Kainem — bibijnym, nie byronicznym, — to przecież daleko częściej rzuca kamień potępienia na fałszywych tłomaczów Ewangelii *(Przedmowa do Laona i Cytny)*. Najohydniejszym doradcą Othmana jest wprawdzie ksiądz, lecz za to w późniejszej epopei wschodu, *Helladzie*, wiarę Chrystusową otacza już aureola świętości, przynajmniej względnej. A jeszcze później, w *Obronie poezyi*, szeroko rozwodzi się nad znaczeniem wybawczem nowego Zakonu, bez którego po dojściu ewolucyi dawnych systemów pogańskich do kresu, ludzkość wpadłaby w ostatnią anarchię i ostateczną ciemnotę.

Co prawda, Shelley nigdy całkiem przejednać się nie dał, »klasyczna przeszłość była dlań zawsze natchnionym rapsodem i napełniała swą harmonią widownię nieskończonej liczby pokoleń«. Ale dla charakterystyki wystarcza i — sądzimy — pożytecznem jest zaznaczenie, jak głęboko w nim tkwiły porywy apostolskie i jak stanowczy prym trzymały nad warcholskimi.

Powinowactwo duchowe i w tym stopniu jedyne na całej niwie literatury świata — z typem pierwszych apostołów, widnieje i w niesłychanej sile przejęcia się misyą, w żarliwości, przypominającej upór męczeńskich pionierów wiary bezgranicznem niemal poświęceniem dla idei. Śmiałym krokiem przebywał dla niesienia pociechy owe wrota, za któremi żegnać trzeba wszelką nadzieję, jakby mu się zdawało, że sam za mało cierpi, że niema prawa do owej cząstki zadowolenia wobec ogromu ziemskiego piekła. Jest jeden utwór, w którym oglądamy go jako człowieka, bez odświętnej szaty pieśniarza, i tam jego potęga czucia wprawia nas jeszcze więcej w podziw. Mówimy o *Julianie i Maddalu*, żywem i niekunsztownem wspomnieniu o domu obłąkanych, który zwiedził razem z Byronem, gdy bawili ongi w Wenecyi. Był tam waryat, którego nieszczęśliwa miłość wyzuła z bytu zamożnego i światłego i strąciła w otchłań bezdennej melancholii; skargi jego, choć bezładne, były zrozumiałe i rozdzierające. To też i głęboki ból wyziera z opowieści Shelleya i każe nam uchylić czoła otwartość, z jaką przyznaje, że obadwaj na widok tej nędzy nie próbowali nawet tamować potoku swoich łez, a po wyjściu z zakładu stracili na długo sen i apetyt. Ale przedtem jeszcze wiedli z sobą rozmowę, w której, na tle rysów wspólnych, przeciwieństwo duchowe obu poetów dosadnie się maluje. Mad-

dalo-Byron, więcej trzeźwy i sceptyczny, boleje tylko nad faktem; Shelley chce głową przebić mur i leczyć chorych na umyśle litością i poświęceniem — i z tego powodu rozwija plany, wedle tamtego, o tyle egzaltowane, że mogą same przyprawić marzyciela o szaleństwo. Ta niewiara, zabarwiona pewną wyniosłością »bardziej doświadczonego«, podnieca tylko zapał Juliana, który twierdzi, że to nasza własna wola podtrzymuje zło, że wiele rzeczy możnaby zmienić a sobie zapewnić szczęście i wielkość, gdyby nie nasza słabość. »Posiadamy pewną nad sobą władzę czynienia lub znoszenia... ale czego? Nie wiemy, póki nie spróbujemy. Ale to pewna, że czegoś bardziej wzniosłego, niż życie i śmierć. Tak nauczali książęta starożytnej filozofii, którzy panowali, nim przesąd oślepił człowieka, a ci, co cierpią razem ze swymi cierpiącymi braćmi, czują, że ich wiara jest religią właściwą.

Gdyby mógł, z pewnością karmiłby i zbawiał ludzkość kęsami własnego ciała. Jego życie ofiar i utrapień pełne zbyt wymownie o tem świadczy, a jego dzieła tysiącem porywających i krwią serdeczną pisanych zwrotów dowodzą istnej żądzy zostania ukrzyżowanym. »Nieśmiertelny głos Prawdy zawisa pomiędzy ludźmi!... Gdyby na krzyk nie było żadnej odpowiedzi, gdyby nawet ludzie mieli powstać i z wściekłą furyą podeptać nogami samo imię tego, kto ich kocha, to i wtedy jeszcze świecilibyśmy w burzliwą noc świata, jak dwie ciche, promienne gwiazdy« — mówi poeta do Maryi Godwin w przypisaniu *Laona i Cytny*. Gdzieindziej »przyrządza on sobie karm dla chmary niezliczonej swych myśli z szyderstw ludzi osiwiałych w hańbie i wzgardzie, z jęków ludu mrącego głód, z łkań matki nad dzieckiem zbrukanem niewinną krwią, z czół stroskanych i bladych serdeczną trwogą (*Canto* II).

Przysięga, że niby siarczysty cypel góry, otrząśnięty ze śniegowej skorupy, wybuchnie i zapełni świat czyszczącym ogniem i śród przeraźliwych wstrząśnień stać będzie niewzruszony, jak wieża z marmuru urąga sprzymierzonym wichrom. »Z rozpaczy się śmieje i rozumie jedynie męstwo i waleczność na śmierć i życie. »O płyń z twą niepowstrzymaną wymową, krwi życiodajną, i niechaj serce moje wprzód wyschnie doszczętnie, nim upadnie sprawa, której byłaś godną«. W ten mniej więcej sposób wykrzykuje raz po raz, jakgdyby przebierał w palcach nieskończony różaniec religii odkupienia. Często zaś zdobywa się w tych litaniach na prostotę i szczerość, niemal wzruszające do łez i cudownie piękne. Taką modlitwą jest właśnie *Oda do wiatru zachodniego*, którą czyta się z bolesnym prawie dreszczem. Jest to nadludzki patos sonat Beethovena, niekiedy misternie rzeźbiony jak Chopinowskie koncerta; poeta roztapia się w przestrzeń, wyziewa całą istność, jak pragnąłby rozwiać się udręczony pokusami święty Antoni w arcydziele Flauberta. Jeno nie rozprasza się w materyę, lecz w samego ducha, który na skrzydłach wiatru kołacze się po świecie i łaknie być listkiem, obłokiem: O Duchu wzniosły, duchu mój własny! Bądź mną, istności rozwichrzona! Rozsiej martwe me myśli po świecie, niby zwiędłe liście, ażeby przyspieszyły nowe narodziny, i zaklęciem tych wierszy rozmieć słowa moje śród ludzkości, niby popioły i iskry niegasnącego ogniska. Przez usta moje bądź surmą proroctwa dla omdlałej ziemi!

Takiej więc destylacyi uległ ferment przewrotowy i taki z niego wydzielił się kryształ. A dokonała oczyszczenia własna natura poety, wroga wszelkiemu złu i cierpieniu sama przez się, a nadto wyszlachetniona w obcowaniu z takimi mocarzami ducha, jak

twórcy wielkich religijno-moralnych systemów i wielcy poeci-prorocy. Dojrzewając, cofał się jednocześnie myślą w przeszłość i miejsce jaskrawych lecz krótkotrwałych meteorów zeszłego wieku zajęły w jego sercu tak niespożyte światła, jak Mojżesz, Jeremiasz, Jezajasz, Hiob, Dante i Milton. Trzeba to mieć na uwadze, jeśli chcemy ogarnąć Shelleya w całej należytej pełni; a w tym względzie może i powinna nam służyć za przewodnika *Obrona poezyi*, która — jak słusznie zauważył francuz Rabbe — starczy za wszelkie komentarze do dzieł poety i rozjaśnia w sposób nieoczekiwany i nieoceniony wpływy, pod którymi się urobił. Widzimy go w niej tak, mimo młodzieńczość swą, obytym z filozofią i literaturą, jakgdyby co najmniej przyszedł był już na świat z darem pisma, polotu i rozumowania. Wskazuje trafnie miejsca, jakie zajmują wielcy myśliciele i wieszczowie, i doskonale określa rolę każdego w dziejach ducha ludzkiego, lecz wyróżnia z upodobaniem wyjątkowem poezyę proroków hebrajskich, w której widzi matkę piękna chrześciańskiego, — a najwięcej korzy się przed twórcami *Boskiej komedyi* i *Raju utraconego*. Są to dlań budowniczowie całego gmachu nowych wierzeń i pragnień. Zwłaszcza po purytańsku surowy szatan Miltona wywiera nań trwały, magnetyczny urok i — naszem zdaniem — jest nie tyle ojcem, ile może przyrodnim bratem *Prometeusza rozkutego*, któremu użyczył swej stoickiej wytrwałości. Zresztą i *Kain* Byrona jest niewątpliwie potomkiem tego samego rodu, ale nie tak blizkim. Imię wielkiego ślepca, który najwszechstronniej wyobrażał religijne i moralne zalety anglików i może całego protestantyzmu, spotykamy u Shelleya kilkadziesiąt razy, zawsze opromienione blaskiem chwały. A niekiedy podkłada pod nie własną swą istotę, przez której pryzmat

skłonnym był patrzyć na wszystkie typy pokrewne. »Śniłem — opowiada w urywku z r. 1820, — że duch Miltona wstał, zdjął z zielonego drzewa życia swą lutnię Uranijską. I oto pod jego dotknięciem łagodny grom się potoczył i wstrząsnął wszystkiemi rzeczami ludzkiemi, które człowiek ma w pogardzie, i zatrzęsły się krwawe trony, bezbożne ołtarze, więzienia i turmy«. To przecie marzenie samego Shelleya — królować dobrem natchnieniem, opiekuńczym geniuszem, nad całym światem, ogarnąć cały w przestrzeni i czasie, ale bez przemocy a tylko czarem lutni, zdjętej z zielonego drzewa życia.

Teraz już cała powszechność i ogólno-ludzka skala jego uczuć stają się widocznemi. Krocie węzłów łączą go zarówno z odległymi wiekami jak i starożytną Jerozolimą i Atenami. Uczuciem zwraca się do czasów, które dopiero nadejdą, bo je miłuje i chce błogością obdarzyć, rozumem zaś i popędami naukowymi oraz artystycznymi do Grecyi. Jest niby olbrzymim drogoskazem o dwóch w jednej linii leżących ramionach, z których jedno wskazuje na dzieje przyszłe, drugie na świat klasyczny z jego odrodzeniem, i zachwyca się mostem, który rzucił — według niego — Dante między czasy dawne a dzisiejsze. Stąd się bierze ów hellenizm, który na formie jego dzieł tak głęboką zostawił pieczęć, i dlatego to pragnął być uważanym za greka i dla tego tak się karmił duchem Hellady. Mało kto tyle nocy prześlęczał nad wielkimi jej bardami i tyle im wykradł tajemnic sztuki poetyckiej. Niczyje serce tak często i z takiem utęsknieniem nie zwracało się ku tej krainie wielkich bogów i wielkich ludzi. Prawda, że kochał się w niej Byron, który najpiękniejsze perły swej liryki wydobył z morza Egejskiego i sam potem padł na polu walki o jej swo-

bodę. Ale Byron, pół-bóg, wszystkiemi ludzkiemi obdarzony cechami, kochał piękne niebo, męstwo Temistoklesów, tragedye cudów waleczności, chwałę czynów wielkich i wolność, a mniej chwałę umysłową. Sam stworzony na Alcybiadesa, nie rozpływał się w poezyi i filozofii, lecz omdlewał z żądzy walki. Jest on cały w strofach owego greka-poety na uczcie Haidy i Don Juana:

Płakać-że tylko czasów szczęśliwych?
Smucić się?... Nasi przodkowie marli!
Ziemio! oddaj nam z siebie nieżywych!
Z trzechset, co miliony odparli,
Niech się trzech tylko wydrze mogile,
A powtórzymy ci Termopile!

albo w elegijnych nad Grecyą westchnieniach, któremi przeplata swego *Giaura*. Shelley ubóstwiał ją bardziej wielostronnie, nie tylko polityczną ale i duchową widząc w niej mistrzynię cywilizacyi nowej. A były to czasy, kiedy dola Grecyi zaprzątała wszystkich. Ważyły się losy kraju, który był ongi piastunem muz, nauk filozofii i cnoty obywatelskiej, a teraz jęczał w jarzmie tureckiem. Bohaterowie wojen perskich z za grobu wzywali do buntu i żądali spłaty długu, jaki u nich zaciągnął świat cały.

Shelley nie potrafiłby stanąć w szeregach powstańców, bo nie był o tyle dzielnym fizycznie, ale za to stworzył górnolotny, pełen szczytnego zapału dramat *Hellas*, który poświęcił głównemu bojownikowi sprawy, księciu Maurocordato, osobistemu przyjacielowi i stałemu partnerowi w szachach. W przedmowie mówi poeta między innemi, że »gdyby nie Grecya — Rzym, mistrz, zdobywca, czy też metropolia naszych przodków, nie byłby orężem swoim rozkrzewił oświaty i dotąd bylibyśmy barbarzyńcami i poganami, a co gor-

sza, doszlibyśmy do tego zastoju i nędzy, jakie cechują ustrój społeczny Chin i Japonii«. *Hellas* jest i w tym sensie spłatą hołdu duchowi greckiemu, że ma swój wzór w *Persach* Eschylosa.

W samym utworze niewiele znajdujemy akcyi. Opiewa on jedynie ustami gońców z pola bitwy, bajeczne męstwo greków i cuda nadziemskie, które im sprzyjały; opiewa wściekłość sułtana Mahmeda, gdy ten, bezsilny w swej potędze, patrzyć musi na bunt, szerzący się wśród wasali trzech części świata i wielkim pożarem wolności ogarnia spętane dotąd ludy. Widzimy tam, niby na kartach wieszczej historyi, cały bieg wojny i zachowanie się wobec niej państw oświeconych. Znamię krzyża jaśnieje coraz świetniej nad zdeptanym półksiężycem a przerażony władca dowiaduje się od widma Mahometa II, które z państwa cieniów wywołał żyd Ahaswer, że »Islam paść musi i biada, biada wyczerpanemu ludowi, co się wije w kurczach ostatniej agonii!« Słowom zaś ducha wtórują z po za pałacu okrzyki: »Zwycięstwo, zwycięstwo!« i hasła zażartej, bezlitosnej zemsty wyzwolonych. A pierwszy półchór niewolników greckich śpiewa przy końcu: »Przez mury naszego więzienia wdziera się niby dzień po nocy, niby niebo po śmierci. A Grecya, co niegdyś skonała, powstaje na nowo!« [1]).

Homer, Hezyod, Eschylos, Sofokles, którego *Antygonę* miał za najlepszy wyraz moralnej podniosło-

[1]) Przypomina to całkiem słynny wiersz Byrona, napisany w ostatnim roku życia:

O Grecyo! Rozkuta twoja dłoń,
Sztandar i miecz twój wolne są nie mniej
Od Spartyaty, gdy martwą kładł skroń
Na tarczy swej.

ści, Eurypides, którego *Cyklopów* tłómaczył nawet, i filozoficzna synteza wszystkich odgłosów greckich, Platon ze swym idealizmem, byli prawdziwymi Shelleya patronami. *Biesiadę (Sympozyon)* tłómaczył i patrzył na jej twórcę nie przez szkła średniowiecznej scholastyki, która go zagarnęła dla celów wielce podejrzanych, lecz widział w nim wielkiego »odkrywcę« równości, swobody i braterstwa (w *Republice),* oraz *idej,* pomysłu najbardziej niespożytego i najrdzenniej greckiego. Bo prawzory bytów realnych, ich macierze, jak je nazywa Goethe, są w języku Platona mimo całą swą nadzmysłowość i bezosobowość »bogami« i doskonale dają się wcielić do galeryi pięknych postaci, które wypełniają panteon grecki. To też żadna inna wiara nie była tak owocną dla sztuki i poezyi, choć i tak szkodliwą zarazem przez swoją niechęć do wiernego kopiowania natury. To pewna, że każdy nowożytny pogrobowiec kultury greckiej, bywa jednocześnie idealistą w poglądzie na świat i alegorystą w poezyi.

Shelleya poezya to w rzeczy samej prawdziwy Olimp i Ereb a w *Prometeuszu* trudno się nam przez jego wyolbrzymiałą i rozrosłą mitologię przecisnąć. W nim też wyrzekł on, że poeta tworzy »formy najczystsze, te córy nieśmiertelności, nad rzeczywisty świat rzeczywistsze« (Akt I, Czwarty geniusz). Mają one jednak u Shelleya namacalność i plastykę form (immanentnych) Arystotelesa i wyłaniają się z mózgu tak żywe, jak gdyby płynęły z silnej wielo-bożej wiary. Jest to, jak słusznie zauważył Bleibtreu, mityczno-mistyczna poezya natury w duchu indyjskich Vedów i starogreckich pieśni, a zarazem rzeźba Pygmaliona, pod którego dłutem posągi nabierają prawdziwego życia.

Wszelkie oderwania stały się u niego raz na

zawsze żywemi osobami. Cnoty i występki, prawdy i kłamstwa, pojęcia i żądze chodzą tedy zawsze niby odziane w greckie wieńce, chitony i tiuniki, i ta maniera nigdy go nie opuszczała. Często, jak w swej antologii, umie nawet i treść dostroić do stylu klasycznego, co uderza w *Śpiewie Prozerpiny, Arethusie, Odzie do Neapolu,* które tchną rzetelnym Pindarem, i mnóstwie innych. Mitów na własną rękę płodzi bezdeń, albowiem bez alegoryj ogólnoludzkich i wiekuistych nie mógłby sobie dać rady ze swym wzrokiem, który umiał oglądać przedmioty jedynie *sub specie aeternitatis.*

V.

Prometeizm.

Tak trawiony tęsknotą za ideałem harmonii, Shelley próbował naszkicować ją po kilkakroć w poemacie, któryby mógł służyć za księgę przymierza dla wszystkich ludzi, czasów, narodów. Utwory większe aż do roku 1820 tą myślą i chęcią są przeniknione, ale snadź autora nie zadawalniały, — bo i trudno było, co prawda, mieć jakiekolwiek co do nich złudzenia — skoro wedle dawnego swego planu i gwoli dawnym, stale nurtującym go dążeniom, napisał *Prometeusza rozkutego.* Boć pod względem treści *Queen Mab* różni się od niego jeno usposobieniem junackiem i dziecięcą pewnością siebie; główna zaś różnica, której ogrom nie da się obliczyć, przypada na stronę artystyczną. Tam były pierwociny talentu, jednostajna, nużąca liryka, obrazy niedoli i obrazy lepszego jutra, wprawdzie miejscami polotne, silne, bogate w koloryt i śmiałe, ale jaskrawe jak malowanki ludowe. To napół prozaiczny,

ale wciśnięty gwałtem w rymy zarys dzieła, które będzie wykonane na szeroką skalę później, gdy w umyśle zapanuje równowaga, zdolność dojrzałego namysłu i bardziej bezinteresowna miłość dla sztuki. Warunki te stanęły — widać — do apelu w kilkanaście lat później i im to zawdzięcza swój byt *Prometeusz,* arcydzieło w każdym wyrazie i w całości, choć z osnową tyle razy już przez poetę użytą i nadużytą.

Nie przesadzajmy jednak miary podobieństwa między płodem dojrzałego geniuszu a gorączkowem zaciskaniem pięści w okresie przejścia. Samo zaciągnięcie pożyczki u Eschylosa świadczy o nawiązaniu nici w historyą, z którą tak mało rachował się Shelley dotąd, i stanowi wynik niezawodnej, wiecznie zbawiennej szkoły hellenizmu. Bunty zamieniły się w marzenia poety-filozofa, których nie można zachwiać skalą prawdziwości i chłodnego rozsądku, bo mają kształt przedmiotowy, epiczny. Fryz Partenonu może przedstawia Palladę piękniejszą od najcudniejszych kobiet, archontów wspanialszych od wszelkich na świecie dostojników i konie dzielniejsze od samego platońskiego wzoru rumaków, ale skoro stały się ciałem, są nieśmiertelne. Więc gdy retoryka podmiotowa młodziutkiego autora *Rokoszu* zostanie zapomnianą, — *Prometeusz* i jego otoczenie żywe i martwe przejdą jako fakt do świątnicy potomnych. Jest to wypukłe, całokształtne, pełne odbicie pełnego ducha i w niem widzimy całą, pulsującą, okrągłą syntezę doskonalszych żywiołów epoki. Własne słowa Shelleya, wyrzeczone o Miltonie, możemy do tego dzieła zastosować: »Pomieszał on pierwiastki natury ludzkiej, niby farby na palecie i rozłożył je w swem wielkiem malowidle wedle praw prawdy epicznej, to znaczy, według praw zasady, mocą której pewien szereg wydarzeń świata zewnętrznego oraz istot inteli-

gentnych i moralnych obliczonym jest na to, ażeby wzbudzić sympatyę przyszłych pokoleń rodu ludzkiego« *(Obrona poezyi)*.

Oczywiście Prometeusz Shelleya przewyższa greckiego nietylko o różnicę między morałem spółczesnym a pogańskim, lecz nawet o różnicę między chrystyanizmem naszych dni a pierwotnym, nieskażonym, wzniosłym. Przerasta on nawet Milton'owskiego Szatana, którego stanowi wydanie poprawne, w pierwszym bowiem poeta widzi jeszcze za dużo ambicyi, zazdrości, pragnienia zemsty *(Przedmowa)*.

Umysł filozoficzny nie może jednak ubierać rzeczywistości w kolory tęczy, nie byłby przecież wyklętym. Gdyby wszystko chwalił i wielbił, nie byłby dzieckiem rozbudzonej przez rewolucyę analizy. Nadzieje jego dotyczą odległego jutra — podczas gdy wczoraj i dziś są padołami płaczu.

Prometeusz zostanie kiedyś rozkuty, ale dziś jeszcze jęczy przykuty żelazami do skały Kaukazu. »Lodowce bodą go grotem kryształów, marznących nocą; łyskliwe kajdany piekącym chłodem wyżerają mu kości, a pies skrzydlaty, plugawiąc dziób jadem, szarpie mu serce: »Bezkształtne widma koło mnie koczują — woła Tytan. — Straszydeł roje z królestwa senności szydząc, przechodzą nade mną; Demonom trzęsienia ziemi kazano, by nity drgających ran mych zdzierały o skałę, co się rozwiera i zwiera pode mną. A z tej otchłani tłoczą się i wiją geniusze burzy, podniecając wściekłość orkanów, aby chłostały mię gradem«.

Czy ma jednak prawo tak pastwić się nad Prometeuszem wielki inkwizytor nieba? Toć Prometusz, a nie kto inny, dał Zeusowi jego potęgę: mądrość. Skąd ta czarna niewdzięczność? Oto, widząc jak Zeus

używa steru świata, powierzonego sobie, z warunkiem, ażeby ludzie byli swobodni, — za narzędzie okrucieństwa, tytan zesłał ludzkości pociechę, ujarzmił ogień, zdobył żelazo i złoto i wszelkie pożyteczne kruszce dał jej mowę i natchnął wiedzą, wyzwolił myśl z więzów troski codziennej, pozwolił w sferze sztuki i poezyi szukać osłody i zapomnienia, poczynił mnogie odkrycia, objawił skrytą moc ziół i zdrojowisk, uczynił lżejszymi cierpienia i samą śmierć — połączył szlakami wodnymi rozdzielone plemiona i odległe ziemie.

Inde irae i dlatego też ohydnie wygląda oblicze Jowisza, któremu owe dobrodziejstwa są nienawistne. Chwali się on, siedząc na dumnym tronie, że jego klątwy wciąż płatami po płatach lecą z Olimpu, jak śnieg na beztrawne wierzchołki skał, na butną, nieposkromioną duszę człowieka, która gorzkim wyrzutem, zwątpieniem, skargami i groźbą rokoszu może podkopać olimpijską potęgę.

Widzimy więc przed sobą dwa piekła: w jednem wije się ludzkość cała, a drugie, równie pełne niewysłowionych tortur, wre w duszy wybawcy. W gruncie rzeczy oba odzwierciedlają nieszczęście całego naszego rodzaju, jeno że pierwsze postaciuje zło powszednie, będące udziałem wszystkich: ból fizyczny i zwykłe niedole moralne, gdy znów drugie wyraża ów szczytny wykwit ducha zbiorowego, ową ustawiczną pogoń za ideałem, łaknienie doskonałości, ową truciznę wiedzy i filozofii, co trawi człowieka świadomego siebie, wobec zagadek bytu i przyszłości spać mu nie daje, zaludnia umysł tysiącem wygórowanych lub mglistych pragnień. To jest owa iskra Prometeja, którą Jowisz obiecuje zdeptać, ale która tli się bez przerwy i raz wraz płomieniem bucha.

Ten dwuświat męczarni różni się jednak zasadni-

czo od obrazów nędzy, wyszłych z pod pióra innych prometeistów. A to dlatego, że Shelley biada nad czem innem i czego innego też pragnie. Jego poemat liryczny uzmysławia jego ideę szczęśliwości, w której odgłosy humanizmu greków, ich równowagi moralnej, rozbrzmiewają obok ech angielskiego eudemonizmu Hobbesa, Benthama i Milla. Jeżeli w *Królowej wieszczek* zżymał się na powagi państwa i kościoła, na grzechy i krzywdy społeczne, na kłamstwo, podstęp, samolubstwo, służalczość, jako chwasty niedotrzebione przez rewolucyę, tedy tutaj ma on serce czułe dla cierpienia w najszerszem i zarazem najpierwotniejszem znaczeniu wyrazu i w pierwszej linii neguje to zło, jakie na nas i — jak przypuszcza — na cały wszechświat sypie hojną dłonią natura. Ogarnia on tu wszystkie postacie bólu, niezależnie od rodzaju istoty, która cierpi, i od przyczyn, które go wywołały. Albowiem jednem powszechnem źródłem złego jest mściwy i zawistny Jowisz.

Jak najmniej więc chodzi Prometeuszowi o zdobycie klucza do tajemnic bytu i piękna, o zrozumienie spraw zmysłom naszym niedostępnych, wzorem Fausta. Nie dba też o rangę w państwie duchów i bogów, na podobieństwo Manfreda. Nie goni za nadludzką i nadprzyrodzoną mądrością, ani też za nadziemską potęgą woli, owszem, śród jego zgryzot jedno z miejsc naczelnych zajmuje skarga, iż władca świata zesłał na człowieka

dzikie niepokoje,
Czcze cienie szczęścia niedoścignionego,
Które wzajemny toczą bój i burzą
Mu legowisko, na którem szalały.

Jest to klęska nie mniejsza wcale od tych, które wylicza oblubienica tytana, Arya, od »głodu, mozołu i nędzy, walk, ran, czarnej zarazy i najczarniejszej, przed-

tem niewidzianej śmierci, od powikłanych pór roku, które samowolną koleją, mrozu i ognia strzałami, bezbronne blade człowieka pokolenie wparły do górskich jam«. Dość zresztą popatrzyć na owe pełne zgrozy widma przyszłości, któremi psy piekła, furye ze stalowemi skrzydły, pod wodzą Hermesa i na rozkaz Zeusa dręczą duchowy wzrok jeńca. Przybywają one od miast przestronych, głodną śmiercią spustoszonych, od niedosłuchanych jęków, od trzew z krwią niëliźniętą«. One kuszą młodzieńców, uwikłanych w przędzę chuci, zmysłem samowzgardy i przyszłej niedoli, one przerażają sny marzyciela niewyjawioną tajemnicą piekła i pysznią się:

Pędzim, jak wyziew od piekielnej bramy,
Ciążę pomoru w powietrzu wdychamy.

I dopiero, gdy wyczerpały cały arsenał gróźb i postrachów, nie zdoławszy Prometeusza zgnębić, jęły nękać go widziadłami okropnych zbrodni społecznych, popełnianych w imię różnych świętości i gwałtem zagarniętych przywilejów.

Nie dziw przeto, że Shelley nie widzi zgoła rajskich rozkoszy i tytułu do samochwalby w iskrze Prometeusza, która pali łono. Z chwilą, gdy analiza wybiega zbyt daleko a burza wewnętrzna szaleje zbyt gwałtownie, ma ją również za dar przeklęty. Czuje on aż nadto głęboko, że ci, »co cierpią za człowieka krzywdy, szyderstwo i pęta, skupiają tysiąckroć męki na niego i siebie«, że wybraniec nieszczęścia, odkupiciel, pokutnik w imię ludzkości, jest właściwie samą tą ludzkością, jeno wyosobnioną w jednostkę, albo wyobrażoną w tejże, że zatem kto pragnie zbawienia dla całego rodzaju, tem samem musi pragnąć go i dla zakładnika w walce ze złem.

Nie tak rozumują inni poeci tego kierunku, dajmy na to, Byron i Ludwika Ackermanowa. Choć bowiem współczują Prometeuszowi, radzi są, gdy mogą na wzór jego pokazać światu rozszarpane wnętrzności i kajdany, i w jego sile, męstwie, odwadze, wytrwałości i dumie widzą bądź jabądź chlubę, której wyznaczają w tematach swych miejsce poczesne. W swoim »Prometeuszu« Byron nazywa tytana wprost symbolem ludzkiej doli, godłem półboskiej natury człowieka i tej potęgi wewnętrznej, tej jaźni, która potrafi nawet ból zagłuszyć. Takie wyzyskiwanie nieśmiertelnego mitu zawiera w sobie jawną sprzeczność, bo ono lamentuje nad męczarnią, którą dla dobra poezyi pragnęłoby jednak zakonserwować jak najdłużej.

Shelley zaś poruszył ową ofiarę z miejsca. Snadź ma dlań ona coś również niepokojącego, jak n. p. wiecznie wzniesiona w kamiennym posągu noga, którą chciałoby się przywieść do położenia bardziej naturalnego. Zrozumiał on, że utrwalać tragiczny los Prometeusza na wieczne czasy, jest to utrwalać w naszej wyobraźni na zawsze i niedolę ludzką. Stąd jego poemat tchnie świeżością i powabem nowego, nieogranego, czarownego jak wiosna tematu, a zarazem mimo cały swój idealizm trzeźwą, bo przecie logiczną filozofią. Roi on przyszłość, w której Prometeusza, jako więźnia i delinkwenta, już nie będzie, lecz zostanie tylko błogosławione imię, które ozdobi głowę szczęśliwca, sławnego zwycięstwem bohatera i wybawcę uciśnionych. Poświęcił się on, ale nie dla idei królestwa niebieskiego, lecz dla prawdziwej, ziemskiej Arkadyi. Jego królestwo jest zupełnie z tego świata.

Tym sposobem w zupełnej zgodzie z podanymi już formami cierpienia zostają i Shelleyowskie miraże szczęścia, ukazały się bowiem na tym samym widno-

kręgu myślowym, nawskróś hedonistycznym, który zrzeka się wszelkich poetycznych buntów i protestów, byleby to, co żyje, zakosztować mogło lepszych dni. Wydarte szponom Zeusa jestestwa ślubują sobie nazwać błogą epokę »światem Prometeusza«, ale w niej z prometeizmu właściwego poeta kwituje. Podówczas zjawia się nowy raj na ziemi, rozkoszna sielanka, jak na Zeusowego pogromcę może nazbyt miękka i czułostkowa. Ma on zamieszkać cudowną grotę, obrosłą powojem i pachnącemi ziołami, pełną czarów i niespodzianek, tęczowych stalaktytów, strumieni, brzęku pszczół i świegotu ptasząt. Tam pospołu z Aryą będą śpiewać pieśni, gwarzyć o świecie, napawać się miłością, darzyć innych miłosierdziem, chłonąć piękno tworów pędzla i dłuta.

Trudno przypuścić, ażeby obraz takiego przytulnego zacisza, tchącego niemal mieszczańskiem ciepłem domowego ogniska, mógł przypaść do smaku poecie z pnia Byronowskiego. Leopardi niechybnieby się nim zanudził na śmierć, a frasobliwa pani Ackerman widziałaby w nim lenistwo i gnuśność. I kto wie, czy gdyby legenda była prawdą, a widzenie Shelleya miało się ziścić, całe państwo poezyi nie roniłoby łez, że nie stało Prometeusza, bo oto żelazną koronę z narzędzi jego tortury dźwiga na swej głowie spokojny, sharmonizowany duchem... patryarcha, jakiś *bonus pater familias*.

Niech wszakże nie sądzi nikt, ażeby Shelley pozwalał bohaterowi z krzywdą dla jego godności zawierać jakikolwiek sojusz z Zeusem. Tak uczynił pono Eschylos, w którego zaginionym dramacie Prometeusz miał być rozkutym w nagrodę za to, że ostrzegł Zeusa przed małżeństwem z Tetydą. Ale Shelleyowi myśl o przymierzu bojownika ludzkości z Bogiem była

jak sam przyznaje, nienawistną. Równałaby się ona cofnięciu protestu i pokornej prośbie o łaskę. Było to logiczne dla wyobraźni greków, która w Zeusie widziała tylko wszechwładcę bogów, demonów i duchów, ale niedorzeczne i niemoralne dla poety naszych czasów, chcącego uosobić w Zeusie wszystko złe i okrutne. Pojednanie Prometeusza z bogiem złego byłoby więc zwycięstwem złego, upodleniem człowieka. Choć więc Hermes zaklina, by się ukorzył — Prometeusz odpowiada: »Niech inni kadzą zbrodni, co zasiadła na krótką wszechmoc... ja na korność ważyć się nie mogę.

Co prawda, buńczuczność jego jest minimalną, taką tylko, jakiej potrzebuje dla ocalenia honoru, a i w tym nawet stopniu bywa tylko do czasu. Najsilniejszą sprężyną jego natury staje się miłość; pragnąłby cały świat przytulić do łona i ogrzać własną piersią. Ma więc gorycz dla Zeusa, ale nie nienawiść. Miłość własna taje niemal doszczętnie w gorącej miłości bliźniego. Niegdyś przeklął swego ciemiężcę słowy potężnymi i pełnymi proroczej, piorunującej grozy, które — nawiasem mówiąc — stanowią jedno z najsilniejszych miejsc w poemacie (Widmo Zeusa — akt I). Tam wyzywa go jeszcze czupurnie, jak Prometeusz Ackermanowej lub Lucyfer Byrona i pozwala mu, nieulękniony, mścić się do woli, »wybuchnąć wszech plag deszczem, zgadzą się, by mróz i ogień wgryzały się w jego skołatane ciało, by legiony krwawiących furyj wpędziły nań spuszczony z wędzideł orkan«, — a Zeusowi życzy, by »jęk męczennika wyrzutów jadem w krew jego przenikał«. »Wieczność twa — wołał — niech będzie cała szatą jadem napuszczoną. A wszechmoc twoja męczeńską koroną, aby, jak złoto w ogniu, wraz z mózgiem stopniała«.

Tak niegdyś przemawiał. Dziś żałuje już swych

słów i czynu. Serce jego wezbrało takiem bezmiernem pragnieniem szczęścia powszechnego, że obiecuje, iż nigdy to, co złem grozi, nie przejdzie drugi raz przez jego usta; wstydzi się własnego gniewu, nazywa go zaślepieniem. Oto zwięzła jego etyka: »Bodaj nie znała cierpień żadna istność żywa!« albo:

»Z boleści mówię, nie z naigrawania,
Bo nienawiści już nie mam...«

Miłość tedy Shelleya przebyła trzy szczeble. Unicestwiła zło, płynące z naszego ustroju fizycznego i moralnego — dalej prometeizm właściwy, wreszcie nawet cierpienie samego kata Jowisza, co jest zupełną w poezyi nowością. O dwa więc wysokie stopnie wzniósł się poeta nad najszerszy, jaki znamy, humanizm. I oto dobroczyńca pogański zamienia się mocą psychologicznej w autorze konieczności, w znanego nam już skądinąd ultrachrześcijańskiego apostoła, męczennika, ze wszystkiemi jego cechami.

Mimo wyrywające się chwilami skargi, Prometeusz mężnie i wytrwale znosi swój los. Kto tak ukochał ideał swój, jak on — dla tego bólem najsroższym jest ból cudzy. Nad sobą królewską ma władzę — mówi, — bo wirom walk i boleściom ducha rozkazuje. Ugina się pod jednym tylko ciosem, gdy furye roztaczają przed nim przyszłe widnokręgi, purpurowe od pożogi krwi, płynącej strumieniami w imię nauki Chrystusa. Wtedy prawie upada pod brzemieniem i dwa jego anioły-stróże, dwie Oceanidy, Jona i Pantea, nie śmią nań spojrzeć i truchleją z bezsilnej zgrozy. Aż ziemia odczuwa jego katusze i wzywa chór geniuszów, uosabiających dobre popędy człowieka, ażeby rozweseliły tytana obrazami lepszego jutra. Bah, nawet Eumenidy, których miliony zaciemniają powietrze, mają dlań

mimowolny podziw i cześć. Jedna, najbardziej zjadliwa, widząc jak lituje się nawet nad nią i jej siostrzycami i nad tym, kto w swym mózgu wylągł »tak bezecne ćmy i potworne widziadła«, traci moc pastwienia się i znika. Hermes, poseł Zeusa, z niechęcią i wstrętem spełnia rozkazy swego władcy; Herakles wielbi jego mądrość, miłość i męstwo i radośnie siłę swą mu poświęca. Słowem, wszyscy dzielą jego udręczenia, tak samo jak on dzieli udręczenia wszystkich, i nazywają go dobrym Tytanem, świętym, przenajświętszym...

VI.

Jeżeli poeta zgadza się, ażeby wewnętrzna rozterka ukradzionego ognia wiedzy, znikła z czasem, i jeżeli wspaniałą zorzę szczęsnej doby rzeźbiarska fantazya jego nietylko że przeczuwa ale i maluje nieskończoną skalą promiennych barw, — to znaczy, iż jest optymistą. A w takim razie i Shelleyowi to miano się należy, jako tytuł, którego w owych czasach duchowego rozbicia, słodzonych pozą i litością ogółu, nie jeden z pisarzów zarzekłby się, jak dyabeł święconej wody. Takie zresztą oblicze, nadzieją rozjaśnione, wyzierało z pism jego dawniejszych, ale tu po raz pierwszy zarysowało się dobitnie, niby portret męża zdecydowany, ustalony, z jednolitym we wszystkich rysach wyrazem. Zwątpienia nie znikły zupełnie, gorycze nie wyschły, lecz wsiąkły w optymizm, ażeby go utrzymać w granicach rozumnych i uchronić od złudzeń i zaślepień. Więc też poeta nie obiecuje bynajmniej nieśmiertelności, nie próbuje zażegnać zgonu, nie ściąga gwiazd z nieba na ziemię, jeno zapowiada względny zanik zbrodni i cierpień. Nie prorokuje władztwa

nad trafem i zmiennością losu, bo je ma za wagi, przyczepione do naszego bytu, lecz głosi męską wytrwałość na miejsce nieokiełznanej żądzy tego, co niedoścignione i niedostępne. Jego etyka i filozofia życia, tyle razy już przedtem a głównie w zakończeniu *królowej Fej* wyłaniająca się, dała teraz swój ekstrakt potrójny, cenny i ważki każdą swą kropelką:

Znosić cierpienia, choć się los potwornie sroży,
Przebaczać zło czarniejsze od śmierci i nocy,
Wyzywać moc, choć równą byłaby wszechmocy,
Kochać, dźwigać z nadzieją, aż nadzieja stworzy
Z gruzów swych wymarzony, wielki czyn żywota,
Stać bez drżenia i żalu, gdy czyn już powstanie,
Oto podobne twojej, święty nasz tytanie,
Piękność, dobro, majestat, swoboda, cześć, cnota
I zwycięzkie nad biegiem świata panowanie.

Temi słowy rozbrzmiewa najwyższa apoteoza odrodzin. Już chyba dla nas nic w niej nowego, prócz zestrojenia dawniejszych podźwięków, nie ma. Jednak te dawne jakgdyby nie istniały wcale. Między nimi a *Prometeuszem* wznosi się góra, wielka jak cały Parnas, brzemienna marmurem, czystszym od pentelickich, z którego wykuwa swoje urocze postacie. U stóp jej był dawniej, teraz stoi na samym cyplu i ogarnia wszechświat wzrokiem kochającego bóstwa. Tylko ogromną, nadludzką miłością można objaśnić tę straszną moc uniesienia, z jakiem maluje panorama nowej ery, tylko bezprzykładnym wzlotem geniuszu i odstrychnięciem się gwałtownem od własnych nałogów pisarskich, można wytłómaczyć tę kryształową przejrzystość obrazów. Cudotwórczą mocą, która budzi w nas prawie zabobonny strach, chwyta z nad pustyni życia złudne fata morgana i daje mu żywe ciało. Sztuki Symeona Maga lub tego samego Ahasverusa, którego

tak często przywołuje, wyglądają jak pospolite kuglarstwo wobec tej łatwości stwarzania nowych, powabnych, świetlanych duchów. Przez całe cztery akta obcujesz z nimi, ą przez trzy ostatnie patrzysz osłupiały i oczarowany na budzący się raj, i gdyby Jehowa miał swego nadwornego poetę, ten z pewnością piękniejszych narodzin świata nie wyśpiewałby. Pod stropem nieba rozgrywa się dramat, na opokach Kaukazu, na Olimpie, w tajemniczej grocie Demogorgona, ale zawsze i wszędzie toniemy w oceanie czarodziejskiego światła, które olśniewa, ale więcej jeszcze ogrzewa, wzrusza do głębi i działa na całą istotę, jak wiosenny promień słońca na młode latorośle zagajnika. Wytryskuje ono potężnym snopem z piersi poety i ozłaca wszystkie figury i wszystkie miejsca, załamuje się w krocie fantastycznych barw i tworzy taki superlatyw rozświtu, że wobec niego zwykły wschód słońca wydaje się niemal zmierzchem. A i samo ono żyje, faluje, gra i staje się istną duszą świata. Być może, iż za dużo długich tyrad rozlega się przy wtórze tej eolskiej muzyki, za wiele przeciągłych psalmów nadziei i czułych rozmów, ale jeszcze więcej wśród nich porusza się tworów. Urocze i powiewne, albo potężne i w sobie skupione, przebiegają one niezmierzony firmament, na Febusowych rydwanach lub anielskich skrzydłach, pieszczą się i gonią, napełniają go ruchem, wrzawą i zgiełkiem i radością. I zdaje się nam, że widzimy, jak stare, poważne globy, porozwieszane przez poetę na rozłożystem drzewie kosmosu, niby pomarańcze, uśmiechają się dobrotliwie i wstydzą własnej łzy rozrzewnienia na widok rozochoconej, rozszalałej błogością nowej wiosny świata. A wszystko bierze w niej udział z chwilą, gdy runął w otchłań nicości, za sprawą Demogorgona, Zeus.

Shelley rozwija w *Prometeuszu* odrębną kosmo-

gonię. Według niej na początku była *Miłość* i ona to przenikała pierwotne żywioły: niebo, ziemię i światło. Tuż obok przesuwają się jeszcze dwie pra-idee, dwie siły kosmiczne, bardzo do niej zbliżone. Jedna z nich to przeznaczenie, fatum, zapożyczone z mitologii greków. Ale *Przeznaczenie* owo jest raczej natury dodatniej, życzliwe ludziom. Prometeusz wie o tem, i ta wiara dodaje mu wytrwania, wie, że ma zostać zbawcą i tarczą zbolałej ludzkości. Upewnia go o tem chór geniuszów duszy ludzkiej, mówiąc, iż Ruinę, ów cień Miłości, mknący na skrzydlatym koniu śmierci, on ujarzmi kiedyś. Ten sam chór, szeregiem widziadeł uprzytomnia mu, iż w ludzkości łonie drzemie zawsze miłość, i łagodzi mu katusze dziwnie piękną przygrywką raz po raz powtarzaną, iż »na sieroctwo niesie mu proroctwo«.

Wreszcie trzecią potęgą jest *Demogorgon,* postać tajemnicza i w dawnych kultach mało spotykana. Ma to być niby cień Przeznaczenia, niby Syn samego Zeusa, pierwowzór mądrości i swobody, zamieszkały, na podobieństwo Plutona, pod ziemią, w mistycznej jaskini. Możnaby go uważać za wykonawcę woli dwóch Bóstw poprzednich. On to zjawił się na Olimpie przed tronem Zeusa i strącił go w przepaść niebytu i tym sposobem przyczynił się do wybawienia Prometeusza i całej przyrody. On to przywołuje godziny, t. j. Duchów czasu, a gdy w ich rydwan powietrzny siadają Arya i Pantea i przenoszą się ku grocie rozkutego Prometeusza, — ukazuje, w postaci proroczego snu Ducha ziemi, »co oprowadza ją po niebiosach«, powszechne w odległej przyszłości braterstwo i przywiewa do zachwyconych uszów Aryi »dźwięki, głoszące miłość wszech istot wcielonych«.

Apollo raduje się, że nie ujrzy już czynów, co

zasępiają ducha, i Ocean, że jego morze przestanie być grobem okrętów i ludzi, i odtąd kołysać się będzie pod prądem wiatrów, jak łany zbóż pod wiewem zefiru, a rzeki spokojnie toczyć się będą śród szczęśliwych krain. Eter i słońce zmieniły swe postacie, jakby »duch miłości w nich roztopion, otulił kulę świata ramionami«. Stworzenia olbrzymio wielkie i nieskończenie małe, wszystko wróciło na senne łoża, ażeby wraz z brzaskiem otrząsnąć z siebie złą naturę i rozgorzeć miłością i zadowoleniem. I jak nad jeziorem dwa lazurowe zimorodki biegały po prątkach i graniastymi długimi dziobami skubały złociste jagódki, tak raduje się teraz księżyc z ziemią i oświadcza się jej w cudnej serenadzie:

Cicha pielgrzymko! serce ty moje,
Dziana z powietrza i lądu, szczęśliwa
Planeto! z ciebie tajny duch spływa
I tchnie na blade, zmarzłe me słoje,
I wskróś do rdzeni ciepłem promieni,
Miłości wdziękiem, wonnością i dźwiękiem
Zasila, umila.

Tu już, co prawda, dzieją się przewroty nie tak bardzo możebne, ale poeta jest sprawiedliwym i obdziela wniebowzięciem wszystkich jednakowo; nawet węże, jaszczury i ropuchy stają się pięknemi. Ptaki, zwierzęta i ludzkie postacie — mówi Ziemia, zgalwanizowana »ciepłym płynem nieśmiertelnej młodości«, — płazy, owady o skrzydłach tęczowych, które z wychudłej mej piersi ciągnęły ból i chorobę, truciznę rozpaczy, teraz się żywić i obdzielać będą słodkim pokarmem w pokoju.

Wielkim aktem twórczej wyobraźni przemieniwszy z gruntu całą budowę wszechświata, zaprzągł wszystkie jego siły do jednego dzieła — szczęśliwości, na której

sam błysk przelotny doznaje się zawrotu głowy, jak gdyby pod wpływem hymnu. *Sztuczny Raj* Beaudelaire'a, wymarzony pod wpływem narkotyku, blednie na pospolitą prozę, na szary padół, wobec tej wszechidylli. Wszystkie rojenia Platona oblekły się w niej w żywe ciało. Shelley odważył się niejako odmalować niebo empirejskie albo wyższe jeszcze, nadniebne państwo pierwowzorów, których byty rzeczywiste są jeno koszlawymi odbiciami. Mógł wpaść łatwo w śmieszność poetyckiej donkiszoteryi a tymczasem wzbił się zupełnie tak jak pragnął, na najwyższy w całej nowoczesnej poezyi stopień kształtującej fantazyi i odurzającego uczucia. Jego strofy, to kruszec, rozpalony do białości, do wrzenia, a jego żywioły i potęgi to organiczne twory, zdjęte szałem entuzyazmu, który tryska naokół parzącymi kroplami, mimo, że je powściąga i łagodzi rytm, melodya i symfoniczność języka. Przekonany jestem, iż każdy zamierzający pisać o *Prometeuszu*, rwie się do dzieła, jak młodzik do pożaru, o którego pięknie dużo się nasłuchał i naczytał, ale gdy znajdzie się z nim oko w oko, truchleje i prawie omdlewa. Najlepiej wysławia ten stan upojenia Ziemia:

Tu radość i tryumf, *tu obłęd zachwytu*
Wre, wzbiera, wybucha od zrębów do szczytu,
Nad wszelki a wszelki kres oczarowania —
Ha! ha! upojonam przedziwną rozkoszą,
Co tak mię światłości sferami ochłania,
Unosi, jak wiatry chmur falę unoszą.

Rzecz jasna, iż na ukwieconej murawie nowej przyrody zjawi się nowy gatunek ludzi. Człowiek będzie wprawdzie tylko sobą, ale »wszechbliźnim za kresem plemion, narodów, szczebli społecznych i próżnym trwogi, hołdu, sobą władnym, a sprawiedliwym, mądrym i szlachetnym«. Występki i zbrodnie, męka, trwo-

ga, nienawiść uciekną od niego, a zostawią na swe miejsce ster miłości, która w pełni fal i ruchu najdzikszą żądzę własnem powściąga wędzidłem. Nie potrafi ani pełzać ani tratować, pogardzać innymi i sobą, nie będzie kłamał »zimną, fałszywą a bezmyślną mową, której to serce swego »tak« odmawia, choć usta silą się na »nie« wbrew woli«; ani wikłać się w sieci nieufności, którą sprowadza ostatnia najcięższa niemoc utrata wiary w samego siebie. Zwłaszcza pięknemi będą kobiety — jak widzimy, Shelley był w gustach swych stałym, — pięknemi niebiańsko i swobodnemi. Mądrość, o której dawniej nawet myśleć nie śmiały, stanie się ich udziałem. »Wdzięczne, promienne, przeczyste postacie, nie tknięte brudną skazą zalotnictwa«, zrobią z ziemi niebo.

A gdy w ten sposób runie splamiony ołtarz Zeusa, pogromcy świata, któremu blednące z trwogi ludy służyły krwią i sercem, i opadnie szpetna larwa dawnej parodyi życia, — innym torem popłynie historya. Proch jeno zostanie z sądów i więzień i wielkich ksiąg rozumowanego bezprawia. Wieszcze natchnienie pospołu z muzami rzeźby, malarstwa i harmonii zluzuje szpetne widma barbarzyństwa a zmorę ciemnoty — jasnowidzący duch filozofii. W krajach przedtem mrocznych, ślepych i wszetecznych wznosić się będą niebieskie wieże zapału, na których czatować będzie myśl. Ona swym niewolnikiem uczyni grom, przed jej oblicza stawią się gwiazdy, ażeby, jak stado, zostać porachowanemi,

> Gdy wstąpi w eter, bezdno nieba się uśmierza;
> Pyta o tajemnice, a niebo odrzeka:
> »Nie mam ich ... odsłoniła mię dusza człowieka«.

To znaczy, że poeta ma zawsze na widoku ideał pełny, w którym zarówno upragnioną jest pomyślność ciała

i dobrobyt gromady, siłę woli i wysoki rozwój sztuk i wiedzy. Ona pozwoli ludziom panować żywiołom, jak rządzi słońce, w aureoli berła, labiryntową planet rzeczącpospolitą. Cześć dla nauki tak stale podścieła wszystkie inne nabożeństwa i tak przemożnie się z nich wyrywa, że aż na tem tle egzaltacyi uczuciowej poczyna dziwić. Ale wnet, stuknąwszy palcem w czoło, opamiętujemy się, że przecież sama forma dzieła jest tak wysoce kunsztowną, iż ją wytłomaczyć można jedynie rodowodem naukowym, wielką erudycyą. Te myśli i przepowiednie i obrazy, któreśmy podali w zwykłej potocznej mowie, trzeba było dopiero, jak nici, wyprzędać z misternej tkaniny, z »mistycznych półkręgów, pląsów, dźwięku i pieśni, słodkich dum i potęgi«, wyławiać jak czarne łodyżki z pod nieprzebitej warstwy kwiecia i liści. Poeta usiłuje odebrać mowie bogów wszelki nalot ziemski i wyraża się samemi figurami, przenośniami i obrazami. Niema tematu, ani pojedyńczego źdźbła myśli, którychby nie zamienił w kosztowny haft. Sylogizm, złożony z przesłanek i wniosku, staje się u niego trójcą barwnych i tchnących życiem istot. Dzień nie jest miarą czasu i nie składa się z godzin, które idą po sobie, ażeby go dokonać, lecz — zbroczoną krwią gazelą, którą one, głodne jak psy, jak łowcy nielitościwi gonią przez puszcze i stepy roku. Teraźniejszość nie jest czemś, co nastaje po przeszłości, lecz pogrzebem zmarłych godzin, które duchy minionych lat niosą do grobu wieczności i każą skrapiać go łzami i rzucać nań sploty włosów, zamiast cisowych gałązek, jako na trupy byłych smutnych chwil. I wszystkie te postacie występują jako osoby dramatu, usypiając w nas wszelką świadomość alegoryj lub chęć podkładania pod nie pewnych procesów przyrody lub pojęć. Oczywiście rozwój akcyi staje się dla czytelnika

powierzchownego nader trudnym do rozgmatwania i nawet sama logika odrodzenia niezupełnie jasną. Jest to tryb, w którym nie zostało ani krzty z owej poezyi elementarnej, orficznej, lub pytagorejskiej dawnych liryk Shelleya. Kunszt trudny i wyrafinowany, możliwy jedynie wtedy, gdy się rozporządza ostatnią najświeższą pianką nauki i sztuki, przenika *Prometeusza* nawskróś i czyni go przedziwnie podobnym do owych poplątanych deseni arabskich na stropie i arkadach Alhambry, które wabią cudną i wielce mądrą kombinacyą barw a powtóre kryją w sobie pewien nieuchwytny dla laika plan. Napozór niemożliwe do rozwiązania, stają się jednak przy pomocy klucza zrozumiałymi i świadczą o głębokiej pomysłowości i symbolice. Tak samo dzieje się z arcytworem Shelleya: znajdźmy jeno klucz, a tuman nad pojęcie kolorystyczny, świetny i skłębiony, odsłoni nam skarby poezyi i treści, które potem z rozkoszą śledzimy, aż do znużenia oczów i umysłu.

VII.

Najwyższe przeduchowienie.

Teraz już ideał Shelleya zarysował się dobitnie: filozofia przedtem nieuchwytna wypełniła się mięsem. Nie znaczy to, ażeby była zgodną w sobie, jednolitą i dawała się podciągnąć pod którykolwiek ze znanych typów poglądu na świat. Jest ona raczej niezupełnie dokończoną mieszaniną dwóch różnych rodzajów idealizmu. Jeden z nich umiarkowany morałem szczęścia i pożytku, silnie zabarwiony trzeźwością starego Hobbesa, stanowi snadź wytwór tradycyjnego u anglików zdrowego rozsądku i wodzi rej w chwilach najważniej-

szych, n. p. w odpowiedzialnem wyznaniu wiary. Pod jego wpływem poeta lubił rozkosz i jej pożądał dla siebie i innych. Drugi zaś ma swoje źródło w jego usposobieniu wrodzonem, które zostaje do samego końca niezdobytą, choć mocno obleganą przez tamten placówką. Jest to zdrój podziemny, ukryty, ale niewyczerpany i ostatecznie wezbrawszy, skąpał on w swej toni idealistycznej wszystkie myśli, wierzenia i niewiary Shelleya.

Pierwszy tuła się u niego w przedmowach i dopiskach, jawnie brata się z determinizmem *(Queen Mab)*, lub też w etyce bierze na się postać hedonizmu, jak w Pieśni do ducha rozkoszy (1821), gdzie opiewa swą miłość dla darów i uroków przyrody, dla cichej i głębokiej pogawędki w kole rozumnych ludzi i dla wszystkiego, co może rozpogodzić zasępione czoło, lub, jak w *Czarodziejce Atlasu,* która kołysze mieszkańców ziemi do błogiego spoczynku i słodkich marzeń. Drugi na razie skłonny do ustępstw i zgody z tamtym, rozgościł się w końcu we wszystkich dziełach, pisanych na krótki czas przed śmiercią. Taka jednak wskróś syntetyczna natura nie mogłaby znieść wewnętrznego, choćby tylko w sprawach oderwanych, rozłamu, więc i zjawił się rozjemca w formie przedziwnego poetyckiego panteizmu, w którym nie zostało najlżejszego śladu dawniejszych, pierwiastek boski lekceważących zapatrywań. Świat wypełnił się dlań duchem, ale już nie tym, co to pojmowany bywa, jako ogół nieugiętych praw przyrody, lecz bezmiernym, jak sama nieskończoność zbiornikiem życia twórczego i miłości. Ona to była na początku wszechświata, teraz zaś

Ze swojege tronu
Mądrości serc, po chwilach ostatnich rozpaczy,
Srogich męk, wpółszaleństwa, powolnego zgonu,

Powstaje nad odmętem, w świt się rozpromienia
I roztacza nad światem skrzydło uzdrowienia,

kiedy wszystkiem rządzi Czas, Przeznaczenie, Traf, ona jedna nie podlega im, bo jest wyższą i wiekuistą. (*Prometeusz,* akt II). W poematach ogólnoludzkich Shelleya zajmuje ona stanowisko całkiem odrębne, niby bóstwo nietykalne, którego badanie myśliciela nie może wcale dotyczyć. Ów jej tron tak wysoko się wznosi, że wszelkie dociekanie gra wobec niego rolę pustej teologii i poeta nie obawia się, że popełni niezgodność, gdy tuż obok prawić będzie o Baconie z Verulamu, »który zmusił Proteusza Naturę ocknąć się ze snu« (*Tryumf życia*). Miłość jest dlań ową prawdziwą substancyą metafizyków, owem *ens per se,* nie potrzebującem dla swego istnienia żadnych innych bytów, jak je określa Spinoza. Jest ona nadto szczodrobliwym siewcą życia i nadaje panteizmowi Shelleya cechę więcej niż boskiej płodności. To nie posępny, oschły, wymagający rezygnacyi *deus sive natura* wielkiego autora *Etyki,* ani dosyć martwy i ociężały Zenona z Citium wraz z całą armią stoików, ale pełen samorodczych zdolności i ziarek ewolucyi duch, ciepły, błogosławiony i dobroczynny, który nietylko że wspaniałomyślnie pospolituje się w każdem źdźble trawy, ale, co ważniejsza, w każdym tworze objawia się miłością. Możnaby powiedzieć, że poeta zamienił Newton'owską siłę powszechnego ciążenia na powszechną własność wzajemnej miłośnej tęsknoty.

W poemacie p. t. *Filozofia miłości* mówi wyraźnie:

Nic samotnego niema śród świata,
Z boskiego prawa wszystko ku sobie
Dąży . . .
Wiatry błękitne razem się łączą
W słodkiem wzruszeniu na wieki . . .

Patrz, strop całują góry szczytami,
Fala się zlewa z falą swawolną,
Ni jednej siostrze między kwiatami
Gardzić swym bratem nie wolno.

Dlatego to w swym prometeizmie obejmuje pieszczotliwym uściskiem całą nieskończoność wszechbytu, dlatego zaludnia ją, jak w *Czarodziejce Atlasu,* »milionami milionów« duchów. W tym ostatnim utworze, fantastycznej mrzonce, którą sam uważa i podaje za baśń, mamy właśnie rodzaj wcielenia owej miłości w postać uroczej wróżki. Wzbija się ona na cudownej nawie aż ponad obłoki, w regiony, kędy wiatr nie dochodzi, »przygląda się wirom i pląsom gwiazdobiorów« i czuwa nad śpiącym rodem ludzkim, niby dobry anioł stróż.

Miłość ta różni się wielce od najwyższego Dobra greków, jest gorętsza, uczuciowa i nawet namiętna, niezależnie od tego, czy gości w sercu jednostki ludzkiej, czy też w łonie tworu, który my nazywamy roślinnym albo zgoła martwym. Ma ona w sobie bodaj więcej z Amora niż Psychy i stanowczo od wszelkiej modły platonicznej miłości odbiega. Laon i Cytna, oceanidy Pantea i Jona, Prometeusz i Azya, Ziemia i Księżyc są to zupełnie do siebie podobne pary zakochanych, którzy albo już toną w spazmatycznym ucisku, albo go przeczuwają. To zresztą nie takie dziwne, bo Shelley pławi się nie w *logice* idei, ale w *żywiole* ducha. Jałowa dyalektyka nie ima się go mimo Platona i Kanta. Za to rozsadza mu mózgownicę uczucie, aby sprawić, wbrew rozmaitym przezwiskom platonika, że est cn w malowaniu swoich lub cudzych stanów erotycznych gwałtownym i ognistym, jak młodzieniaszek wobec zakazanego owocu. Zresztą i jego kobiety trawią się nieraz wewnętrznym ogniem miłości, jak n. p.

Rozalinda, którą po nocach, spędzonych w tęsknocie za kochankiem, dręczyły widziadła, płodzone przez wrzącą krew. Przyjaciółka jej, Helena również umiała omdlewać z afektu dla Lionela, ilekroć została z nim sam sam. W *Serenadzie Indyjskiej* kochanek topnieje w żądzy pieszczoty. »Ja konam, ja omdlewam, ja padam! Niechaj miłość twoja lunie deszczem pocałunków na moje usta i blade powieki«. Prawie temi samemi słowy wzdycha smętny towarzysz Ziemi i wyłania z siebie istny żar miłosnego łaknienia:

> Jak szalejąca sercem dziewczyna,
> Której duch wątły aż się ugina
> Pod namiętnością, — wiecznie i wszędzie
> W około ciebie krążę w obłędzie.

A co wyrabia bohaterska para z *Rokoszu Islamu*, i cały ów legion zakochanych i marzących, którzy z mnóstwa drobnych poezyj Shelleya czynią prawdziwy piec z rozżarzonymi węglami! Jest to zazwyczaj lubieżne rozigranie wyobraźni, która nie doznała bynajmniej przesytu, ani nawet należytego zaspokojenia. Nie posiada ona pewności siebie, dyskrecyi i spokoju zawodowych podbijaczów serc albo choćby tylko sumiennych kapłanów Wenery, jest więc poetyczną, świeżą, niezepsutą i zawsze pożąda »uścisków, grożących uduszeniem, zlania się dwojga serc w jedno, rozpłynięcia się w tem strasznem uniesieniu w parę« (*Niedola*, 1818). Żywi ona niepokonany wstręt do tych, co tak gorąco czuć nie są w stanie, i co zbliżają się do natury wstydliwie i niedołężnie. Wielka a zuchwała satyra *Peter Bill* III, przewyższająca zjadliwością, choć nie dowcipem, swój wzór, mianowicie *Widzenie sądu* Byrona, wydrwiwa Wordswortha za jego sztywność i pruderyę. »Co było siłą Piotra, to to, że stanowił

rodzaj moralnego eunucha; gdy dotknął rąbka koszuli natury, robiło mu się niedobrze i nie miał odwagi uchylić tuniki, tajemniczo ukrywającej wszystko. Ona zaś śmiała się złośliwie i, całując go całusami siostry, mówiła: Ah, doskonały mój Dyogenesie, kocham cię zaiste, ale, jeśli łaska, nie puszczaj się na zabawę z najskrytszemi memi ponętami. Tyś zimny, a ja, nie taki świętoszek, darzę miłością za miłość, ale szczerą, gorącą i prawdziwą, a Burns [1]), młody wieśniak szkocki, znał moje rozkosze lepiej niż ty, uczony mój druhu! Wargi pocałowane nie tracą swego czaru, lecz się odnawiają jak księżyc — tak myślał Boccacio«.

Shelley nie jest zmysłowcem, ale to widoczne, że dla niego związek dwóch ciał, oznacza najwyższą spójnię dwóch dusz, bo ilekroć opisuje jednę, daje jej za stałego towarzysza drugą, jak to się dzieje w wielu strofach *Laona* i *Cytny*, których dusze zlewają się potem na stosie ściśle w jednę. »Podobne do kwiatów, które zamykają jeden po drugim swe omdlewające kielichy, nasze formy śmiertelne stawały się jedną duszą z płomienia, życiem w życiu« — tak znowu opowiada o sobie i Lionelu Helena.

W ten sposób uciecha zmysłów odzyskuje swoje szlachectwo, swój stempel ducha. Wypływa to zresztą naturalnie ze stanowiska panteistycznego, które bądźcobądź widzi w jednostkach odrębność tylko pozorną, przesłaniającą wspólność rdzennego jestestwa. Tak brali rzeczy stoicy i konsekwentnie doszli do lekceważenia różnic między osobnikami i rasami. Shelley zaś idzie jeszcze dalej i odczuwa dusze bratnie nawet w zwierzętach. Słyszy on przyjazne dźwięki, wychodzące z piersi niejednego stworzenia z poza ludzi. Samotny

[1]) Robert Burns, słynny poeta ludowy szkocki 1759—1796.

słowik odpowiada mu nieraz pieśnią łagodzącą smutek a z niejednej doliny odzywały się doń antylopy akcentem i ruchem, w których brzmiała właściwa mowa ludzka, »bo czyż myśl nie wznosi sobie tronu powszechnego, u stóp którego wszystkie twory składają jednakową daninę?« *(Rokosz Islamu*, Pieśń X). A wobec takiego rozumienia natury, byłoby wprost paradoksalnem nie zlewać dobrodziejstw nowej, prometejskiej ery na wszystkie jej wyosobnione w jaźń okruchy.

Podobnie głębokie przejęcie się ideą wszechducha musi w końcu rozłożyć na pierwiastki psychiczne i samą materyę, zwłaszcza tę, która stanowi powłokę człowieka, i obdarzyć ją władzą nadprzyrodzoną. To już jest mistycyzm, wiara w cudowność. »Gdybyśmy mieszkali śród gwiazd, gdzie wszystko, co silne, świetne i czyste, trwa wiecznie, gdybyśmy tam mieli swą mogiłę, to kto wie, czy nieśmiertelność otoczenia nie udzieliłaby się i naszym umysłom« *(Ros.* i *Hel.)*. Uzasadnionym byłby domysł, że poeta i na obecnem naszem miejscu zamieszkania, na globie ziemskim, nie widzi poważnej przeszkody do wiary w istnienie zagrobowe. Z rozmów, które prowadził z Trelawney'em, wypływa, że ostrożne w tym względzie mniemania Bacona wolał tłomaczyć sobie nie w sensie negacyi. Bywały okresy, kiedy go pomawiano stanowczo o wiarę w osobistą nieśmiertelność. Rossetti zebrał skrzętnie wszystkie zwierzenia i świadectwa i dochodzi do wniosku, że jeśli Shelley uznał za rzecz trudną zrozumienie trwałości wiekuistej ducha, to za również niepojętą uważał hypotezę przeciwną *(Rossetti,* 143—145). Sądzimy atoli, że oględność rozumu ulatniała się przed rozkazującym podszeptem uczucia, które aż nadto wyraźnie i często wtórowało poetycznej wierze Platona.

To też ulubieńcy Shelleya konają zazwyczaj śmier-

cią mistyczną, która ma w sobie coś z rozpraszania się dobrowolnego na atomy ducha, coś z zamierzonego dogasania lampy. Takim zgonem zamierał już Alastor, bohater jednej z liryk wcześniejszych, która zawiera *in nuce* całego poetę późniejszego; wydawał on ostatnie tchnienie z uśmiechem na licach, »cichy, bezwładny, pustemu powietrzu raczej podobien lub ziemi milczącej, harfa, na której cichy powiew niebios melodyjnymi wygrywał akordy«.

Z tych samych powodów Shelley stać się musiał *wieszczem,* wizyonerem i to nietylko w sensie daru rojenia świetlanych nad prawdopodobieństwo obrazów, ale i w tem znaczeniu, że miewał istotne halucynacye. Pierwsze sprawiło, że większość swych poematów sam podaje za jasnowidzenie lub wywodzi ze snów, drugie, że sięga wzrokiem ducha, a właściwie nadwrażliwej mózgownicy, dalej niż ludzie zwykli. Widział w powietrzu poczty geniuszów skrzydlatych, których krótkowidz człowiek nie domyśla się; widział światła i barwy, których nasza siatkówka nie zna; słyszał melodye, na które ucho nasze jest za tępe. Hegel lub Fichte starszy, powiedzieliby może, że to urocza forma, całkowicie rozsadzona przez goszczącego w niej ducha. Gdyby żył dzisiaj, byłby ciekawym dla psychologa subjektem i kto wie, czyby nie zmusił do wiary w telepatyę. We dwa tygodnie po śmierci naturalnej córeczki Byrona, Allegry, ujrzał ją nagle w powietrzu, przy świetle księżyca, tak wyraźnie i niespodzianie, że krzyknął boleśnie i chwycił za ramię obecnego Williamsa. O zjawisku natury odwrotnej opowiadał Byron, na którego też wiarę podajemy, że paru przyjaciół dostrzegło Shelleya płynącego w łódce, gdy w rzeczy samej bawił on, jak się okazało później, w całkiem innej stronie morza *(Rossetti,* 121). W owym też okre-

sie, najszczęśliwszym w jego życiu, miewał takich widzeń dużo i zawsze na tle zupełnego zdrowia i nieznanej przedtem pogody umysłu. A na zasadzie zapewnień kółka, z którem obcował Lerici, nie ulega wątpliwości, że rychłą swą śmierć przeczuwał. Zresztą ileż wyraźnych na to dowodów znajdujemy w jego poezyach. Wyczulony to był ustrój, o zmysłach zaostrzonych i nerwach napiętych jak srebrna struna, a przecież bez widocznego śladu jakichkolwiek zboczeń, któreby pozwalały składać tę potęgę i nadmiar ducha na karb czego innego, niż samo najwyższe przeduchowienie. Do czego fakirowie indyjscy lub spółcześni żarliwcy budaizmu dochodzą postami i mozolnem trenowaniem, czyli po prostu gwałtem nad naturą gwoli wrzekomej zdolności jasnowidzenia, to było udziałem poety, który iście po angielsku uprawiał pożyteczne rozrywki, sport i żył prawie ciągle pod gołem niebem. Oczywiście trudno ten układ nerwowy nazwać normalnym zupełnie, gdy się zwłaszcza weźmie na uwagę, że poeta miewał w zaraniu swej karyery sny bardzo zbliżone do lunatycznych i zapewne pod ich wpływem pracował nad dziełem o odnoszących się do sonambulizmu zjawiskach *(Catalogue of the Phenomena of Dreams 1815)*. I nawet całą swą osobą sprawiał raczej wrażenie widma, niż człowieka z krwi i kości. Raz podczas pobytu we Włoszech, po rozmowie, w której jaśniał werwą i świetnym stylem, wysunął się nagle z salonu, a gdy jedna z pań zapytała, co się z nim stało, ktoś odrzekł: »Pani pyta o Shelleya? Ależ on ukazuje się i znika jak sen. Niewiadomo nigdy skąd przyszedł i dokąd odszedł«. Nieraz brałaby ochota zastanowić się, czy należał do rzeczywistego świata, czy też wymarzony został przez legendę, gdyby

karta, którą zapisał w historyi, nie była tak świeżą i czytelną.

VIII.

Choćby uczucie składało się z samej nadziei i życzliwości dla całego świata, z samej miłości dla ideału, jeżeli wzbierze nad miarę, przechodzi w mękę Liryzm zbyt głęboki i natężony staje się tragedyą, bo do niej wiodą dwie jednako niezawodne, lubo wręcz sobie przeciwne drogi: ciemna otchłań piekła Dantejskiego zgrozą swoją i promienne niebo duchowego raju ekstazą, w którą wprawia piewców swoich. Jeżeli chodzi o formę dzieł, to Shelley jest wielkim lirykiem, do którego możnaby zastosować własne jego słowa, wyrzeczone o skowronku, że »nigdy i żadna pieśń nie opiewa tak wzniośle wina i miłości, jak wzniośle porywa naszą duszę jego hejnał; śpiewy oblubieńców i hymny zwycięzców, to jeno puste dźwięki wobec tego ducha, którego słodkie melodye stokroć więcej warte, niż uczona muzyka i zaduch mądrości, wyssanej z pyłem okrytych ksiąg«. Lecz jeśli mamy określenia gruntować na życiu wewnętrznem, które wypełnia, nurtuje artystę, okaże się, iż Shelley prędko przeszedł w nastrój tragiczny, złożony z bezwiednej może lecz strasznej tęsknoty za bytem innym, przypuszczalnie wyższym od ziemskiego. Kiedy ucieka od ludzi i chroni się pod sklepienia lasu lub błąka się myślą po dzikich jarach Kaukazu wraz z *Alastorem,* kiedy długą włóczęgą nabawia niepokoju cały dom i zmusza żonę do trwożnych poszukiwań z pomocą przewodników, czujemy, że radby przejść nieznacznie z życia doczesnego do nadziemskiego. Jeśli do kogo, to do niego stoso-

wać się powinny słowa, którymi Ariel Rénana tłomaczy swą istotę. »To w nieskończoności, to na szczytach gór, to na dnie samotnych golfów, będę ja duchem natury, raz po raz ukazującym się. Będę morza błękitem, życiem rośliny, wonią kwiatu, niebieskawym śniegiem lodowców. Przywdzieję żałobę, że już nie mogę brać udziału w życiu ludzkiem. Albowiem życie to jest potężne, ale nieczyste« [1]). I tak się rwał do krainy duchów, za której prawego obywatela miał siebie, że, choć na razie wolny od myśli samobójczych, pragnął jednakże być od niej oddzielonym tylko progiem i w tym celu nosił zwykle w pierścieniu gwałtowną truciznę. Znajdował ukojenie w samej świadomości, że wrota raju stoją dlań otworem. A kto wie, czy nie uznałby tej pociechy za zbyteczną, gdyby zdawał sobie sprawę, jak dalece i nieprawdopodobnie wyzutym był z instynktu samozachowania. Jego życiorysy roją się dowodami bezprzykładnej pogardy dla życia, czynami odwagi, i świadczą, że z łatwością istnego odruchu zwykł był zasłaniać sobą innych i parę razy nawet dotkliwy poniósł szwank.

Nadmiar pragnień dla tej wielkiej zbiorowej duszy, którą zwiemy ludzkością, tak samo przechodził u niego w *delirium,* jak egzaltacya polotu w katuszę strąconego niesprawiedliwie anioła. Więc też pogodny śmiech i nadobłoczną jazdę w purpurowym rydwanie rozświtu, przerywa od czasu do czasu westchnieniami, jak w *Zmienności* [2]) lub też dławionem łkaniem, jak

[1]) *Caliban,* zakończenie.

[2]) Wiersz ten, — który mamy przypadkiem w tece, — podajemy tutaj:

Jesteśmy jako obłok, co księżyc zaćmiewa,
Jak chyżo mknie północą, świeci się i mieni,
Promienne smugi w pomroce rozlewa!
Lecz oto znowu noc — i znikł kędyś w przestrzeni.

w »Stancach, pisanych w smutnej godzinie pod Neapolem«. Brzmią one prawie rozdźwiękiem Leopardiego, zadumanego u stoków Wezuwiusza nad pustoszycielką naturą i »omal nie wybuchają potokiem nieprzerwanym łez zmęczonego dziecka«. Ale najczęściej źródłem tych jest coś zupełnie różnego od pesymizmu, bo samo zachwycenie wpatrzone w oblicze Ideału, który tak dobrze przerazić może i na długo odebrać spokój, jak widok głowy Meduzy, a jego »dźwięk tajemniczy tak się stłacza w mózgu słuchacza, że z męką prawie — rozkosz graniczy«. Ta właśnie mieszanina ekstazy z boleścią stawała się coraz przemożniej żywiołem poety.

Tam, gdzie panuje wyłącznie poświęcenie jednostki, gdzie ona tylko wypromienia swoje ja w nieskończoność, poezya musi być często panteistyczną, pozbawioną motywów osobistych, ale gdy więzienie bytu ziemskiego niecierpliwą i spragnioną mistycznej światłości duszę udręcza, zjawia się podmiotowość. Więc też i ów marzyciel, w którym przyzwyczajono się sławić żywy kontrast egotycznego nawskróś Byrona, prędzej czy później musiał zostać uderzonym wyjątko-

---

Albo jak błędne struny harfy porzuconej,
Co to na każdy powiew innym dźwiękiem gędzie
Śpiew jej z przewątłych raz kształtów wytchniony,
Nigdy poprzednikowi bliźniakiem nie będzie.

Chcemy spoczynku — wnet nam mara sen zatruje,
Czuwamy — myśl zbłąkana dzień nam wraz zamąca,
Czy duch nasz rad, czy smutny, tworzy, myśli, czuje,
Czy twarz rozjaśni śmiech, czy zrosi łza gorąca,

To wszystko jedno, bowiem zarówno skrzydlata
Niedola i otucha krótko w sercu gości,
Bo ludzkie wczoraj z jutrem się ludzkiem nie brata,
Bo nic na świecie trwać nie może, prócz zmienności.

wością swoją i brzemieniem tęsknot, które dźwigał, i może samotnością niezrozumianego przez ludzi serafa. Musiał wzbudzić podziw w sobie samym i stać się piewcą własnej szczytnej niedoli. Ostatnie jego liryki urągają wszystkim wizerunkom, w których występuje on, jako pozbawiony wszelkiego daru, czy też wolny od wszelkiego grzechu autopoezyi. Wyrzekł się tytułów i sławy Prometeusza ludzkości w swojem i innych imieniu, ale wpadł w wyższy prometeizm ideału i w tej roli puścił wodze ambicyi. Wprawdzie czyni to delikatnie, nienatrętnie, z możliwą skromnością. Najczęściej kryje się sposobem nieumyślnej metamorfozy w powabną ptaszynę, jak *Skowronek*, albo cudowne swą zmienną barwistością zwierzątko jak *Kameleon*, albo w *Czułkę wstydliwą*, którą śpiewa mową tkliwą i lżejszą od letniego zefiru, rozcieńczoną, rzec można, w nieważki eter. To znów przedzierzga się w śpiewającego Ariela *(Ariel do Mirandy,* z gitarą), wkłada na się maskę obojętnego niby bohatera, jak mężny florentczyk Pietro Marenghi, ale uważny czytelnik wyczuje pod nią samego Shelleya. Niekiedy zresztą domyślność staje się zbyteczną, n. p. wobec pięciu fragmentów większego choć niedokończonego poematu p. t. *Książę Atanazy*. Jest to portret własny, w którym prawie że nie znać chęci mistyfikowania ludzi, tyle zawiera szczegółów duchowego i nawet cielesnego oblicza Shelleya i tak wyborną, dokładną jego charakterystykę. Rzuca znienacka na psychikę poety więcej światła niż jeden tom biografii. Udziela wiadomości z pierwszej ręki o szczególnym młodzianie, któremu we dnie i w nocy ciżba myśli nie dawała spoczynku, pędzona przez tajemniczą siłę. Nikt, nie wyłączając jego samego, nie mógł dociec przyczyny smutku, z którym zresztą taił się najchętniej, ukazując

twarz pogodną. Zdradzała go jeno niekiedy nagła bladość lub gwałtowne spazmy niemej pasyi. Więc też jedni mieli go za waryata; inni wierzyli, że to wspomnienia życia przedziemskiego zamieniają mu byt doczesny w piekło. Inni znów, że niełaska niebios spada zwykle na takich, co, jak on, nie uznają prawa wyższego nad Miłość, spokojną, niewzruszoną, niedostępną trwodze śmiertelnej i zgrozom nadprzyrodzonym: »A tymczasem ból rozgościł się w jego łonie i nękał jak zmora, jak gadzina, wysysająca życie kropla po kropli, jak demon ocuglony, który za lada ruchem, tem śmiertelniejszym dławił go uściskiem«. Co więcej, nawet gdy opiewa osobistość prawdziwą i spółczesną, przekształca ją niebawem na swojego sobowtóra, wyposaża ją w rysy własnego przeduchowienia. W *Prometeuszu* lub *Laonie* fakt ten mógł ujść uwagi, gdyż są to raczej wcielenia ideałów, niż temperamenty lub typy psychologiczne, ale bije on w oczy tam, gdzie stają przed nami całkiem żywe, autentyczne jednostki. Bo zamiast być krewnymi autora w pewnym tylko stopniu, co objaśniałoby wyróżnienie ich, są pod jego piórem tak podobne i do siebie i do niego, że znika wszelka wątpliwość co do modelu, który poecie pozował, a może i intencyi, która go natchnęła.

Im późniejszej daty są owe wyznania i spowiedzi, tem trudniej w nich o miękkość, o tę prawie niewieścią słodycz i pieszczotliwość, z jakiemi wychuchał n. p. *Czarodziejkę Atlasu* i *Mimozę*. Potężny akord słyszeć się daje coraz częściej a rzewne melodye coraz rzadziej. Zamiast *piana* — huczy *fortissimo*, niekiedy nawet do basowych przenosząc się rejestrów. Język zdramatyzowany do gromowładnej siły Szekspira potulnie służy myśli, w której nie masz przecież nic z Szekspira, Byrona lub Swinburna, a dyszy cała ekstazą bez-

krwistą. Śledząc je, szepcemy sobie: oto tu śnieżno biały łabędź, co tyle innych dzikich łabędzi lubił widywać w powietrzu, odzyskał nagle moc królewskich skrzydeł i zuchwałymi wzlotami pruje obłoki.

Kto wie, czy pisząc swego *Adonais'a*, nie pragnął, ażeby obok *Pieśni nad pieśniami* istniała elegia nad elegiami, a w takim razie cel swój prawie osiągnął.

Do odegrania podobnej roli w poezyi, owe pięćdziesią strof tem bardziej się nadają, że w nich nie ma nic przygodnego, nic, coby je z wyżyn arcywzoru mogło ściągnąć na poziom dzieła okolicznościowego. Alboż tam o Keatsa chodzi? Zapewne, ale jeszcze więcej o samego Shelleya, który uczuwa coś w rodzaju świątobliwej czci dla własnej, natchnionej istoty, podobnie, jak rozrzewniamy się widokiem własnej łzy, lub własnej, steranej cierpieniem twarzy. Gdy mówi o powrocie przedwcześnie zmarłego ducha »do owej potęgi, co rządzi światem pospołu z miłością«, to raczej rozpamiętywa własne swe koleje i własny, dziwny stosunek do świata, i swoje blizkie już wniebowzięcie, kiedy ukazuje nam swą postać, stojącą nad grobem Keatsa, śród innych jego przyjaciół, jak Byron, Tomasz Moore, Leigh Hunt, to wyznaje jawnie, że »opłakując los cudzy, opłakiwał własny«.

Jest to już raczej piękne widmo, któremu tajemna moc pozwalała zabawić jeszcze jakiś czas śród ludzi, niż człowiek dotykalny — tak dalece duch jego wzbija się nad padół. »Jest to lampa dogorywająca, kropla majowego deszczu, która pada, fala, która się łamie — kto wie, może gdy tak mówimy, ona już się złamała«. Tak określa tam siebie samego (XXXII). Nie dziw, że w tym napół bezcielesnym stanie z żałobnego obchodu zrobił mistyczny akt zlania się ge-

niusza z bóstwem powszechnem, nad zwłokami zmarłego kazał boleć żywiołom nieba i ziemi, wszystkim żywiołom czującej i martwej natury kazał przeklinać złą siłę, co poetę w grób strąciła. Jeżeliby jaki malarz, ot, w rodzaju Gabryela Rossettiego, zamiast zawieszania świętego lub świętej śród obłoków na podobieństwo Rafaela, Tycyana lub Murilla, pragnął przedstawić ducha, ulatującego z martwych prochów nieboszczyka ku tronowi Boga, powinienby szukać odpowiedniego nastroju w *Adonais'ie*. Z pewnością znajdzie tam pożądaną głębię i filozoficzny polot jak nigdzie indziej. Ale żadna kombinacya barw, świateł i cieni nie oddałaby tego rozszalałego patosu, skojarzonego z powiewnością.

Shelley buja, jak biała orlica dokoła gniazda, które znalazła nagle pustem. Są to wściekłe uderzenia skrzydeł i rozpaczne wzloty, po chwili znów spokojna boleść męża, aż w końcu nieprzytomne *delirium* radości, że kochanek Uranii nie zginął, jeno przeszedł do lepszego, godniejszego świata. »Kto śmie płakać Adonaisa — ten jest nieszczęśliwy... Kłamstwem jest, że on umarł. Nie, to śmierć umarła, a on żyje i już zbudził się... Pokój! Pokój! on nie umarł, nie śpi, on się zbudził ze snu życia — to jeno my, błądząc śród burzliwych mar, walczymy napróżno z widmami i w szale uderzamy sztyletem rozumu w jakieś nietykalne *nic*...« Jest tu taka sama mięszanina tonów twardych, tragicznych, z nadziemsko-melodyjnymi, jak w marszu żałobnym Chopina. To zdaje się nam, że widzimy własnymi oczami, jak dusza wieszcza wedle słów zakończenia zawisa złotą gwiazdą na stropie, strzegącym rzesze nieśmiertelnych, to znów, że słuchamy rozdzierającego *requiem*, które od czasu do

czasu gdzieś w kącie kościoła przerywa spazmatyczne, ciche, dławione łkanie wdowy.

W *Adonaisie* dochodzą szczytu wszystkie znane nam już rysy przeduchowienia Shelleya, a równoległa z nimi wzbiła się do zenitu zdolność osobliwa, którą możnaby nazwać superlatywizmem poetyckich zwrotów. To, czem jest wypełniony od początku do końca *Farys* Mickiewicza i co tej pieśni zwycięztwa nadaje odrębny całkiem charakter, w pewnym stopniu cechuje też elegię, o której mowa. Mimowoli przychodzi na myśl arab nazwany przez huragan młodszym bratem, albo trąba powietrzna, co pada u nóg beduina długim jak wał miejski trupem, lub wreszcie dusza utopiona za myślą w niebie, nakształt pszczoły, która z swe żądłem serce oddaje. Podobnie czytamy u Shelleya, że śmierć wstydziła się swej obecności w śmiertelnej komnacie Keatsa, że jego myśli, teraz sieroty bezdomne, płaczą dokoła zimnego serca i że on sam, Shelley, nazbyt podpatrywał wdzięki natury i został przez nią rozszarpany, jak ongi Akteon przez psy Dyany [1]).

Adonais jest krzykiem trwogi konającego, któremu sen przedzgonny zamąciło bolesne widzenie. Shelley był już wtedy uspokojony, wiedział co trzymać o swym stosunku do ludzi i świata i zdawał sobie sprawę z całej widmowości swego istnienia. Czuł nad sobą przymus idealistycznej natury i nie próbował z nim walczyć — poddawał się z cichem westchnieniem. Tę rezygnacyę, kryjącą w sobie otchłań

[1]) Przepiękne to porównanie zwróciło już dawniej uwagę Heinego, który jednak mylnie stosował je do Byrona. Prostując pomyłkę, Dr. Gustaw Karpeles znowuż błędnie podstawia pod Akteona — Johna Keatsa. (Heine, wydanie zupełne 1887, tom IV str. 270).

sieroctwa, zdradza *Epipsychidion*, napisany nieco wcześniej, ale również w formie elegii.

Czyż ta przewaga *elegii* w tym okresie jego życia nie jest znamienną? Shelleyowi grała już wówczas w sercu muzyka żalu i tęsknoty, ona stała się jego nastrojem ciągłym. Smutek bezdenny, odbijając się w źwierciedle samowiedzy, zamienił się w najwyższą melodyę i poezyę. Ucichły szamotania i zgrzyty Dedala, pragnienia i skargi jak gdyby przestały wyrywać się na zewnątrz kipiącą lawą i tylko jęczą, w sobie zamknięte. Chwilę tę przyspieszyła Emilia Viviani, olśniewając wzrok poety czarem niezwykłej urody i zalet umysłowych. Widoczne to, że ona wydała mu się doskonałem wcieleniem ideału, o którym śnił w młodości, zanim śluby rzeczywiste i kobiety prawdziwe obniżyły skalę jego wymagań i od zbyt górnych lotów odzwyczaiły. Była mu zjawiskiem niespodzianem i ziszczonem w chwili, kiedy jego proces ostatecznego przeduchowienia dobiegał kresu, ażeby mu dodać skrzydeł i wielkim przypływem świeżego zapału na nowo podbić w niebiosa.

O zmyjże ślady ziemskich wad i kału
Z tego żałoby pełnego hejnału.
Zmyj łzą błękitną, co ci świętą rosą
Płynie ze źrenic, podobnych niebiosom.
Płacz, aż ta boleść w zachwyt się przemieni,
Potem uśmiechem zbaw go z śmierci cieni.

Bah! czem ona była i czem miała być dla poety — w paru słowach powiedzieć się nie da, trzebaby porobić stuwierszowe wypisy, w których nie mające granic uwielbienie migoce blaskiem pysznych porównań. W tej Elegii Shelley jest poganinem śmielszym niż dawniej, bo składa hołd pobożny kobiecie,

sypie jej do stóp perły uczuć, które się zwraca zwykle tylko do niewiast, otoczonych sławą zasług dla wiary. W tej swojej korności umie ją wznieść na poziomy zawrotne, a siebie atomem ducha uczynić, motylem, którego skrzydła opaliła swym płomieniem. Ale w tym opisie nie ma żaru zmysłów, który tak często władał dawną poezyą Percego. Chce on mieć w Emilii siostrę-westalkę, i żałuje, że nie jednemu łonu zawdzięczają swe życie. Tęsknota jego daleką jest od wstydliwego samotrawienia się Jocelyna, którego tak nieraz w pamięci naszej wskrzesza tłem bogatych krajobrazów, gór, kaskad i portów. Różną jest nawet od miłosnych omdleń Słowackiego, którego *W Szwajcaryi* przypomina znów tłem »gajów, dolin, łąk i strumieni«, bo poeta polski na krosna liliowego stosunku rzucił tu i owdzie czerwony ognik zalot lub żądzy. Naturalnie że *Epipsychidion* zupełnie jak *Adonais* jest więcej elegią nad sobą, jest spowiedzią i obrazem własnego zachwycenia. Wezbrana jak wiosenne wody, zrywa tamy i szarpie brzegi i nałogowo zbacza z drogi, ażeby nurzać się w panteizmie ludnych krajobrazów i uniesień nad przyrodą. Kochanek zlewa duchową istność swą z duchem kochanki, zastępującym mu już teraz Boga i Wszystko i gdy każe własnym wierszom, ażeby klękły w swej nicości przed Panią, jednocześnie sam słania się w żalu i tęsknocie. Dusza zeń wychodzi jakgdyby połaskotana tym samym księżycem, co przynosi śmiertelną ulgę bohaterowi Juliusza.

IX.

»Śpiewałem tańce gwiazd, śpiewałem ziemię dedalską i niebiosa, i wojny olbrzymów i miłość i śmierć

i narodziny« i śpiewałem stokroć więcej niż on *(Hymn Pana)*, miałby prawo powiedzieć Shelley, a te tysiące cudów, barw i uniesień, płaczów, rozrzewnień, tęsknot i nadziei i buntów, zmełte na czerwony pył idei i rozcieńczone w prawdziwy *ichor* bogów, odżywianych nektarem i ambrozyą, stanowią język jego, są tem tworzywem, z którego urobiły się wszystkie dzieła Shelleya. Nie wiadomo, co w niem podziwiać, czy dziwną różnolitość składu, czy zdumiewającą zarazem jednolitość ducha i wytrzymałość cech znamiennych Swoje głęboko liryczne ja, kotłujące się wezbranem uczuciem, podstawia on pod temata z zuchwalstwem żywiołu, który jak ciepło wciska się wszędy. Jego ekstatyczna twarz panteisty i teologa, namiętnego erotyka, chorobliwego amanta przyrody, wizyonera, apostoła, proroka, męczennika i poety, przeduchowionego do ostatnich granic możliwości, wyziera stale i nieuniknienie ze wszystkich utworów, tak całkiem niezależnie od ich rodzaju i formy, iż zanurzywszy się w odmęty bezdenne tej toni, wnet przekonywamy się, że to nie styl, wyszły z warsztatu pewnego wieku lub pewnej piędzi ziemi, że to nie fabrykat, biernie chłonący z zewnątrz różne wpływy i odpowiednio do nich zmienny i coraz to inny, doskonalszy lub pośledniejszy, lecz substancya pierwotna, takiem samem nacechowana piętnem samorodności i bogactwa, co język Szekspira. Wielcy poeci greccy i rzymscy, wielcy wróżbici i mędrcy hebrejscy, wielcy myśliciele racyonaliści i sensualiści oraz wieszczowie rodacy nie tyle oddziaływali na nią, ile sami służyli jej za codzienną strawę. Dla Shelleya pewna mądrość, pewien całokształt myśli, pewna potężna indywidualność były karmią a mało wychowawcą. Nawet wielka rewolucya posłużyła mu za impuls, była chrztem, po którym

wnet ozwały się w nim popędy, przerastające swą szczytnością jej popędy, a rozległością widnokręgu moralnego i umysłowego — jej horyzonty. Korzył się przed sławą imion i wydarzeń dziejowych, ale sam był od nich mało zawisłym, bo korzonkami swego jestestwa sięgał najdalszych krańców świata umysłowego, tak jak pędami swoich rozłożystych konarów dotykał niebieskiego stropu przyszłości. W swej zdumiewającej prawdą autoanalizie zdaje sobie jasno sprawę z tego, że niepodobna zostać w formie poetyckiej nietkniętym przez otoczenie, ale sam geniusz uważa za coś pierwotnego, co można sprowadzić jeno do różnych wpływów. Po prostu przeczuwał dzisiejszy determinizm Taine'owski w krytyce. *(Przedmowa do Prometeusza).*

Oczywiście styl, będący cielesną powłoką takiego ducha nie jest jeszcze najwyższą wyżyną piękna. Natura tak elementarna i pierwotna z konieczności musi kołować, przetwarzać się, słowem grzeszyć przeciw artystycznej zasadzie bezwzględnej różnobarwności. To też Shelley potrafi znudzić i zmęczyć natarczywością i istnem wścibstwem swych oderwań idealistycznych, i potrafi gorący lecz tak zawsze podniebny pacierz *klepać*, choć wiemy, że zanadto jest niespokojny i trawiący się, ażeby mógł wpadać w bezmyślność i odruchowość, lub rodzaj zapomnienia o tem, co już nie raz był napisał.

W jego słowniku są niby stałymi inicyałami, ciągnącemi się przez setki stronic takie wyrazy, jak wolność, prawda, miłość, nadzieja, wiosna, świt, i ich negacye: tyran, despota, kłamstwo, nienawiść, głód, kajdany, ciemnota, kiedy je przetapia na porównania, zalewa nas nieustającym deszczem kwiatów, oślepia milionem tęcz lub jasnością słońca, odurza wonią

myrtów i magnolij, wprowadza w zamęt bogactwem podzwrotnikowej fauny, której najcudniejsze twory, zwłaszcza skrzydlate, zapełniają gaje i puszcze; odświeża nas wonią wieczora lub brzasku, lśniącą jak brylanty, ochładza powiewem jezior i stawów, na których szybie przejrzystej drzemią białe jak śnieg nenufary, lub perlistym opadem tysiąca fontan, po których pływa wiosłujący misternie mięczak-argonauta. Ile tam orłów gnieździ się po skałach i szybuje po obłokach — niepodobna zliczyć, tyleż dzikich łabędzi, skowronków, słowików, gołębi, ile bocianów i żórawi, jaskółek, turkawek! Śród traw żmije i węże, koniki polne, chrząszcze i jaskrawe muchy. Z samych lilij i róż i fiołków możnaby usłać puszyste łoże dla wszystkich heter Heliogabala. Drogie kamienie wysadzają wszystkie jego groty, pałace, świątynie. Szafuje setkami marmurowych kolumn, sypie blaskami kryształu i alabastru. W samym *Rokoszu Islamu* kalejdoskop jego składa się z szmaragdów, szafirów, dyamentów, pereł, jaspisów, korali, ametystów a i wszędzie indziej potrafi znaleść okazyę do roztoczenia tego jubilerskiego przepychu, jak wszędzie indziej umie przesuwać przed oczami widzów krajobraz mórz błękitnych, purpurowych wschodów słońca, fioletowo otaczających góry mgieł.

Jest to oczywiście fantazya romantyczna, czarodziejska, ale jej twory pochodzą u Shelleya nie od marzycieli niemieckich, lecz są prostym wypływem samego sposobu myślenia i rozumienia świata. Wielbi naturę, przeto ją bezustannie maluje i upiększa, nienawidzi mroku, więc przesyca słońcem wszystkie poezye, zawiera w swej duszy krocie istności, więc je miłośnie pokazuje ludziom, drgające życiem, ruchliwe. Jest idealistą i wizyonerem, więc igra sylfami, faunami

i duchami. Kocha muzykę, której poświęcił nawet osobny sonet, i marzy, że ona jest wtórem rozlanej po wszechbycie miłości, więc ją snuje bezustanku i zmusza do towarzyszenia wszystkim procesom życia. Dla niego gra powietrze, melodyą jest zapach, tchnienie kochanki, szmer majowego deszczu, sama pieszczota dwojga oddanych sobie istot. Muzyka wedle przybliżonego naszego obrachunku odzywa się *paręset* razy przy najrozmaitszych czynach, uczuciach i zjawiskach, których, rozumie się, spamiętać niepodobna. »Już drga różowy blask słońsca. O! czyliż nie słyszysz, jak tam po niebios szkarłacie wieje eolska muzyka piór jego«, mówi Arya w *Prometeuszu,* a Pantea: »Stałam się, jak wietrzyk, zamierający pod melodyą twojej bezsłownej mowy«. Ma on harmonię za taki niby podstawowy fenomen przyrody, jak ruch cząsteczek w ciałach, lub ruch masowy; doskonale, jak nikt inny na świecie, usprawiedliwia piękny okrzyk Byrona:

> Gra pięknie szyba spadającej fali,
> Gra pięknie w wodzie wzdychająca trzcina,
> Wszystko gra, niechaj tylko ludzie słyszą,
> Ziemia jest echem sfer, co nad nią wiszą.

Tylko, że dla Shelleya i procesy duchowe odbywają się na tle muzyki. Samego siebie nazywa lirą *(Oda do wiatru zachodniego),* a powinien był się nazwać harfą eolską. Ba, toć i mowa człowieka wogóle jest »wiecznym jękiem orficznej piosenki, który dostraja posłuszną myśl i formę do harmonii niebieskiej *(Prometeusz),* a wszechświat — oceanem wiecznej gędźby«. I prawdopodobnie dba o to świadomie, ażeby nic w jego poematach nie odbywało się bez tego niemilknącego wtóru. Inaczej trudno byłoby sobie tę

konsekwencyę wytłómaczyć, z jaką darzy talentem muzycznym wszystko, co żyje, co jest ciałem, głosem planetą, eterem, uczuciem smutku lub wesela, pragnieniem, *czasem,* lotem, pełzaniem, śmiercią, świtaniem — wszystkiem i niczem.

Nie dziw, że w ślicznej eklodze *(Orfeusz)* płacze nad nieszczęśliwym mężem Eurydyki, wynosi czaczarodziejską jego moc i lirę, której »tony są cudowne, żałosne i słabe, ale melodyjniejsze od zefiru, co szemrze między kolumnami świątyni«. »Gdybym chciał być echem jego wzniosłego śpiewu, przyroda musiałaby użyczyć mi słów, których dotąd nikt jeszcze nie używał«. Jednak usiłuje on nieraz wysłowić to, czego wysłowić wprost niepodobna. Zanadto wnikał w przedmioty, a zwłaszcza w naturę, aby mógł ją odmalować nietylko dla siebie, lecz i dla czytelnika. Mimo wielki sentyment dla malarstwa i rzeźby, które, bawiąc we Włoszech, studyował zawzięcie i rozumiał niepowszednio, wyższy w tym względzie o całe niebo od Byrona, mimo zmysł plastyki i koloru — nie posiadał zmysłu perspektywy, nie umiał gubić szczegółów dla całości. Jego krajobrazy ciągną się w lirykach na setki wierszy, zawierają całą botanikę i zmuszają nas do zatracenia ogólnego rzutu oka. Nie wystarcza mu gromkie i dreszczem przejmujące »Aa!« Pielgrzyma z Sonetów krymskich, który gdzieindziej znów na widok otchłani obiecuje opisać ją »po śmierci, bo w języku śmiertelnych nie ma na to głosu«.

Rozdrabniając ową miłość dla kroci kwiatów, i liści i zwierzątek, Shelley zostaje zarazem olbrzymem, rozmiłowanym w tem, co olbrzymie. Te dwie zdolności łączy w sobie w stopniu nieprawdopodobnym. W »Rokoszu Islamu« jego fantazya ma w sobie coś z potwornie wielkiej architektury indusów,

ogromnej w planie, a jednocześnie uginającej się pod ornamentyką. Lubi też wspominać o słodkim, albo »dobrym tytanie«, o »łagodnym gromie« i potrafi zestrajać wszechogrom z maluczkością w sposób czarowny. Oto przykład:

DEMOGORGON.

Ziemio! wszechjednej duszy królestwo przedwieczne,
Sfero świętej harmonii w postaciach i głosach,
Co zbierasz obiegając w krąg koło słoneczne
Miłość, ścielącą twoje drogi po niebiosach.

ZIEMIA.

Słucham — ja — kropla rosy, co drga i umiera.

DEMAGORGON.

Księżycu! zapatrzony w pomroczne oblicze
Tej ziemi, jak i ona na twarz twą spoziera,
A w was ludzie i zwierząt i ptactwa rój wszystek —
Czczą miłości i piękna stadło tajemnicze.

KSIĘŻYC.

Słucham — ja — z twej potęgi otrząśniony listek.

(*Prometeusz*, Akt IV).

X.

Jeden z przyjaciół Shelleya mniema, że gdyby żył on dzisiaj i wyjrzał oknem swego mieszkania na świat boży, uczułby się boleśnie zawiedzionym na widok marnego plonu swej wieszczej siejby. Peacock — jego to bowiem słowa — mierzy widać, jak wielu anglików, wartość poezyi jej owocami namacalnymi. Inny pisarz, Principal Sharp, nazywa Shelleya pięknym anio-

łem, który jednak daremnie uderza w powietrze swymi świetlanemi skrzydły [1]).

W tym podobnych sądach tkwi duch pospolitości i miernoty, który nie pozwolił już nietylko oznaczyć wagi, ale nawet zrozumieć shelleizmu. Nawet prof. Dowden, który w obronie jego kruszy kopie i usiłuje pojąć szerzej, zawsze jeszcze stoi na przestarzałym punkcie widzenia. »Łagodny tytan« wiedział doskonale, że swoją piersią nie rozgrzeje zdrętwiałego świata i prędko wyrzekł się tej manii reformowania, którą żartobliwie pysznił się ongi. Zamknąwszy się w świątyni sztuki, pragnął już tylko błyszczeć na jej stropie promienną gwiazdą i zachwycać umysły bratnie »L'anima amante si slancia fuori del creato e si crea nell' infinito un mondo tutto per essa« — są to niby słowa Emilii Viviani, ale stosują się oczywiście do niego samego. Był kochankiem ideału, więc musiał, rzuciwszy zwykły padół, stworzyć sobie w nieskończoności świat odrębny, a wtedy niewiele już go obchodził poklask tłumu.

Niewielu pewno, o moja ty pieśni,
Przyjmie dziś ciebie i myśl tę zrozumie.

bo ona za trudna — gdy oni za płytcy — mówi wyraźnie, niemal tonem mizantropii Byrona, we wstępie do *Epipsychidion'u*, składając dowód wymowny, że nawet dawna pasya obdzielania bliźnich swą duszą i ciałem, osłabła pod wpływem nad-człowieczych pragnień.

W ogóle zanadto przyzwyczajono się upatrywać kontrast między Shelleyem a Byronem. Jeśli on istnieje, to jeno co do formy, w którą się przyoblekła siła życiowa każdego z nich, ale daleko mniej w stosunku

[1]) *Last words ou Shelley* by Prof. Dowden.

do reszty świata. To prawda, że jeden więcej działał ogniem poezyi na zewnątrz, a drugi trawił się nim wewnętrznie, że jeden bódł gnuśną cywilizacyę ostrogą, a drugi pragnął działać na jej serce, ale i to pewna, że obadwaj pod koniec życia stracili młodzieńczą wiarę w przetwórczą potęgę wiersza, zachowując wyniosłą ambicyę pół-bogów. Cała różnica, że starszy, zstąpiwszy między śmiertelnych, igraszkę z nich nieraz robił i bawił się okazywaniem im tej swej *siły*, gdy drugi nawet w rozczarowaniu brał świat poważnie i nigdy całkiem ubolewać nie przestał, że swej *lepszości* podzielić między nich nie może. Tamten na piszczałkach Pana wygrywał swoje straszące pastuchów pieśni, ten płakał jak harfa Eola, wiodąca ciche, tłumione rozhowory z zefirem, i dla tępego ucha pasterzów wcale niesłyszalna. Kiedyś w przyszłości, gdy ludzie rzucą kij leniwych bydłopasów i zaczną wieść życie istot rozumnych i nieskończenie pragnących, pojmą oni i ten bezmiar *pragnienia* i tęsknoty, który targał duszę Shelleya, a który jest głodem zbyt szlachetnym, ażeby mógł być zwykłym chlebem życia zaspokojony. Albo ten czas nie nadejdzie nigdy, albo jest bardzo daleki — tak czy owak, dusza ta na długą jeszcze skazana jest samotność.

Duchy gwiazd tańczą w tej cichej źrenicy,
Odbicia fal tych, co z pod błyskawicy
Jej duszy płoną i taką głąb tworzą,
Że myśl i zmysły próżno siły łożą,
Ażeby dotrzeć do głębin źródliska.

(Epipsychidion).

Bratnimi duszami nie będą mu ani siewcy nauki, bo Shelley jest czemś więcej niż nowożytnym Lukrecyuszem, mającym swego bliźniaka w Sully

Prudhomie, ani gruntownie zdemokratyzowani marzyciele, gdyż jego ideał obejmuje wiele różnorodnych wyżyn naraz. Dlatego też mimo cały dzisiejszy kult jego imienia, uczniów posiada niewielu. Jest zanadto *treścią*, ażeby można go było naśladować, możnaby co najmniej przedrzeźniać jego zewnętrzne efekta. Chociaż poezya francuzka w swej pogoni za mistycyzmem, wydelikaciła się niezmiernie i poznała na Shelleyu, którego zalicza już prawie do swoich, to przecież wspólność między nimi jest prawie żadna. Parnas lubi marmur i spiż, a Shelleya poezya jest z płynnego ognia; dekadenci mają zaostrzone zmysły na użytek swoich drobnych sybaryckich naturek, on ma wyolbrzymiałą pragnieniem wyobraźnię, której zmysły służą jak niewolnicy, ale nie jak pieszczochy, — jak środki, nie jak cele. Nie jest to owa »czysta poezya«, na którą mógłby się pisać Gautier i Banville, Leconte de Lisle i Mallarmé, albowiem pod samą przezroczą jego powierzchnią, nawet nie w głębi, huczą wszystkie wiry i kipią wszystkie wary Atlantydy [1]).

[1]) W naszej literaturze dopiero ostatnimi czasy objawił się ruch Shelleyowski i dziś jeszcze objąć okiem całego jego przebiegu niepodobna. Godzi się przecież zauważyć, że wywarł on wpływ wybitny na p. Jana Kasprowicza, który nawet drukował o nim studyum, co prawda dorywcze i błędne w faktach i jakby na kolanie dla użytku »Myśli« pisane. Tłómaczył on z większych utworów *Cencich*, *Alastora* i *Odę do wiatru zachodniego*. Niewątpliwie sporo też zawdzięcza Shelleyowi p. Feliks Jezierski, który go tłómaczy znakomicie (*Prometeusz* i *Epipsychidion*), bo głęboko, poetycznie i dokładnie. Drobniejszych śladów zajęcia się wielkim poetą spotkać można dziś u nas bardzo wiele (An. Lange, Ign. Matuszewski, Alfred Hösick, Maryan Zdziechowski i inni).

CZĘŚĆ CZWARTA.

PRZEDUCHOWIENI I BOLEJĄCY.

I.

Pokolenie idei i ducha.

Samo zwiastowanie królestwa ducha nie czyni jeszcze pisarza poetą ducha. Potrzeba, żeby ludzkość idealna i szczęśliwa była nie tylko bohaterem poematu, ale tkwiła niejako we krwi i nerwach wieszcza, ażeby jego osobistość stanowiła pierwszy, przedwczesny okaz nowego, w rojeniach widzianego pokolenia. Wtedy tylko będzie on dla nas zapowiedzią, wyrazem, heroldem nowego świata, gdy własna jego cielesna i duchowa natura zawiera w sobie kiełki przyszłego gatunku, gdy w jego zmysłach, uczuciach, popędach widnieć będzie nowy stempel, lub — jak się zwykle dziś mawia — gdy indywidualność pisarza, odbudowana z danych życia i jego psychiki, wtórować będzie tym motywom, które on w swych dziełach wygrywa. Goethe np. jest artystą, kompozytorem, daleko większym, niż Shelley, ale artystą nowego Odrodzenia;

to bajecznie wielki oswobodziciel zmysłów i zmysłowego uczucia, w Wertherze, Elegiach rzymskich, Egmoncie, romansie Fausta i Małgorzaty, Dywanie Zachodnio-Wschodnim i *Wilhelmie Mejstrze* i w całej swej zdrowo zmysłowej liryce, ale z czarownego koła wiecznie kobiecego wdzięku, wyrywa się potężniej raz tylko, w pierwszej części Fausta. Fibry jego nerwów krótko tylko były strunami instrumentu, opiewającego bohatera — ludzkość. Z Włoch wrócił spokojny, pełen równowagi, i lutnia na temat świata grać przestała. W Mefistofelesie, duchu, co wiecznie przeczy, podziwiać musimy jadowitość i dowcip, ale nie pokrewieństwo z samym jego twórcą. Goethe jest artystyczną kwintesencyą swej rasy i narodu, tem dla niemców, czem Homer dla greków a Mickiewicz dla nas. W takich ustrojach wszystko musi być pełne, cudownie harmonijne, i odzwierciedlać bez żadnych szczerb wszystko, czem naród jest i czem chce być; nie powinno w nich być wybryków w żadnym kierunku, ani przewagi czynnika nad czynnikiem.

O wiele mniej są warte dla krainy sztuki organizacye, rozwinięte w pewnym kierunku chorobliwie; wtedy postaciują one pewien ideał, sumą swego życia rzucają się w jednę stronę, a gdy stroną tą jest czysta duchowość lub idealizm, wtedy trudno wyrzec o nich, że są poetycką syntezą narodu lub epoki, lecz można i trzeba powiedzieć, że są pierwszą szczepionką nowego gatunku roślin. Dlatego to pewnie uderza w nich wątłość i niedługowieczność: za mało są przystosowane do dawniejszych warunków życia. Więdną i schną, oddawszy światu i piśmiennictwu tę samą doskonałą duszę, którą niewidzialnie wessały w siebie z otaczającej atmosfery, a która z pospolitymi drzewami nie asymiluje się zgoła. Niekiedy jednak duszę tę sub-

telniejszą, przyrodnią zwykłym śmiertelnikom li pojedynczymi momentami, wypowiadają oni tak szeroko i zupełnie, że stają się również syntezą, ale syntezą przyszłości.

Do takich — jak widzieliśmy — należy właśnie Shelley i sam fakt istnienia podobnego człowieka w rzeczywistości, sama możliwość podobnej jednostki, ubóstwionej choć nie od razu ale prawie jednomyślnie, stanowi znamię czasu, godne zastanowienia. I zaiste, musiała to być doba gwałtownego wspięcia się ludzkiej natury o parę szczebli w górę, ku wyżynom ideału, skoro Shelley nie stoi sam jeden, ale jedynie przerasta głową poczet umysłów zbliżonych, które zerwały się orlim lotem w wielu punktach naraz. Snadź pojawiła się nowa rasa ludzi z wyższą żywotnością ducha, którego górowanie nad ciałem idzie ręka w rękę z nieznaną wiekom średnim niepodległością czucia i myśli. Mamy na myśli głównie dwóch, z którymi, mimo różnice, nieraz spore, w dążeniach, łączy go obce całym dwunastu wiekom przeduchowienie, nad wszelką dawną miarę — wyższe. Jeden z nich, Schiller, jest dzieckiem i wychowańcem tego samego przełomu w pojęciach, jaki sprowadził Rousseau i filozofia XVIII w. Z takim samym zapałem, spotęgowanym przez polot Kantyzmu, z naiwną, prawie ślepą odwagą, rzuca się on w wir walki o wyzwolenie człowieka. Jak Shelley pisze o »konieczności ateizmu«, tak ten na tytułowej karcie *Zbójców* kładzie napis: *In tyrannos!* W Karolu Moorze ziedzi spiskowiec, zbuntowany przeciw porządkowi społecznemu, gwałtom, upodleniu i wytwornej obłudzie, wcielonym we Franciszka Moora. *Zbójcy* całkiem odpowiadają *Rokoszowi Islamu:* płonie w nich ten sam żar zbawicielski w utopię ujęty. Jakże podobni są do siebie Laon i Cytna, wichrzący w Turcyi dla

oswobodzenia kobiet — z jednej strony, i kochanek Amelii, litościwy, ludzki, demokratyczny opryszek — z drugiej. Wolna Helwecya natchnęła poetę niemieckiego pomysłem do takiegoż hymnu w *Wilhelmie Tellu,* jaki syn Albionu wyśpiewał w *Helladzie.* W *Intrydze i miłości* oraz *Don Carlosie* mamy te same wyżyny moralne, przeciwstawione występkom możnych i tyranii, co w *Cencich* i *Rozalindzie i Helenie.* Ten sam nawet dramat rodzinny, w którym się tak lubował Shelley, odnajdujemy w stosunku Filipa do Don Carlosa. Na tle pozornego klasycyzmu, który jest im gruntem wspólnym, jeden przysięga na Kanta, drugi na Platona. Tamten rozumie zawód poety jako misyę wieszcza i apostoła i, wedle trafnych słów Goetego, ma w sobie żyłkę Chrystusową, męczeńską, a ten ma cały system nerwowy podobnego rodzaju, mimo, że się uważa za osobistego wroga Chrystusa. W *Rezygnacyi* jednego odzywa się ta sama etyka stoicka, którą drugi głosi w swej *Odzie do Wielkości politycznej* i w *Odzie do śmierci.*

Gdyby kto chciał uwić równiankę większych jeszcze podobieństw, zadanie to ułatwiłaby mu paralela między *Julianem i Maddalem,* to jest rozmową Shelleya z Byronem, a *Juliuszem* i *Rafaelem,* czyli gawędą Szyllera z Körnerem. Nie czepmy się jednak takich zdumiewającybh, lecz nieraz przypadkowych zetknięć i nie zamykajmy oczów na różnice. Schiller, ze względu pewnie na wielką czułostkowość w *Maryi Stuart,* na manię idealizowania figur dziejowych, jak rywalka Elżbiety, Demetryusz Samozwaniec, Joanna d'Arc, nazwany został »poetą dla kobiet«; jego Joannes Parricida w *Tellu* całkiem zbytecznie służyć ma do usprawiedliwienia czynu Wilhelma i znamionuje w poecie brak stanowczej męskości. Natomiast powinowaty jego

z za morza, uduchowiony jeszcze więcej, bluźni śmiało i mężnie, nie uznaje żadnej świętości, szkodliwej dla sakramentu szczęścia ludzkiego. Jest on idealistą z usposobienia ale nie w poglądach; to zaś znaczy chyba więcej, bo pozwala wypromieniowywać z siebie czystego ducha a zarazem nie stępia ostrza krytyki.

Dużo bliźniaczego mają w sobie rysy Shelleya i Nowalisa-Hardenberga, ale tylko co do usposobienia; obaj są duchowi aż do wizyj, ale szczytowy punkt romantyzmu niemieckiego chciał wyczuwać tylko siebie, bodajby zapomocą bólu, gdy poeta angielski pragnął czuć w sobie tylko ludzkość. To dwa bieguny, na co słusznie zwrócił uwagę Brandes, obalając naiwne zestawienia francuza Blase de Bury. Novalis — dodajmy — był śpiewakiem mroku duchowego i fizycznego, czyli takich stanów i warunków, które sprzyjają samolubnej, zmysłowej kontemplacyi, skupionemu samoczuciu człowieka, i nienawidził to, co naszą uwagę i czucie odrywa na zewnątrz. Przeciwnie Shelley walczył właśnie z ciemnością. Nie będzie w tem naciąganej symboliki, gdy powiemy, że wszystka jego poezya jest jak jasny, blaskami promienny ranek; scenaryusz jego poematów tworzą zwykle barwy i światła, z których się składa zorza wiosenna. To poeta *rozświtu.*

Poeta rozświtu musi być bratem poecie *Przedświtu* — nie inaczej. Nową, wątłą płonką pokolenia bardziej niż nasze i na kształt Shelleya uduchowionego jest Zygmunt Krasiński, mimo cały swój *epimeteizm,* jakby powiedział Klaczko, mimo żal za usuwającymi się w historyę hasłami i pomimo to, że poezya nasza najczęściej zamieniała muzykę na dzwon trwogi albo pieśń wojenną i układała je w jeden akord z psalmem modlitewnym do Anioła stróża, z hymnem nadziei. Choć bowiem poeci nasi nieraz zaczynali górny

swój polot od kołowania nad całym światem, na wzór Fausta i Manfreda, kończyli jednak wyłączną dla ziemi swej miłością i nad nią jedną natchnieniem szybowali. Atoli Krasiński miał obok tego szerokie poczucie powszechności. Wychowany na filozofii Hegla, rzucił się nawet na pewien czas w objęcia panteizmu i wiarę swą z obsłonek dotykalnych rozzuł. Jego mowa ogarnia bezmiar, słowa rozlewają się we wszechświat, w jego poezych drga tętno wszechbóstwa. Nastrój ten wieje z *Syna cieniów*, który woła:

Gdziekolwiek idziesz, tam wre anioł życia,

a zaraz potem:

I wszędzie niebo — niema nigdzie ziemi
I wszędzie bogi — nad tobą i w tobie,
Na każdem miejscu i o każdej dobie
Byłeś — nie jesteś, lecz znów będziesz z niemi,

kończy zaś:

Bo w każdej (duszy) jeden Ty jesteś, o Panie!
I w każdej wołasz: »Ja«, a oprócz Ciebie
Nigdzie nic niema i nic nie powstanie!

Z czasem panteizm ustąpił miejsca tkliwemu przywiązaniu do »opoki systemu i dogmatów«, ku wielkiej radości takich jak hr. St. Tarnowski. Jednak w przedmowie do *Przedświtu* trwa wiara w Boga historyi, który, niby duch absolutny Hegla, nie opuszcza jej, jeśli tylko wzniesie ona w zwątpieniu ręce ku niemu i językiem ludów ziemi krzyknie: »Pokaż się nam, Panie!«

Panteizmu nie nabywa się z książek, trzeba mieć do niego skłonność wrodzoną; kto ją posiada, choćby ukląkł później kornie przed obrazem, nie przestanie być panteistą bezwiednym. Był nim Krasiński w każdym calu: stąd wielkie jego dramata dziejowe mają rozmach nieledwie wszechświatowy. Zarówno *Irydion,*

jak *Nieboska* i *Niedokończony poemat*, pływają w przestrzeni i ją ogromem walk swych wypełniają.

Dlatego też są alegoryczne i mgliste, wszechludzkie i fantastyczne.

Poza Shelleyem żaden poeta nowszy nie był tak z gruntu wieszczem-prorokiem, jak Krasiński. Jak u tamtego, tak i u tego sprawy osobiste, romantyzm egotyczny, pierzchają przed ekstazą kapłańską. W dwudziestym pierwszym roku życia zamiast wygrywać na harfie burze wiosny, żale i zawody, tworzy dziwnie dojrzałą *Nieboską komedyę*. Depcze związek małżeński; na żonę, jako Henryk, nie ogląda się; na skargę, iż »od miesiąca słowa nie rzekł do niej« milczy, zapatrzony we własne wizye. Widzi bowiem tyko dziewicę mistyczną, swą Beatryczę, która go wabi ku sprawom wiekuistym, a żony jego miłość nazywa »liściem, co ginie wśród tysiąca zeschłych«. Czy to nie echo słów Chrystusowych: »Niechaj umarli grzebią umarłych — ty chodź ze mną!« »A kto miłuje ojca lub matkę nademnie, nie jest mnie godzien«. Jeno ewangelia Zygmunta ma charakter wsteczny, Dantejski, gdy Shelleya — prometejski, postępowy.

U obu wszakże własne »ja« topnieje pod wiewem idei, a własne ciało jęczy i choruje pod bezlitosną dłań siłą ducha. Krasiński był w dodatku Łazarzem, pastwą chorób, ciągle przez nie dręczonym, jak Orcio z *Komedyi*. Jak Orcio też nadczuły i nadwrażliwy, widział wbrew swej ślepocie więcej i dalej niż inni; wzrok ducha czynił go jasnowidzem [1]).

Niemal wszystkie ludy, przodujące oświacie, wydały wówczas zpośród siebie delegatów na ten naj-

---

[1]) Zapewne o tem podobieństwie ustroju myślał także p. Chlebowski w przypisku do cennego swego studyum *Irydyon* i *Nieboska (Ateneum)*.

wyższy areopag, w którym sądzono ludzkość całą, niekiedy Boga i naturę. A czy wyrok dopatrywał się przyczyn złego w odstępstwie od ideałów dawnych, czy też odwrotnie — w opieszałości postępu i starych nałogach, dyktowany był przez ideę zbawienia od grzechów materyalizmu i niedoli. Pod tym względem pojedyncze opinie i pragnienia się zgadzały. I choć »Trzy psalmy« ściągały na siebie drwiny Słowackiego, który śpiewał o ich autorze:

Kiedy gore świat cierpieniem,
Kiedy wzbiera czynu fala,
On się kładzie sam kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala,
Chce nawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki Boże,

to jednak twórca *Króla-Ducha* jest niemniej od niego gorącym czcicielem ducha. To nic, że pokrapia z rozmysłu krwią swe dramaty i liryki, że je omgławia purpurowym obłokiem i zieje skrami ognia co drugi wiersz i sypie piorunami, jakby to były zapałki. W gruncie rzeczy Juljusz nurza się w mgłach wyrafinowanych wyrażeń, omdlewa z nieuchwytnych emocyj i uczuć, jak te, które wyśpiewał w poemacie szwajcarskim, tak nieraz podobnym do *Epipsychidionu,* jak wiele strof w *Beniowskim,* lub rytmów w *Anhellim,* (zwłaszcza rozdz. XVII przypomina *Laona i Cytnę).* Boć to ten sam ród Prometydów, którego potomkowie nie szli jednym torem, zadanie swe zwężali do rozmiarów ideału bardziej określonego lecz może dzięki temu bardziej natężonego. Niekiedy ulegali oni złym wpływom i bałamuctwom, ale nie uchybili herbowej tarczy, na której widnieje godło *furor* w walce z Zeusem świata i dziejów. Możnaby w nich odnaleść łatwo dwa typy, niższy z odcieniem *indywidualizmu* i wyższy

z odcieniem *ewangelicznym*. Tamten, liczniejszy, ma swój pierwowzór w Byronie, ten w Shelleyu. Zobaczymy, że i w dalszym ciągu i nawet po dzień dzisiejszy śród poetów ideału wszechludzkiego rozróżnić można owe dwa wspomniane typy i to w zupełnej niezależności od wielkich Dioskurów.

Bywali i tacy, co pragnęli koligacyi z nimi, ale całkiem daremnie. Brakło im wrodzonego impetu i nieustraszonej odwagi i przeto łączyli na chłodno i na tle własnej połowiczności pewne czynniki zadumy osobistej z dążeniami miary powszechnej. Są to giermkowie w usługach wielkich rycerzy, w których barwy lubią się stroić. Takim był medytujący seraficznie Lamartine, który zdobył się na jeden krok prawdziwie i nad zdrowy rozsądek zuchwały: dorobił nową pieśń do *Childe Harolda*, i takim był Mikołaj Lenau († 1849), nieszczęśliwy melancholik, liryk wzruszający ale tchórzliwy i słaby w odszczepieństwie. Nie sięga on hardością poza *Sawonarolę* i *Albingensów*, których szeroko opiewa; pokutuje za niewinne kacerstwo w *Fauście*, udaje beznadziejność w spleenie *Don Juana*. Bardzo późno i dopiero pod wpływem nauki zaczął wątpić i wiele go to kosztowało. A może i byłby skłonnym odwołać swą herezyę na podobieństwo Almarika.

Obadwaj łaskotali nerwy i nieraz bardzo mile, Lamartine nawet porywał muzyką słowa i pierwszorzędnym kunsztem pisarskim, ale żaden nie wżarł się na dłużej w mózgi ludzkie i nie rozsiał naokół grozy tytanicznych burz.

Jeśli zapał mesyaniczny może dojść do bolesności, to tem krótszą mają do niej drogę ci, co zorzy porannej na widnokręgu nie dostrzegają. W ich wyobraźni noc jest dłuższą, może nawet nieskończoną. Nie każdemu daną jest ta potęga ducha, która rodzi wytrwa-

łość i nie każdemu to bogactwo życia, co potrafi i przed wschodem słońca i nawet w wiecznym mroku znaleść przeciwwagę bolu — w rozkoszach boju i myśli. Zwykle duch się ugina pod ciężarem złych wróżb a jeśli to ma miejsce w literaturze: wystrzela w górę czarny kwiat pesymizmu.

Nie od dziś wiadomo, że poezya rospaczy wypływa z nadmiernych roszczeń, z nazbyt zaostrzonej krytyki. Ale że jedno jak i drugie może brać natchnienie bądź z niezadowolonego »ja« jednostki, bądź z współczucia dla całego rodzaju, przeto i poezya cierpienia bywa dwojaka: samolubna i męczeńska; więc znowu odnajdujemy dwa typy: jednostkowość i wszechludzkość.

Atoli wyszydzanie nadziei z pobudek osobistej goryczy lub zawodów — nie stanowi ideału, podobnie jak nie stanowią go filozofie Złej woli świata lub Zasady bezwiednej, płynące z zamiłowania do metafizycznych domów z kart. Wiek nasz wykazał w obu tych dziedzinach płodność zdumiewającą. Oderwane dociekania niemców sprzyjały jednej, bankructwo romantyków we Francyi, które przeklina, szydzi, boleje lub do litości wzywa, w osobach Flauberta, Beaudelaire'a, Lecomte de Lisle'a — drugiej. Ale tym pięknym, podzwrotnikowym, choć ponurym krzewom, przyjrzymy się jeszcze, gdy właściwa kolej czasu na nie przyjdzie. Prawda, że zgorzkniały Parnas z tamtej strony Renu, zarówno jak żółciowa mądrość Schopenhauera, Frauenstaedta i Hartmana — z tej, mają w sobie tę samę gryzącą sól, co weszła w stały skład gruntu umysłowego pierwszej połowy wieku i uczyniła słoną całą jego roślinność; prawda, że jedni i drudzy mają pomysły głębokie i stworzyli dokoła siebie tłumy zwolenników, i w dziejach samowiedzy

należałby się im niejeden rozdział: ale niewiele wspólnych punktów łączy ich z tem dostojnem, przeduchowionem i moralnie wyższem pokoleniem, które wdarło się jak orkan we wrota stulecia. A ileż natomiast olbrzymich, nieprzebytych różnic dzieli jednych od drugich! Tu cierniowa korona — tam deptanie nogami wszelkich świętości, wyniosły indeferentyzm artystów lub wprost nieżyczliwość, głosząca hasło tępienia narodów a przynajmniej ściskania ich żelazną obręczą Hobbesa. Orkan prometejski nie przeżył swoich bohaterów i w miarę oddalania się od nich przechodził w pospolitą kurzawę samolubstwa i srogości, odzyskujących swe dawne prawa.

Przednie straże wieku, czy były w służbie u filozofii, czy u poezyi, przedewszystkiem rwały się do walki za ideały ludzkości i obowiązek mężnego stawiania czoła miały sobie głęboko wszczepiony. Emanuel Kant, choć się na razie wiary w Boga wypierał, to jednak czuł go dokoła, podobnie jak owa dziewczyna z *Romantyczności,* co wzrokiem ducha czuła widmo swojego kochanka. To nieprawda, że dorobił Boga na benefis wiernego sługusa, Lampego, i tych wszystkich, co — jak on — biadali na pustkę w świecie. Autor tego domysłu, Heine [1]), okazał w nim więcej ciętego dowcipu niż przenikliwości. Mędrzec królewiecki był z gruntu idealistą Rousseau'owskiej formacyi, siłaczem woli, której przypisywał możność panowania nad zmysłami, twierdząc, już na schyłku żywota, że »zwycię-

[1]) Koncept ten, brany w filozofii nieraz na seryo, znajduje się w słynnej, dla francuzów pierwotnie napisanej rozprawie: *Zur Geschichte der Religion und Philosophie in Deutschland.* Księga III. *Von Kant bis Hegel.* W sposób dla nas osobiście bardzo sympatyczny Heine pojmuje Fichtego, wyczuwa w nim bowiem człowieka idei, poetę i bojownika, choć nie największego filozofa.

stwo nad ciałem jest najwyższym rezultatem filozofii«[1]), wierzył w moralne natchnienie (które nazwał »kategorycznym rozkazem«), uznawał, że niepodobna zachwiać podmiotowem uczuciem wolności woli; kochał, mimo pozorną swoją surowość, zbiorowego człowieka, był optymistą i marzył o przyszłem braterstwie w wielkiej rzeczypospolitej powszechnej. I takim samym, jeno w wyższym stopniu czcicielem idei i ideału był Fichte, który ludzką jaźń uszlachetnił, godność jednostki rozniecał płomiennymi mowami i za cenę własnego na katedrze stanowiska i dobrobytu. Uczonym stawił za cel pielęgnować, jak ogień Westy, tę świętą »iskrę Bożą«, która w nich tleje [2]), i cały bezmiar rzeczy pragnął podporządkować wolnej istocie ludzkiej. I u Shellinga biblijny duch Boży unosi się jeszcze nad morzami, chociaż spętany nieugiętymi prawami fatalizmu Spinozy. I dopiero wtedy zaczyna się zmierzch bogów, gdy nadworny dostawca wygodnych teoryj, Hegel, wielkim cieniem swej postaci zakrył światło i na długo je zgasił. Pesymizm niemiecki próżno powołuje się na Kanta, (którego wywody nad poznaniem ludzkiem, w mniemaniu Schopenhauera, uzupełnił i poprawił, uznawszy w Woli powszechnej *Ding an sich),* jest bowiem naszpikowany do samego rdzenia kości odrodzonym lewiatanizmem Hegla.

Ten *katzenjamer* doktrynersko-usłużny nie mógłby

---

[1]) W Przedmowie *(Anmerkungen zum Vorwort)* do dziełka, którego sam tytuł już jest znamienny: »Von der Macht des Gemüths durch blossen Vorsatz seiner krankhaften Gefühle Meister zu sein«. Skądinąd jest to traktat o hygienie, ale więcej w siłę moralną niż w lekarstwa wierzący. Wydawca, słynny hygienista Hufeland opatrzył go komentarzem: »Tylko duch żyje. Tylko życie ducha jest prawdziwem życiem«.

[2]) *Ueber die Bestimmung des Gelehrten* oraz *Ueber die Bestimmung des Menschen.*

jednak przylgnąć do prometydów ze szkoły wielkiego stulecia. Mógł ktoś nauczyć się *Kaina* Byron'owskiego i zmawiać jego urywki zamiast *Ojcze nasz* lub nawet bardziej przez to bluźnić bóstwu, ale nie wyradzał się jeszcze społecznie. Owszem, rozpaczał prędzej z nadmiaru wrażliwości nad niedolą bliźnich i miotał się na urządzenie świata z bólu solidarnego. Takim właśnie był Leopardi i taką była Ludwika Ackerman, którzy stanowią niby dwa kolejne momenty w rozwoju kierunku naszego. Wcześniejszy jest punktem szczytowym zwątpienia i przeczenia, następny zaś zwiastuje słabą zorzą powrót myśli, jeśli nie jaśniejszej, to bądź cobądź odważnie wojującej ze złem.

II.

Beznadziejność urągliwa. Leopardi.

Kto widział smukły cyprys na włoskiem *Campo santo,* pamięta może jego wyraz mrocznej, cichej, skupionej w sobie zadumy, na tle białych, lśniących marmurów. I to może pamięta, jak róża stulistna próbuje go, oplótłszy lubieżnemi ramionami, uwieść i przytulona wonną główką błaga — rzekłbyś — o pocałunek. Próżno też czeladka bujnego kwiecia snuje się dokoła, blaskami słońca igra i do wesela kusi. On nie słyszy pieszczonych głosów i płacze nad popiołami, z których korzonki jego już może soki ciągną.

Kto czytał pieśni Leopardiego [1]), ten widział najpiękniejszy cyprys, jaki wydała Italia, ten pojmie stłumione jęki bólu nad nędzą świata, które jak żmija jadowita śród łodyżek pięknego wrzosu, kryje się pod maską codziennych uciech. Ponury to śpiewak i po-

[1]) 1798 — 1837 r.

sępniejszy jeszcze myśliciel: samotny w swej niedoli, bo go otacza natura wiecznie młoda i istoty, dyszące żądzą szczęścia i użycia. Dziwne to, że się pomiędzy te pałające oczy i pogodne wejrzenia zabłąkać mogła twarz smutna, łzami zroszona. Łatwo zrozumieć gorycz i zwątpienie na tle surowych chłodów północy, gdzie uczucie zwarzone mroźnym wichrem, cofa się w ciemnię duszy i swą niedolę rozpamiętywa. Ale jak wytłomaczyć rospacz wielką i bezdenną, pod lazurową kopułą nieba, w powietrzu ciężkiem od zapachów lauru, mirtu i pomarańczy, w atmosferze brzemiennej wielkością Rzymu i Grecyi? Czyż tam brak ciepła i światła? Słońce z królewską szczodrobliwością niemi szafuje. Miłosnego uścisku? Namiętność pali tam serca trawiącym żarem. Myśli i formy? Wiedza i sztuka bratnie podały sobie dłonie i potężnie a sławnie duchem ludzkim owładły.

Lecz poeta trafił na inne czasy, inne losy. Złota gwiazda Italii długo była zaćmioną, zasnutą grubemi chmurami. Pierzchają one powoli, ale jeszcze odrodzenia zupełnego nie przyniosły; po ranach zostały krwawe blizny na rękach, a stężałe ramiona leniwie biorą się do pracy. O ileż gorzej było, zanim więzy pękły! Leopardi zaczął działać właśnie wówczas, gdy reakcya po orgiach rewolucyi srożyła się w Europie jak dżuma. Kler, przydławiony w ubiegłem stuleciu, wydobył z pod ślimaczej skorupy rogi. Burboni i Habsburgowie ogniem i mieczem tępili resztkę wolności. Była to owa smutna, nieszczęsna epoka, w której poezya i literatura jednocześnie we wszystkich niemal krajach ozwały się nutą żałosną. Orłów nie brakło — walka z wiekami średnimi stworzyła ich moc, ale im podcięto skrzydła i kazano trzymać się blizko ziemi wówczas, gdy one do obłoków się rwały. Więc po-

wstał płacz i zgrzytanie zębów, poczęto wyklinać świat, a z nim i życie ludzkie, zasklepiać się w własnych myślach i mocno spętanych pragnieniach, Bogu i naturze ciskać złorzeczenia, uciekać z pod strzechy domowej, szukając zapomnienia w tułactwie. Tym, których już poznaliśmy, nie nadługo jednakże odebrało to siłę i odwagę do walki. Stanęli do niej — jak widzieliśmy — tem mężniej i zuchwalej. I Leopardi gotował się do niej z początku, ale miał do strawienia więcej goryczy, bo wraz z całą ojczyzną pamiętał o sławnej przeszłości. Wprawdzie nie był on działaczem politycznym i trzymał się zdala od ruchów i spisków, ale trapiło go srodze położenie kraju. W gorących strofach wzywał rodaków do broni i, ledwie dwudziestoletni młodzian, wzbudzał nimi zapał. Szydził okrutnie z żołnierzy włoskich, wysługujących się obcym rządom; powoływał się na pamięć Danta, pytając, czy już na zawsze serce jego odwróciło się od znękanych ziomków. Ale rzeczywistości nie można było odwrócić nagle jak kartę w księdze — i poeta wpadł w rospacz.

Zawsze tak bywało, że społeczeństwo wszedłszy raz na drogę rozważania wartości bytu, nie zatrzymywało się, póki nie znalazło swego Hegezyasza, który je namawiał do śmierci i sam ginął dobrowolnie w ogniu. W naszych czasach takim szczytowym punktem pesymizmu stał się Leopardi, którego do tej roli powołała i bezwzględność umysłu i inne, bardziej osobiste przyczyny. Biedny Giacomo nie posiadał warunków do szczęścia. Ciało jego było rachitycznie osłabione, skłonne do chorób, a w piersi tkwił zaród śmierci. Nawet klimat rodzinnego miasta, Ricanati, był dlań za surowy i zmuszał do ustawicznej wędrówki po innych łagodniejszych okolicach półwyspu, jak Florencya, Rzym, Neapol. A przytem samowiedza trzeźwa,

właściwa tylko umysłom silnym, obca słabym, które do ostatniego tchnienia łudzą się nadzieją cudownego uzdrowienia, albo ślepi są na własne kalectwo. Straszna ta trzeźwość oswoiła go zawczasu z myślą o skonie, a nawet kazała tęsknić za nim, jak za tkliwą kochanką, niosącą spokój i pociechę. Nie pragnął niczego, jeno by życie wyszło na pożytek bliźnim. Pracował dniami i nocami, gotów ducha nad księgami wyzionąć, byleby tylko pozwalały oczy, których niemoc na całe miesiące przesłaniała mu widok drogich przyjaciół i cudnych krajobrazów, i na bezczynność gorszą nad wszelkie cierpienia skazywała.

Dodajmy do tej litanii plag najgorsze stosunki z rodziną, a zwłaszcza z ojcem, z którym nie łączyło go nic prócz krwi, niedostatek materyalny, od biedy łatany pracą literacką, i całą ową chmarę przykrości, która czepi się ludzi wątłych i ubogich — a otrzymamy wiązankę czynników, zdolnych rozmiękczyć naturę granitową, a cóż dopiero niedołężną fizycznie. Optymizm byłby anomalią w takich warunkach. Policzyć je i rozważyć dokładnie dosyć jest, ażeby wobec beznadziejności poety-filozofa znaleść się jak wobec koniecznych a oczekiwanych następstw. Mógł-że przemawiać inaczej, niż ironią i śmiechem, wyduszonym z połkniętych łez? Mógł-że śpiewać hymny na cześć bóstwa i porządku we wszechświecie? Im większa zachodzi sprzeczność między jednostką a otoczeniem, im dosadniej i jaskrawiej maluje się na jego tle własna krzywda, tem boleść musi być dotkliwsza. Leopardi wielkim głosem wołał, że swiat to chaos, a natura nie dba o dzieci swe i dbać nie może. »Wiedz — mówi ona, — że we wszystkich mych dziełach i procesach mam na względzie zupełnie co innego, niż szczęście lub niedolę ludzką« *(Islandczyk i natura)*. Tristan, bo-

hater jednego z dyalogów, prawi: »Gdyby mi dano do wyboru, z jednej strony tryumf i chwałę Cezara albo Aleksandra, wolne od wszelkiej skazy, a z drugiej pewność, iż dziś jeszcze zamknę powieki, odrzekłbym: chcę umrzeć dzisiaj — i ani chwili do namysłu nie żądałbym«. Żadna postać wiary nie godziła się z jego przekonaniem o bezrządzie powszechnym. Przeciwnie, drwił z prawowiernych prozą i wierszem satyrycznym, a owa gadka, że na schyłku żywota wyrzekł się swej metafizyki, jest śmiałym wymysłem i pospolitym manewrem jezuitów; fałsz jego dowodnie wykazał Gioberti.

Jeśli kiedy łączyły go tkliwsze węzły z dogmatem, to właśnie w zaraniu młodości, gdy wczytywał się w Chateaubrianda. Później zmusza się jedynie do czci dla swoich dawnych godeł, całe swoje uwielbienie przenosząc na Woltera i Byrona i szydząc nader często z »sentymentów« Platona. *(Dyalog Plotina z Porfiriuszem).*

Leopardi jest najgłębszym i najszczerszym z pesymistów. Żaden z zawodowych myślicieli tego kierunku nie wytrzymuje z nim porównania. Rozumem kłamią oni uczuciu, teoryą — praktyce. Jedyny chyba Mailänder był w zgodzie z sobą. Schopenhauer z genialnym umysłem łączył małoduszność, a strata kilku tysięcy marek przyprawiała go o szał. Człowiek, co na chwilę nie przestaje bać się kradzieży i wysila mózg na wyszukanie bezpiecznych skrytek dla swego grosza, filozof, któremu włosy na głowie jeżą się na odgłos buntu w — jamie brzusznej, chyba na miano głęboko wątpiącego i zniechęconego do życia nie zasługuje. Kuglarstwo Hartmanna zbyt dobrze jest znane, ażeby mogło rościć prawo do nazwy systematu. Pozostają poeci, ludzie, co czują za miliony i za miliony

cierpią. Ich pesymizm jest przynajmniej odczutym, jest prawdziwym wyrazem wewnętrznego nastroju. Jedyny to rodzaj zgorzknienia, który — zdaniem naszem — płynie z głębi duszy i dlatego to wylewa się jeremiadami, zamiast przybierać kształty naciąganych doktryn. Ale i pośród arystokratycznej rzeszy poetów pesymistów, Leopardi zajmuje pierwsze miejsce i gruntowniej od innych przeżuł i przetrawił swoją boleść. Nie zostawała ona nigdy na łasce rozpusty i sułtańsko-literackich hulanek, praktykowanych przez Byrona, Musseta i Heinego, i nie wybuchała z należytą siłą dopiero po nieprzespanej, na orgiach spędzonej nocy, ale była mu towarzyszem poważnym i nieodstępnym.

Jest to umysł sumienny aż do drobiazgowości. Jego humor żółciowy ma w sobie tragizm, ale nic z wesela. Usposobienie to ciężkie, posępne, i pewnie tak samo przykrem było dla otaczających, jak n. p. grobowa niemota Schumana. Chciał być w rodzinnem piśmiennictwie wyrazicielem moralnej, filozoficznej zadumy. Całe Włochy ze swymi kiermaszowymi *capricci* w muzyce czy w popularnej poezyi, z lekkością petrarkizmu raziły go. Sprawia raczej wrażenie ciężkich spiżowych lub marmurowych trójnogów rzymskich, niż pompejańskiej smukłej wazy, oplecionej kwieciem, lub nimfy, powiewnie bujającej z wiankiem w dłoni na czerwonem tle portyku. Nauka i uczoność były mu żywiołem, a w latach, gdy synowie kraju Rafaela i Rossiniego płatają figle dziewczętom lub swawolą na maskaradzie, on mistyfikował uczonych i bibliotekarzów odnalezionymi niby przez siebie rękopisami Anakreonta, których niezrównana grecczyzna wprowadziła w błąd filologów. Kiedy inni żyją i kochają, on ślęczał nad przekładami Homera i Wirgiliusza lub

pisał znakomite dzieło o *Przesądach ludów antycznych,* albo wiódł uczone dysputy hebrajskie z słynnymi rabinami.

Ze swemi zdolnościami poligloty, z cudowną erudycyą w rzeczach historyi i literatury, z widocznymi znamionami fantazyi, która w *Paralipomenach Batrachomiomachii* pozwalała mu przejrzyście i dowcipnie ośmieszać pod allegoryami ówczesne Włochy polityczne, był ten pisarz stworzony może na to, żeby stać się granicznym kopcem między epoką a epoką, słupem Herkulesowym w dziejach ludzkości, jak Dante lub Milton. Ale choroba i kalectwo spaczyły to szlachetne drzewo i zaprawiły wszystkie jego kwiaty i owoce trującą goryczą. Bo jego pracę duchową wieńczyły w dodatku takie zalety, jak siła rozumowania pierwszorzędna i prawość charakteru niezdolnego do układów. Posiadał moc sokratyczną w najlepszym gatunku, czyli hart duszy, połączony ze śmiałym rozumem i umiłowaniem idei. Aż dziwnem się wydaje, że mógł pisać poezye. Są też one w rzeczy samej wielce uczone i pisane językiem ścisłym i zwięzłym, jak język nauki, trzymają się form klasycznych i trudnej nieraz miary dawnych ód i są przepojone myślą filozoficzną nawskróś, ale obok tego posiadają utoczoność i — rzekłbyś — rysunek rzeźb Fidyaszowych. Lśnią one białym marmurem, takie są mocne, pewne i zarazem takie podniosłe, przeczyste, idealne, niezbrukane pyłem ziemskim. W *Fierwszej miłości* śpiewa przy końcu żalów rozdzierających, zalów okropnych swą silną męskością:

Wam, o niebiosa, wam, duchom dostojnym
Przysięgam, że mię nie splamiła niska
Chuć nigdy, ogniem żem gorzał przystojnym.

W swej wyjątkowej powadze, sam pewnie dziwił się swemu rymotwórstwu i może je potępiał jako igraszkę, jako elegancyę i płochy kunszt, niegodny mędrca. Inaczej nie twierdziłby przecie, że proza trudniejszą jest od poezyi, bo pierwsza jest jak kobieta naga, druga jak przystrojona.

To też prozą pisał chętniej i więcej. Jego *Operette morali,* złożone z rozmów, dysput, wrzekomych apokryfów greckich, wyznań zmyślonych osobistości, legend i licznych myśli, pomnażają rodzinę wielkich prozaików dosadności, w rodzaju Lukiana i Pascala. Jeno Leopardi przewyższa obu jasnością myśli, zgodnością ich wzajemną i siłą rozumowania. Gdyby Sokratesa rozmowy z uczniami były nam znane nie z przeróbki Platona, lecz w formie swej pierwotnej, niewątpliwie odczuwalibyśmy w nich tę samą gryzącą sól atycką. W *Zdaniach Filipa Ottonieriego* Sokrates występuje niemal wprost jako patron naszego poety, który w nim widzi nadto prawdziwego *socium doloris:* »Sokrates, posiadający duszę szlachetną i bezwątpienia zdolną do kochania, ale skrzywdzony nad miarę nieskładnymi kształtami ciała, prawdopodobnie zrospaczył już za młodu, by mógł być kochany inną miłością, prócz przyjaźni« i w dalszym ciągu mówi się o koniecznie stąd wypływającej ironii, złośliwości wobec współobywateli. Lecz podobnie jak ta ironia u filozofa greckiego nie była wzgardliwą i cierpką, ale pobłażliwą i słodką, tak i Leopardi wprzód pasuje się z sobą, zanim zacznie urągać, wprzód usprawiedliwia się, nim rzuci oskarżenie. Ta skrupulatność budzi w czytelniku szacunek i zaufanie do poety, ale i tem większą żałobą obleka ową bezlitosną analizę *(Rozmowa Tymandra z Eleandrem)*, która zyskuje tym sposobem cechę wysokiej wiarogodności.

Trzeba podziwiać ten spokój i godność, z jakiemi rozbiera sprawę samobójstwa (*Rozmowa Plotina z Porfiryuszem.* Gniewa go wprawdzie Platon ze swym Tartarosem i Elizyum, zżyma się jak Lukrecyusz na wpojoną nam obawę śmierci i nadzieję lepszego bytu pozaziemskiego, ale słucha uważnie wszystkich zarzutów optymisty. Jest ten dyalog zazazem kluczem do zagadki, jaką było samo trwanie Leopardiego. Boć rzecz jasna, że wił się z boleści, lecz głód niebytu szamotał się w nim z brakiem odwagi. Rozumiał, że ten lęk jest znamieniem i przywilejem duchów wyższych, w których rozum płodzi tysiące ułud i refleksyj, zabijających zdrowy popęd samobójczy, tak samo naturalny w pewnych chwilach — jak instynkt samozachowawczy. Cała zaś rozprawa to rozwinięte na szeroką skalę »Być albo nie być« Hamleta, ale Hamleta filozofa i psychologa, nie poety i marzyciela. Wreszcie Porfiryusz daje się przekonać i rozpaczliwy zamiar porzuca, lecz jakże smutna jest jego rezygnacya, jak szlachetna i miłością bliźniego otchniona! Jeżeli przyjaciel go prosi, bowiem wszystkie inne argumenta okazały się nikłymi, czemu nie ma go posłuchać: »Otóż ja proszę cię gorąco, Porfiryuszu, na pamięć lat, któreśmy w przyjaźni przetrwali, porzuć zamiar swój, nie rań smutkiem wiernych, kochających cię przyjaciół i mnie, któremu jesteś osobą najmilszą, towarzyszem najsłodszym. Pomóż nam raczej znosić życie, miast nas tak zapominać i porzucać. Żyjmy i pocieszajmy się wzajem... a kiedy zbliży się śmierć, żalu nie doznamy, w ostatniej chwili pocieszą nas przyjaciele i towarzysze, i rozweseli nas myśl, że gdy się zatracimy, oni nas zapamiętają jeszcze i jeszcze kochać będą«.

A gdy już sobie dał rozgrzeszenie i śmieje się »dla ulżenia duszy« i gdy »uważa za rzecz godniejszą

śmiać się z wspólnego nieszczęścia niż wzdychać, płakać i zgrzytać z innymi« — to puszcza wodze sarkazmowi. W *Zakładzie Prometeusza* drwi z tytana i dla wykazania całej nicości jego cywilizacyjnego dzieła, pokazuje nam w różnych zakątkach świata ludożerstwo, zbrodnie wszelakie, a w ich braku najwyższe zniechęcenie do życia. W *Palinodii do Hr. Gino Caponi* znęca się nielitościwie nad jego »nadzieją«, przyrównywa otuchę do pierwszego meszku pod nosem żółtodzióba i nazywa tchórzostwem, a nawet podłością schlebianie wrzekomym dążeniom postępowym zgrai. Daleko więcej przekonywa go stan pierwotny pożycia społecznego, rojony ongi przez Rousseau'a, *(Do naszych patryarchów),* bo mniema, że oświata i szczęście to pojęcia wzajem się wyłączające. I wraca do tych tematów powielekroć, niekiedy aż do monotonii. Nie można powiedzieć, ażeby mu humor zawsze się udawał, jest często wymuszony i wyraźnie kłóci się z poważną zasadą roztrząsania sporów beznamiętnie.

W każdym pesymizmie rozróżnić zwykle można dwa strumienie: żal do świata i niechęć do ludzi. W Leopardim stanowczo więcej jest odludka niż przeczącego metafizyka. Kocha on zanadto pracę, ideę, pożądanie i wspinanie się, ażeby nie widzieć, że są to potężne magnesy bytu, działające tem silniej, im jednostka bogatszą jest w zasoby ducha. Pojmuje, że w zasadzie możnaby się pogodzić z naturą, bo jest nieskończona i powabna swą tajemniczością, ale na ród ludzki przystać nie chce, i ma dlań pogardę mimo całą litościwość serca. W szczerość sentymentów nie wierzy i przyjaźni nie ufa, kobietę ceni właśnie tak wysoko, jak Schopenhauer i dzisiaj Nietzsche, i zadawala się jedyną, naprawdę platoniczną miłością — dla Aspazyi. Jego *Myśli* pełne są uwag i spostrzeżeń okru-

tnie trzeźwych i świadczących o głębokiej, przenikliwej znajomości i serca jednostki i duszy społecznej. W ogóle styl jego staje się ostrym i pewnym szczególnie wtedy, gdy zdziera larwę z twarzy ludzkiej. »Nie znam miejsca, gdziebym nie słyszał skarg: u nas kobiety są próżne i niestałe, czytają mało i są nieoświecone; to znów: tłum jest ciekawy spraw cudzych, gadatliwy i złośliwy; na innem miejscu: tu pieniądze, względy, uniżenie znaczą wszystko; tu grasuje zazdrość, przyjaźni są nieszczere; tak wszędzie na tę samą nutę, jakgdyby gdzieindziej działo się inaczej. Ludzie są nędzni z konieczności, a skłaniają się do wierzenia w swą nędzę z przypadku« *(Myśli XXXI)*. Jest to jakgdyby jego właściwy żywioł, który mu drogim i domowym uczyniła strata innego: roskoszy towarzyskich. Jako biedak i jako kaleka srożej od innych i może nawet z przesadną wrażliwością odczuwał chłód kobiet i towarzyszów lubiących wesele. »Smutek, kiedy jest udany, na chwilę może się podobać — zwłaszcza kobietom — lecz od prawdziwego uciekają wszyscy, a w społeczeństwie ludzkiem podoba się i znajduje popyt przeważnie wesołość« *(Myśli XXXIV)*.

Pisząc te słowa Leopardi nie zdawał sobie pewnie sprawy z całej rozległości zawartej w nich prawdy. A rozległość to tak wielka, iż sięga za mogiłę i powoduje, że chwała jego w literaturze nie błyszczy pełnem i zasłużonem światłem. Stanowi on lekturę za poważną i za subtelną i nadewszystko za posępną. Ażeby w nim zasmakować, potrzeba mieć zmysł do trudnego artyzmu, zdolność rozumowania i siłę patrzenia w czeluść bezdennej otchłani...

Cóż on mógł robić na jarmarku życia? Łaknąć, niecierpliwić się i nudzić. To też nuda urasta w jego

poglądach do znaczenia magicznej formułki, rozwiązującej zagadkę świata. A chociaż lubi zwalać wszystkie winy i nieszczęścia na karb brutalności natury, to przecież widoczna, że dlań brutalnością w stopniu wyższem jest zesłanie nudy świętej. Po bolesnych wynurzeniach i skargach na nieodstępny żrący smutek, mówi w liście do Piotra Giordaniego: »Jedyną rozrywką w Recanati jest dla mnie nauka, reszta jest nudą«. Ta harpia stoi u szczytu jego filozofii i nieraz przedzierżga się w posępnego geniusza, który rządzi światem i dumnie udziela się tylko jednostkom wybranym. »Nuda jest pod pewnym względem najwznioślejszem z uczuć ludzkości... Niemożność zaspokojenia się żadną rzeczą ziemską, ani nawet światem całym, rozważenie nieocenionych obszarów przestrzeni, liczby i cudownej masy światów i znalezienie, że to wszystko jest małe, i bardzo małe dla zapełnienia naszego umysłu; uczucie — że duch i pragnienia nasze większe od wszechświata; wieczne oskarżanie wszechrzeczy o niedostatki i nicość, ustawiczne uczuwanie próżni, a więc nudy, zda mi się poważniejszym znakiem wielkości i szlachectwa, niż się między ludźmi powszednimi spostrzega. Dlatego to mało znają nudę ludzie nizkiej inteligencyi, jeszcze mniej znają zwierzęta«.

Jest to więc znamię tej samej chwili, tego samego błogosławieństwa i zarazem klątwy wieku, na które płakał lub płakać się silił Byron, gdy śpiewał do Inezy: »To owa nuda co mię uciska, gdy kogo widzę lub słyszę kogo«. Lecz poeta włoski zawsze pozostaje myślicielem, z każdego bolu robi zagadnienie filozofii i sprawę obchodzącą cały świat, wszelkiej niedoli chciałby zaradzić. Nie pragnie, ażeby złe trwało, aczkolwiek nie ufa, ażeby mogło kiedykolwiek przestać trwać. Dobrodziejem rodu ludzkiego byłby zdaniem

jego ten, coby wlał w życie więcej uczuć i pracy, więcej wstrząśnień i skrzętnych zajęć, rozumie się, bez bólu i niewygód. »Bo gdy jest ogarnione spoczynkiem i nudą i, jakoby rzec, próżne, usprawiedliwia to zdanie Pirrona, że niema między życiem a śmiercią różnicy« *(Przyrodnik i filozof)*.

Przypuszczać należy, że gdy rozmawiał sam z sobą, wypowiadał jeszcze więcej goryczy, niż gdy się zwracał do ludzi. Tak każe mniemać zwięzły, rozpaczliwy i okrutnie chłodny wiersz: *Do siebie*. Jest to jak gdyby pożegnanie z własnem sercem, ale zawsze pomne na niedolę całej ziemi. »Za nic się nie liczą wzruszenia twoje — t. j. serca — ani westchnień godna ziemia.

Męką, goryczą
Jest życie, niczem nadto, a świat błotem,
Uspokój się i zrospacz
Po raz ostatni. Jedna niezawodna
Twemu plemieniu — śmierć.

Taki śpiew łabędzi nie bywa słuchany chętnie. Powiał po świecie jako kierunek pesymizm mędrkujący. Melancholia Leopardiego szkołą w tej szkole być nie mogła, bo jej wyznawcy prędko musieliby powiedzieć sobie, jak sam mistrz mówił do serca: »Spocznij teraz na zawsze, dosyć boleści«. Stanowiła punkt szczytowy w krytycyzmie prometejskiego stulecia, nie dostępny dla nikogo. Na takiej wysokości nawet zuchwała i zdolna do wszelkich samoudręczeń myśl poetycka wytrwać nie mogła i poczęła schodzić powoli do krain, gdzie jeszcze trochę nadziei zostało [1]).

[1]) Większość cytat podaliśmy według przekładu p. Edwarda Porębowskiego (»Wybór pism. 1887«), pracy sumiennej, lecz zdradzającej wysiłek, którego zwykle u tego wybornego znawcy romańszczyzny nie

III.

Pesymizm walczący. Ludwika Ackerman.

»Nie chciałabym wcale być Bogiem. Nie módz przestać istnieć, co za katusza!«

»Mniemają, że religia jest wychowawczynią człowieka. Radzę jej być dumną z takiego ucznia: to edukacya, którą trzeba rozpocząć na nowo.«

»Chciałabym doprawdy uwierzyć w dar Łaski. Potrzeba w istocie osobliwszej przychylności Niebios, by módz zrozumieć dogmaty i sakramenta. Potrzeba koniecznie, żeby się w to Bóg wdał bo sam człowiek nigdy tego nie dokaże«.

Są to naiwne bluźnierstwa Ackermanowej, jedne z wielu...

Czytając je, trudno się oprzeć domysłowi, że kobieta, co — zamiast wznosić w górę załzawione oczy — posyła niebu tak zjadliwe wyrzuty, musiała wiele przeboleć i więcej jeszcze przemyśleć. Zapuśćmy na chwilę wzrok w tajniki jej życia, które rzadko tylko i szczupłej liczbie wybranych odsłaniała.

Była tam kiedyś wiara prosta i silna. W dzieciństwie swem i zaraniu młodości poetka była budującym przykładem dla całego swego otoczenia, dosłownie rozumiała historyę grzechu i odkupienia, z całą powagą i łatwowiernością słuchała podań świętych i — jak sama wyznaje — byłaby po tej drodze trafiła wprost do klasztoru, gdyby nie był znalazł się w wychowa-

znać. W naszem piśmiennictwie nie zbyt wiele zajmowano się Leopardim. Pracę, o ile wiemy największą i ładną, podpisaną: M. T. S. zamieściła »Niwa« z r. 1881.

niu jej czynnik odwrotnej natury, w osobie ojca, który wszelkiemi siłami starał się osłabiać potężny wpływ matki-dewotki. Wolteryanin dawnego autoramentu, spostrzegłszy marzycielskie skłonności córki, zatrwożył się o jej równowagę umysłową i wsunął do rąk jedno z dzieł wielkiego szydercy. Skutek przeszedł oczekiwania. »Nawrócona« chciwie rzuciła się na księgozbiór ojca, który już dawniej pożerała oczyma, zasmakowała w przekładach Platona a nadewszystko w pismach Buffona. Rodzina, a zwłaszcza matka, krzywem patrzyła okiem na »emancypantkę« i zachęcała ją do bliższego obcowania z towarzystwami weselszymi, niż klasycy w papier i druk zaklęci. Nic nie pomagało. Lubiła uparta córka pogawędkę, ale tylko z bojownikami rzetelnej nauki, a po manowcach rozumowych spekulacyj obracała się tak swobodnie, jak gdyby to był ów pieprzno-słodki żywioł, któremu na imię *flirt*. Widząc dziecko swoje w niebezpieczeństwie herezyi, trwożna rodzicielka rozpostarła nad niem opiekuńcze skrzydła. Oddała Ludwikę na pensyę, utrzymywaną w Paryżu, jej mieście rodzinnem, przez matkę jakiegoś szanownego księdza, kobietę z wykształconym umysłem i sercem, na której bogobojność wiele liczyła. W rzeczy samej, poczciwy kapłan wykładał bardzo troskliwie nowej wychowance zasady teologii. Tym razem wszakże nauki, które przed laty kilku budziły w niej namaszczenie, wywarły skutek wprost przeciwny: rozwelelały ją tak, iż z trudnością udawało się ukrywać przed czcigodnym mistrzem jałowość gruntu, na który posiew jego padał.

Odtąd poetka wszystkimi porami wchłania w siebie atmosferę wiedzy i piękna. Stroni od świata, do którego ciągnęła ją rodzina, dnie całe przepędza nad księgami i w niemej kontemplacyi dzieł natury. Za-

wiera znajomości z ludźmi znakomitymi, pomimo, że otoczenie domowe, przy całem swem zamiłowaniu literatury, nie lubiło się krępować powagą wybitnych osobistości. Tym sposobem znalazła przystęp do Stanisława Julien, Eichoffa, Letronne'a, mężów szanowanych dla głębokiej nauki. Jednocześnie w skrytości ducha sposobiła się na poetkę. Jeszcze gdy była w szkole próbowała młodocianych sił na polu rymotwórstwa. Zwycięstwa, jakie tu odnosiła nad rówieśnicami, które dręczyły ją ciągłymi szykanami za dzikie i nieśmiałe zachowywanie się wobec ludzi i obdarzały przydomkiem »niedźwiadka«, zwróciły uwagę profesora literatury; zostawał on w stosunkach przyjacielskich z domem Wiktora Hugo, i raz w uniesieniu zaniósł mu kilka jej poezyj. Sławny romantyk przyjął je nader łaskawie i opatrzył kilkoma wskazówkami i radami, dotyczącymi rytmu. Ten sam wielbiciel jej pierwocin miał dla niej zwykle pełne kieszenie księgarskich nowości i zaznajamiał dokładnie z takimi pisarzami, jak Szekspir, Byron, Goethe, Schiller. Całą swoją pracę nad książkami, robotę całą wewnętrzną poświęcała zrozumieniu poetów, i chociaż później nie miała żadnego przewodnika i najmniejszej zachęty, upragnionego celu z oczów nie traciła. W uczuciach zarówno jak i poglądach nie znosząc więzów i prawideł, szybko odsunęła klasyków, a zapałem wzięła się do Alfreda de Vigny, Musseta, Wiktora Hugo, Sénancoura, którymi na czytaniach wieczorkowych w rodzinnem kole zdołała nawet zastąpić poprzednich bogów.

Wielostronnie zatem rozwijał się jej umysł. W swej żądzy poznania była wprost nienasycona. Zawładnąwszy doskonale językiem niemieckim, którego ojczyzna nęciła zawsze jej zmysł filozoficzny, udała się

do Berlina w roku 1838, mając lat 25. Stanęła u szczytu marzeń, znalazłszy się w stolicy, »której mieszkańcy żyją po to tylko, aby uczyć się lub nauczać«. Tu stanęła oko w oko z ciężką nauką germańską i słynnymi jej przedstawicielami i nie ulękła się ich. Stałymi gośćmi domu byli tacy, jak: Varnhagen, Boekh, Jan Moeller i Aleksander Humboldt. Tu też poznała się z głośnym lingwistą Pawłem Ackermannem. Aczkolwiek sama na razie wolną była od popędów miłosnych, zdołała wzbudzić głębokie przywiązanie w uczonym wydawcy literackiej spuścizny po Fryderyku II, i nie mogąc się oprzeć jego błagalnym prośbom, zgodziła się na związek dozgonny, który miał sprowadzić nowy przełom w jej życiu, bo i w jej sercu rozpalił miłość.

Marzyła nieraz o spójni duchowej, jaką bywa małżeństwo, ale nie wierzyła, by to stać się mogło jej udziałem. Los jednakże okazał się dobrotliwszym i przez pewien czas obsypywał ją wszystkimi darami, za jakimi wzniosły umysł tęsknić może. W spokojnej pracy naukowej pędziła życie przy boku męża, była mu cenną pomocą w trudnych badaniach językoznawczych i sama wyniosła stąd nieoszacowaną korzyść i zamiłowanie do języków, których poznała aż kilkanaście, w tej liczbie łacinę, grecki, hebrajski, sanskryt, (chiński?) i literaturę klasyczną. Nie dziw: grono nie liczne lecz dobrane uprzyjemniało jej i mężowi chwile od pracy wolne. Własnej swej twórczości zaparła się z bezprzykładną skromnością, i mąż nawet nie podejrzywał w niej kapłanki muz. Ale błogi ten stan nie trwał długo. Śmierć zabrała jej towarzysza. Złamana boleścią i sieroctwem po jedynym człowieku, którego prawdziwie wielbiła — ojciec już dawno spoczywał w gro-

bie — uległa namowom sióstr i przeniosła się pod pogodne Niebo Nizzy.

Tutaj, w celi klasztoru po-dominikańskiego, który nabyła oczywiście nie gwoli większej swobody w pobożnych ćwiczeniach, całą duszą oddała się filozofii i poezyi. Zasklepiona w sobie, z nikim nie obcowała, tak iż okoliczni mieszkańcy więcej znali ją z zajęć ogrodniczych niż umysłowych. Siłą woli stłumiła ból, i wezbranemu falą łzawych skarg sercu dawała ujście w rymach. Całkiem nie zagłuszyła wspomnień utraconego raju, lecz mogła zająć się na chłodno przekładem pieśni staroindyjskich, które ją zwabiły znajomą melodyą, opiewającą miłość małżeńską.

Choć chińskim murem odgrodziła się od świata, okazywała jednak żywe zajęcie dla donioślejszych zdobyczy wiedzy. Tysiącem dróg spływało do niej światło nauk: w postaci mnóstwa pism, broszur i dzieł. Z ustronia swego odzywała się dość rzadko, ale za to mową, która na długo wrażała się w pamięć. Struny jej liry potrącał ból wielki, głęboki, obejmujący wszechświat cały; wstrząsało nimi tłumione łkanie lub gromki protest przeciw niedoli ziemi.

Dochodziły i do nas echa tej muzy, lecz obojgiem uszów słuchać jej nie chciano, była zbyt silna i nadto zgryźliwa na rozpieszczone nerwy, które lubią niekiedy o szarej godzinie pokwilić trochę i pobiadać, ale odwracają się ze zgrozą od meduzowej twarzy prawdziwego pesymizmu.

Prócz niewielkiego zbiorku powiastek, klasyczną francuzczyzną wyhaftowanych misternie na krosnach fantazyi indyjskiej, a poświęconych miłośnikom akademickiego stylu — wszystkie jej pieśni tchną głębokim smutkiem, aż w końcu wybuchają rozpaczą beznadziejną lub też grożą niebu zemstą. W małym to-

miku poezyj lirycznych, wydanych (r. 1877) w kilkuset egzemplarzach zaledwie — dla duchów pokrewnych, brzmi tak potężny rokosz przeciw rządom Bóstwa, że podziw nas ogarnia, jak mogło serce kobiety wytrzymać taką nawałnicę gniewu i żałości...

Skromniejsza jeszcze wyglądem książczyna, ogłoszona w r. 1882, rozwiązuje ciekawą zagadkę zwięzłym życiorysem i kilkoma dziesiątkami aforyzmów. Z niej dowiadujemy się, że poetka nie własnego życia koleje opłakuje w namiętnych strofach, nie nad osobistymi zawodami rozżala się, w przedmiotową ubrawszy je formę, ale nad ogarniającem całą istność, byt powszechny, nieszczęściem. »Jeżelim godziła się z łatwością na moją dolę indywidualną, to jednak zmieniały się moje uczucia z chwilą, gdy szło o cały nasz rodzaj. Jego nieszczęścia, bóle, jego płonne pożądania napełniały mię głębokiem współczuciem«. »Wieszcz, który myśli tylko o sobie — twierdzi ona — stanie prędko u kresu swych śpiewów. W imię natury, a przedewszystkiem w imię ludzkości należy podnosić głos. Te źródła natchnienia są jedynie głębokie i niewyczerpane«. Widziany zdaleka, przez szkła samotnych dumań, rodzaj ludzki wydaje się poetce »bohaterem opłakanego dramatu, który się gdzieś w zapadłym kącie świata odgrywa, wobec obojętnej natury, ślepych praw i z jedynem zbawieniem — w nicości«.

W istocie, p. Ackerman za mało złego doświadczyła, by można było słusznie pomawiać ją o subjektywizm. Dotknęła ona zaledwie ustami kielicha goryczy, jaki niejeden wychylić musi do dna.

Los zesłał jej dwa lata błogiego szczęścia, a jeśli potem wyrwał ją szorstko z słodkiego upojenia, czyż nie nagrodził tego wieloletnim spokojem, którym sama się chełpi? Nie brakło tam i chwil wesela. Gdyby

tylko śmierć przedwczesna męża była wiecznie sączącem się źródłem goryczy, nazwałbym ją wrażliwą, nieszczęśliwą, ale nie filozofką. Filozofia, zbudowana na mogile małżonka, bardzo łatwo mogłaby sama zejść do grobu przy powtórnem zapaleniu pochodni hymenu. Przyznaje, że ilekroć napotykała subtelny dowcip i rozumny żart, śmiała się chętnie, a walk wewnętrznych do dziś dnia nie zna. Czyżby próżność autorska kazała zapierać się podmiotowości, próżność, której dziwny a zupełny brak wszędzie indziej nas zastanawia? Nie, po prostu przyszła ona na świat puszczykiem i została nim do ostatka. Ponieważ jednak wszystkie teorye zwątpienia mają ze sobą bardzo wiele punktów stycznych, więc nieraz już usiłowano z utworów Ackermanowej zedrzeć urok oryginalności, przypisując ich rozpacz wpływowi Schopenhauera i Hartmana, z którymi długo pod jednem zostawała niebem. Ale ona zwycięsko zadała kłam tym podejrzeniom, gdy z kosza zbutwiałych już zwierzeń młodzieńczych wydobyła zapomniany wiersz, również gorzki, jak późniejsze płody jej muzy. W siedmnastym roku życia napisała w poemacie, zatytułowanem znacząco *Człowiek:*

Wśród bolów jęku zrodziła cię matka,
Na świat przyszedłeś jako syn katuszy.
Tak rozpoczęta istnienia zagadka
Krzyki żałosne wydarła ci z duszy.

a kończyła przepowiednią:

Brzemienne niedolą ciało się ugnie znużone,
Słodyczy niebytu łaknący, nie wydasz już głosu,
Twe oko na wieki zagaśnie, snem śmierci sklejone,
Ach, raduj się, starcze, bo pierwsza pieszczota to losu.

Zdaje się, że wykład pesymizmu, choćby tak wymowny, jak frankfurckiego czciciela Nirwany, nic do

tego *credo* nie byłby wstanie dodać. Ale dobitniej niż szczersze wyznanie wiary, przemawiają do nas zwykle same pieśni i zgrzyty poety. One tylko należycie oświecić nas mogą o naturze i wartości opiewanych przezeń tryumfów lub cierpień. W tem zwierciedle odbija się prawdziwy obraz wieszcza, zaś u Ackermanowej dziwnie jasny, jak krynica przezroczysty styl, pozwala dojrzeć najdrobniejsze rysy jej sposobu widzenia rzeczy, bez wielkiego wysiłku myśli.

Napróżno szukałbyś tam jakiegokolwiek systematu. Nieznane są jej zachcianki odkrycia nowych prawd, lub — co się zdarza najczęściej — olśnienia świata utartym pomysłem w błyskotliwej szacie. Fantastyczne mrzonki i dowolniejsze jeszcze proroctwa myślicieli niemieckich jakoś drogi do jej mózgu nie znalazły.

Gdyby kto spytał, co ją wyróżnia w tłumie zrozpaczonych, rzeklibyśmy od razu, że znaczna przewaga zdrowego rozsądku. Mistrze pesymizmu niemieckiego, a więc i naśladowcy i uczniowie ich w różnych krajach, zanim dojdą do ostatecznego wniosku, że życie ludzkie nie warte funta kłaków, a natura mogłaby iść na kuracyę do Pasteura, wprzód na rozłogach pół tuzina tomów budują zawiłe, karkołomne, zawrotne, jak sama metafizyka, dowody i przesłanki. Robi to takie mniej więcej wrażenie, jak gdyby ktoś namyślał się pół godziny, czy ma stęknąć, czy nie. Ona zaś nie lubi gmatwaniny i przestaje na prostym — według niej, — niezbitym fakcie, że na świecie źle, że jest on najgorszy ze światów i — koniec. Ten nawet szkolarski podkład, jaki wyziera z narzekań Leopardiego a zwłaszcza z dyalogów, jest jej obcym. Nie okazuje ona najmniejszej skłonności do prowadzenia naukowych dysput, jej filozofia jest bezsporną, niewątpli-

wą, nie potrzebuje żadnych dowodów, — wychodzi prosto z serca i wyraża się samem uczuciem — jedną wielką skargą. To też poetka wlała w nią całą siłę, którą inni zazwyczaj dzielą pomiędzy dyalektykę i poezyę. Metafizyczne poglądy Ackermanowej należą do najpospolitszych ale też najprawdziwszych w dziejach filozofii: są panteistyczne; do niej najłatwiej dałyby się zastosować głębokie słowa Musseta, wyrzeczone o Spinozie: »zmęczony daremnem szukaniem Bóstwa, łudził się w końcu, że je znajdzie wszędzie« *(L'Espoir en Dieu)*. Chociaż atoli zachwyca się pięknym kwiatem, czarownym dźwiękiem, jako wyrazem nieśmiertelnego i powszechnego ducha, — innym jego objawom zaprzecza rozumu. Nie »ideą bezwzględną«, nie »pierwiastkiem bezwzględnym« jest dla niej owo tchnienie, ożywiające wszechświat, ale zwyczajnie Jehową, Jowiszem. Najchętniej wysławia się językiem miłości macierzyńskiej, jaką każda kobieta mierzy dobro — i nazywa go matką, a raczej macochą żarłoczną, która płodzi bezustannie, ale dzieciom zostawiwszy śmierć, dla siebie zagarnęła wieczność. Myśli ona o tych jedynie, co mają się narodzić, — żyjący giną w zapomnieniu. »Gdy tuląc do serca, które niezadługo bić przestanie, inne serce cierpiące, mniemacie śmiertelni, że uściskiem namiętnym obejmujecie nieskończoność — owo uniesienie święte, pragnienie bezgraniczne to już ludzkość przyszła, która w łonie waszem się porusza«. Możnaby w tym wyrzucie dopatrywać się śladu szkół niemieckich, dla których miłość to tylko podstęp natury, służący jej do utrzymania rodzaju ludzkiego na ziemi i zadowolenia życiodawczej żądzy, — gdybyśmy takiej samej historyozofii nie napotykali, w podobnej nawet formie, u innych poetów rozpaczy (Musset, Leopardi). Cóż dziwnego? Jak kotwicy, chwytają się miłości na

bezbrzeżnym oceanie nudy lub zgryzoty, a ona ich zdradza i w złą naturę świeże wlewa soki; jedyna niekłamana rozkosz — źródłem tysiąca boleści: co za gorzka i nieubłagana ironia losu!

W przepysznej apostrofie, poetka rzuca w twarz naturze wszystkie jej zbrodnie, których się względem człowieka dopuściła, i szydzi zjadliwie ze skargi i obrony bóstwa, w równie piękną ujętej apostrofę. Wszechrodzicielka wstydzi się poronionego swego tworu, tak dumnego jednak wyższością nad inne stworzenia, i zapowiada, że twórczości zaniechać nie myśli. Owszem, będzie bezlitośnie niszczyć owe puste a głośne zlepki gliny, bez żalu ciskać trupy na trupy, dopóki zbolałe od rodzenia łono nie pocznie istoty idealnej, wolnej od więzów ciała. Dziecię owo zdruzgocze nieubłagane kajdany materyi i fatalności i wędrować będzie po ziemi w promieniach własnego światła: oto druga postać tej samej filozofii dziejów, którąśmy widzieli przed chwilą, lucz już nie z poetyckiej wykuta teologii, tylko urobiona z materyału współczesnej ewolucyjnej nauki o życiu. Jednakże, co badacza usposabia do różowych rojeń, — poetę napełnia bólem i zgrozą. To niegodziwie — na ołtarzu niedojrzanego jutra składać krwawe hekatomby z jestestw teraźniejszości. Matka, zabijająca własne niemowlęta, nigdy szlachetnego potomka nie wyda. A więc wyprzeć się jej trzeba i plunąć w oczy przekleństwem. Poetka wzywa słońce na świadka okropnego widowiska: ciągłych narodzin dla bezustannej agonii śmierci i woła:

Niechaj więc siły źródło wyschnie w twojem łonie,
Niechaj materya, tracąc ziaren życia krocie,
Zostanie nieruchoma, i po władzy skonie
Odmówi ci podpory w rozszalałym locie,

Niechaj więc podmuch śmierci, wiejąc w świata bryłę,
Zagasi na niej wszystkie żywota pochodnie,
Bo z wspaniałego gmachu zrobiłaś mogiłę
I zamiast uszczęśliwiać — spełniasz na nas zbrodnię.

(L'homme à la nature).

To ulubione *ceterum censeo* wszystkich śpiewaków niedoli. Inaczej być nie może; błogosławieństwa i apoteozy są dla siebie same celem, potępienie musi być uwieńczone zniszczeniem. Umysł ludzki w swej niezwalczonej skłonności do wcielania oderwań w postaci i osoby, złe wyobrażać sobie lubi jako miłośnika cudzych męczarni, płaci mu nienawiścią i grozi zemstą. Poetka szuka obelgi tak ciężkiej, by uniesiony wściekłością duch niedoli wyrwał glob ziemski z niebios przestworza i zmiażdżył go na proch, a wtedy:

Od bytu mąk odwaga nasza was uchroni,
Was, co drzemiecie jeszcze w pomroce przyszłości,
I skon przyjmiemy z laurem tryumfu na skroni,
Żeśmy, z człowiekiem, Boga oddali nicości.
Ach, jaka rozkosz po tym bezmiarze cierpienia,
Ponad popioły życia, ponad cmentarz bratni
Módz wreszcie rzucić wielki okrzyk wyzwolenia:
Niema już łez pod niebem, bo my tu ostatni!

(»Pascal«).

Od tego bluźnierstwa krok już tylko do pochwały dla Prometeusza i czytając te rymy jakgdyby przewidujemy ją. Jakoż oczekiwanie nas nie zawodzi. Ackermanowa, wzorem innych ludzi tego dziwnego gatunku, łącząc klasycyzm z wysokimi roszczeniami zarania wieku, rozkochana z mitach i alegoryach, nie mogła nie okazać swego prometeizmu i wprost, przez spłacenie daniny Eschylosowi. A sposób, w jaki to uczyniła, pasuje ją na wielką poetkę.

Po rozmaitych odmianach, jakich doświadczał myt Prometeuszowski u poetów drugorzędnych, każdą świeżą jego parafrazę bierzemy do rąk z obawą niesmaku i przesytu, cóż bowiem nowego da się o nim powiedzieć? Ackermanowa wlała w poemat swój tyle siły i wszechludzkiej miłości, że słuchamy jej głębokiej retoryki jak dobrych organów kościelnych. Żądne poświęceń serce kobiety wniosło do legendy to samo, czem ją wywyższył i uszlachetnił Shelley, mianowicie: obojętność tytana na własną dolę i wolne od jakichkolwiek zastrzeżeń poświęcenie się dla bliźnich; wprawdzie bez złudzeń co do jutra. Poetka nie chce, żeby myślano o nim, że rozpamiętywa swój ból fizyczny i kładzie mu w usta żarliwą obronę:

Jeśli te chłodne szczyty, parte szturmem burzy,
Dojrzały, jak łez zdroje płyną do podnóży,
Płyną po śnieżnej szacie, zwiódłszy czujne oko:
Wy wiecie o tem, głazy, ty twarda opoko,
Że źródło moich łez z głębiny duszy tryska,
Że nad ludzkością boleść mózg mi mój odurza,
Że nad bliźnimi litość serce moje ściska.

Ale nigdy nad własną mego ciała męką;
Te tu wnętrzności, Boga rozszarpane ręką,
Współczuciem przepełnione są dla bliźnich doli,
Przez losy usidłanych w wieczną walkę krwawą.
Straszliwe widmo drażni mą źrenicę łzawą:
Rój wielkich klęsk, co biedne głowy ich okoli.
To ich cierpień bez końca obawa złowroga
Katusze me nieznośne co chwila odmładza.
Moim prawdziwym sępem jest świadomość sroga,
Że nasion złego, które niegodziwość Boga
Rzuciła w ich krew, — żadna nie wypleni władza.

Ale pociesza się ona, że wielki czyn spełnił swoje dzieło: Prometeusz przekaże nieukróconą odwagę wolnym, święta spuścizna nie zaginie, rozum wzrasta w po-

tęgę i kiedyś ludzie ośmieleni spytają pana swego: Za co tyle nędzy, za co ta nienawiść i kaprys? Twój sędzia, samowiedza człowiecza, zbliża się; on ciebie nie rozgrzeszy, lecz wyprze się. »Ach! jakie czyste tchnienie miłości i wesela, przebiegające świat cały, upoi duszę w dniu, kiedy ofiara twoja, mniej harda, niż wspaniałomyślna, zamiast oskarżać, zaprze się swego ciemiężcy!«

Prawie słowami Shelleya wyzywa ona Jowisza: »Ciskaj gromy i błyskawice na tego zbiega, co z twego jarzma się wymknął« — i nazywa go wprost katem. Jest tak zawzięta, że szyderstwo swoje przenosi nawet na tych, co się przed nim ukorzyli. Pragnie, żeby sprawca złego został opuszczony przez wszystkich, wołając niejako: kto nie ze mną, ten przeciw mnie. W tem znaczeniu, naturalnym dalszym ciągiem Prometeusza jest poemat większych rozmiarów: *Pascal*, z siłą napisany niepospolitą.

Gdy Paskal rzucał Sfinksowi okrzyk zwycięstwa, dumny, że odgadł tajemnicę bytu — nie on, lecz potwór tryumfował, i padł ze skały na ziemię, by go pożreć. Wtedy chrześcijanin nieustraszony skupił całą siłę ducha, i nie bacząc na buchające krwią rany, uderzył raz jeszcze na srogiego wroga z męstwem, jakiego dotąd nigdy nie widziało słońce. Czy teraz go pokonał? Bynajmniej. Jak skała, zimny i nieporuszony stoi przed nim Sfinks i urąga konwulsyjnym ciosom, — dlaczego? Bo je wymierza nie rozum lecz serce, lecz miłość, która wszystkiemu wierzy, na wszystko się zgadza. Kiedy zwierz skrzydlaty zatopił swe szpony w jego ciele, on bólu nie czuł, ale wzrokiem wiary tonął w lazurze.

A jednak ten opętany religijnym obłędem prorok dotykał kiedyś ziemi. Dzieje pamiętają jakąś nieznа-

jomą, przed której pięknością skłonił głowę. Żarem namiętności zapłonęło serce. Musiała to być niezwykła kochanka, jeśli zdołała wzruszyć pysznego orła. Porwał on ją, jak słabą gołębicę, w obłoki, ale po to, by ją zgubić. Nieszczęsna, jak ćma, przywabiona światłem wśród nocy, musnęła skrzydełkiem ogień i zgorzała. On zaś ocknął się z czarodziejskiego snu, wytarł go z pamięci, jako grzech śmiertelny, i całą myślą zwrócił się ku Bogu. Odtąd tylko niebios pokusy będzie słuchał...

Dla Pascala ma ona nietylko wyrzut małoduszności lecz i podziw. Tyle fanatyzmu oszałamia ją. Ale »w każdym kierunku umysł ten łaknął nieskończoności«. Dosyć dlań było kochać dzień jeden, ażeby podnieść miłość na najszczytniejsze wyżyny. Jakże miota się pod brzemieniem swojego człowieczeństwa! Mniema, że odpłaci mu złorzeczeniami i wzgardą i pada zmiażdżony przez nie. I nawet w tej bezsilności, jakie krzyki odbijają się o uszy nasze! Słyszeliśmy poetów: Byrona Shelleya, Musseta i innych. Ale wybuchy bólu osobistego nigdy do takiej potęgi nie dojdą. W istocie bowiem, gdy Pascal jęczy, to za nas jęczy. Przez usta jego przemawia ludzkość cała. Pragnienie szczęścia, niepokonana żądza przyczepienia do niebios łańcucha naszych nieszczęść — cóż może być bardziej ludzkiego? Na drodze tej napotyka góry potwornych niedorzeczności i przechodzi przez nie. Znikąd upewnienia — a jednak wierzyć trzeba: straszna sprzeczność, w której się dobrowolnie zamknął; targa się w niej i zabija. Jedyną ucieczką było unicestwić rozum. Zdusił go więc, i — patrzcie, jak teraz tryumfuje! Nie masz już sprawiedliwości — niemasz miłosierdzia; od końca do końca całe stworzenie potępione! Nieszczęsny, dał

się unieść przemocy własnego strachu i własnych pożądań: skoczył w przepaść.

W tym samym tonie trzymaną jest druga część »Potopu«, pełna rzewnego płaczu nad sieroctwem ziemi, którą bezrozumne żywioły ogołociły z krasy.

»Gdyby cała wściekłość oceanu miała zburzyć tylko kilka odwiecznych wieżyc, które z podziwem widzimy dumnie jeszcze sterczącymi, zastarzałe prawodawstwa, te schronienia błędu i krzywdy, przesłaniające nam widnokrąg, a których same szczątki tyle rzucałyby cienia, by na długo opóźnić rozkwit człowieczeństwa: natenczas wołalibyśmy morzu: śmiało, śmiało! szlachetnem jest twe dzieło. Ale gdzie tam! Dla takiego drobiazgu miałoż-by z łożyska swego występować? Wszystko skazane na zagładę: przybytek światła i świątynie ciemności, zakrystya i pracownia uczonego, głębokie lochy i podziemne szczyty, z których witaliśmy postęp? O! stara ziemio! tyś nie zasłużyła zaprawdę na ten straszliwy kataklizm, ty, tak jeszcze płodna, ty, na której dosyć było jednego wyrazu »wolność« i »ojczyzna«, by wytrysło źródło heroizmu... Co pomyślą niebiosa i gwiazdy, gdy ich promienie napróżno szukać będą wierzchołków, one, co się łudziły, że wiecznie do ciebie uśmiechać się będą? Jakiem okiem patrzyć będą na nagie lądy, bez kwiecia i zieleni, wyłaniające się z wód tam, gdzie się roztaczały twoje przepychy?«

Tym małym urywkiem nie możemy dać pojęcia o całej piękności utworu, któremu niewiele ustępuje inny, nabrzmiały łzami wszechludzkiej skargi p. t.: *Nieszczęśliwi.*

IV.

Między dwoma stopniami natężenia kołuje pesymizm Ackermanowej. To przybiera ona postawę hardej i zrospaczonej i płaci naturze tysiącem obelg za każde doznane w życiu rozczarowanie, — Bogu tysiącem »nie« za każdą chwilę dawnej wiary, to wpada w melancholię po zgonie klasycznej pogody w chrześcijaństwie i przypomina ową piękną elegię Turgieniewa (Poezye w prozie), w której wesołe nimf pląsy i roskoszne śmiechy zmroził widok złocistego krzyża, połyskującego w dali. Raz mówi: »Wszystko jest najgorszem w tym najgorszym ze światów. Nie nad wrotami piekieł, lecz nad progiem życia należało położyć napis: *Lasciate ogni speranza!*« Kiedyindziej znów piorunującą wymową zagrzewa do boju ze złem i piętnuje mianem hańby tchórzostwo w myśli i analizie.

Ackermanowa miała swoje roskosze i świętości. One też dały jej siłę wytrwania i odwagę długiego życia.

Raz nawet wyznaje swą niemoc wobec nieprzepartego uroku wiary, w wierszu p. t.: *Pozytywizm,* gdzie z przenikliwością, godną filozoficznego krytycyzmu, zgaduje, jak trudno jest nie zakradać się myślą do zaryglowanej przez jednostronną logikę nieskończoności. Jest ona wogóle poganką, wyznającą szlachetny eudemonizm. Ma swoje bóstwa ziemi: miłość, wiedzę, poezyę, muzykę i wielbi je całym szeregiem elegij, niezrównanie wdzięcznych, w stylu klasycznym pisanych. Inne znów: *Hebe, Dwa wiersze Alceusza,* przypominające mu miłość dla Safony, *Lira Orfeusza, Pożegnanie z Poezyą, Odjazd, Do Alfreda de Musset, Lampa Herony, Róża,* są jako owe małe rzeźby tera-

kotowe z Tanagra, którym się dosyć napatrzyć nie można. Piękną parafrazę mytów erotycznych znajdujemy w *Endymionie* oraz *Amorze i Hymenei*. Miłość uświęcona węzłem małżeństwa — to oaza na pustyni niedoli, kwiecista wyspa na morzu łez, którą poetka wszystkim wskazuje i zaleca, i której drogocennem wspomnieniem sama żyje. Czar minionego szczęścia est dla niej na tym padole najcenniejszą relikwią. *Czara króla z Thule* przedstawia obrazowo-tajemniczą moc westchnień, a bólem rozdzierającym serce drga *In memoriam,* poświęcone zgasłemu przedwcześnie małżonkowi. Są to jakby owe smukłe dzbany, biało-czarne lekytosy, które służyły grekom na pamiątkę żałoby. Miłości nie oddałaby za żadne skarby świata. Gardzi nieśmiertelnością i odrodzeniem w niebie:

Na co mię w waszych wyżyn wabicie pomrokę,
Mnie, który jestem samą czułością, zapałem?
Moje niebo jest tutaj, otwarte, szerokie;
Więc tonę w niem duszą i ciałem.
(Paroles d' un amant).

O tej jedności nastroju grobowego, jaki uderza w Leopardim, nie może tu być mowy. Ackermanowa jest przedewszystkiem kobietą. Rozum, choć po męsku trzeźwy i silny, wiedzie ją do kresów przeczenia, ale uczucie wtrąca raz po raz swój tkliwy głos matki, która, choćby własnych dzieci nie miała, z mocy niezbadanego popędu kocha i szanuje życie cudze. »Życie to iskra u Boga poczęta, nie waż się jej dotykać, człowiek to rzecz święta!« *(Wojna).* Wprawdzie zapewnia ona, iż uczuwa zawsze »głęboką cześć dla tych duchów odważnych, które, będąc całkowicie panami siebie i jedynie przesycone nieszczęściami tego padołu, znalazły w sobie tyle siły, by zrzucić ciężar istnienia, bo natura wiedziała dobrze, co czyniła, wyposażając

nas w nieuleczalne tchórzostwo wobec śmierci«, lecz widok zgonu przejmuje ją zgrozą i bezdennem spółczuciem. Raduje się, że kara śmierci stopniowo z ustaw państwowych znika i że »wciąż wzmaga się wstręt ku temu aktowi społecznego okrucieństwa«. Ma nawet pewne wątpliwości co do tego, czy śmierć jest w zgodzie z naturą, skoro musi pokonywać taki zacięty opór ciała i ducha. Ta sama, tkwiąca w jej jestestwie niewieściem macierzyńskość nadaje też pieśniom szczególny charakter: to krzyk zranionej lwicy, której zabijają lwięta, to namiętne gotowanie się do skoku zabójczego. Przedostatni swój utwór zatytułowała: *Le cri.* »Krzyk agonii, który w chwili skonania oskarża i protestuje, ten krzyk trwogi i bezgranicznej grozy ja wydałam!« Nic nie może iść w porównanie pod względem prostoty i głębokiej żałości z *Wojną,* którą napisała na widok wielu rzezi 1870 roku i przypisała jednemu z żołnierzy, poległych pod Gravelotte. To również tylko krzyk, ale przeciągły, okropny lamentem prawdziwej Nioby, i tak zakończony:

Kiedy pod wyziewami krwi i prochu bledną
Gwiazdy, w łunach ognistych, śród nieszczęść bez miary
Stoję z duszą, podobną do zatrutej czary,
I patrząc pełna zgrozy na klęskę bezładną,
Wobec tej zbrodni ludów, nim zdołam ją zmierzyć,
Chciałabym być piorunem — i w ziemię uderzyć!
Przynajmniej krok za krokiem, odziana żałobą,
Depcąc twoje wawrzyny, podążę za tobą
I aż do ujścia dziejów, złudzonych zwycięstwem,
Ścigać cię będę krzykiem moim i przekleństwem,
O wojno, wojno krwawa, co płodzisz morderce,
Ja mam usta klątw pełne, i łez pełne serce. [1])

[1]) Przekład Maryi Konopnickiej (w *Świcie).* Inne urywki tłómaczymy sami.

Kiedy płacze, że ci, co zaścielają pole walki, byli niewinnni, i kiedy biada, że narody tępią się wzajem dla »nędznej szmaty państwa, dla muru kawała«, nie zostało w niej ani śladu tej mądrej, uczonej rezygnacyi, jaką daje obycie z historyą i prawami rozwoju społeczeństw. Rzuca się między walczących naiwnym odruchem, który świadczy, że — mimo lata już dobrze dojrzałe i osiwiałą nad książkami głowę — zachowała tę młodość uczucia, która jest drogocennym przywilejem poezyi. Jest to to samo niemędrkujące oddanie się, którego łaknął Jerzy Sand, gdy wołał, że choć słabym jest i nie na wiele się przyda, ale trupem swoim chętnie za kamień barykady będzie służyć, jeśli tylko zajdzie tego potrzeba.

Niewątpliwie było w niej coś i z Aurory Dudevant i z zuchwałej przeciwniczki Bonapartego, pani de Staël i może z Karoliny Corday i nawet Joanny d'Arc. Dzieje i piśmiennictwo francuskie ujawniają pewien typ bohaterskich kobiet, które i przed rewolucyą i po niej mają na głowach czerwone czapki frygijskie. Ackermanowa, uczennica Woltera, Byrona i Shelleya i im podobnych, miałaby w sobie niechybnie coś z jakobinów, gdyby nie szeroka filozofia, która zwykle rodzi humanizm bezkrwawy. Odwaga wojenna przechodzi wówczas w cywilną, prometejską. »Miłość moja dla wszystkiego, co dobre, sprawiedliwe i ludzkie — mówi — czyni mię tak wrogą potwornościom samolubstwa i fanatyzmu«. Unika więc tej krańcowości, którą opłacać trzeba życiem cudzem, i staje się ideologiem. Już w tem samem tkwi pewne ograniczenie pesymistycznego rozpędu. Zajmuje się »kwestyami« i marzy o przyszłości i nie zatyka uszu na odgłosy świata rzeczywistego jak Leopardi. Jest, na wzór Byrona, raczej oskarżycielem, niż siewcą rozpaczy i gnuśności.

Bije w niej ów przyspieszony puls poetyckiej doktryneryi, której przyglądamy się od pierwszych stronic tej książki. Choć umarła śród nas, ludzi zniechęconego końca wieku, szamocących się między wielką miłością społeczną a rozpasanym indywidualizmem i zgnębionych tym dylematem, nie straciła jednak czerstwości pokolenia wcześniejszego. Nie tknęły jej te paraliże, którym na imię niemożność kochania, znużenie duszy, lub samolubna wyniosłość Nietzschego. Nie okazuje wprawdzie bliższej zażyłości z hasłami ogólnej reformy życia gromadnego, ale i nie zdradza tej choroby woli, którą one, rozbijając się o głazy dawnych urządzeń i pojęć, szerzą na okół. Jest członkiem rodziny tytanidów, obdarzonych furyą myśli, czucia i chcenia. Poniekąd zdaje sobie z tego sprawę i pragnąc przysporzyć ludzkości więcej natur gwałtownych i żywotnych, wypowiada teoryę, którą jej rodaczka Klemencya Royer, na tych samych wychowana wpływach, rozwinęła szeroko i długo w wielkiej powieści: *Les jumeaux d'Hellas:* »Okoliczności — twierdzi, — które towarzyszą poczęciu, wywierają prawie zawsze wpływ stanowczy na jednostkę, mającą się narodzić. Gdyby nie było w tym akcie namiętnego pociągu, upojenia, nieledwie szału, jakim byłby jego owoc? Istotą nędzną i mierną. Spójrzcie na nasze małżeństwa, zawierane dla konwenansu i pieniędzy, cóż one wydają? Pokolenie z bezkrwistem ciałem i umysłem... Miłości! napróżno złorzeczą ci i przeklinają — w tobie tylko szukać należy źródła siły i ognia«.

Jeśli mury samotni lub parkan ogrodu, w którym pracować lubiła, broniły do niej przystępu prądom nowym, to zarazem chroniły ją od samozwaństwa sztuki dla sztuki. I pod tym względem godną jest swoich mistrzów, że twórczość poetycką lekceważy,

o ile ta nie jest *poesia militans*. »Ażeby pisać prozą — mówi — trzeba koniecznie mieć coś do powiedzenia, dla pisania wierszem nie jest to koniecznem«. Widziała piękno tylko w pomysłach rozległych, obejmujących wszechświat [1]).

---

[1]) Przed mężem, który ją przecie kochał czule i cenił wysoko, ani na chwilę nie zdradziła swego sekretu, że jest aspirantką do Parnasu. »Istotną przyczyną mego milczenia była obawa utraty jego szacunku — powiada; — niema się co łudzić: kobieta rymująca jest zawsze mniej lub więcej śmieszną«.

Wspominając o pierwszym swym występie literackim, zapewnia, że »nie popełniłaby nigdy tego nietaktu literackiego, gdyby mogła choć mglisto przypuszczać, że dojdzie on kiedykolwiek do wiadomości ludzi ze smakiem«.

Odwaga pisarska dopiero z czasem wstępować w nią zaczęła. Pod dniem 3-im listopada 1852 r., pisze w swym dzienniku: Od miesiąca zaświtało dla mnie nowe życie. Fantazya uśmiecha mi się ze wszystkich punktów widnokręgu. Tylko jeden niepokój mię dręczy: żeby się źródło nie wyczerpało, tak obficie z niego czerpię. Na talent swój patrzę jak na późno przybyłe na świat dziecię, które psuje wszelkie plany i mąci pokój starości«.

Dlatego też lubi zwięzłość słowa i naturalność, jakiej się u kobiet nie spotyka.

Czy kto słyszał n. p., żeby tak zaczynać swój życiorys: *Je suis née à Paris, le 30 novembre 1813, de parents parisiens, mais d'origine picarde.* I w tym sensie, krótkimi, urywanymi niemal zdaniami, na dwudziestu stronniczkach szesnastki opowiada swe koleje. Żadnych wstępów, żadnej frazeologii. Na całej tej przestrzeni jeden jedyny wykrzyknik i ani jednego domyślnika!

O swym płomieniu poetyckim mówi, że »jeśli przypadkiem wybucha, to nigdy nie trwa długo«, i kończy wnioskiem: »Byłaby ze mnie bardzo licha... westalka«.

»Zapytają mnie pewnie — mówi w swej spowiedzi — dlaczego tak późno? dlaczego tak mało? Całe życie moje dałoby się streścić w paru słowach: lata dzieciństwa smutne i zdławione; młodość, która nie była młodością: dwa lata szczęśliwego związku; dwadzieścia cztery lat (słowa te pisane są w r. 1874), dobrowolnej samotności. Nie jest to zupełnie wesołe, ale i nikt nie odkryje tam nic, coby usprawiedliwiało moje skargi

Dzięki tej powadze tematu i bezwzględnej czci dla prawdy, jest ona bezwarunkowo wolna od wszelkiej maniery, nie wyłączając tej, która płynie z przesadnej pewności twierdzeń własnych, i uporczywej w nie wiary. Chwilami ogarnia ją powszechne wątpienie. »Nie mogę wierzyć, ażeby wszystko, co mnie otacza, było rzeczywistością. Zdaje mi się, żem we śnie kochała, cierpiała i że niedługo umrę we śnie. Ostatniem słowem mojem będzie: ja śnię!« Taka ostrożność równa się przedmiotowości, bo nie wyklucza z góry pewnych odstępstw od raz obranego stanowiska. Ackermanowa już przez to samo była zabezpieczona od *manii* pesymizmu. Nie waha się ona wprawdzie, jak Musset, pomiędzy wielką nadzieją i wielką rozpaczą, bo ma

---

i złorzeczenia. Wielkich walk, gorzkich zawodów los mi oszczędził. W rezultacie życie moje było łagodne, niezawisłe. Los dał mi to, czego pragnęłam, nadewszystko: wolny czas i swobodę«.

»Nie jestem cała z jednej sztuki, choć z natury poważna, nie unikam przecie śmiechu. Znajduję upodobanie w subtelnych żartach i łatwo chwytam komiczną stronę przedmiotu«.

Najlepszym potretem jej są własne aforyzmy, jasne i ścisłe jak sonaty lub jak język Musseta — i dlatego tak hojnie darzę nimi czytelnika. Jeden z nich ukazuje nam ją w perspektywie, na tle samotności, jak myśli i pisze i powtarza sobie: *vanitas vanitatum et omnia sunt vana!:* »Co wieczór, gdy pracuję przy mem oknie, jakaś gwiazda ustawicznie patrzy na mnie. Nie wątpię, że lituje się nademną, która tyle pracy sobie zadaję dla jednego wyrazu, dla jednego rymu. Na co to? — zdaje się pytać. Niestety! — ta sama myśl i mnie często nawiedza. Choć nie jestem gwiazdą i nie spoglądam z tak wysoka, nieraz uczuwam litość nad znikomymi wysiłkami owoców ludzkich«.

Obrazek ten, przypominający półświatło płócien Terborga, Hookera lub Dowa z zakonnikami lub szperaczami, dopełnić można innym podobnego nastroju. »Życie moje, to życie owadu, który, schroniwszy się na końcu gałązki, snuje w listku delikatne przędziwo, ażeby się w niem zagrzebać. Samotność jest moim listkiem, w niej tkam sobie mój mały kokon poetycki«.

doradców lepszych, niż poszept chwili w duszy hulaki i cygana, ale zdaje się być gotowa do porzucenia sowiej maski, jeśli ją przekona — nauka. Przed nauką korzy się, w odmęcie zebranych przez nią faktów, w polocie nieustraszonym badania czuje bezwiednie przeciwwagę boleści życia pojedyńczego. Wielbi nauki przyrodnicze, a głównie ich nowe podboje, i zwraca się nawet z pewnym wyrzutem do poetów, pytając, dlaczego nie szukają motywów dla swej lutni w idei rozwoju organicznego. I teorya przemiany gatunków kładzie jej pod pióro znamienne słowa: »Jakiż to ideał, do którego dąży natura po przez niezliczone wieki i nieskończone formy? Chyba my nie jesteśmy kresem jej rozwoju. Chyba nie po to z tak daleka lot swój rozpoczęła, by zatrzymać się na naszej nędznej ludzkości. O ty, co w łonie jej drzemiesz, tworze przyszłości, myśl o nas, którzyśmy tyle cierpieli, by tobie drogę utorować«. Tu już słychać raczej obietnicę, niż wróżby Kassandry.

Nauka podważając zasadniczy jej pogląd, zarazem umocniła idealizm. Stąd owa surowa twarz, którą podziwiamy na jej wizerunkach, stąd to oko bystre i śmiałe. Gardzi układami z niebem dla marnego zysku i przekłada nad nie dumną samotność córy Prometeusza: »Nagroda, do której dążą bigoci, jest tak wielka, że dziw doprawdy, iż nie czynią więcej jeszcze dla osiągnięcia jej. Czem są w istocie owe umartwienia chwilowe w porównaniu ze szczęśliwością, której się spodziewają i do której nawet te utrapienia ścielą im drogę? Ludzie ci żyją w świecie tak mało ludzkim, iż mamy najzupełniejsze prawo żywić ku nim uczucia, nic wspólnego z ludzkością nie mające«.

Do niej najlepiej bodaj zastosować się dadzą trafne słowa M. Guyau'a, że pesymizm to jeno ukośny

idealizm, dodajmy: potężny krytyką, zasłużony oburzeniem. W tym wypadku chyba dokładniej, niż każda inna postać pesymizmu, uosabia on śród ludzi ten dramat, który muza Musseta widziała śród ptaków i kazała opisać mu gorącemi barwami w *Nocy majowej:* »Pelikan wracał do gniazda bez karmi dla swoich piskląt. Daremnie krążył nad oceanem i zapełniał przestrzeń rozdzierającym krzykiem; daremnie wzywał ratunku niebios i zaglądał w głębię morza — była pusta. Za całą zdobycz przynosi własne serce. Ponury i milczący, rozpostarłszy się na skale, dzieli swe wnętrzności między dzioby zgłodniałych dzieci. Widok własnego łona, zbroczonego krwią, przejmuje go zgrozą, ale duszę napełnia niewysłowiona roskosz i tkliwość«.

ZAKOŃCZENIE.

Wędrówka ideału.

Usiłowaliśmy wykazać we wstępie, że idea wszechludzka zyskała dzisiejszą swą bujność dopiero ku schyłkowi wieku zeszłego i w zaraniu bieżącego. Teraz, kiedy znamy mniej więcej jej głosicieli i wiemy jak tłumnie naraz wystąpili, twierdzenie owo wyda się o wiele słuszniejszem. Ale też nie wolno nam zamykać oczów na przeszłość, ani zbywać jej zbyt ogólnym rzutem oka. Choć w dłuższych odstępach czasu i bardziej przygodnie — jeśli w ogóle coś przygodnego istnieje — pojawiały się przecież dzieła nawskróś sprawą całej ludzkości przeniknione jak *Boska komedya* Dantego, *Raj utracony* Miltona, *Messiada* Klopstocka. Liczba ich i wzajemna łączność wzrasta w miarę zbliżania się ku owej linii granicznej dwu stuleci, ale duch bywa spokojny a puls powolny i nie znamionuje przewrotu w pragnieniach ludzkich. Byłoby oczywiście godnem zachodu poznać je bliżej i zbadać wzajemną należność, nanizać na jedno pasmo rozwoju i nawet trudno oprzeć się nadziei podjęcia w przyszłości podobnego zadania. Ale nateraz wolno nam Pascalów, Klopstocków, Quinetów, zostawić na uboczu.

Co do jednego wszakże poety należy się od nas wyjaśnienie — co do Goethego. Imię jego spotkać można na kartach tej książki dosyć często, ale nigdy uwaga nasza nie zatrzymywała się na nim tak długo, jakby na pozór zniewalało do tego wielkie znaczenie *Fausta*. Utwór to przecież, który jak może żaden inny, wszedł w skład krwi całej poezyi późniejszej. Pobudził on w niej myśl filozoficzną, wydoskonalił formę zmysłową, ukrywającą tak wielką i posępnie wzniosłą prawdę, jak dramat myśli i pogoni za szczęściem, żądze ciała osnuł przepięknie fantastycznymi mgłami i oplótł siecią cudów, wyrwał człowieka z objęć ślepego popędu i dzielności bezwiednej, zaprawił, słowem, do wysokiego lotu. Należałoby więc może zacząć od niego, jako od głównego pnia całego szczepu?

Mimo te wszystkie tytuły — nie. Usprawiedliwiając zaś tę odpowiedź, może zarazem i damy miarę tej wielkiej drogi, jaką od Goethego idea wszechludzka do połowy wieku przebyła.

Faust stał się poniekąd dla ogółu poetów szczytem akademickim, jak pewne temata w malarstwie. Kusi swym ogromem, różnobarwnością treści od poziomej i sprośnej jak w *Nocy Walpurgi* do wzniosłej bez miary, jak w odzie do Boga, którą Faust uspokaja obawę Małgorzaty o bezbożność; od lekkiej i powiewnej, jak w gruchaniach miłosnych, do pełnej dyalektyki uszczypliwej w szyderstwie szatana lub rozmowie jego z Uczniem. Przesuwają się na przemiany najrozmaitsze rodzaje wiersza: rymowany, biały, poetyczny i operetkowy, albowiem są to oratorya Haydna i cyniczne śpiewki Offenbacha, lubieżne tańce i idealna miłość, lot orli i pełzanie ślimaków, świetlane przestworza Niebios i czarne czeluście piekieł, toczone kształty rzeźb Fidyaszowych i odrażające ko-

ściotrupy czarownic, wonie kwiatów arkadyjskich i smrodliwe ciecze Łysej góry — a do wszystkich tych odmian i skal, do wszystkich barw i poziomów duchowych, temperamentów i uczuć, farsy i tragedyi, wszechrozumu i arcygłupoty zastosowany jest po mistrzowsku wiersz, tak giętki pod piórem poety, jak złoto w rękach Benvenuta Celliniego.

W niejednym umyśle Faust i Mefisto królują wyłącznie, jak niegdyś w Rzymie konsulowie i nie dopuszczają idej żywotnejszych, postaci młodszych w dziejach literatury, albo też ogniskujących w sobie ideały świeższe, w tym kierunku refleksyi i analizy dalej rozwinięte. Bohaterowie, których stwarza geniusz wieszcza lub artysty, choćby dla najbystrzejszego oka byli bez wad w swem pięknie, z czasem przeżywają się; potomność podziwia ich ciało, ale przestaje rozumieć ich ducha, bo sama w nim przejrzeć się, swych bolów i radości, żalów i nadziei odczytać nie może. Im szybciej płynie historya, tem jawniej maleje urok takich zwierciadeł zdolnych do powtarzania, a nawet wyprzedzania swojej epoki — ale tylko swojej. Każdy wiek następny, każdy dziesiątek lat urywa im kawał wziętości i potęgi, wycofywa z obiegu, a wciela do tradycyi artystycznej. Wreszcie między potomnością a przekazanem jej arcydziełem rozwiera się otchłań różnic, którą zapełniać musi komentarzami: bez nich będzie jak owe dzieci, którym na kolędę dają Don Kiszota, jak owe tłumy, które czytają go dla humoru, a nie pojmują, że to postać szanowna, pomyślana również głęboko jak Hamlet Shakespeare'a.

I *Faust* niegdyś omszeje i pleśnią się pokryje, a wówczas tylko smakosze dobrze spoufaleni z tajemnicą piękna, potrafią go ocenić. Proces starości już się rozpoczął — ale dlaczego?

Nie dlatego, bynajmniej, że — jak woła Du Bois-Reymond — przyrodnicza fantastyczność jego nie wytrzymuje krytyki, że jest z sobą niezgodna, że sam Goethe jest przecenioną wogóle wielkością; nie dlatego też, że znakomity Vischer i inni trzeźwi krytycy wydrwiwają pedantów, co w każdym luźnym lub nawet bezmyślnym szczególiku, w każdej przenośni *Fausta* widzą doniosłe aluzye — nie. Kochanek Małgosi i krnąbrny sprzymierzeniec dyabła zaznaczył *brzask* aspiracyj poetycznych, które później zajaśniały pełnym *dniem*. W nim wzięła początek rzeka, która wkrótce wchłonąć miała tyle dopływów szerokich i wartkich i po dziś dzień toczy tak bystre, coraz bystrzejsze fale, że źródła pierwotne musiały pozostać w tyle.

Innemi słowy, Goethe młody, Goethe jeszcze rozłamany we wnętrzu swem, skupił w *Fauście* zwątpienie, przesyt i skargi na niedołęstwo umysłu ludzkiego wobec męki poznania. Zbuntował mędrca przeciw dodatnim mocom świata, kazał mu szukać zapomnienia w uciechach ziemskich — ale w sercu jego zachował wiecznie tlejące poczucie boskości, nienawiść dla złego, dumę i niezawisłość od pokus nikczemnych. Tym sposobem zapewnił tryumf Bogu w zakładzie z duchem pomroki, z walki z negacyą idea budująca wyszłą zwycięzcą. Po burzy namiętnej nastaje pogoda, po rozdźwiękach — harmonia, po błędach i upadku — przebaczenie. Idealizm niemiecki zrobił swoje. Czar równowagi greckiej rozwiał fermenty w duszy Goethego i wystraszył »duchy wiecznego przeczenia«.

Ale ludzkość do obrazów jasnego nieba przywykła, bo ich całe galerye znajdowała w kulturze helleńskiej. Zresztą przestała je pojmować. Rozbudzony krytycyzm społeczny i filozoficzny upajał się nie wiarą Fausta, lecz jego niewiarą i pychą prometejską a wię-

cej jeszcze cynizmem i zuchwalstwem władcy piekieł. Romans całkiem odstąpiono muzyce, Mefistofeles stał się ulubieńcem wszystkich myślicieli-poetów, lecz nie na zawsze. Ośmieliła się literatura do tak bezkresowej analizy, zagrzmiała takim protestem, nietylko w słowach, ale i w czynach i w życiu całem pisarzów, że ciemna sylwetka Goetowskiego demona zszarzała, a Fausta — zblakła.

Sam jego twórca dziwił się, że mógł zrodzić tak ponurego fantastyka, Jak Byronowski *Manfred* i ową przemianę nazwał hypokondryczną. Szczególnie znamienny to objaw dla epoki; ale i zdumienie Goethego i mniemana chorobliwość jego naśladowcy dziś już nie potrzebują klucza, bo nie są zagadkami. Burzliwy poeta dziewiętnastego wieku, choć karmił się również obficie chlebem klasycznym, miał być nie odrodzicielem ideałów greckich, lecz namiętnym, wiernym synem swego czasu i zwiastunem całego szeregu pokrewnych sobie i nowych zupełnie pokoleń. Miała zaświtać doba głębszego samopoznania, zawziętszych walk o niepodległość uczucia, gorętszych pogoni za złotą gwiazdą szczęścia — więc apostoł wyssał z wieszczb swego poprzednika nie słodycze, lacz jady, wyciągnął z *Fausta* same gorzkie pierwiastki i pełne ich kielichy podnosił do ust swoich i cudzych... Może to i była choroba nerwów, ale nie osobista lecz powszechna, może to była gorączka, ale jej brednie to najcudniejsze kwiaty refleksyjnej poezyi. Ogarnęła ona świat cały i teraz jeszcze ponętnymi więzami skuwa. Zresztą nie wina to człowieka, który czar zasiał, ale ludzkości, że w bolesnych swych przejściach takie gniewne jęki z łon wydobywa.

Tak, *Manfred* w rzeczy samej niektórymi rysami bliźniaczo przypomina *Fausta*. Od niego pożyczył fizyo-

gnomię mędrca, samotne dumania filozofa, który widzi, że promień jego wiedzy nie sięga daleko, za nim powtarza skargi na nieudolność nauki — ale to tylko szata zwierzchnia. Pod nią kryje się prawdziwy król stworzenia, dumny rozkazodawca duchów, choć na pozór ich poddany. I to jest Faust, ale — *quantum mutatus ab illo!* Tamten pyszni się opieką bóstwa, ten depcze wszystkie potęgi, w swym bólu jest nieprzejednany. Tamten — debiutant w przeczeniu, prawie że dobry chrześcijanin, ten już na poły zbuntowany Prometeusz, wprawdzie więcej przygnębiony, niż hardy, ale zawsze większy w poczuciu swego »ja«. Ma siłę umrzeć i odważnie śmierci spojrzeć w oko pomimo przeszkód, gdy czuły gach Małgosi rozrzewnia się odgłosem świątecznych dzwonów.

Jeżeli więc wspaniała tragedya Goethego przemawia hymnem na cześć wielkości ludzkiej — *Manfred* obok całej niższości artystycznej przemawia dobitniej, bo w nim ideał niepodległy o całe niebo posunięty wyżej.

Jeżeli wabi widokiem katuszy bytu — w *Manfredzie* ten sam dramat jest grozą: nie pieści ale przestrasza, nie zamienia się w sielankę miłosną, ale z dziką, urągającą wszelkiej słabości konsekwencyą, kładzie kres istnieniu.

Ktoś — bodaj czy nie Lewes — słuszną uczynił uwagę, że bohaterowie Goethego są słabsi od swego piewcy i wskazywano za dowód na Werthera, którym rzeczywiście był kiedyś sam Goethe — postacie zaś Byrona o wiele silniejsze od niego. Tkwi w tem głęboka prawda, albowiem autor Manfreda w nim, jak i w Korsarzu, w Giaurze i wszystkich swych wybuchach zemsty i wściekłości nadrabiał męstwem i miną, która w praktyce często bardzo bywała rzadką i niepewną.

Bądź co bądź jest to cecha charakterystyczna byronizmu, że imponuje siłą i butą, niekiedy nawet z uszczerbkiem dla głębi filozoficznej. Faust daleko więcej uderza uczonością, daleko umiejętniej symbolizuje to, co niemcy zwą »duchem-szperaczem«; widać, że to z krwi i kości myśliciel-metafizyk, doktór i alchemik. Takiego też chciał stworzyć poeta garmański i dlatego postawił obok niego szkolarską i płytką osóbkę Wagnera.

Genialny ten kontrast stał się przysłowiowym, trafił do przekonania całej arystokracyi ducha i należy do najlepszych cząstek idei Faustowskiej. Ale i on miał być wkrótce prześcignionym w dosadności i przekonywającej mocy. Narodziło się wielkie misteryum *Kain* i wnet sprzeczność natury głębokiej, krytycznej, wiecznie niezadowolonej — z naturą poczciwą, cieszącą się dobrym snem i apetytem, zawsze kontentej z siebie i powierzchownej, ujęty został w symbol szerszy i pełniejszy. Faust i Wagner — to typy uniwersyteckie, Kain i Abel — to typy uniwersalne — oto maleńka różnica... Synów Adama dzieli już nie różnica zdolności, kwalifikacyj naukowych i filozofii życia, ale daleko wszechstronniejsza, rdzenniejsza, bo nietylko umysłowa, ale i moralna. Jeden wielbił dzieła Stwórcy, jako dary, drugi krytykował i przeklinał jako klęski. Jeden widział we wszystkiem dobroć, ład i logikę — drugi nieusprawiedliwioną surowość, bezrząd etyczny i bezmyślność. Pierwszy nie stanowi bynajmniej karykatury mędrca na wzór Wagnera, ale realną, dodatnią nawskróś jednostkę, tylko na szczęście swe ślepą i bierną. Kain i Lucyper wzajem się dopełniają i składają na wcielenie spokojnej, melancholijnej, trawiącej duszę i ciało zadumy. Kto chce wyobrazić sobie orła i osła niemieckiego, niech spojrzy w portrety Fausta i Wagnera: kto pragnie widzieć

prawdziwą wielkość umysłu i czucia obok ograniczoności Benjaminka, tak ażeby uzmysławiały kontrast ogólno-ludzki — niech się rozczyta w genialnej parafrazie pierwszej zbrodni...

W umysłach analitycznych posiew Kaina wydał obfity owoc. Był współcześniejszym, wolnym od osłonek romantycznych i miłej dla gawiedzi sceneryi czarodziejskiej. Był wierniejszym odbiciem nurtujących Europę prądów; nasiąknął wszechbólem etycznym, rzekłbyś, przeczuł, iż niedługo rozigra się na ziemi walka nędzy ze zbytkiem i wyzyskiem, demaskował bezlitośnie świętości, dotąd bałwochwalczo czczone, sądził to, czego sądzić nie było wolno i nie było we zwyczaju — słowem otworzył na oścież wrota — pesymizmowi.

Nie tu miejsce kreślić koleje poezyi i filozofii rozpaczy. Wiedzą wszyscy, jak nieprzejrzany chór płaczków wydała i wszystkich ich potrosze znają. Kto jednak wejrzał głębiej w przyczyny, w wypadki, co tak smutno nastroiły głównych poetów cierpienia: Leopardiego, Lenaua, Ackermanową i wielu innych, pojmie, że były to niedole pochodzenia ziemskiego. Choć same do tego się nie przyznają, zawsze można je prostą drogą sprowadzić do ucisku możnych, fanatyzmu kościoła, niedołęztwa w rządzeniu i stu innych krzywd, do ogólnej zresztą ciężkości powietrza, jaką poprzedza zawsze wyklucie się nowych dążeń i nowych potrzeb. Tym sposobem zwątpienie, które w piersi Fausta zagościło na chwilę — po nim znalazło śpiewaków szerszych i bardziej do tego powołanych. Co więcej, ze sfery oderwań przeszło w dziedzinę spraw życiowych, pragnień społecznych i państwowych, czyli inaczej, odezwało się głosem donioślejszym i... świeższym, poruszyło nie samych tylko filozofów, ale cały ogół »cierpiących za miliony«. Apatya i zniechęcenie — drugi

tego samego rodzaju rys Fausta — już nawet bez żądzy użycia zmysłowego rozpostarły się po literaturze, a do nich przyłączyła się niewiara w badawczą zdolność umysłu. Sceptycyzm na razie u Fausta jeszcze poważny i zachodzący w głowę, u Byrona i pesymistów ma minę wesołą i wciąż dowcipkuje.

Wogóle mózgi owego pokolenia nie próżnowały. Wiele w tym zakresie przebolała ludzkość, wiele wybadała, wieloma rozczarowaniami się zgryzła, z wielu wybuchów szlachetnych popadała w odrętwienie. Chyba niema w dziejach oświaty chrześcijańskiej wieku, tak bogatego w zapały i zawody, tak pełnego trującej samowiedzy, tak prawdziwie prometejskiego i odwagą i straszliwą pokutą. A więc Faust poczęty i niemal zrodzony w stuleciu minionem, już być wyrazem tragedyi i apoteozy ludzkiej nie może, już się dziełem czystej sztuki staje. Gdy życie jest treściwe, gorączkowe i świadome, wtedy rozwój szybkim podąża krokiem, a dziesiątek lat staje się setką. Między wieloznacznem dziś a kilkoznacznem wczoraj, które stworzyło Fausta [1]) — wznoszą się i gęstnieją mgły historyi.

---

[1]) Obniżony w piedestale swym o parę stopni, Faust nie przestaje postaciować w sposób poetyczny podniosłości ducha — i to mu się z prawa należy. Miarę jego symbolicznego znaczenia określił trafnie, choć bezwiednie, Spielhagen swą powieścią *Problematische Naturen*. Bohaterów tego, nawiasem mówiąc, niepospolicie szczytnego utworu nazwał on gdzieś *Faustuli posthumi* i nazwał wybornie: są to artyści nigdy nie nasyceni w pogoni za ideałem piękna, uczeni żądni poznania »macierzy bytu«, kochankowie pojmujący tylko przepaściste głębie uczucia, ludzie brzydzący się płytkością i przeciętnością i w każdym calu swej organizacyi różni od gminu. Takim jest prof. Berger, schopenhaueryanin, Oldenburg, Oswald, może i Melitta i w przyszłości Helena i Bruno von Barnewitz. Takim właśnie jest — Doktor Henryk Faust, nie mniejszy, ale też i nie o tak wiele większy.

Można było mniemać, że Goethe znajdzie sposobność lepszą do wypowiedzenia śmiałych roszczeń ogólno-ludzkich, bo się do tego niezupełnie nadawał *Faust*, zwierciadło udręczeń mędrca, ale nie człowieka wogóle. Jakoż znalazł aż dwie, ale z żadnej nie skorzystał, bo skorzystać nie mógł, bo wygórowanych, zuchwałych pragnień dla całego rodu nie miał. Gdzież bowiem byłoby dla nich miejsce dogodniejsze, niż w odłamku dramatycznym p. t. *Prometeusz* i niedokończonej *Pandorze*, której jedną z głównych postaci jest znowu Prometeusz, w przeciwstawieniu do swego brata Epimeteusza? A jednak i tu i tam stwórca i dobrodziej człowieka a wróg Zeusa występuje blado. Oba utwory wałkują raczej stary, piękny mit, zamiast tchnąć weń ogień namiętności i skargi! Niemasz w nich nic zapału, nic siły; czytają się z trudnością, są po prostu nudne, a jeśli i ciekawe, to z jednego chyba względu: stanowią wyraźny i dosadny dowód, jak rozkochanemu w klasycyzmie poecie trudno było dać się porwać żądzy i odczuć serce pokolenia następnego.

Ale nietylko przed prometeistami, których wizerunki podaliśmy, ideał wszechludzki nie miał tak oddanych jak oni szermierzów. Jak się już raz rzekło wyżej, w miarę zbliżania się do naszej doby, malał polot ducha, wyzwalała się czysta poezya jako kunszt formy i gry na uczuciach. Nie brakło w romantyzmie wielkich porywów, uniesień i zachwycenia, ale bądź cobądź jaźń poety wzięła górę i nawet tam przeważała miłość dla samej sztuki, gdzie na pozór tkliwość pisarza niepodzielnie spływała na bliźnich lub na ród człowieczy w całości. Z czasem i stopniowo i ta reszta równowagi dawnej zginęła, ustępując miejsca obojętności na sprawy ziemskie lub nawet wyniosłemu odosobnieniu. Realizm jeszcze mniej sprzyjał pomysłom

wszechludzkim, które nawet wprost odrzucił i zlekceważył jako szkodliwy nałóg, jako nadmiar oderwań, fantazyi i podmiotowości. I dopiero ostatnie lata przyniosły z sobą nowy ich wzrost. Gdy się okazało, że obiór tematów dotykalnych i namacalnych zwęża łożysko natchnienia, tedy nie ocaliły ich nawet niespożyte zasługi. Nic to nie pomogło, że szkoła, hołdująca przedewszystkiem prawdzie i tworzeniu na zasadzie odczucia, zbadania i zrozumienia zjawisk, dała moc niezawodnych prawideł, że wprost odrodziła sztukę, wprowadziła nieśmiertelny żywioł analizy i ścisłej charakterystyki zarówno jednostek, jak warstw społecznych. Nic to nie pomogło — nie wyrzekając się bynajmniej tych nieocenionych odkryć i nabytków, można przecie przywrócić naczelną nad nimi władzę idei etycznej i pierwiastkom myślicielskim. Tak się też potroszę dzieje i chyba dziać będzie. Sam nieszczęsny związek realizmu z sybarytyzmem i sobkowstwem, obojętnością, duchem niewstawiennictwa wykazał jego niedostateczność. Sama rezygnacya, zbyt łatwa i pochopna, wobec nieugiętości praw natury i życia gromadnego — obraża umysły szlachetniejsze.

Nie koniecznie trzeba marzyć o niebieskich migdałach i rozmarzać ogół chimerami, ażeby módz (i musieć) pragnąć zbawienia powszechnego. Nie koniecznie trzeba tworzyć z mgły, ażeby módz wznieść w górę sztandar ideału wszechludzkiego.

Zgodnie z tem sprobujemy w dalszym ciągu odmalować: *a)* tych jego poetów, co tylko częściowo wzięli spadek po prometeistach, a potem *b)* tych, co z nowych, nurtujących świat godeł moralnych i społecznych, zaczerpnęli nowej odwagi do tworzenia szerokiego. Postaramy się wykazać, że »ludzkość« jest tematem na podziw i nad pospolity przesąd wdzięcz-

nym i częstym, nawet w bogatej jak żadna inna, ale indywidualistycznej poezyi romantyków. Nieraz tam, co prawda, ród nasz i glob występują jako wątek i treść, z którymi się żadne wyraźne ideały nie łączą, ale na tem właśnie polega ich niższość i zarazem ciekawa odrębność w stosunku do Byronizmu, który czynem i pieśnią głosi ideał godności siły i swobody, do Shelleya, który pragnie dla wszystkiego, co żyje — szczęścia i spokoju, do pesymistów, którzy dobrowolną męką krytyki budzą z uśpienia świadomość błędu, podłoty i wzajemnych krzywd i cierpią nie dla widowiska lecz przez litość i wstyd. Rozumie się, że potomków o tyle bardziej szkicowo rozpatrywać będziemy, o ile są niżsi od ojców rodu. Za to poezya ostatniej ćwierci wieku na nowo wszystkie swe prawa, nie wyłączając prawa apostolstwa, odzyskuje.

Śledząc tę wędrówkę ideału wszechludzkiego po przez ludy i ziemie, nie spodziewamy się odkryć wiele nowego, ale mamy wewnętrzne przeświadczenie, że poezyi wieku naszego nadaje on piętno szczególne, znamienne, wzniosłe i nowe i że na niego winna przypaść lwia część tej uwagi, którą krytyka darzy poezyę nowoczesną.

Zadanie to dla podejmującego je tem więcej posiada uroku, że w owej wędrówce i polska poezya dosyć żywy udział brała, choć — jak łatwo zrozumieć — zaprzątnięta sprawami pilniejszemi, nie mogła i nie powinna była zużywać na ideał »wszechludzki« najlepszych sił swoich [1]).

[1]) Poznawszy treść tej książki, czytelnik zrobi może uwagę, iż tytuł jej za szumnie brzmi, za wiele obiecywał. W przewidywaniu tego zarzutu, wolę nadmienić z góry, iż pierwotnym moim zamiarem było ogłosić dwa tomy naraz, a więc przedstawić w drugim postacie i kierunki,

mniej dotąd w ogóle opracowane, świeższe i natarczywiej damagające się oświetlenia z punktu widzenia ideału wszechludzkiego. Nie każdemu jednak dano przy najgorętszych nawet chęciach i całkiem uszykowanym materyale budowę dźwignąć odrazu pod dach... Ten wzgląd może i mnie usprawiedliwi i złagodzi ostrość wymówki, że paręset stron poświęcam nazwiskom tak mało obcym. Wolno zresztą łudzić się, że ogół światlejszy nie zechce oceniać książki samem tylko brzmieniem imion jej bohaterów. Nadto uważam za stosowne nadmienić, iż niektóre urywki były swego czasu drukowane w pismach miejscowych, aczkolwiek przy wcielaniu do planu ogólnego wypadło je z gruntu przerobić.

SPIS RZECZY.

Str.

WSTĘP 3

CZĘŚĆ PIERWSZA (Prometeiści):

Rozdział I 17
» II 25
» III 30
» IV Przyszłość 39

CZĘŚĆ DRUGA (Lord Byron): 48

Rozdział I 51
» II 60
» III 66
» IV 85
» V 94
» VI 111
» VII Prometeizm Byrona 126
» VIII 132
» IX 141

CZĘŚĆ TRZECIA (Percy Shelley):

Rozdział I Geneza i ustrój 162
» II Oskarżenie i doktryna 186
» III 205
» IV Apostolstwo 213
» V Prometeizm 225
» VI 235
» VII Najwyższe przeduchowienie 243
» VIII 252
» IX 261
» X 267

Str.

CZĘŚĆ CZWARTA (Przeduchowieni i bolejący):

Rozdział I Pokolenie idei i ducha 271
» II Beznadziejność urągliwa. Leopardi 283
» III Pesymizm walczący. Ludwika Ackerman . . . 286
» IV 311

ZAKOŃCZENIE (Wędrówka ideału) 320

Ważniejsze omyłki druku.

Na str.	52	zamiast:	o Flaulorcie —	powinno być:	o Flaubercie.
»	92	»	podrywa u nas wiarę	»	podrywa w nas wiarę.
»	129	»	Berstolda Auerbacha	»	Bertolda Auerbacha.
»	132	»	VII	»	VIII.
»	132	»	nazywał	»	nazywa.
»	143	»	nieubłaganym	»	niezbłaganym.
»	144	»	VIII	»	IX.
»	151	»	domonizmie	»	demonizmie.
»	153	»	wrażliwszego	»	wyraźniejszego.
»	240	»	pod wpływem hymnu	»	pod wpływem haszyszu.
»	242	»	siłę woli	»	siła woli.
»	254	»	często panteistyczny	»	czysto panteistyczny.
»	258	»	rzesze	»	rzeszy.
»	259	»	równoległa	»	równolegle.
»	262	»	teologa	»	ideologa.
»	263	»	przetwarzać się	»	powtarzać się.

Biblioteka UJK Kielce
UJK
0482244